

Sofija Andruchowycz

Siomga

Przekład Michał Petryk

Pan światła, władca wody

I nawet tu, w tej dwumetrowej toaleta-łazience z brodzikiem i grzybem na ścianach, nie mogę czuć się bezpieczna. Tak - tutaj nie ma okien i nie może mnie widzieć, a to oczywiście trochę przeszkadza mu walić konia, chociaż nie wiem, może dźwięki podniecają go jeszcze bardziej.

Siedzę na przykrytym błękitną plastikową klapą klozecie, słyszę, jak w kuchni z niedokręconego kranu cieknie woda, baterii w laptopie zostało sześćdziesiąt osiem procent, drzwi do łazienki nie mają zamka, i jeśli postanowi wtargnąć do naszego mieszkania, żeby mnie w końcu zgwałcić, nie będę się miała gdzie schować, będę po prostu siedzieć na klozecie z laptopem na kolanach (dobrze przynajmniej, że nie na jajach!) i w milczeniu patrzeć na niego. Dokładnie to sobie wyobrażam: będę sparaliżowana, nie zdołam nawet wypuścić powietrza, nawet przełknąć śliny, serce będzie mi walić w mózgu, a oczy zrobią się idealnie okrągłe. On, myślę, będzie nie mniej przestraszony. On w ogóle jest taki strachliwy, wstydlivy i odludek.

On się mnie boi, tyle razy słyszał, jak używam niezrozumiałych dla niego długich wyrazów, widział, jak czytam książki, jak piszę coś na laptopie - wszystko to dla niego niepotrzebne i nieosiągalne; przeczytał tylko kilka książek przygodowych w dzieciństwie, a potem tyle samo broszur o rurach, kanalizacji i kranach. Teoretycznie mogłabym go do nas zaprosić, żeby naprawił kran w kuchni. Praktycznie już na samą myśl o nim przechodzą mnie ciarki i boję się wrócić do pokoju. Ściągnęłam sobie na głowę czarne kosmate wąsy.

Nasz pokój, dziesięć metrów kwadratowych - to jego telewizor. Albo akwarium. Albo klatka z chomikami. Misza poszedł palić trawę ze swoim dilerem i jego dziewczyną Anną Marią. Dobrze przynajmniej, że nie Marią Antoniną. Chociaż to prawie to samo. Przedtem myślałam, że takie imiona zdarzają się w najlepszym wypadku w historii, a w gorszym - w literaturze. Od niedawna wokół mnie zaroilo się od Frid Stern, Emanuel, Augustynów, Franciszków i Symeonów.

Sprzedawca trawy nazywa się jakoś bardzo prosto, nawet nie pamiętam jak. Handel gandzią - to jego hobby, zajęcie uprawiane dla przyjemności. Pieniądze zarabia na tym, że kieruje zakładaniem angielskich parków dla bogaczy. Umie urządzać eleganckie skalniaki, ten Roma czy jak mu tam. I dlatego jeździ czerwonym chevroletem i nosi garnitury od Michaiła Woronina, jest też wrażliwy i delikatny - jak zresztą większość ludzi związanych z gandzią. Nie lubi oglądać horrorów, bo na widok krwi i poszarpanych wnętrzności zbiera mu się na wymioty i nie może potem zasnąć. We wszystkim innym Roma nie jest szczególnie interesujący, skalniaki tłucze na jedno kopyto, nigdy szczególnie go nie pociągały, pociąga go natomiast Anna Maria, chociaż nie wiem, co jest w niej tak czarującego poza imieniem.

Misza poszedł do nich, mówiąc, że wymaga tego etyka, trzeba być w dobrych stosunkach ze swoim dostawcą. Dostawcą statków. Wymagają tego niepisane prawa żeglugi morskiej i ogrodnictwa.

Zostałam, aby zająć się pożytecznymi dla mnie sprawami. Najpierw rozłożyłam na podłodze kolorowy koc, potem czym prędzej otworzyłam na oścież lufcik, za którym dzień zaczął już kisać i blaknąć, i siadłszy na kocu, tak jak lufcik otworzyłam nogi i zaczęłam się starannie rozciągać.

Moje ruchy były płynne i miękkie, starałam się unikać bólu, a posmak lekkiego dyskomfortu tylko wzmacniał przyjemne ciepło w mięśniach i nagłe skurcze macicy. Tak ociekając potem i jęcząc z wysiłku, w myślach rysowałam sobie każdy swój mięsień, zbity i silny, niemal gumowy, napięty, posłuszny, żywy. Skrzypienie parapetu i głuche uderzenia o kraty w oknach wybijały mi rytm, im szybszy stawał się mój oddech, im bardziej mokry był podkoszulek, tym niżej pochylałam głowę i piersi wzdłuż nóg, tym wyżej zadzierałam kolana, tym mocniej naprężałam tułów. Skrzypienie za oknem stawało się coraz bardziej przejmujące i coraz szybsze, jakies konwulsyjne, egzaltowane, histeryczne, aż nagle uświadomiłam sobie, że nie są to po prostu przypadkowe dźwięki z dworu, że to nie ptaszek usiadł na gościnnym skraju naszego okna, że to nie bezdomny łaciaty pies gryzie pod brzoźką robaczywą świńską kość, że to nie sąsiadka z prawej szoruje „Gazetą po Ukrainku” okna przed Wielkanocą, i nawet nie sąsiad z lewej ostrzy noże kuchenne, śliniąc filtr swojego wiecznie niedopalonego papierosa.

Położyłam się płasko na kolorowym kocu, wyciągając nogi i dotykając dłońmi zewnętrznej strony ud. Zamknęłam oczy i głęboko oddychałam. Musiałam poczekać, aż krew w żyłach przestanie tak nieznośnie szurać tam i z powrotem, niepokojąc wody Światowego Oceanu, aż ciśnienie znów się unormuje, aż serce przestanie rozdymać swoje miechy, płuca przestaną drzeć, a żółte i czarne koła przed oczami znów schowają się w źrenicach. Za oknem jeszcze kilka razy gwałtownie skrzypnęło, szarpnęło i ucichło, zaczęło się, chociaż wciąż czułam na sobie spojrzenie, które strącało z mojej skóry krople potu, a one rozpryskiwały się bryzgami na wszystkie strony, spadając na nos niezadowolonemu kotu.

I wtedy ogarnęła mnie panika. On tam jest, za oknem, znów przyszedł, znów na mnie patrzy. Widzi mnie, słyszy mój oddech, ogląda rumieńce na moich policzkach i pasma mokrych, potarganych włosów. Jego wzrok jest tak wyostrzony i wyczulony, że wyraźnie, niczym przez szkło powiększające, widzi najdrobniejsze włoski na moim ciele i może z zamkniętymi oczami narysować na zaparowanej od swojego oddechu szybie kontury bladego znamienia w kształcie motyla, które mam po wewnętrznej stronie prawego uda.

Czuje mój zapach, może wyobrazić sobie odcień mojej rogówki, wie nawet, co się ze mną dzieje, kiedy moja macica zaczyna się kurczyć.

Powoli wstałam i odwróciłam się tyłem do okna: najstraszniejsze dla mnie jest go zobaczyć. Zobaczyć jego wąsy, jego niedogolony podbródek, półotwarte usta z wyschniętymi, bladymi wargami, krzaczaste brwi i zastygłe spojrzenie okrągłych oczu. Umieję go sobie wyobrazić, umiem narysować każdą najdrobniejszą zmarszczkę na jego twarzy, upaprana czapkę na splątanych gęstych włosach, wielkie popękane dłonie, ubłocone i rozdeptane brązowe trampki z mnóstwem otworków wentylacyjnych w kształcie rombów. Ale dalej klisza się urywa, moja wyobraźnia zastyga jak kropla sosnowej żywicy, i tam, wewnątrz, w bursztynie, zostajemy razem: jego szara twarz za lufcikiem, strużka śmierdzącej śliny w kącie ust, spojrzenie zwierzęcia pochłoniętego przez instynkt, skamieniała dłoń w miękkim rozporoku spodni - i ja z twarzą zwróconą do góry, z zastygłymi kończynami, sparaliżowana, przerażona, błagalna, idealna ofiara. I sposób uwolnienia z tego bursztynu nie jest mi znany, zdaje się, że nijak nie można się z niego wyrwać, to takie piekło, taka pułapka, matnia, śmierć, życie wieczne - oto dlaczego unikam patrzenia w stronę okna, oto dlaczego poruszam się po pokoju bokiem albo tyłem.

Majtki, jak na złość, zsuwają się z lewego pośladka i kokieteryjnie marszczą. To teraz takie niedorzeczne, mechanicznie poprawiam miękką tkaninę i od razu rozumiem, jaką pomyłką był ten odruch. Powolne i ledwo słyszalne skrzywienie za oknem powraca, moje figlarne majtki wzburzyły życie w jego wielkich i brudnych, zapaskudzonych spermą gaciach.

Gwiżdże mi w uszach i ciemnieje w oczach. Im nieznośniej ogarnia mnie strach, który jak pancerz skuwa mi piersi, tym bardziej zdecydowanie, choć powoli wstaję. Na długo zaplątuję się w węzowym kłębie kabli od kilku komputerów, telewizora, odtwarzaczy, zewnętrznych CD-romów, lamp za dużo sprzętu jak na tak małą powierzchnię. Niechcący wyłączam komputer Miszy, wyciągam kabel z mojego laptopa, ale nie wystarcza mi siły i wytrzymałości, żeby naprawić tę sytuację, łapię laptopa tak po prostu, bez kabla, wyszarpuję jedną wtyczkę i wszystkie światła w pokoju gasną. W myślach prosi mnie, żebym nie szła. Ciekawe, czy mówi do mnie po imieniu? Jakimi czułymi przezwiskami się do mnie zwraca?

Ale zostawiam go z niczym. Do widzenia, na dziś koniec programu, przed państwem - czarny ekran, nie zapomnijcie wyłączyć telewizora.

Czeka rozczarowany, licząc na mój powrót, i wsłuchuje się w przytłumiony stukot klawiszy laptopa.

Siedzę na błękitnej plastikowej klapie klozetu i usiłuję przekonać samą siebie, że tu jest bezpiecznie. Jego spojrzenie nie może przeniknąć do tej zamkniętej, pozbawionej okien przestrzeni. Tam, gdzie nie ma okien, nie ma i jego.

A z drugiej strony - skąd wiem, do czego zdolna jest jego miłość i jego zapaskudzona spermą namiętność?

Po raz pierwszy dał o sobie znać ponad rok temu, zimą.

Była trzecia w nocy, pracowaliśmy z Miszą, pólżąc na naszym materacu we wnęce. Na tym materacu spaliśmy, pieprzyliśmy się, jedliśmy, przyjmowaliśmy gości, pracowaliśmy, oglądaliśmy telewizję, spędzaliśmy czas i przeżywaliśmy życie. Materac od okna dzieliły trzy kroki. I to cały nasz pokój.

Już kilka godzin temu położyli się spać najbliżsi sąsiedzi.

Słuchaliśmy, jak długo myła się samotna kobietka mieszkająca za ścianą. Wielokrotnie się mydliła, a potem z głuchym stuknięciem rzucała mydło do mydelniczki. Kilka razy prysznic wypadał jej z rąk i głośno tłukł o dno wanny. Sąsiadka była wyraźnie rozkojarzona. Być może wzięła coś na uspokojenie albo na sen - nie tak znów łatwo zasypiać samej. Słyszeliśmy, jak wkrótce po niej do toalety wszedł jej kot: długo i starannie udawał, że zakopuje produkty metabolizmu w ziemi, ohydnie szurając pazurami po kaflach toalety.

Nasz kochany, złoty dozorca Kola (wtedy jeszcze nazywaliśmy go „Witek” i Misza nie znał go osobiście, a Kola nie zwracał się do Miszy per „panie Michale”, tylko po prostu co rano charczał coś swoim przepitym, przepalonym głosem, nieistniejącym, ochryplym głosem, przeklinał wszystkich i wszystko, i zbierał pod naszymi oknami potłuczone butelki, strzępy kiszanej kapusty, prawe adidas, lewe klapki, piłki tenisowe, bochenki spleśniałego chleba, wyschnięte góvienka owinięte w zapisane uczniowską ręką kartki w trzy linie - nasi sąsiedzi bardzo lubili wyrzucać przez okna różnorodne składowe swojej niewyszukanej codzienności), więc nasz kochany, złoty dozorca Kola tej nocy z jakiegoś powodu nie chrapał - a ja tak przywykłam do jego rozkosznych, niepokornych pomruków, do tych potwornych wątrobianych dźwięków, które dobiegały z mieszkania Koli, znajdującego się akurat nad nami. Przyzwyczyłam się słodko przy nich zasypiać, uspokajały mnie i wyciszały, dawały nadzieję, że jutrzejszy ranek nieodmiennie nadejdzie i wszystko w naszym życiu ułoży się jak najlepiej, że praca będzie dawać rozkosz i poczucie własnej wartości, że dzieci skończą szkołę z czerwonym paskiem, uczelnie wyższe zaś - z wyróżnieniem, a my będziemy kupować sobie nowe mieszkania, i dzieci będą kupować sobie nowe mieszkania, duże, całe czterdzieści metrów, i nikt już nie będzie musiał gnieździć się w tych przeklętych kawalerkach.

Chrapanie Koli dostrajało mnie do częstotliwości naszego budynku. Wszyscy tutaj mieli takie marzenia, a to, że my z Miszą mieliśmy inne, niczego nie zmieniało: póki tu mieszkaliśmy, musieliśmy wspierać naiwne porywy naszych sąsiadów. Nie ciążyły nam babcie ze swoimi rozkładanymi fotelami, całkiem nieźle dawaliśmy sobie radę we dwójkę (plus osiem kilogramów

czarnego kota) na dwudziestu dwóch metrach kwadratowych. Nie mieliśmy pojęcia w jaki sposób - ale mieszkali tak przez kilkadziesiąt lat, z babciami, dziadkami inwalidami, kombatantami, z bratem mamy, alkoholikiem, z bratankiem taty, narkomanem - w jaki sposób na tych dwudziestu dwóch metrach kwadratowych komuś udawało się chorować, komuś - chlać, komuś - pieprzyć i zachodzić w ciążę, a potem całych dziewięć miesięcy być ciężarną, a potem rodzić dziecko, co za szczęście! - riebionoczka położymy między papoczką i mamoczką, no ty, Igorek, nie przyduś jego, ty tak nocą kopiesz, jeszcze dziadka potrącis, a diduszka w tym samym czasie umiera i leży dobę, czy ile tam należy poleżeć martwym, na taboretach na środku dwudziestu dwóch metrów, a oni karmią siebie riebionoczka, gotują kompot, wyganiają kota, kwaszą kapustę, wyrzucają kiszoną kapustę za okno, a nasz kochany, złoty dozorca Kola zamiata ją i klnie - no, w jaki sposób, jak im się to wszystko udaje? To przecież jacyś iluzjoniści, niepoprawni romantycy, jak można ich nie kochać, tych cierpliwych, pokornych ludzi ze skrajną skłonnością do masochizmu, oni jeszcze o jakichś wyróżnieniach marzą, a po co im te dyplomy z wyróżnieniem - pod diduszkę kłaść na taboretach, żeby szpar nie było? Dyplomy - one przecież są w ogóle niepotrzebne, nie mówiąc już o...

Inną ciekawą osobliwością naszego domu był jego adres. Robotnicza 7a. Osobliwość polegała na tym, że taka ulica nie istniała. Dookoła przebiegały tylko Hłyboczycka, Łukianiwska i Olehiwska, i żadnej Robotniczej, moi drodzy robotnicy.

Nie było takiej ulicy ani na mapie, ani w pamięci komputerów korporacji taksówkarskich, ani w rzeczywistości. Nie występowała w naturze. Tak samo jak nie istniały inne budynki z adresem „Robotnicza”. Nie było budynków numer 1 i numer 2, nie było budynku numer 5 i 6, nawet budynku numer 7 nie było.

Był tylko budynek przy Robotniczej 7a. I my w nim mieszkaliśmy.

Żeby dostać się do statku widma, do desert rose, do budynku przy Robotniczej 7a, trzeba wejść po wysokich drewnianych schodach, skrzypiących, rozwalonych i krętych. Właśnie tak zawsze wyobrażałam sobie stairway to heaven. Budynek stoi na górze, jak orle gniazdo, jak niedostępny zamek feudała po brzegi nabity wyłącznie służbą i robotnikami. Stoi nad samiotkim urwiskiem, wysokim, stromym, porośniętym krzywymi drzewkami, zapaskudżonym i zasranym tak bardzo, że nigdy, przenigdy nie będzie go można doprowadzić do ładu. Jakiś miesiąc temu skraj tego urwiska - od drzewa do drzewa - ktoś odgrodził żółtą plastikową taśmą, podobną do tej, jaką w amerykańskich thrillerach policja oznacza miejsca zbrodni, a na drzewach rozwiesił kartki z napisem: „śmieci do jaru nie wyrzucać”.

Pomiędzy budynkiem a schodami stoi niebieski całodobowy kiosk, w którym sprzedają wszystko, czego tylko dusza zapagnie. Piwo, papierosy, wodę mineralną, słodycze, chipsy,

półprodukty, kukurydzę konserwową, majonez, słodką śmietankę w buteleczce z dozownikiem, rajstopy, podpaski, szampony, piankę do golenia, perfumy, karmę dla kotów i zapalki. Wszystko wymyślone po to, by nie schodzić schodami na dół i nie wchodzić nimi na górę. Jednak ludzie schodzą i wchodzi, nie mogą tak po prostu siedzieć w miejscu, w swoim cichym rajku. Schodami w górę, schodami w dół chodzą łysawi mężczyźni w szarych, zaprasowanych w kancik spodniach od garnituru i dzinsowych kurtkach. I kobiety ze schludnymi fryzurami, ale w zdartych butach. Kilkudziesięciu emerytów codziennie o mało nie umiera na zadyszkę, arytmie, wysokie ciśnienie czy po prostu z rozpaczy przed tymi nieskończonymi schodami, które - jak się zdaje - rosną im w oczach. Emeryci często się zatrzymują, łapią za poręcz i ciężko dyszą. Dyszą, żeby słyszeli to wszyscy, którzy ich mijają, żeby sprowokować każdego do mąk sumienia, żeby niczym wyrzut dyszeć na przechodniów wszechogarniającym zapachem starości. Szczególnie drażnią starych studenci Szkoły Teatralnej i Akademii Sztuk Pięknych, którzy muszą korzystać ze schodów, bo trochę wyżej, nad Robotniczą 7a, znajdują się ich akademiki. Dziewczyny z pasemkami i cieniowanymi włosami, dziewczyny w wojskowych ubraniach w panterkę i khaki, dziewczyny w ślicznych spódnicach do połowy łydki i koronkowych koszulkach; chłopcy w koronkowych koszulkach i plamistych spodniach koloru khaki, chłopcy z torbami przewieszonymi przez ramię, w śmiesznych butach, chłopcy z pasemkami i cieniowanymi włosami. Poza tym po schodach śmigają Chińczycy, malutcy i bardzo zgrabni, oni zawsze mają fryzury w najlepszym porządku, nie miewają złych fryzur, jak malutkie, gładziutkie rybki, i ubrani są zawsze w dobre ubrania dobrych młodzieżowych marek: mango, naf-naf, promod, benetton, h&m, pinko, bardzo rzadko - terranova, jeśli zdarzy im się znaleźć tam coś sympatycznego. Lubią i umieją chodzić po sklepach, robią to wesoło, ich grupki zawsze składają się z trzech dziewczyn i dwóch chłopaków, uśmiechnięci, dźwięczni, radośni, nie milkną, świergoczą w swoim pięknym chińskim języku i brzmią przy tym jak postaci z japońskich kreskówek manga.

I całe te tłumy nieodmiennie mijają kiosk, który stoi tu chyba od zawsze, i dwie ławki obok niego - ulubione miejsce emerytów, którym udało się jednak żywcem dobrnąć na górę, oraz niepokornych nastolatków, którzy rosną tu, przy Robotniczej 7a, jak na drożdżach, zapijając je piwem z niebieskiego kiosku.

Niepokorne nastolatki - to moja rana w sercu, moja słabość, moja szalona miłość. Nie - nie pociągają mnie seksualnie, przynajmniej na razie - nie. Po prostu przypominają młodszych braci. Znam ich dłonie, gesty, głosy i słowa, ich pragnienia i działania. W ich niespodziewanym okrucieństwie rozpoznaję wrażliwość i bezbronność.

Ich dystans i pochurność to tylko pancierz, pod którym kryje się cały stos wymiętych, zalanych chłopięcym nasieniem i męskimi łzami pornograficznych obrazków.

Oni żyją z tymi dobrymi, uśmiechniętymi blondynkami z fotografii, z tymi Japonkami, z tymi zagubionymi grubaskami, które z jakichś przyczyn zawsze mają pryszcze na tyłkach. Rozmawiają z nimi, nadają im imiona; Elis, Britney, Michelle, Nicole i Audrey gościnnie rozkładają nogi na ich spotkanie, nigdy się nie wyśmiewają, nigdy nie przeszkadzają, nigdy nie próbują robić uwag. Wierne błyszczące przyjaciółki potajemnych chłopięcych rozrywek. W przerwie między przepisywaniem notatek a połykaniem obiadu ugotowanego przez mamę. Właśnie dlatego nie mogę, po prostu nie mogę złościć się na nich, kiedy - pijani, głodni i śmierdzący swoim przenikliwym potem i nieświeżymi skarpetkami - na klatce za ścianą bełkoczą coś monotonicznie i niewyraźnie, a jednak głośno. Ich jeszcze nie tak dawno zmutowane głosy niezdarnie potykają się o intonacje i emocje i ciągle wpadają w wysokie tony.

Moja poduszka dotyka ściany, którą oni z drugiej strony podpierają plecami. Staram się zasnąć i nawet od czasu do czasu zapadam w sen, ale oni zapadają w mój sen razem ze mną i nie mogę pozbyć się ich nosowego bełkotu, brzęku pustych butelek po piwie, które tak lubią toczyć po betonowej podłodze klatki - dzieci, dzieci, malutkie dzieci, przydałoby się im lego do zabawy, plastikowe kręgle. Idą sobie co pół godziny i za każdym razem mam nadzieję, że odchodzą na dobre. Jednak po kilku minutach brzęk i łupanie wracają - to była tylko wyprawa po piwo i chipsy (jeśli zostały pieniądze) do niebieskiego kiosku. Bekają i debilnie rechocą, palą papierosy i trawę i gruzlicznie kaszlą, głośno charczą i spluwają, łagodnie klną na siebie i pieszczotliwie się między sobą nawalają. Słyszę głucho uderzenia czymś ciężkim o przeciwległą ścianę i cieszę się w duszy, że może zabiją kogoś ze swoich przyjaciół i wtedy sąsiedzi wezwą milicję, i tamci trafią do poprawczaka, i nie będą przychodzić tu już co noc, żeby przez długie godziny słuchać z telefonów nowych polifonicznych melodyjek, które ściągnęli poprzedniego dnia w kawiarence internetowej, i nie będą leniwie grać w piłkę pustą paczką po papierosach, siedząc naprzeciwko siebie na gazetach, opierając się plecami o ścianę wąskiego i długiego korytarza. I nie będę więcej słyszeć tych nedorobionych, naiwnych opowieści, tych szczerych rozmów, od których po prostu serce mi krwawi, a efekt wzmocniony jest niezdarnością w doborze słów i porwanymi zdaniami. Opowieści o czyjejś dziewięćdziesięcioletniej babci na wsi, do której wszyscy razem muszą koniecznie pojechać, ona do dziś jak pierdolnie sto gram winka, to zaczyna piosenki śpiewać, te tego, ludowe, tak zajebiście, że normalnie wymiękam, tak, ona jeszcze za tych no, za carów żyła, w czasie wojny sama ziemiankę wykopała swaimi rękami dwa metry w dół, cztery metry długości i metr szerokości, nie kurwa, półtora metra szerokości i chuj.

I jak ja po czymś takim mogę życzyć im śmierci albo poprawczaka, nie jestem z żelaza, moje siostrzane serce nie jest z kamienia, jestem gotowa wynieść im na korytarz ciepłe koce i poduszki, i kilkadziesiąt wielkich kanapek z kielbasą i serem, i plastry, i jodynę, i bandaże, żeby

opatrzyć tego, którego głową tłukli o ścianę, i dla każdego po czystej parze skarpetek, i wszystko to nienachalnie i bez podlizywania się, w miarę możliwości niepostrzeżenie, żeby nie narazić się na rechot i agresję. Przecież rozumiem - gdzie mają siedzieć, na dworze mróz, śnieg i wiatr, w domu dziadek inwalida i mamusia alkoholiczka z kochankiem i jego cioteczną siostrą, i nawet nie ma gdzie spokojnie pobyc z błyszczącą Elis, Britney, Michelle, Nicole i Audrey, a chłopcy są tacy samotni, tacy wrażliwi i tak im się chce, maleńkim wilczątkom, ciepła, dobroci i troski.

A ja, surowa i sprawiedliwa siostra, staram się zasnąć na parterze budynku przy Robotniczej 7a, zakopując głowę pod poduszką, dusząc się i przetaczając w ustach kamyczek albo pestkę: w prawo - poprawczak, w lewo - kanapki i czyste skarpetki.

Jakoś późno wieczorem, już prawie w nocy, zastukał do nas milicjant. Był niski, okrągły i zabawny. Obrzucił spojrzeniem nasze zagracone i jawnie nie posprzątane mieszkanie, krytycznym wzrokiem obejrzał mnie i Miszę, zajrzał do łazienki, pogłaskał kota, otworzył lodówkę, burcząc, że niby już dawno pora ją rozmrozić.

Potem wbiwszy spojrzenie jednocześnie w nas oboje (takie spojrzenie zazwyczaj nazywa się przenikliwym), ze wszystkich sił starał się dać nam do zrozumienia, że przejrzał nas na wylot, i zapytał, czy nie zauważyliśmy niczego dziwnego wczoraj w ciągu dnia, w nocy albo wieczorem, i co my za jedni, i gdzie byliśmy we wspomnianym czasie.

Powiedzieliśmy, że nie, nie widzieliśmy, że byliśmy w domu, że jesteśmy dziennikarzami (bo to brzmi i skromnie, i prawdopodobnie), a wtedy Misza nie wytrzymał i zapytał, co się stało, bo on lubi wchodzić w interakcje z postronnymi.

Milicjant jakby tylko czekał na to pytanie.

- Tutaj u was - zaczął radośnie - na trzecim piętrze ktoś zarznął człowieka. Urodzony w pięćdziesiątym pierwszym.

Jego sąsiad, z którym mieszkał, wrócił się dzisiaj rano z dyżurstwa i zastał taki widok: leży goły, jak go matka rodziła, na kanapie, gardło o tak, o - i milicjant, nie zważając na przesady, zaprezentował na sobie szerokim gestem, gdzie i jak dokładnie podcięte było gardło. - Nóż kuchenny znowuż obok się wala, krwi po kolana, a jego pies, on takiego wielkiego psa miał, collie chyba się ta rasa nazywa, no i ten pies na kocu leży, mordę na kanapie położył i skamle. I lży takie po mordzie mu ciekną, jak ziarna grochu. Wyobrażacie sobie, a mówią, że bydlę duszy nie ma! A ono lepiej od każdego człowieka rozumie co i jak!

Milicjant westchnął głośno pełną piersią, starając się zademonstrować, jaki jest ludzki i zmęczony tymi wszystkimi potwornymi historiami. Ciarki mi przeszły po plecach, więc wzięłam na ręce kota, ciężki i niezadowolony z mojego porwywu, znosił to jednak w milczeniu, czując, że teraz bardzo potrzebuję jego pomocy, że jestem przerażona i że mi niedobrze, i dlatego muszę

przytulić do policzka jego czarny puszysty grzbiet i odetchnąć jego zapachem. „Bydlę lepiej od każdego człowieka rozumie co i jak” - pomyślałam.

Tymczasem milicjant, zadowolony z mojego przestachu, znów zaczął podejrzliwie oglądać pajęczyny pod sufitem i nie wyczyszczone buty Miszy na progu.

Misza, który zawsze z radością pomoże i wesprze moralnie każdego - czy to milicjanta, czy prostego obywatela, dozorcę czy wysokiego urzędnika - odkaszlnął i powiedział swoim niskim zmartwionym głosem: „Robotę to pan ma...” - i dodał do intonacji jeszcze odrobinę zdziwienia, zachwytu i szacunku. A potem z zainteresowaniem i smutkiem zapytał: „No i co, są już jakieś wersje?”.

Milicjant chrząknął, wieloznacznie błysnął oczami i chytrze się uśmiechnął. Misza wyraźnie mu się podobał.

W sensie - jako rozmówca, bo prawidłowo reagował, żywo i logicznie. Ja też zresztą nie zostawałam w tyle, przyciskając do piersi zdrętwiałymi rękami osiem kilogramów rozdrażnionego kota i trzepocząc rzęsami z przestachem.

- No, co ja mogę powiedzieć - zaczął milicjant, niby niechętnie, niby zmuszony. - Wersje mamy, już tu od samego rana pełną parą rabotajem, wszystkie tam już odciski pozdejnowaliśmy, dowody rzeczowe mamy, przesłuchujemy sąsiadów, kto co widział, kto co słyszał, zeznania spisujemy. Rabotajem bud zdorow. Wersji mamy nieskolko, no, ja najbardziej wierzę w jedną. Tu nawet nie ma co się zastanawiać - i mówiąc to, malutki pulchny milicjant zaczął jaskrawo świecić, świecił w naszym ciasnym korytarzyku o powierzchni pół metra kwadratowego. Świeciła jego okrągła twarz, na której nagle pojawił się pot samozadowolenia i dumy, z uszu, nozdrzy i oczu były wąskie i długie smugi światła, świeciła krótka, silna szyja, świeciły czarne pory skóry i łopatkowate paznokcie krótkich palców szerokich dłoni, i szorstkie czarne włoski na palczkach tych krótkich palców, blask przenikał przez kurz na jego starych rozdeptanych półbutach, a jak błyszczał jego mundur, jak świeciły guziki, jak migotały pagony i rozmaite naszywki! Rozkoszowaliśmy się nim z Miszą jak ludzie, którzy, obudziwszy się pewnego wiosennego ranka, nagle zobaczyli za oknem rozkwitłą w nocy jabłoń. Przez to dziewicze szczęście, którym napełniała się jego twarz, milicjant przypominał mi narzeczoną, która myśli, że stoi na progu wszystkich tajemnic świata.

- Da - rzucił milicjant, hojnie obdarowując nas swą łaską - rozplenili się, kanieszna, ostatnio.

Nie rozumieliśmy, o czym mówi. Ale jakoś nie wypadało zapytać. Nawet Misza poczuł, że nie należy się teraz wtrącać, że wypowiedziane przez nas słowo może zrujnować czary, że milicjant może wyślizgnąć się nam z rąk niczym rybeńki (kiedyś, ubrana w maleńkie niebiesko-czerwono-zielone kąpielówki, łapałam te niemal niewidzialne rybki, godzinami siedząc po kostki

w Bystrzycy Sołotwińskiej, składając dłonie w łódeczkę; kamyczki wbijały mi się w podeszwy stóp, ręce drętwiały tak jak teraz przez kota, ale rybeńki jednak przyplływały i czasem udawało mi się wyłowić je na powierzchnię i wrzucić do trzylitrowego słoika z wodą, i zanieść do domu, gdzie umierały - następnego dnia znajdowałam w słoiku tylko śmierdzącą breję z chleba i śliczne białe szkieleciki, takie wzruszające - zdaje się, że same rybeńki były bardziej niewidzialne niż ich szkieleciki).

- Taa... - kontynuował milicjant, uznając, że przetrzymaliśmy próbę - wszędzie ich pełno: w telewizorze, na ulicy, w restauracjach - (Wyobraziłam sobie milicjanta w restauracji i zrobiło mi się smutno). - Ot, kiedy wszedłem tam, do tego pokoju, zobaczyłem tego Mycyka, urodzony w pięćdziesiątym pierwszym, na kanapie, we krwi, z poderżniętym gardłem, jak matka rodziła, od razu zrozumiałem, że to pedzio. Jeszcze pies ten, rasy collie... - dodał takim tonem, jakby to był niepodważalny dowód homoseksualizmu.

- Tym bardziej że mieszkał z przyjacielem. Afanasjew M. D., urodzony w siedemdziesiątym czwartym, on jak raz na dyżurście tej nocy był, on w szpitalu rabotaje, o tak, o, jako medbrat, pielęgniarzem jest czy jakimś laborantem... - milicjant się zamyślił i spojrzał gdzieś w bok. Następnie potrząsnął głową i szybko dokończył (jego głos nagle stał się zimny i obcy) - Ten Mycyk, wirowatno, skorzystał z okazji, że jego chłopak na dyżurście, i sprowadził sobie chłopaczka z ulicy, a potem nie chciał mu zapłacić, a oni to przecież narkomany, zaraza, więc tamten długo nie myśląc, złapał za nóż kuchenny i po gardle, raz dwa, a potem się przestraszył i uciekł, nawet nie ukradł niczego... Taa, a Afanasjew rano wraca z dyżurstwa, a tam taki obrazek. I ten pies skamle, i mordę o tak położył obok... Pedaty pieprzone.

Milicjant jakoś gwałtownie machnął ręką, przez jego twarz przebiegł grymas bólu, blask nie bił już nawet od pagonów. W milczeniu nacisnął kłamekę, otworzył drzwi i poszedł sobie, burcząc pod nosem: „Jeśli coś zobaczycie, zwróćcie się do dzielnicowego”.

I zniknął. A nam zostawił wielką, bardzo wielką noc, przestraszonych sąsiadów, którzy siedzieli w swoich pudełkach obok i ponad nami, w jednym z tych pudełek, trzecim od dołu, ale nie nad nami, gwizdały teraz chyba przeciągi, bo Afanasjew nie był rzecz jasna w stanie nocować w mieszkaniu zmarłego i wprosił się do znajomych, ale zapomniał zamknąć lufcik i teraz samotna biała firanka trzepotała niczym jakiś rzadki motyl czy błędna dusza złapana w pułapkę. I wszystko umazane było krwią, to pewne, kanapa i ściany, i podłoga, bo kto by tam sprzątnął. I był tam jeszcze wielki samotny pies z wilgotnymi oczami, z wielkimi smutnymi oczami, który nie mógł zrozumieć, nijak nie mógł pojąć, i taki był wystraszony, źle mu było i tęsknił.

Człapał z pokoju do korytarza, z korytarza do łazienki, stamtąd do kuchni, głośno szurając po zimnej, dźwięcznej podłodze wielkimi łapami z okrągłymi poduszczkami i czarnymi silnymi

pazurami, nie był na spacerze, chciał na dwór, chciał jeść i pić, ale najgorszy był ten przeciąg, który gwizdał i wył w pokoju, i ta cisza wokół, i ta ciemność, i zamknięte drzwi, i nie było z nim nikogo, i prześladował go słodki, nieznośny zapach krwi, podchodził do kanapy, i długo się w nią wwąchiwał, pachniało tam panem - panem, ale jakimś innym... Pies kilka razy polizał ciemną plamę końcem języka, szeroko rozwierając nozdrza, węsząc, a potem gwałtownie odwrócił głowę do okna i nastawił uszu.

W jego wilgotnych smutnych oczach podwójnie odbiła się biała trzepocząca firanka. I pies zaczął wyć, wyć głośno, przeciągle i ochryple, by zagłuszyć ten przeciąg, mrok i ciszę, niepokój i zapach ciemnej plamy na kanapie.

Jeszcze kilka tygodni później wchodziłam do łazienki i słuchałam jego wycia. W łazience słyhać było z jakiegoś powodu najlepiej. Pewnie dzięki (czy raczej z winy) wentylacji. I coraz bardziej odkręcałam kran z ciepłą wodą, coraz mocniej, aż do końca, ale woda i tak była chłodna, trzęsłam się z zimna, nie mogłam się rozgrzać - w starych, nigdy nieremontowanych mieszkaniach z pleśnią między kaflami, z girlandami złuszczonego tynku i żółtymi plamami potopów na sufitach niemal nie da się rozgrzać.

Misza nie słyszał psa. Naśmiewał się ze mnie, usiłując mnie w ten sposób uspokoić. A ja tymczasem obserwowałam codziennie, jak Afanasjew wyprowadzał psa na podwórko. Nie wiem, co się z nimi później stało - zostali tam czy Afanasjew sprzedał mieszkanie, i co zrobił z psem.

Już ich nie widuję.

I to nie był żaden collie. To był kaukaz. Milicjanci w ogóle nie znają się na rasach.

Od czasu do czasu budzę się w nocy i słyszę, jak na korytarzu odbywają się jakieś porachunki, do kogoś dobija się pijany były zięć i grozi, i błaga, i płacze, i senna eksteściowa obiecuje mu, że wezwie milicję, i mówi, że Lienoczka już tu nie mieszka, a on mówi, że Lienoczka mu niepotrzebna, że jemu potrzebna jest ona, Swietłana Pawłowna, pani mnie przecież zawsze rozumiała, pani tak ze mną nie postąpi, przecież to także mój dom, pani dla mnie jest jak matka, najbliższy człowiek, błagam panią, ubóstwiam panią. A do tego parka alkoholików z drugiego końca korytarza siedzi od kilku nocy pod swoimi drzwiami, bo któreś z nich zgubiło klucze. Już ją pobił, a ona w tym czasie rechotała zachryplym, wronim śmiechem. A teraz siedzą sobie spokojniutko na betonie pod drzwiami, przytulając się; ona położyła mu głowę na kolanach, a on jedną ręką głaszcze ją po tłustych, szarych włosach, na których widać równe bruzdy po grzebieniu, a drugą ręką pieści pod ubraniem, pod spódnicą, gdzieś tam w majtkach, jeśli ona w ogóle nosi majtki, czy w rajtuzach, czy w rajstopach. I śmieją się do siebie i burczą jakieś słodkie miłosne słowa, i żartują, i wyobrażają sobie, jak będą mieszkać tu, na korytarzu, jak będą sobie

spać na wycieracze pod drzwiami, zapraszać gości, i pieprzyć też się tu będą. No, zupełnie jak my z Miszą na naszym materacu.

Z lewej myje się samotna babka, wypuszczając z rąk różne ciężkie przedmioty. I kot co wieczór o tej samej godzinie chodzi do piasku. Z prawej włączają muzykę, trzy piosenki jedna po drugiej, kilka godzin ciurkiem: „Bez obietnic i przebaczeń, wszystko stało sieee samo z siebieee, słowa nabrały nowych znaczeń, czas nie zmienił mnie ani ciebie...”, „Złoci się róża herbaciana, między nami drzwi kryształowe, między nami cisza a-a...”, „Złote gwiazdki duszę moją radują, a to nie deszcz, to nie deszcz, łzy z nieba kapiają, gwiazdki na ramieniu wydzierane, i ani kropli złota, ani kropli złota...”.

W spokojne noce nad nami miarowo chrapie Kola. W niespokojne Kola krzyczy, rzuca meblami, rzyga w łazience, przewraca się na nieposprzątane naczynia i ryczy. Czasami Kola kłóci się z żoną. Nienawidzi jej. Kiedy babka z drugiego piętra załała Kolę i nas, Kola ucieszył się, że uda mu się wyrwać od niej dwieście hrywien na wódkę, i przyszedł powiadomić o tym Miszę: „Panie Michale, panie Michale, ona myśli, że jest taka mądra, ona, widzi pan, ma wyższe wykształcenie, ona, widzi pan, inteligentka. A ja jej na to: ty, inteligentka, nie zapominaj, że w mieszkaniu dozorca mieszka! W którym mieszkaniu mieszka? W dozorczy!

No to milcz! A ona, panie Michale, taka pyskata, jednym słowem - suka”.

Żona Koli ma syna, którego Misza bardzo lubi, Misza mówi na niego anioł. Anioł ma dziewięć lat i ja go nienawidzę. Pewnego razu, kiedy Misza akurat dokądś pojechał, ten anioł dwa dni z rzędu rzucał mi pod okna petardy, wybuchały jedna po drugiej z dwusekundowym interwałem - liczyłam. Miliony, miliony petard - to było jakieś petardowe piekło, całe mieszkanie prześmierdło siarką, wszystkie moje ubrania, włosy, powąchałam kota - on też śmierdział siarką. „Toż to diabelskie nasienie” - powiedział potem Kola.

Od babki, która nas załała, nie udało się wyrwać po dwieście hrywien. Misza sam ten temat zakończył. Babka, sroga i wyniosła, wcisnęła się do naszego mieszkańca, obrzuciła je podejrzliwym spojrzeniem, popatrzyła na mokre plamy i powiedziała: „Nu i szto wy priedłagajecie?”. Misza wyraźnie się przestraszył, nie mówiąc już o mnie - ja w ogóle wcisnęłam się w najdalszy kąt szafy, zakopałam w kupie łachów i drżałam jak liść osiki, marząc o tym, by stać się osikowym kołkiem i wbić się babce w pierś. „A co pani proponuje?” - Misza przynajmniej starał się udawać odważnego i bronił naszych praw, zuch. „Ha ha ha - zaśmiała się z jakiegoś powodu babka. - Nu szto ja priedłagaju? Przychodzi mój czielawiek i wam maluje. A ja mu płacę. Tutaj u was niemalowane już milion lat. To zalanie to dla was sama korzyść. Nu, da ładna”. I poszła.

Kola zastukał parę minut później, już bez entuzjazmu, nie to co godzinę temu, kiedy aż podskakiwał z radości.

A teraz wchodzi taki blady, że aż szary. Już nie nazywa Miszy „panem Michałem”, już się na niego obraził - no jasne, ja też bym się obraziła, stracić tak bez najmniejszego powodu dwieście hrywien - i mówi: „Taa, to jest suka taka, cała spółdzielnia ją zna, chodzi, awantury robi z powodem i bez powodu, wiedźma urodzona, swołocz, inteligentka niedorobiona, jednym słowem - suka, suka, nie pogadasz”.

I rzeczywiście, suka. Następnego dnia bez uprzedzenia o siódmej rano pojawia się ten jej „czielawiek” i mówi:

„Będę u was malować, Tamara Wasilijewna mnie przysłała”.

Zazwyczaj zaczynamy się z Miszą budzić dopiero po południu. Siódma rano to dla nas wczesna, głucha noc. „Czielawiek” wchodzi do łazienki, spędza w niej równo piętnaście minut, odwraca się, nie mówi ani słowa i spada. Wchodzę do łazienki - a tam wszystko pokryte kawałkami zdrapanego tynku. Absolutnie wszystko. Wanna, muszla klozetowa, podłoga, krany, półki, wszystko co na półkach, cała moja czystość, cała moja higiena, szampony, żel pod prysznic, pasta do zębów, szczoteczki. A ja przecież jestem sparaliżowana - dwadzieścia po siódmej i chce mi się siusiu, a jak tu posiusiasz, tu nawet stanąć na podłodze się nie da, a do klozetu w ogóle nie można się dostać. Jednym słowem - suka.

Inteligentka niedorobiona. Później cały dzień po tym „czielawieku” nie prostowałam pleców, sprzątałam i płakałam, płakałam, gorzko płakałam przez tę całą niesprawiedliwość, i moje łzy spadały na kawałki białego tynku.

Tydzień później pijani bezdomni weszli do piwnicy, usadowili się w jakichś łachmanach na starym materacu i się raczyli - pogadali sobie, postękali z zadowoleniem, pozacierali dłonie, porozcierali zmarznięte kończyny, zapalili papierosa i zasnęli. W środku nocy nasze mieszkanie na parterze napełniło się gęstym, czarnym dymem. Misza ubrał się i wyszedł na klatkę. Były już tam nastolatki i kobieta z kotem z mieszkania po lewej, ludzie z mieszkania po prawej, parka alkoholików, którzy w końcu znaleźli klucze, Swietłana Pawłowna z byłym zięciem, kilku emerytów. Wszyscy wyszli na dwór i czekali na strażaków. Stało tam już także dwóch sennych, okopconych bezdomnych, których obudził jeden z naszych sąsiadów, hydraulik. Miał klucz do piwnicy, zszedł do niej, a tam na płonącym materacu śpi sobie spokojnie dwoje bezdomnych i uśmiecha się przez sen, i mlaska.

Misza zszedł z nim raz jeszcze do piwnicy, a ja i kot zostaliśmy w domu, w dymie. Kaszlałam, a kot prychał. Na płucach i krtani osiadała sadza. Kot siedział na środku pokoju, robił

maksymalnie okrągłe oczy i spoglądał to na drzwi, to na okno, z którego walił dym. Najlepiej było widać ten dym pod malutką lampką przyczepioną do regału na książki.

Dym pięknie krążył w oświetlonym powietrzu, skręcał się w ulotne węzły i obrazy, krążył i kołysał się płynnie. Póleżałam na materacu przykryta kocem, opierając się plecami o poduszkę, i starałam się czytać. Moje oczy też były chyba maksymalnie okrągłe. Ale i ja, i kot staraliśmy się udawać, że nic szczególnego się nie dzieje. Dobrze przynajmniej, że bezdomni się nie spalili. Nie chciałoby mi się wyobrażać sobie ich poskręcanych, zwęglonych ciał na spoielonym materacu w piwnicy, zaraz pod naszą podłogą.

A zaczęło się wszystko właśnie tak (teraz już naprawdę).

Pewnej głuchej zimowej nocy, kiedy paliło się jeszcze u nas światło, z korytarza za ścianą dało się słyszeć ukradkowe kroki. Oczywiście nie zwróciliśmy na nie uwagi - nierzadko ktoś wraca o trzeciej w nocy do budynku przy Robotniczej 7a.

Kroki ucichły, a wtedy gdzieś za ścianą usłyszeliśmy skrobanie, pstryk - i zgasło nam światło. Znaleźliśmy się w ciemności, tylko laptop Miszy świecił bladobłękitnie.

Przez chwilę siedzieliśmy bez ruchu i milczeliśmy.

- A to co? - spytał w końcu Misza.

- Ktoś wyłączył nam korki - domyśliłam się.

Misza wstał i spojrzał przez wizjer. Na klatce świeciła żarówka. Przez judasza Misza zobaczył, jak obok naszych drzwi ostrożnie prześlizguje się mężczyzna. Ubrany był w czarną puchową kurtkę i czarną czapkę nasuniętą na krzaczaste brwi. Gdy na sekundę zatrzymał się przed wizjerem, spojrzał Miszy w oko, nawet się tego nie domyślając. „Ma wielkie czarne wąsy” - szepnął Misza. Usłyszałam, jak kroki oddalają się cicho od naszego mieszkania w kierunku wyjścia. Skrzypnęły drzwi od klatki. Zapadła cisza, którą razem z Miszą zakłóciliśmy przyśpieszonym biciem serca i głośnymi oddechami.

- Cholera - powiedział Misza, ubrał się i poszedł do kuchni po nóż.

Wybrał wielki, do mięsa, z szerokim ostrzem, i wetknął go za pasek dżinsów, przykrywając od góry podkoszulkiem.

Tak jakby całe życie tylko tym się zajmował - noszeniem za paskiem kuchennego noża.

- Oż, kurwa - powiedział Misza i przekręcił klucz w zamku.

- Nie, nie idź - zawisłam mu na ramieniu.

Jakoś nie chciałam słyszeć tupotu nóg, krzyków, uderzeń, jakoś nie chciałam widzieć, jak Misza szamocze się na klatce z niewidocznym wrogiem (albo i niewidocznymi - nie mogliśmy mieć pewności, że wąsacz był sam), nie chciałam, żeby ktoś wdzierał się do naszego mieszkania, żeby Misza wyciągał nóż i kogoś nim dźgał - tym nożem kroiliśmy mięso dla siebie i kota, nie był

przeznaczony do tego, żeby kroić nim mięso jakiegoś wścizy kierującego się niezrozumiałymi motywami. Poza tym oni też (oni - bo jaki złoczyńca odważy się samotnie wdać w tak niepewną awanturę, stawać do walki z nieznanymi ofiarami, narażać się na bezsensowne niebezpieczeństwo, jeśli za plecami nie ma dwóch, trzech silnych, doświadczonych i krwiożerczych towarzyszy, którzy będą go ubezpieczać i nie dopuszczą do klęski?) bez wątpienia dysponowali całym arsenałem broni - noże, kindżały, bumerangi, nunczako, łuki z trującymi strzałami i malutkie strzały do dmuchawki, nasączone sokiem z kurary, kusze, rewolwery, strzelby i strzykawki napełnione narkotykami.

Dlatego wciąż wisiałam na ramieniu Miszy, uniemożliwiając mu otwarcie drzwi. Misza się wyrywał, jednak ponieważ starał się nie zakłócać ciszy i nie płoszyć złoczyńców, nie mógł działać gwałtownie i zdecydowanie. Korzystałam z tego i wprawnie nie dawałam mu dotknąć klamki.

Nagle znowu skrzypnęły drzwi od klatki. Kroki przetupwały obok nas.

- To on - oznajmił Misza, przyłgnawszy do wizjera. I dodał - Wielki jest! - sądząc z jego głosu, nie miał już ochoty krzyżować z nim miecza.

Znów skrobanie, pstryk - i zrobiło się jasno. Mężczyzna na palcach skierował się do wyjścia.

- No i co to ma znaczyć? - spytałam.

Staliśmy z Miszą przy drzwiach naszego oświetlonego mieszkania i patrzyliśmy na siebie. Minuta, dwie, trzy. Po prostu staliśmy i patrzyliśmy na siebie. Żadnej wiarygodnej wersji zdarzeń, która chociaż trochę wyjaśniałaby to wszystko, żadnej logicznej odpowiedzi.

I wtedy jakby mnie prąd poraził.

- Posłuchaj - krzyknęłam - on patrzy w nasze okna! Stoi teraz naprzeciwko naszych okien i zagłada do środka!

- Zgaś światło - powiedział Misza, podchodząc do kuchennego okna. Znowu zanurzyliśmy się w ciemności, zamknęłam nawet laptopa.

Wszedłszy na niewielką kuchenną ławę, z niej - na kaloryfer, a stamtąd - na parapet, Misza wdrapał się na poziom lufcika. Z niego zobaczył właśnie to:

Głucha zimowa noc była jasna od śniegu. Bez większego wysiłku można było dojrzeć wszystko jak na dłoni, najmniejsze szczegóły: najdrobniejsze igły drzew, kłódki na żelaznych drzwiach do garaży, niedopałki wokół pni. Pod brzozą, dokładnie naprzeciwko okna naszego pokoju, na niewielkiej, ale tak przydatnej do tego celu górcie stał barczysty gość w czarnej puchowej kurtce i czarnej czapce nasuniętej na krzaczaste brwi. Połowa jego twarzy skrywała się w gęstych, ciemnych wusach. Wyglądał na typowego proletariusza - niezdarly, powolny, z tępym i zagubionym spojrzeniem.

Uniósł trochę twarz i nie mrugając, gapił się w niewielką szparę między firankami w naszym oknie. Jednak tępotę i zagubienie wypierały teraz z jego spojrzenia emocje tak nienaturalne i niezwykle dla mięśni jego twarzy, które już od urodzenia uczone były radzić sobie z zupełnie innymi zadaniami i wściekały się, głupiały i wariowały z napięcia, nie rozumiejąc, co dzieje się z ich panem i co to za niepojęte impulsy przesyła im to zezwierzęcone podwzgórze.

Stał pod brzozą pośród białych śniegów, zanurzając się spojrzeniem w szparę między firankami - w tym spojrzeniu odbijało się coś na kształt fanatycznej, religijnej namiętności. Tak jakby objawiła mu się właśnie Maryja Dziewica z maleńkim Jezuskiem na ręku, który uśmiecha się, gaworząc po dziecięcemu, i wyciąga do niego pulchne rączki z dołkami na boskich łokciach. Tak jakby niespodziewanie i przypadkowo znalazł okno do raju.

Na jego wysuszonych, pooranych zmarszczkami policzkach Misza zauważył wilgotne ślady łez. Ślady ginęły w wąsach. Naprawdę - to była noc, ale przecież mówię wam: śnieg rozjaśniał wszystko lepiej niż słońce.

Misza gwałtownie wystawił głowę przez lufcik i zawołał:

- CHUJUKURWAPIERDOLONY SAM STĄD PÓJDZIESZ CZY CI KURWACHUJUPIERDOLONY POMÓC?

Mężczyzna aż podskoczył ze strachu, poślizgnął się na ubitym przez siebie samego śniegu, mało nie upadł, ale utrzymał równowagę, spojrzał wybałuszonymi oczami w lufcik i zdławionym głosem zapytał:

- Co?

- Co-co! - przedrzeźniał go Misza, pałając słusznym gniewem. - Ja cię, kurwa, zapamiętałem! Mogę cię opisać!

Już wzywam milicję! Łazisz tu, w okna ludziom, kurwa, po nocy zaglądasz! Mieszkanie obserwujesz?

- Nie zaglądam... - kwilił drżącym głosem mężczyzna.

Ogarnęła go słabość, ugięły się pod nim kolana i coś kłuło go w piersi.

- Nie zaglądam w okna... - powtórzył prawie szeptem, żałośnie i bezsilnie machnąwszy wielkimi, spracowanymi dłońmi. Jego ręce były gęsto pokryte twardymi, popękkanymi odciskami.

Zachowywał się jak uczeń z podstawówki, któremu nauczycielka na pierwszej w życiu klasówce zabrała ściągawkę.

„Nie ściągalem” - bełkocze uczeń, chociaż wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu i wszyscy wokół widzieli, jak ściągał, i nauczycielka to widziała, i w jego zeszytcie wszystko jest słowo w słowo tak samo, jak na świstku papieru skonfiskowanym przez nauczycielkę. Ale co najważniejsze on sam wie, że ściągał i że jest to dla wszystkich oczywiste, i że to marne kłamstwo

nie uratuje go ani nie odmieni jego losu. Jednak wciąż powtarza jak ktoś niespełna rozumu: „Nie ściągałem, nie ściągałem, nie ściągałem”, i staje się przez to coraz bardziej żaloszny, jeszcze bardziej odkrywa swoje czułe miejsca.

- Nie zaglądam w okna - niemal szeptem powtórzył mężczyzna, wepchnął dłonie w kieszenie kurtki, odwrócił się i pobiegł precz. Jego plecy były bezradnie zgarbione, głowa pochylona do piersi, a oczy zamknięte.

Trudno mu się chyba biegło: z rękami w kieszeniach i zamkniętymi oczami. Misza wymyślił, żeby nazywać go „Elektryk Edward”.

Misza wymyślił, żeby nazywać go „Elektryk Edward”. Ale to stało się już następnego dnia, kiedy na dworze było jasno i spokojnie, za ścianami naszego mieszkania krzatali się przyjaźni sąsiedzi, a my wreszcie znów czuliśmy się bezpiecznie. Chociaż nie na długo.

Wtedy w nocy, kiedy nocny mężczyzna rozpląnął się za rogiem budynku, po prostu nie wiedzieliśmy, co myśleć.

- Wszystko w porządku - mówił Misza, po raz setny sprawdzając zamki w drzwiach. - Wszystko w porządku, nastraszyłem go.

- Pewnie, wszystko w porządku - zgadzałam się, nasłuchując, czy śnieg za oknem czasem nie skrzypi. - On teraz wie, że my wiemy, więcej się nie potknie.

- Tym bardziej że powiedziałem, że mogę go opisać. Misza znów wystawił głowę przez lufcik.

- I powiedziałaś, że wzywamy milicję - poparłam go, przyciskając ucho do drzwi wejściowych.

Niebawem ostatecznie zgasiliśmy światło i położyliśmy się do łóżka. Jednak nie mogliśmy zasnąć. Nijak nie udawało mi się poskromić głupawego drżenia. Ciągle chciało mi się siku. Kiedy tylko wracałam z łazienki, od razu znów zaczynało mi się chcieć.

- To wszystko z nerwów - powiedział Misza. - Idę zapalić.

Paliliśmy w ciemności i znów wracaliśmy do pokoju.

- Niewykluczone, że gdybyś jednak wyszedł, bylibyśmy teraz martwi - powiedziałam.

- Niewykluczone - powiedział Misza. - Ale przecież miałem nóż. Chociaż nie sądzę, żeby on chciał nas zabić.

Misza skłaniał się raczej ku teorii, że miał to być rabunek. Z napięciem zastanawialiśmy się nad planami nocnego mężczyzny. Nie mogliśmy połączyć faktów. Najwyraźniej czegoś nie wiedzieliśmy.

Zresztą niczego nie wiedzieliśmy, jeśli mam być szczerą.

Dlaczego wyłączył światło? Żeby nas przestraszyć? Zbić z pantałyku? Wyciągnąć z mieszkania? Tak, to najprędzej.

Być może rozumował tak: człowiek senny i zaspany szykuje się do snu. Raptem gaśnie mu światło. Żeby sprawdzić, co się stało, senny i zmęczony człowiek, niczego nie podejrzewając, otwiera drzwi, wychodzi na korytarz, podchodzi do skrzynki - i wtedy...

I co wtedy? Z tego, co wiedzieliśmy, nocny mężczyzna, pstryknąwszy wyłącznikiem korka, wyszedł z klatki.

Między drzwiami wejściowymi a naszym mieszkaniem jest długaśny korytarz. Nie przypominało to błyskotliwego planu: chociaż człowiek wychodzi ze swojego mieszkania senny i zmęczony i tak przecież sto razy zdąży schować się w domu, zanim złoczyńca, który zamierza na niego napaść, pokona dzielącą ich odległość.

I nawet jeśli człowiek jest do tego stopnia senny i zmęczony, że nie zdąży tego zrobić, nawet jeśli będzie po prostu stać przed skrzynką z bezpiecznikami oraz sennym i zmęczonym wzrokiem, nie zdobywając się na to, żeby coś dostrzec, będzie patrzeć, jak gościu w czarnej puchówce i nasuniętej na brwi czapce najpierw skrzypi drzwiami od klatki, a potem pędzi do niego (z nożem w rękę? Z pistoletem? Z wielkimi, śmiertcionośnymi pięściami? Ze współnikiem? Z kilkoma współnikami?) - co wtedy?

A może współnicy chowają się po drugiej stronie korytarza - za skrzynką, gdzieś przy drabince pożarowej? Ale w takim razie dlaczego słyszeliśmy kroki tylko jednego człowieka? Czyżby opanowali jakiś specjalny jednoczesny chód?

Czy współnicy umieją stapać zupełnie bezszelestnie? I dlaczego nie widzieliśmy nawet cienia kogoś innego? I dlaczego inny nie rzuca cienia? Nie mogliśmy odpowiedzieć na te wszystkie pytania. A mimo to dalej się zastanawialiśmy.

Okej, on (albo oni) napadają na ofiarę. Po co? Po prostu żeby zabić? Pobić? Na klatce? Ale to jest zbyt ryzykowne dookoła tylu sąsiadów. Oczywiście, mało prawdopodobne, by któryś z nich sam przyszedł z pomocą, jednak milicję mogliby wezwać.

To znaczy, że po ogłuszeniu ofiarę trzeba zaciągnąć do jej mieszkania i zamknąć za sobą drzwi. Tam już spokojnie ją dobić (czy związać, co nie jest łatwe - bo wymaga zachodu i czasu, poza tym ten wariant przewiduje żywego świadka) - i co? Okraść?

Taka metoda rozboju, chociaż radykalna i ryzykowna, ma swoje zalety. Jeśli złoczyńcy byli wytrenowani i doświadczeni, jeśli udałoby się im zrealizować tę operację najciszej jak się da, szybko i sprawnie, unieszkodliwiając ofiarę i nie przyciągając uwagi sąsiadów - mieliby nie być jaki zapas czasu. Jeśli nikt niczego nie słyszał, to zabitego (albo związanego) nieprędko by

znaleziono - z zewnątrz nic nie widać, drzwi do mieszkania są zamknięte, zanim ktoś z przyjaciół albo z rodziny się zorientuje, może minąć kilka dni.

Ale to i tak nieprzekonujące. Za dużo ryzyka i niepewności jak na doświadczonych recydywistów - i zbyt mała nagroda jak na takie starania. Wątpię, by tego typu akcją można było powtarzać - prędzej czy później, i to raczej prędzej niż później, zwróci się na siebie uwagę. A jeśli ktoś postanawia obrabować tylko jeden jedyny raz, to nie wybiera małej kawalerki w budynku, w którym mieszkają głównie alkoholicy, narkomani i inne rodziny, którym się nie powiodło. Tak, to mogli być właśnie miejscowi alkoholicy-narkomani zapędzeni w kozi róg, a naszego majątku, który najwyraźniej oglądali przez szparę w zasłonach już przez dłuższy czas, wystarczyłoby na wiele dni bez głodu i z kacem.

Jednak jeśli byli tak dobrze zaznajomieni z naszą sytuacją, to powinni wiedzieć, że ofiara nie jest jedna - że jest nas dwoje! I wtedy nie można być pewnym absolutnie niczego. Tak, przyjemnym bonusem okazywała się możliwość zgwałcenia drugiej ofiary (na co w ekstremalnej sytuacji i do tego alkoholikom-narkomanom raczej nie starczyłoby zapалу). Jest niemal nierealne, żeby wszystko poszło tak gładko: żeby pierwsza ofiara nie zdążyła otrząsnąć się ze snu i dostała po głowie, a druga też się zagapiła i nie zamknęła drzwi, żeby oboje nawet nie starali się opierać, od początku w milczeniu wytrzymywali tortury, a potem cicho i szybko umarli, nawet nie brudząc zabójców krwią i nie przyciągając uwagi sąsiadów.

Jednym słowem, niczego nie rozumieliśmy. I dlatego denerwowaliśmy się tylko bardziej i bardziej, wymyślając coraz to mniej prawdopodobne, bardziej absurdalne i fantastyczne historie kryminalne.

Pękała mi głowa, po logice nie został nawet najmniejszy ślad, słowa same przychodziły na język i spadały z niego jak jakieś zmutowane warzywa. Na dworze zaczynało szarzeć.

- Wyobraź sobie, gdybyś otworzył drzwi, oboje moglibyśmy już być martwi, a mnie na pewno by jeszcze zgwałcili - powtórzyłam jak nakręcona.

- Mhm - powiedział Misza. - Mnie też mogliby zgwałcić - dodał zazdrośnie, pomyślawszy chwilę.

Przyniósł dwie tabletki nasenne. Inaczej nigdy byśmy nie zasnęli.

Zapadając w bolesny, męczeński sen, burknęłam:

- A w ogóle to mógł być wariat.

- Mhm - mruknął Misza.

- I jeśli to wariat, to jego logiki nigdy nie pojmimy.

- Mhm.

- I milicji się nie boi. I tego, że go widzisz.

- Mhm.

- I będzie chciał tu jeszcze wrócić i nas zabić.

- Mhm - mruknął Misza.

- Na pewno jest szalony - powiedziałam uspokojona i zasnąłam.

Następnego dnia, kiedy wszystko wyglądało już nie tak strasznie, Misza wymyślił, żeby nazywać go „Elektryk Edward”. Tak sobie, dla śmiechu.

Minęło kilka tygodni. Paliliśmy z Miszą o drugiej w nocy w kuchni. Wokół było zupełnie cicho - wydawało się, że można usłyszeć szum płatków śniegu.

Papierosowy dym kołował, unosząc się powoli, i ze świstem ginał wessany przez otwarty lufcik.

Milczeliśmy i patrzyliśmy na siebie. Oczy Miszy za szklami okularów wyglądały na zmęczone. Bujał się na stołku i puszczał kółka z dymu, śmiesznie układając usta w literę „o”.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy maleńkim stoliku, dotykając się nogami, bo w tej ciasnej kuchni nie dało się siedzieć inaczej. Ale nie dotykaliśmy się myślami.

Nie wiem, o czym myślał Misza - ja myślałam o siomdze.

O nieprzyzwoitej, różowej rybie, tłustej i soczystej, miękkiej i pachnącej. Roztopiała się w ustach, a jej smak pozostawał w nich na długo. Zaczęliśmy ją jeść niedawno - kiedyś nie znosiłam ryb, już od czasów przedszkola, kiedy dni rybne nazywałam dniami brudnego żelaza.

Kiedy spróbowałam siomgi, zdziwiłam się. Mało miała w sobie z ryby. Dużo więcej z człowieka.

Jakby jeść ludzkie serce. Albo raczej waginę - posypaną suchą bazylią i skropioną sokiem z cytryny.

Pośród tej ciszy usłyszeliśmy nagle ostrożne skrzypienie śniegu. Ostrożne - jednak dźwięczne, przenikliwe niczym tarcie styropianem po szkło. Moje myśli momentalnie skrzyżowały się z myślami Miszy - z dźwięcznym brzękiem, jak miecze. Podskoczyliśmy i zamarliśmy, starając się wyczytać ze swoich oczu odpowiedź. I wyczytaliśmy.

Misza zgasił światło i podszedł do okna. Ostrożnie, dwoma palcami, rozsunął żaluzje. Elektryk stał nie na górze, tylko trochę z boku, oczywiście poza kwadratem śniegu oświetlonym przez kuchenne okno.

Czarna czapka w napięciu zwisała mu nad twarzą. Obrócił trochę głowę, nastawił ucha do góry, do lufcika. Ręce w kieszeniach. Podbródek sterczący z kołnierza kurtki.

Z gałęzi cicho spadały na niego płatki śniegu.

Zadrżały mi nogi i rzuciłam się do łazienki - do mojej ostatniej fortecy. Przygotowałam tron, opuściłam klapę i siadłam na niej, obejmując się ramionami.

Misza tymczasem cichym głosem wzywał milicję.

- Rozumie pan - szeptął do słuchawki - pod naszym budynkiem łązi facet i zagląda w okna. Już nie pierwszy raz. Tak, rozmawiałem z nim. Poprzednim razem. Dalej łązi. Groziłem. Porozmawiać po męsku? Odmawiacie interwencji? Czekamy.

Czekaliśmy w ciemnej kuchni. Naprzeciwko mnie żarzył się pomarańczowy ognek papierosa Miszy. Od czasu do czasu skwierczał i jaśniej rozblęskiwał, kiedy Misza zaciągał się krótko i nerwowo. Za oknem też to cichło, to znów zaczynało skrzypieć. Ostrożnie się podkradając, przybłąda przechadzał się w przód i w tył, spoglądając raz w okno kuchni, raz w okno pokoju. Wszędzie było ciemno. Ale nie tracił nadziei. Czekał. Żeby się rozgrzać i rozerwać, postanowił robić kółka. Kiedy obchodził budynek, czuł, że nadzieja rozpała się w nim na nowo i staje niemal realna: zaraz zakreści, wyjdzie zza rogu i zobaczy, że znów się u nas świeci. Wyobrażając to sobie, czuł, że brakuje mu tchu: z zachwyty jakby na wylot raził go prąd.

Ale czas mijał, kółka stawały się coraz szersze i szybsze, a nasze okna w dalszym ciągu zionęły ciemnością.

Siedzieliśmy nieruchomo. Skrzypienie jego stóp po śniegu przywoływało w mojej wyobraźni myśl o glistach. Podłużne białe robaki, które wiercą we wnętrzościach, bezczelnie wgrzają się w bezbronny organizm i nie pytając o pozwolenie, korzystają z jego niewiedzy.

Coś z nami robił, myśląc, że się tego nie domyślamy. Tymczasem my wiedzieliśmy, że bez naszej zgody coś z nami robi, pewien tego, że niczego się nie domyślamy.

Uratowała nas wszystkich milicja. Czerń podwórka oświetlona została nagle zbawczym światłem - w ten sposób oświetlać ziemię, przybywając jej na ratunek, muszą ze swoich płaskich, idealnie opływowych talerzy kosmiczni przybysze. Misza, jak dziki ryś, w ćwierć sekundy wskoczył na parapet, wychylił się przez lufcik i krzyknął:

- To on, to on, łapcie go, tam pobiegł, tak! Tak! Tak! To on, on! Dobra!

Zapaliliśmy światło - i nie poznaliśmy się. Rozpaleni, czerwoni, zdyszani. Skóra świeciła podnieceniem. Dłonie drżały, serca waliły.

Wyglądaliśmy jak niezdarni myśliwi, którym zupełnie przypadkiem, niespodziewanie nawet dla nich samych, udało się dopaść niedźwiedzia albo dzika. Wokół nas zanosyły się szczekaniem rozbuchane przez niedawną pogoń i świeżą krew psy, spłoszone konie stawały dęba, leśne ptaki krzyczały wystraszone - a my staliśmy na wydeptanej trawie, między drzewami o połamanych gałęziach, i w oszołomieniu łapaliśmy oddech, nie wiedząc, co teraz zrobić ze swoją niepożądaną zdobyczą.

Ktoś zastukał do drzwi. Na progu pojawiło się dwóch milicjantów.

- No co - zaczął pierwszy - Szewa strzelił?

- Strzelił - ledwie łapiąc oddech, odpowiedział Misza. Trzeciego.
- W której?
- W siedemdziesiątej pierwszej.
- Zuch. To już jego dziewiąty, da? A pierwsze dwa?
- Gilardino.
- No i jak, do koła?
- Do koła.
- Zuchy. A u was co się porobiło?

Misza, czując się już całkiem w swoim żywiole, omal nie zacierając rąk, zaczął opowieść. Miał ją wypolerowaną i doskonałą, mówił tak, jakby czytał z kartki. Milicjanci uważnie słuchali i notowali coś swoim starannym, uczniowskim charakterem pisma w maleńkich kolorowych notesikach, kupionych dla posterunku z okazji jakiegoś święta.

- Jak pan mówi? Wyłączył światło w skrzynce? Aha.
- A sąsiedzi nie skarżyli się na niego? Aha.
- A groził? A dlaczego w ogóle przeszkadzał? Mhm.

- Niech pan powie, a wolałby go pan spalić czy wykastrować? Myślicie, że chciał wam powydłubywać oczy i nalać mleka w oczodoły? Znaleźliśmy w jego kieszeni puste pudełko od zapalek, wafelek i malutki śrubokręt. Najmniejszy, najbardziej najmniejszy śrubokręt, jaki widziałem.

Milicjanci powiedzieli, że zabiorą Edwarda na posterunek, sprawdzą go i potrzymają do rana.

- Jeśli nie ma go w rejestrze i jeśli nie jest chory, to trzeba go będzie wypuścić, ale go postraszymy.

Dziękowaliśmy i odprowadzaliśmy ich jak najbliższych.

Pomyślałam nawet, czyby im nie dać czegoś smacznego na drogę.

Już w drzwiach jeden z nich znów się odwrócił.

- A wiecie - powiedział cicho - kiedy go zatrzymywaliśmy, śmiertelnie się wystraszył. A potem, już w gaziku, taki smutny siedział. I wzdychał.

Milicjant uśmiechnął się, wzruszył ramionami i powoli poszedł długim korytarzem do wyjścia.

Za oknami rozłożyła ocieżałe kończyny niema, głucha noc.

Teraz nikt jej nie przeszkadzał. Umilkło nawet szczekanie psów w oddali, rozpuściło się gdzieś w głębi zaśnieżonej ciemności.

Przytuliłam się mocno do Miszy - już dawno chrapał, uspokojony szczęśliwym zakończeniem historii. Pałał sennym ciepłem i aż do bólu zachciało mi się wchłonąć go w siebie, wciągnąć z oddechem i tak zastygnąć.

Było mi tak gorzko (gorycz czułam językiem i podniebieniem) uświadamiać sobie naszą wrażliwość, naszą całkowitą bezbronność. Tuliłam się do niego, wciskałam twarz w wielkie, czułe plecy, sprawdzałam, jak smakują, lizałam jak pies w porywie niepowstrzymanego oddania - a poczucie rozłąki stawało się przez to tylko bardziej oczywiste, wywoływało się jak stare negatywy: rude, żółto-czerwone, rozmyte.

Łzy, które potokami polały się z moich oczu, były nie tyle gorące, co zdawały się wrzątkiem. Wylewałam je, nie odrywając policzka od pleców Miszy. Chciałam, żeby się obudził. Starłam się zbudzić go swoimi łzami.

Cicho chlipałam i drżałam, upajając się rozpaczą. Jak okrutnie, jak nieskończenie okrutnie było nas tu rzucić. Nas, małe zwierzątka, ślepe, nowo narodzone zwierzątka, piskliwe, ufne i delikatne jak kruche ciastka.

Plecy Miszy mnie grzały, ale drżałam z zimna, które przenikało mnie od środka. Wielki samotny okręt „Robotnicza 7a” nieruchomo górował nad obojętnymi krami. Gwizdał wiatr i śnieg już więcej nie skrzypiał.

Nie wiem, jak nas znalazł i dlaczego wybrał. Może obserwował ludzi, którzy mieszkali w tym mieszkaniu przed nami, może nas zauważył przypadkiem, kiedy wchodził na naszą klatkę wezwany przez któregoś z sąsiadów. A może błąkał się po ulicach i podwórkach, zaglądając we wszystkie okna na parterze, aż natknął się na nasze, tak wygodne, by przez nie patrzeć. Mieliśmy wtedy jeszcze stare szarozółte zasłony po poprzednich właścicielach, wypacykowane w jakieś brzydkie, wątle kwiatki. Często podchodziłam do nich i je wąchałam. Stare zasłony mają szczególny, jednakowy zapach. Pamiętam go jeszcze z dzieciństwa - takie zasłony były w mieszkaniu, w którym mieszkaliśmy z dziadkiem i babcią; takie zasłony mieliśmy później na siódmym piętrze ośmiopiętrowego bloku, takie zasłony skrywały kota Murczyka w mieszkaniu Iry Buriak, miała je Chrystyna Szczubra i Ola Szowczyk - te zasłony zacieniały wszystkie okna mojego dzieciństwa, wisiały w nich przez dziesięciolecia, wsysały w siebie cały dostępny kurz, słowa i kroki. Stare zasłony pachną kurzem. Tak pachniały i te, przez które zaczął nas obserwować.

Akurat pod oknem zaczyna się górka, na której można stanąć, schować się za jedną z brzózek i wybierając wygodny punkt, rozpląnąć się w ciemności, do woli rozkoszować tym, co dzieje się w oświetlonym jaskrawym elektrycznym światłem akwarium. To było idealne miejsce

dla miłośnika scen z realnego życia. Być może wybrał nas właśnie ze względu na wygodę punktu obserwacyjnego.

Myślę, że już przez jakiś czas badał nasze czynności życiowe, zanim się zdradził. Niczego się nie domyślaliśmy - spokojnie chodziłam pod oknem goła, spokojnie patrzyłam na siebie w lustrze, spokojnie smarowałam się kremem. Spokojnie i głośno rozmawialiśmy, paląc pod lufcikiem w kuchni i nawet nie podejrzewając, że ktoś mógł się tam na zewnątrz zacząć i chciwie łapać każde nasze słowo. Mówiliśmy różne rzeczy, większości z nich nigdy nie odważyłabym się powiedzieć komukolwiek innemu, gadaliśmy bzdury, o których nawet wstyd wspominać, i dlatego teraz dla własnego dobra i spokoju staramy się o nich nie pamiętać, gadaliśmy z kotem i mówiliśmy kocim głosem, śpiewaliśmy kotu piosenki, bo tylko tak można go było ubłagać, żeby trochę zjadł, kłóciliśmy się i krzyczeliśmy na siebie, ryczałam, a także stękałam i jęczałam, kiedy się pieprzyliśmy, krzyczałam i wzdychałam, i wszystko to dobrze wietrzyło się z naszego mieszkania, i wylatywało przez szczeliny w oknie, i osiadało na głowie i ramionach, na wąsach i brwiach samotnego nocnego mężczyzny, który przyciskał się plecami do ściany budynku i słuchał albo chował się za pnem brzoźki, stojąc po kolana w śniegu, z przemokniętymi nogami, już zupełnie ich nie czuł z powodu mrozu, chociaż, koniec końców, on w ogóle niczego nie czuł, obserwując, całkowicie przemieniony we wzrok, jak tańcząc przy jakiejś nieznannej i nie całkiem zrozumiałej dla niego muzyce, powoli albo szybko się rozbieram.

Oczywiście nie przez cały czas się rozbierałam. Musiał wystawać długie godziny dla tych kilku szczęśliwych minut, kiedy nareszcie udawało mu się zobaczyć przez szparę w zasłonach kawałek moich pleców albo łokieć Miszy. Jego serce zaczynało głośno i potężnie łomotać o klatkę piersiową, kiedy któreś z nas nagle pojawiała się w wąskim, dostępnym dla niego polu widzenia, kiedy na przykład szukaliśmy jakiejś książki albo szliśmy do łazienki, albo pod prysznic, kiedy wracaliśmy spod prysznica, zawinięci w ręczniki, i kiedy zdejmowaliśmy te ręczniki i rozwieszaliśmy je na kaloryferze do suszenia, kiedy ni w pięć, ni w dziewięć zaczynaliśmy się całować, stojąc na środku pokoju, a potem chyba szliśmy się kochać, tak myślał, starając się dokonać niemożliwego i przeniknąć wzrokiem dalej, niż pozwalała na to natura. Czasami mu się to udawało, jednak najpewniej była to tylko wyobraźnia, i wyobrażał sobie, jak pieprzy się na podłodze, na łóżku, na kuchennym stole, jak opieramy się o fotel, o ścianę, jak odrzucam głowę, jak podskakują mi piersi, jak moje pośladki trą o dywan, jak na czole Miszy występuje pot - podczas gdy tak naprawdę to na jego czole występował pot i zaczynały mu drżeć ręce, a spodnie pęczniały i przychodziło mu zaspokoić się w jedyny dostępny sposób. I co sobie wtedy wyobrażał - że przyłącza się do nas na trzeciego? Czy wyobrażał sobie siebie na miejscu Miszy? Czy na moim? I jaki był? Czujący? Brutalny? I jak nas sobie wyobrażał?

Pamiętał o nas ciągle - w domu, w pracy, jego brzuch kurczył się w przyjemnych spazmach, podniecenie praktycznie nie mijało, musiał się ciągle chować, żeby się zaspokoić, dobrze przynajmniej, że to była zima i dzięki kilku warstwom ubioru jego rozjątrzony organ nie rzucał się w oczy współpracownikom i znajomym, którzy i bez tego - dobrze to wiedział i niemal w pełni się z nimi zgadzał - uważali, że ma problemy, że jest introwertyczny, dziwny i niezdrowy. Wcześniej myśl o swoim nieprzystosowaniu i nieumiejętności nawiązywania kontaktu zasmucała go i zatruwała mu każdą minutę życia. Kiedy pojawiliśmy się my, wszystko się zmieniło. Teraz współpracowników i znajomych miał gdzieś. Nie przerażały go ich spojrzenia, uśmiechy i słowa, przestał myśleć o tym, co odpowiadać na ich żarty, i w ogóle - o czym z nimi rozmawiać, żeby uniknąć tych nieprzyjemnych, zdziwionych i współczujących spojrzeń. Jego usta ciągle przepełniała słodycz, taki czuły posmak zakazanej tajemnicy, której nie znał nikt inny. On miał nas, i to wszystko stało się dla niego naprawdę ważne. Odpowiadając na pytania, stał się nagle dowcipny, czasem zdarzały mu się napady dziwnej gadatliwości, zaczynał opowiadać o swoim dzieciństwie na wsi pod Kijowem, o krowach i babci, o studni, lesie, błocie i gumiakach, i ludzie nagle zaczęli trochę inaczej na niego patrzeć, któryś z chłopaków zaprosił go nawet na urodziny, żeby wypić setę razem z innymi gośćmi. Ale on nie mógł zostać - śpieszył się do nas. To stawało się obowiązkiem. Wydawało mu się nawet, że jeśli nie będzie go w pobliżu, za brzošką, naprzeciwko pomarańczowego prostokąta naszego zakratowanego okna, nie będziemy w stanie żyć, nie będziemy w stanie śmiać się i rozmawiać, słuchać swojej muzyki i czytać swoich, tak mu niepotrzebnych, tak w ogóle niepotrzebnych książek. Wiedział, że książki i muzyka, powietrze i jedzenie, pieprzenie i kłótnie są nam potrzebne - i dlatego przychodził. Może myślał, że w ogóle nas nie ma, kiedy nie stoi pod naszym oknem. Albo że leżymy tak, nie oddychając, aż przyjdzie on i swoim przeczulonym, bolesnym, uważnym spojrzeniem tchnie w nasze ciała życie. Choć oczywiście tak naprawdę nic podobnego nawet przyszło mu nawet na myśl. Nie miał potrzeby wyjaśniania sobie tego słodkiego posmaku w ustach, tak jak zwierzę nie wyjaśnia sobie pragnienia napicia się wody czy odbycia stosunku. Po prostu przyzwyczaił się do słodyczy, była mu ona potrzebna i nie mógł się bez niej obejść. Stał się podobny do konia, nawykłego do smaku cukru, którym go podkarmiają. Różnica polegała na tym, że my go nie podkarmialiśmy - cukier brał sobie sam. Zlizywał go z nas swoim wielkim, mięsistym językiem, napiętym i ciepłym, a my dziwiliśmy się, dlaczego tak często budzimy się w nocy, od stóp do głów lepcy i wilgotni.

Przyszedł taki czas, kiedy śmiertelnie obrzydło mi opowiadanie historii o Elektryku Edwardzie. Tysiące razy powtórzona, nienagannie dopracowana, z wyraźnie rozłożonymi akcentami, dramatycznymi pauzami i intrygującymi przypuszczeniami, opowieść odbijała mi się

ciągłą nieprzyjemną czkawką. Wiedziałam, w którym momencie oczy słuchaczy staną się okrągłe, kiedy nerwowo się uśmiechną, a kiedy zaczną dorzucać swoje trzy grosze.

Szybko przemieniła się z thrilleru w komedię, a z komedii - w mdłe wspomnienie.

Jakim życiem żyjemy: tragedie nigdy nie pozostają po prostu tragediami. Niedługo przyjdzie ci się z nich śmiać albo ziewać ze znużenia i nawet nie zasłaniać ust. Nigdy więcej nie zdołasz zanurzyć się w zbawczym bólu, który ogarniał cię wcześniej.

Wiosną (zamieniwszy jednak zakurzone zasłony na niebieskie żaluzje, które nie pozostawiały potencjalnemu podglądaczowi najmniejszych szans) nawet o nim nie pamiętaliśmy. Nie baliśmy się już i znów pozwalały nam spać myśli o tym, jak on się nazywa, gdzie pracuje, jak minęło jego dzieciństwo, czy ma rodzinę, do czego jesteśmy mu potrzebni, czy chciał nas skrzywdzić i czy na milicji po prostu go poranili, czy całkiem zabili. I gdzie leży teraz jego ciało. I czy jesteśmy winni jego śmierci.

Więcej mi się nie śnił.

Tej nocy, po długich włóczęgach po Podole, gdzie wszystkie miejsca w restauracjach zajęte były z wyprzedzeniem z okazji Dnia Kobiet i gdzie dziewczęta z wysokimi, gładkimi fryzurami, z lokami i świeżymi pasemkami uroczyście niosły w dłoniach swoje wiązanki kwiatów, tuląc je do kożuszków i puchowych kurtek z kapturami ze sztucznym futrem (chłód był jeszcze zimowy), po siedzeniu w czyjejs ciasnej, zadymionej kuchni, gdzie nic, absolutnie nic nie było widać, po jeżdżeniu taksówką z jednego brzegu na drugi do jakichś ciemnych akademików górujących nad skutym cienką, szarawą skorupą lodu pustkowiem (trzeba było uwolnić stamtąd czyjeś walizki), po długim waleniu w zamknięte drzwi, waleniu pozostającym bez żadnej odpowiedzi, po kłótni z głuchą portierką - głuchą, ale jakże krzykliwą! - która w końcu usłyszała łomot i wyszła ze swojej klatki, po powrocie taksówką do domu i wysiadaniu tam, w naszej norze, niemal do świtu, tej nocy spaliśmy na naszym materacu we czwórkę.

Obudziłam się, bo było mi ciasno i duszno. Tak ciasno, duszno i niewygodnie, że wiedziałam, iż jeszcze chwila, a stanie się ze mną coś potwornego.

Niełatwo było wyczołgać się spod sennych, ociążałych ciał. Za to poczucie ulgi, które nadeszło, i strumień świeżego powietrza z otwartego lufcika przywróciły mnie do życia. Czulałam, jak znów zapadam w sen.

Wyciągnęłam rękę i wyjęłam z szafy jeszcze jeden koc.

Zwinęłam się w kłębek. Przykryłam z głową. Potem znów się odkryłam - jednak brakowało powietrza. Światło, które wlewało się przez uchylony lufcik, wcale mi nie przeszkadzało - w takich momentach światło dnia wprost przeciwnie - kojąco kołysze. Odpędza lęki, uspokaja, oczyszcza myśli.

Zapadłam w drzemkę i śniłam, że ktoś trzyma mnie w dłoniach, przekłada z prawej ręki do lewej i znowu z powrotem, rozciera mnie w zgrubiałych palcach, rozchyła mnie, ściska i gładzi, a ze mnie w tym czasie cieknie coś gęstego i chłodnego, jakiś przejrzysty tłuszcz o ostrym zapachu, jakaś oceaniczna wilgoć.

Wieczorem do naszych drzwi zastukał dozorca Kola.

- Panie Michale, panie Michale - wykrakał zmartwiony. - Chcę was ostrzec.

Akurat składałam koc, pod którym dosypiałam ostatnie godziny nocy. Zwinęłam go i miałam zamiar upchnąć w szafie.

- Sąsiad z trzeciego piętra szedł rano do samochodu i zobaczył, że przy waszym oknie stoi na drabinie jakiś facet i patrzy przez okienko.

Obejmując zwinięty koc, podniosłam głowę i popatrzyłam w otwarty lufcik. Ział czernią. Ta czerń - wiedziałam to na pewno - nie była pusta. Ale nie mogłam zobaczyć tego, co w sobie kryła. Czyniła mnie ślepą i bezradną.

- Sąsiad krzyknął: co tu robisz, i pobiegł do niego - mówił dalej Kola. - No i ten zeskokczył, złapał drabinę i uciekł.

Kola zamilkł, patrząc na Miszę wieloznacznym spojrzeniem, a potem wychrypiął:

- Niech pan będzie ostrożny, panie Michale, niech pan będzie ostrożny.

W tej chwili zobaczyłam wewnętrznym wzrokiem siebie.

Przypominało to wspomnienie - takie gdy wspominasz innych ludzi, odgrywając w głowie kolejność ich ruchów, uczynków, wymówionych słów. Wspomnienie było świeże, poranne.

Zobaczyłam cztery śpiące ciała, nakryte kocami, cztery głowy w rzędzie pod ścianą. Twarzy nie było widać - tylko włosy.

Zobaczyłam wielkiego czarnego kota, który siedział, owinąwszy się ogonem, i nie mrugając, patrzył na mnie wielkimi, okrągłymi oczami. Patrzył jak na kogoś obcego. W jego spojrzeniu przywidziała mi się pogarda - ale był spokojny.

Zobaczyłam, jak jedno ciało zaczyna się niespokojnie poruszać, wiercić, przewracać z boku na bok, a potem wyczołguje się z pościeli i robi kilka kroków w moim kierunku.

To byłam ja, blada, senna, z potarganymi włosami. Było mi wyraźnie niedobrze. Szeroko otworzyłam usta i kilka razy łapczywie połknęłam powietrze. Potem położyłam się na dywanie pod oknem, wprost pod moim spojrzeniem.

Nie unosząc głowy, wyciągnęłam rękę i wzięłam z szafy koc. Przykryłam się nim i skręciłam w kłębek. Koc półkuliście rozpiął się nad moim ciałem.

Najpierw schowałam głowę pod koc. Potem gwałtownie ją wystawiłam i znów głośno wciągnęłam powietrze. Kilka minut patrzyłam przed siebie zmęczonym, niewidzącym wzrokiem. Później zamknęłam oczy.

A potem spałam godzinę albo dwie, nie ruszając się, nie zmieniając pozycji, niemal nie oddychając. Błada twarz, rozluźniona i zmięczona snem - całkiem otwarta, uchylona jak okno. Niewysoki wzgórek ciała, wypukłości i wklęsnięcia, fałdy koca.

Spałam, dostępna i bezbronna, niczym niechroniona, z wystawionym na zewnątrz kolanem, z ruchliwymi białkami oczu pod powiekami (pewnie coś mi się śniło). A ja w tym czasie bezwstydnie i z zainteresowaniem obserwowałam siebie, wiedząc, że nic mi za to nie grozi. Byłam tak blisko - tylko wyciągnąć rękę. Chociaż po co rękę.

Wszystko, co można wyciągnąć, było wyciągnięte.

Wszystko, czym można dotknąć, dotykało.

Spałam - liść w zielniku, rozpięta do prac laboratoryjnych żaba, istota pod narkozą, oddana na pastwę chirurgów.

A w tym czasie ktoś mnie badał, obmacywał od środka, wywracał na drugą stronę. Ktoś wyłamał zamek, wyważył drzwi i zakradł się tam, dokąd nie wolno było wchodzić.

Tam, skąd się nie wraca.

Gdy spoglądam na wszystko, co się wtedy stało, zaczynam rozumieć, że nie tylko on wpłynął na nas. My też zmieniliśmy jego życie.

Nieokrzesany gość bez żadnych zainteresowań, bez gustów i upodobań (myślę, że na przykład nigdy nie wiedział, jaką muzykę lubi, skoro wcześniej w ogóle nie lubił muzyki i tak z wszystkim, zupełnie wszystkim), bez szczególnych marzeń i złudzeń - no o czym on mógł marzyć: o nowym telewizorze, o młodej blond kochance, o milionie dolarów, o śmierci żony, o podróży do Ameryki? - zagubiony i nieokreślony, niemal niewidzialny. Nie znał - naprawdę nie znał - znaczenia słowa „interesujące”.

Ciekawe, co doprowadziło go do podglądania. Przypadek? Wspomnienie z dzieciństwa? Chciwość? Złe zamiary? Ciekawe, jak to się zdarzyło po raz pierwszy. I co przy tym czuł, czy miał wyrzuty sumienia, czy obiecywał przestać?

A potem, kiedy znalazł nas, jak dziwnymi istotami musieliśmy się mu zdawać. Innymi, niedostępnymi - jak blond kochanka, jak milion dolarów, jak podróż do Ameryki.

Z czasem niezrozumiała muzyka stała się dla niego jego własną. „This is what we have” - śpiewał ten, który nie znał żadnego obcego języka - zresztą tak jak własnego (skoro nie wiedział, który język jest jego własnym). „Tell me lies” - nucił sobie pod nosem.

Kiedy któreś z nas sobie podśpiewywało (na przykład: „Szalenie delikatny jestem na kacu. To taki stan, kiedy byle reklama zmusza mnie do płaczu. W pościeli siedzę i patrzę, jak dnieje. W pościeli siedzę i patrzę: już wieczór”), piosenka tkwiła w nim przez cały dzień. Wierciła w głowie i nijak, w żaden sposób, nie mógł się jej pozbyć. „Szalenie delikatny jestem... Szalenie delikatny jestem...” - cichutko zawodził i czuł, jak nagle ogarnia go niepokonana fala rozpacz. „To taki stan, kiedy reklama. W pościeli siedzę i płaczę”.

Nagle został napełniony, nabity informacjami, jak twardy dysk komputera, niczym tobołki bezdomnego. Jego mózg całodobowo manipulował dziesiątkami imion, urywkami zdań, frazeologizmami, wyławiając po kolei to albo co innego. „Big Sur” - burczał. Big Sur. Jean Genet. Piękni dwudziestoletni. Sophisticated. Sophisticated. (To słowo mu się podobało, bo przypominało moje imię). Maki-sushi.

Nigiri. (Nauczył się jeść pałeczkami). Beaujolais, Francis Ford. Jak to się tłumaczy: „twardy asfalt” czy „nieubłagany asfalt”? Klaus Mann popełnił samobójstwo. Jak to się tłumaczy: „ryba piła” czy „ryba pizda”? Jak jest poprawnie: dziki ryś” czy „dziki ryż”? Każdy musi przeczytać książkę Edwina van der Sara. Jest najlepszym pisarzem na świecie.

Jedynym i niepokonanym.

Strach pomyśleć, jak bardzo dorosły człowiek może się zmienić w tak krótkim czasie. Jak nagle otwiera swoje śluzy i zaczyna z rykiem wsysać wszystko, czego zdoła dotknąć. Jak z obojętnej istoty, leniwej, bezwładnej, wyblakłej, zmienia się w pochłaniacza słów, w połykacza płonących szpad.

To my, nawet tego nie podejrzewając, uczyniliśmy go takim. To my go wychowaliśmy.

Cały dzień spędziłam sama. Chciało mi się gadać - i gadałam. Wieczorem, kiedy się już ściemniło, chodziłam goła.

Zbliżało się lato. Na dworze szumiały młode liście.

I tylko kot mnie przerażał. W napięciu w coś się wsłuchiwał, kręcił głową, stawiał uszy i zamierał. Jego wielkie okrągłe oczy robiły się jeszcze większe i bardziej okrągłe.

Jakby starał się wycisnąć je z czaszki.

Na żadne moje słowa nie reagował, z napięciem wpatrując się w otwarty lufcik. Kiedy tam spojrzałam, przejął mnie chłód. Czarny prostokąt złowieszczo dyszał, pulsował, wyraźnie skupiając na mnie swoją uwagę. Niczego nie mogłam w nim zobaczyć, ale czułam się tak, jakby mnie oblano lodowatą wodą - wprost stamtąd, z dworu. Gwałtownym ruchem zatrasnęłam lufcik. Potem ubrałam się i na wszelki wypadek poszłam do kuchni.

- Dlaczego zamknęłaś lufcik? - zapytał Misza, odwracając się i podchodząc do okna. - Nie ma czym oddychać.

Stojąc przed półkami na książki, bokiem do niego, poczułam, że Misza się spał. Jedną ręką wciąż trzymał lufcik i wpatrywał się w ciemny prostokąt. Wyraz jego twarzy w czymś przypominał minę kota Fausta.

- Co tam? - zapytałam, ale zamiast swojego głosu usłyszałam krakanie.

- Nic. Jakies zwidy - Misza zdecydowanym ruchem zamknął lufcik, odsunął się od okna i zatrzymał zamyślony.

Po chwili zawołał mnie do kuchni i szeptem poinformował:

- Do okna pokoju jest przystawiona drabina. Teraz go na niej nie ma.

Stało się jasne, jakiego ducha widział w ciemności prostokąta Faust i czyje pulsowanie czułam ja. Miszy udało się zauważyć bladą plamę twarzy, ale nie uwierzył swojemu wzrokowi, przyjmując ją za wytwór wyobraźni albo brud na szklach okularów. Przez chwilę patrzyli na siebie: Misza nie był pewien, czy widzi to, co widzi, a ten, kto stał za oknem, nie był pewien, czy Misza go zauważył.

Pozostało mi tylko zaszyć się w łazience. Słyszałam, jak Misza kolejny raz wzywa milicję.

- Tak, już się zdarzało. Zimą. Tym razem przystawił drabinę do naszego okna. Nie, nie próbowałam z nim rozmawiać. Nie sędzę, żeby to dało jakiś efekt. Czekamy. Tak, czekamy na was.

Pozostawało czekać. Misza pogasił światła i na palcach przechodził od jednego okna do drugiego (dobrze, że w naszym mieszkaniu są tylko dwa okna).

- Znów włazi, menda - poinformował Misza, na moment przystawiając głowę do drzwi łazienki.

- Kurwa - powtarzałam.

- Znów zszedł i poszedł gdzieś za budynek - po jakichś piętnastu minutach raportował Misza.

- Kurwa, a jak ucieknie? - pytałam.

- Nie ucieknie, zostawił drabinę - uspokajał Misza.

Tym razem czekanie trwało tak długo, że w naszej wyobraźni ściany malutkiego ciemnego mieszkanka zaczynały się ruszać i przysuwać do siebie, zaciskać się i zostawiać nam coraz mniej i mniej miejsca. Jak zawsze siedziałam na przykrytym klapą klozecie i czułam, jak boleśnie wpija mi się w kolana zimna krawędź małej, głębokiej wanny. Usłyszałam nawet chrzęst kości. Sufit wydał się jak pęcherz i zaczął pulsować, to dotykając mojej łepetyny, to znów unosząc się kilka centymetrów.

Misza nie mógł już dłużej wytrzymać, zaczął się ubierać.

- Poczekał na nich na dworze - powiedział.

- A tamten siedzi? - zaciekałam się.

- Już dwadzieścia minut go nie ma. A drabina stoi.

- Może zaczął coś podejrzewać?

- No nic, pójdę zobaczyć.

Kiedy tylko Misza wyszedł, srebrzysty zagraniczny radiowóz oświetlił reflektorami nasze okna i przejechawszy obok drabiny, potoczył się dalej. Potem pojawił się po przeciwnej stronie podwórka i w jakimś celu skręcił w Łukianowską, gdzie się zatrzymał. Senny kierowca otworzył okno i zapalił. Milicjant, który siedział obok niego, zakaszał. Dziewięć lat temu rzucił palenie.

W tym momencie obok samochodu niespiesznie przeszedł wysoki osiłek. Niepalący milicjant melancholijnie spojrzał na jego bujne wąsy. Potem odwrócił się i zapytał siedzącego z tyłu, najmłodszego wiekiem, jednak ponad wiek poważnego mężczyznę:

- Rusłan, gdzie się strzyżesz?

- U fryzjera - burknął Rusłan.

Misza, zauważywszy samochód, ruszył w jego kierunku.

Podszedł i przywitał się z milicjantami. Przyznał, że to on ich wezwał. Krótko zrelacjonował historię choroby. Milicjanci w milczeniu kiwali głowami. Potem zaproponowali, żeby wsiadł i zrobił z nimi kółko po dzielnicy.

Na Hłyboczyckiej Rusłan coś sobie przypomniał i zapytał:

- A on jak wygląda w ogóle?

Gdy padła odpowiedź Miszy, zagraniczny radiowóz gwałtownie zahamował, przecinając noc rozpaczliwym piskiem. Kierowca kręcił kierownicą, zawracając z błyskawiczną prędkością. Po paleniu zaschło mu w ustach, a resztki oranżady „Bon Buason” dopił, jeszcze zanim wypalił ostatniego papierosa. Teraz pusta plastikowa butelka turlała się pod nogami milicjanta, który nie palił.

A ja, uspokojona migotaniem reflektorów radiowozu, poczułam się niebywale bezpiecznie. Ogarnęła mnie nawet szczególna dziarska obojętność i demonstracyjny spokój. „No i koniec, teraz się doigrał” - pomyślałam sobie, wchodząc pod kołdrę. Oparłam poduszkę o ścianę, ułożyłam się i otworzyłam książkę. Tak jakby tam, na zewnątrz, nie odbywał się właśnie pościg za podłym złoczyńcą. Tak jakby była to najzwyczajniejsza noc na świecie i jakbym robiła to, co zwykle robię w te noce, kiedy nie wzywamy milicji i nie zajmujemy się łapaniem dzikich zwierząt.

Jednak wystarczyło w pełni się rozluźnić, by za oknem coś cichutko zapiszczało. Załomotało mi w piersiach i gwałtownie uniosłam głowę. Faust zrobił to samo i teraz patrzył na mnie, wyciągając szyję i nastawiając uszu, tak że wyglądały jak kartonowe trójkąci.

To nie był pisk - dźwięk, który dobiegał z dworu, tylko przypominał krzyk jakiegoś małego ptaka. Tak naprawdę to, co słyszałam, było ukradkowym i powstrzymywanym skrzypieniem

drabiny. Po której ktoś się wspinał. Ostrożnie, wstrzymując oddech. Powoli przekładając ręce. Zaciskając zęby. Napinając mięśnie. Uważnie patrząc pod nogi, żeby się nie potknąć i nie narobić hałasu. Starając się opanować przypływ adrenaliny, która kipiała w środku, od której ciemniało w oczach i huczało w uszach.

Bałam się oderwać oczu od kota. Wiedział o wiele więcej niż ja. Był pośrednikiem między mną a człowiekiem za oknem. Patrzyliśmy na siebie nieruchomo. W jego spojrzeniu wyraźnie widziałam, jak wiele z tego wszystkiego rozumie.

Jednak odczytać szczegółów już nie mogłam.

Moim głównym zadaniem było nieodrywanie wzroku od kota. Nie spojrzeć tam, w górę, w stronę lufcika. Nie zdradzić się. Nie oddać się mu. Nie nawiązać z nim kontaktu.

Dopóki go nie widziałam, dopóki moje źrenice nie natknęły się na materialne dowody jego istnienia, dopóki nie wiedziałam na pewno, że ma właśnie takie głębokie, jakby wydrapane pazurami zmarszczki na czole, właśnie taką żółtą skórę, właśnie taki nos, z szerokimi, końskimi nozdrzami, dopóty byłam bezpieczna. Byłam niewidzialna, jak stają się niewidzialne dzieci, które zamykają oczy przed niebezpieczeństwem.

Przez ten czas nikt z nas się nie poruszył. Mężczyzna na drabinie, wybrawszy wygodną pozycję, ucichł, tak że miałam wrażenie, jakby ktoś całkowicie wyciszył dźwięk w telewizorze: nic nie słychać, ale powietrze nasycone jest gęstymi wibracjami.

Jednak ta cisza wcale nie oznaczała, że w pokoju i poza nim nic się nie dzieje. Same tylko wibracje były wiele warte.

A poza tym każdego z obecnych rozdzierały tysiące sprzecznych porywów.

Ja na przykład czułam dziki strach i wściekałam się na siebie, i wściekałam się na kota, że jest taki spokojny i nie robi nic, żeby mnie uratować, i wściekałam się na niezdarę za oknem, która zasługiwała na wyjątkowo okrutne tortury i powolną męczeńską śmierć, na najgorsze, jak najgorsze cierpienia. I myślałam jeszcze, że trzeba wyjść spod kołdry i pójść do kuchni albo - co znacznie bezpieczniejsze - do łazienki, żeby uciec z pola widzenia, a zatem pozostawić go z niczym i wygrać. Chociaż ucieczka, myślałam - to tchórzostwo. A z drugiej strony, czy to nie wszystko jedno, skoro ledwo się powstrzymuję, żeby nie zacząć szczekać zębami (tego nie można robić, bo się zorientuje). A gdybym była odważna, podeszłabym do okna, podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. I powiedziała: „Co się gapisz?”.

Albo: „Dobry wieczór”. Albo poszłabym do kuchni, szybko zagotowała wodę w czajniku elektrycznym i chlusnęła mu w twarz wrzątkiem. Nie zdążyłby uciec, bo ma spóźniony refleks, co do tego z jakichś powodów nie miałam wątpliwości. Wszystkie te myśli tłukły mi się po głowie, kiedy zewnątrz niewzruszona, nie spuszczałam oczu z kota Fausta.

Co działo się w tym czasie w głowie Fausta, mogę tylko przypuszczać.

I oto w momencie największej dezorientacji, zagubienia i grozy (jego mokre, pożądlive spojrzenie, absolutnie wolne, rozłożone jak wachlarz, spojrzenie, którego nie musiał ukrywać ani kamuflować, skoro był pewien, że nikt się go nie domyśla - przez to spojrzenie moja skóra nieznośnie swędziała i piekła ogniem), usłyszałam - i odbyło się to w ćwierć sekundy, w jednym zwartym kawałku, który dopiero później rozłożyłam na części składowe - jak gdzieś bardzo blisko zahamował samochód, jak gwałtownie i z trzaskiem otworzyły się w nim wszystkie drzwi - i dopiero wtedy zapaliły się reflektory, jak zabrzmiały głosy i zatupały kroki, i jak Misza krzyknął: „to on mendo stój kurwa co mówiłem stój!” - a potem coś głucho zakłębiło się pod samym oknem, i Misza dalej ryczał rozwścieczonym głosem (kiedy ryczy tak zwierzę, nie ma wątpliwości, że zaraz rozerwie kogoś na kawałki), i ktoś plątał się w tym jego głosie, miotał niczym ryba i skowyczał bezsilnie, żałośnie i cicho, i popiskiwał: „Nie bijcie, nie bijcie, chłopcy, nie bijcie”, a potem, szlochając i łkając, zaniósł się płaczem, choć też przygłuszonym - tak jakby zasłaniał twarz rękoma, i zginał się wpół, dotykając czołem kolan.

Nawet nie musiałam wyglądać przez okno. Dokładnie wiedziałam, co się tam odbywa. Płakał, płakał gorzko i obficie, jak pierwszy albo ostatni raz w życiu, płakał tak, jak płaczą ludzie, kiedy przydarza się im coś najgorszego albo najlepszego, kiedy odbierają im to, co najcenniejsze, kiedy wydają na nich wyrok, od którego nie można się odwołać, kiedy ogłaszają, że ich istnienie dobiegło kresu, albo kiedy wreszcie zdarza się to, na co czekali przez całe życie.

Osunął się po ścianie i przysiadł, chowając twarz między kolanami, zakrywając głowę dłońmi, jakby się bał, że zaraz złączą kopać go po ciemieniu. „Nie bijcie, chłopcy, nie bijcie, nie chciałem, ja nie chciałem, więcej nie będę, chłopaki, nigdy więcej nie będę”. Misza już kilka minut wcześniej rozluźnił uchwyt i teraz stał, zbity z pantałyku, przyglądając się grubym żylastym palcom z odciskami i wielkimi krwawymi zadrapaniami. Milicjanci, nie mniej zdziwieni, stali obok. I nie wiadomo było, jak się teraz zachować. Ta bezdenna, bolesna rozpacz, ten strach i uniżone konwulsje potężnego dorosłego mężczyzny z siwizną na kędzierzawych skroniach dotknęły nagle w ich duszach jakiegoś niechronionego, czulego miejsca, które zabolowało tak ostro i nieznośnie - wieczny wrzód, który nigdy się nie goi i zaczyna krwawić akurat wtedy, kiedy się o nim zapomni.

Stali nad nim, ogłuszeni i zawstydzeni. Jak dzieci, które niespodziewanie uświadomiły sobie, jak bardzo bezbronne, pokorne i słabe jest szczenię, nad którym się znęcały. I jak bardzo potworne, złe i straszne są one w swoim okrucieństwie, ze swoją niepoahamowaną i niekontrolowaną skłonnością do przemocy.

Nagle wszystko to otwiera się w spojrzeniu i skomleniu.

Ucichł, drżąc na całym ciele. Jeden z milicjantów - Rusłan - nachylił się i ostrożnie, niemal łagodnie, wziął go za nadgarstki. „Nu paszli, paszli - powiedział. - Przestań uże. Cziewo ty”.

Poddał się i poczłapał za nimi.

Przy samochodzie pozwolili mu zapalić. Jego dłonie były nieposłuszne, usta wciąż wykrzywiały się w płaczliwych grymasach, policzkiem szarpał nerwowy tik.

- Leonid Kucharuk - przedstawił się.

Urodzony w 1962 roku. Żonaty, dwoje dzieci. Zamieszkały na ulicy Tatarskiej dom numer 3, mieszkania 9. Telefon 417 2209. Pracuje jako hydraulik w administracji. W naszej administracji.

- Uspokój się, no, uspokój się wreszcie.

- Co robiłeś?

- Dlaczego zaglądasz ludziom w okna?

- Nie zaglądam. Ja pierwszy raz. Więcej nie będę. Więcej nigdy nie będę. Przysięgam na Boga! Przysięgam na serce matki, więcej nie będę!

Padł do nóg Miszy i objął go za buty.

- Wstawaj, no wstawaj ty!

Podniósł się na kolana i patrzył na Miszę zapłakanymi czerwonymi oczyma. Oczyma zbitego zwierzęcia. Jego wąsy były zupełnie mokre, szorstkie włoski pozlepiały się w małe strączki.

- Słuchaj, no posłuchaj - zagadał, szybko, jakby się bał, że zabronią mu mówić. - Uwierz mi, ja nigdy, nigdy więcej tu nie wrócę! Umrę, ale tu nie wrócę! Tylko mnie nie zabierajcie! Nie mówcie w pracy! Żona mnie zabije! Żona mnie zabije!

- Po co to robiłeś?

- Mam problemy rodzinne.

(Ma problemy rodzinne).

Nie wstawał z kolana i tylko szybko się przeżegnał, patrząc z oddaniem w twarz Miszy.

- Słuchaj, no posłuchaj mnie, Mmm... - (zawahał się, jakby chciał zwrócić się do Miszy po imieniu, a potem zmienił zdanie). - Jestem hydraulikiem. Może rury u ciebie ciekną, może trzeba coś wymienić, tylko powiedz, wszystko zrobię, wsio naprawię, jestem bardzo charoszyj hydraulik, wszyscy mnie chwala, ci wsio naprawię, ja ci wsio, co zechcesz! Ale nie nada nikomu mówić! Błagam cię...!

(Naprawi nam rury i wymieni hydrauliczkę. Zaprosimy go do domu. Zostanie przyjacielem rodziny).

- Proszę cię, Mmm...! No, bardzo proszę! - zobaczył już litość i wątpliwości w oczach Miszy i jego głos stał się trochę twardszy. - Jesteś dobrym człowiekiem. Jesteś przecież dobry, dobry człowiek! Przecież nie będziesz się nade mną znećcać! Wiem, że nie będziesz, Mmm...! Przecież wiem!

(Oczywiście, wiedział, że Misza jest dobrym człowiekiem. Jakże miałby tego nie wiedzieć? Wiedział o Miszy więcej niż ktokolwiek inny. Wiedział o Miszy więcej niż on sam).

- Zobaczysz, zobaczysz, nie oszukam cię! Never again! To się więcej nie powtórzy - przemówił nagle językami.

Potem, jakby to był żart, nawet spróbował się uśmiechnąć. Przez ten lichy uśmiech Miszę ogarnęły galaretowate nudności. Machnął ręką.

Milicjanci obserwowali go z zaciekawieniem. Przynajmniej jakaś rozrywka - nie zabójstwo, nie gwałt, ale zawsze. Tym bardziej taki happy end.

- Napisz oświadczenie - powiedział wtedy milicjant, ten niepalący.

Dali hydraulikowi kartkę i długopis.

- „Ja, Leonid Kucharuk, ur. 1962, obiecuję odtąd tego nie robić. Nie będę zaglądać ludziom w okna. Podpis. Data”.

- I co, chce pan, żebyśmy go zawieźli na posterunek? Patrząc z lekceważeniem na skulonego złoczyńcę, zapytał Miszę kierowca.

- Nie, już nie ma co - znów machnął ręką Misza. - Niech się stąd zabiera.

- Odwieziemy go do domu. Jeśli otworzy drzwi kluczem, znaczy, że wszystko prawda i będziemy mieli jego dane, i będzie, jak to mówią, na haczyku. I nigdzie się nie podzieje. Bo żonie powiemy - zażartował ten, który nie palił.

Ruslan pomógł hydraulikowi wsiąść do samochodu.

- Dziękuję! - wysokim, urywanym głosem pełnym płaczu i uniżenia wrzasnął Kucharuk. Ruslan starał się go uciszyć i wepchnąć głębiej do samochodu, tamten jednak się opierał i wystawiwszy głowę na zewnątrz, krzyczał dalej Dziękuję ci, dziękuję, spasiba! Jesteś dobry, szlachetny, wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz! Jestem taki wdzięczny, nie zapomnę ci tego do samej śmierci! Życie mam takie... żebyś ty wiedział! Mam żonę! Będę się za was modlić! Nigdy, nigdy was nie zapomnę! Będę o was myśleć! Ale to się więcej nie powtórzy, no zobaczysz, dałem ci słowo. Słowo honoru. My pleasure. Pleasure! - uderzał pięściami w tylną szybę zagranicznego radiowozu, kiedy odjeżdżali z podwórka.

A potem odwrócił głowę w stronę naszego okna, jakby zawstydził się nagle swoich wielkich, nieskromnych łez, które toczyły się w dół jedna po drugiej, z surową konsekwencją, i zaczął szeptem nucić: „Szalenie delikatny jestem... Szalenie delikatny jestem...” - a od jego

oddechu na szybie zrobiło się dokładnie zaparowane koło. „To taki stan, kiedy reklama. W pościeli siedzę i płaczę”.

Teraz przypominam sobie te wszystkie razy (a trwało to dobre pół roku, jeśli nie dłużej), kiedy za oknem słyhać było skrzypienie czy coś, co przypominało pokasływanie (to on skrzypiał na swojej drabince, to on pokasływał), głuche uderzenia o parapet (to on, złącząc z drabiny, niechcący uderzał o nie kolanem), kiedy Faust budził się i wytrzeszczał oczy prosto w lufcik - tak jakby widział tam kogoś, kogo nawet potrafił opisać. Ale ja myślałam, że on tam widzi ducha - koty przecież widzą duchy.

Elektryk większą przyjemność czerpał nawet nie z samego oglądania, ile z pewności, że nie podejrzewamy, że nas podgląda. Ze swobodnego wtrącania się w ludzkie życie. Z władzy, którą zdobył dzięki swojej anonimowości.

Czuł się wszechpotężnym Bogiem - bo tylko Bóg może pozostawać niewidzialny, wiedząc i widząc wszystko. A on wszystko widział i nie musiał za to odpowiadać. Widział to, czego nikt nie ma prawa widzieć: przypadki autodestrukcyjnej słabości (kiedy zakopywałam się w pościeli i patrzyłam w sufit nieobecny wzrokiem, postanawiając porzucić wszelkie starania, pragnąc wyparować, zgnić, uschnąć), napady szaleńczej, zabójczej złości (kiedy ryczałam i rzucałam komputerami i naczyniami, kiedy rwałam poduszkę, kiedy warczałam i wystawiałam pazury), najwścieklejsze histerie (kiedy zanosilałam się płaczem, trzęsłam się, chwytalam ustami powietrze, załamywałam ręce, konwulsyjnie rozczapierałam palce, kiedy wciskałam się w kąt i stamtąd patrzyłam wybaluszonymi, cudzymi oczami, łkając i rozrywając na miliony strzępów własną koszulę), słuchał moich samotnych monologów (których sama w żadnym razie nie chciałam usłyszeć), naszych rozmów z Miszą, przeznaczonych tylko dla nas dwojga, na tyle osobistych, że rozmawialiśmy szeptem, ukradkiem nawet przed sobą nawzajem, naszych piosenek, naszych głupot, z powodu których, nawet kiedy wiedzieliśmy, że nikt poza nami ich nie słyszy, czerwieniliśmy się od stóp do głów. Słuchał o naszych lękach i zazdrościach, o miłości i pragnieniach, znał najtajemniejsze tajemnice, władał naszymi najgłębszymi sekretami. Mógłby ze szczegółami opowiedzieć o moich kosmetykach, o tym, jak robię makijaż. Albo jak się ubieram.

Wiedział, jak patrzę w lustro. Jak czytam książkę. Jak się smucę. Jak nudzę. Jak całuję kota. Jak rozmawiam z kotem. Wiedział, które części mojego ciała podobają mi się, a które - nie. Słyszał i przechowywał w pamięci te z naszych zwierzeń, które ścinają krew w żyłach. Mógłby powtórzyć z najdrobniejszymi szczegółami nasze sny, usłyszane od nas samych, wspomnienia z dzieciństwa, historie ran, urazów, najrozmaitsze historie. Nie mówiąc już o seksie - znał nasze ciała niczym rodzinny anatom. Jak bardzo znajome i bliskie stały się dla niego nasze kontury. Tęsknił za plecami Miszy i za moimi pośladkami (za pośladkami Miszy i moimi plecami).

Podobało mu się, kiedy zakładałam zieloną sukienkę, nie lubił, kiedy chodziłam w szerokich spodniach Miszy.

Nie wspominając o masturbacji, akcie, w którym człowiek się zatracza, pozwala sobie na zatracenie. Widział to, czego sama nigdy nie widziałam: jak ruchy stają się coraz szybsze i pożądliwsze, jak ciało się otwiera, omal nie wywracając na drugą stronę, jak oczy przesłania całun, jak otwierają się usta, jak ciało wije się w konwulsjach, słyszał jęk, nietamowany niczym.

Już nie mówiąc o naszych podsłuchiwanym przez niego lunatycznych rozmowach. Misza mógł mówić przez sen godzinami, opowiadał coś, rozważał, recytował wiersze. Często budziłam się, bo mu odpowiadałam. Budził mnie własny głos. I żałowałam, że nasze dialogi przepadają na marne, nie podejrzewając obecności mężczyzny, który wszystko zapamiętywał, nasiąkał tym, łapczywie łykał.

Kradł. Brał to, co do niego nie należało. Kradł najcenniejsze i nienaruszalne: intymność, prawdziwość, nagość.

Łatwo było to robić. Tak samo jak zabijać bezbronne niemowlę. I nie mniej potwornie.

Bo nigdy nie zostawać samemu, wiecznie przebywać w czyimś polu widzenia - to jak nie istnieć.

Zostać pozbawionym intymności - znaleźć się nagle z niczym.

Wszystkimi tymi słabościami, lękami, histeriami, płaczami i głupotami, snami i wspomnieniami - oto czym napakowany jest człowiek. To kręgosłup, zakończenia nerwowe, to ślady, po których może siebie rozpoznać.

Ktoś opowiedział mi kiedyś pewną historię. Jakimś ludziom niebywale się poszczęściło: za względnie niewielką sumę kupili piękny piętrowy dom w malowniczym miejscu. Dom z przestronnymi i jasnymi pokojami, ze wszystkimi wygodami, z garażem, sauną i dzakuzi.

Długo się cieszyli, opowiadali wszystkim, marzyli o tym, jak niebawem się do niego przeprowadzą, jak będą przyjmować tam gości, pić kawę na podwórku w cieniu drzew, jak rano będą stąpać bosy po trawie.

I nagle okazało się, że dom nie ma kanalizacji. Nic donikąd nie uchodzi. Szambowóz nie ma skąd wypompowywać produktów ludzkich czynności życiowych.

Specjalista, którego wezwali, by zbadał ten problem, po obejrzeniu domku wyjaśnił, że fekalia są zmywane wprost do piwnicy. A piwnica jest ich już pełna po brzegi. Więc domek, który kupili, stoi na gównie - i nie da się z tym nic zrobić, bo budynek się zawali. I co teraz za radość kąpać się w tym dzakuzi, wciąż pamiętając, co właściwie chlupie tam na dole - jakieś kilka metrów niżej?

Tak, człowiek to dom, który stoi na gównie. I bez tego gówna może się zawalić.

Coraz częściej omawialiśmy z Miszą możliwość przeprowadzki. Możliwość uciezki. Możliwość obrony.

Później, pod koniec wiosny, na podwórku przy kiosku zauważyłam, jak dzieci, wydłubawszy z muszli różowego, oślizgłego ślimaka, chlapnęły nim o asfalt i na czworakach, grupując się dookoła (ślimak puszczał bąbelki - jakby gotował się na słońcu), trącały patykami kawałek nieruchawego mięsa.

„Natychniast” - pomyślałam. „Dom za miastem - pomyślałam. - Lepiej w lesie. Albo w górskim wąwozie. Może na dnie kanionu. Na rzecznej wyspie. Dobrze, gdyby na dnie kanionu było morze - najlepiej zimne, lodowate, z górami lodowymi, wiatrami i ostrymi skałami wokół pogrążonej w mżawce i mgłę wyspy. Dom wydrążyć w kamieniu. Do mieszkania muszą prowadzić długie splecione tunele, ciasne i duszne, z nietoperzami i pajakami, ze stalaktytami i monotonnym, dźwięcznym kapaniem ciemnej wody, ze skamieniałymi resztkami przedpotopowych stworów. Wokół zasiedlić wszystko lwami, hienami i waranami z Komodo.

Skorpionami, grzechotnikami i rekinami. Koniecznie mieć w pobliżu: bagno, ruchome piaski, czynny wulkan, złożę radioaktywne. Kilka udoskonaleń - i można żyć, i będzie można jakoś żyć” - pomyślałam.

Niebawem wystawiliśmy mieszkanie na sprzedaż.

Cechą charakterystyczną naszego podglądacza była nieodpowiedzialność. Nieodpowiedzialność, małoduszność, strachliwość. Pragnął brać z życia łakome kąski, dostawać je już przeżute - i za nic nie płacić. Żadnych konsekwencji. Mieć to, czego nigdy w życiu by nie osiągnął. Stawać się kimś innym. Przeżywać cudze życie. Przymierzać cudze rozkosze, unikając kary.

Czy żyłabym inaczej, wiedząc, że ktoś mnie obserwuje?

Czy mu się podobaliśmy? Czuję, że nas kochał. Ale jak - tak jak kocha się kuzynów? Jak Bóg kocha swoje stworzenie?

Jak zwierzę domowe kocha swoich właścicieli?

Współczuł? Był czuły? Co mu się w nas nie podobało, a co zachwycalo? Co chciałby w nas zmienić?

Dużo o nas myślał - prawie stale. Niepokoił się o nas. Martwił. Trzymał kciuki. Kiedy na przykład mieliśmy dostać wizy, cały dzień chodził nieswój i modlił się, żeby wszystko się udało (albo przeciwnie - żeby się nie udało, przecież wizy oznaczały naszą nieobecność, a on nie powinien być nią zainteresowany).

I jak on o nas myślał: „Ciekawe, jak tam moi?” Czy w myślach mówił o nas po imieniu i jeśli tak, to w jaki sposób: srogo, oficjalnie - „Sofija i Mychajło”, czy rodzinnie - „Sofijka i

Myszko”, a może w ogóle jakoś słodkawo i nieznośnie: „Sofijeczka i Miszeńka”. „Ciekawe, jak tam Sofijeczka i Miszeńka, czy dostali wizy?”. A jeśli wymyślał nam przezwiska, to jakie: Kicia i Kotek, Suka i Samiec?

Pewnie zastanawiał się nad naszym życiem, analizował nasze plany, wyciągał jakieś wnioski. „To już pełen idiotyzm” - oburzał się na przykład. „Co za jełopy, ale durnie!” - z rozdrażnieniem kręcił głową. „A z tego w ogóle nic im nie wyjdzie, życia nie znają, pożyją tyle co ja - zrozumieją, że miałem rację”.

Być może marzyło mu się, że naprawdę z nami mieszka.

Radzi, rozmawia, żartuje, je kolację. Siedzi między nami, kiedy oglądamy film. Trzyma za rękę. Śpi z nami.

Bez wątpienia ciągle prowadził z nami wyobrażone rozmowy. „Oj, Sofijeczko, ale mi w pracy dziś dopiekli! Już nie mogę po prostu, niedługo ich wszystkich zarżnę. Widziałaś ich durne mordy - pijane ścierwa. Ale lepiej żebyś nie widziała, znów potem nie będziesz mogła zasnąć”. Wyobrażam sobie, jak rozczulenie ścisnęło mu serce, kiedy ujawniały się moje różne słabe albo wzruszające strony. Ona się boi w nocy. Płacze na filmie. Je banana (choć nie: jedzenie banana to z innej opery, to nie o rozczuleniu).

Znał naszych przyjaciół: tych, którzy przychodzili do nas w gości, znał lepiej, tych, o których tylko słyżał - znacznie gorzej. Znał mnóstwo ich życiowych historii. Niektórzy mu się podobali (jak na przykład Stefa: jej ciepły tembr z chrypką, jej rzeźbiony profil, jej dziwna właściwość całkowitego zmieniania się po alkoholu, jej męski typ upicia), inni strasznie drażnili (powiedzmy: Stepan, z jego wąskimi džinsami i wydatnym nosem, Stepan, który lubił wszystko wyjaśniać i opowiadać, jakby był najmądrzejszy na świecie).

„Myśli sobie, że najmądrzejszy na świecie jest” - burczał pod nosem Elektryk Edward, a tak naprawdę - Hydraulik Leonid, krzywiąc się rozdrażniony).

Ogólnie rzecz biorąc, był o nas zazdrosny - przecież stał się naszym właścicielem, należeliśmy do niego, miał do nas wszelkie prawa i nikt inny nie powinien czerpać z naszego towarzystwa przyjemności, spędzać z nami czasu. Poza tym nasi przyjaciele mogli nas dotykać i rozmawiać z nami na jawie. On mógł to robić tylko w wyobraźni. Choć z drugiej strony, uspokajał się przekonany, że wszyscy ci przyjaciele nie wiedzą o nas tyle, co on. Nawet się nie domyślają, jacy jesteśmy naprawdę. Za to on zna nas lepiej niż my sami.

Czy znał nas lepiej niż my sami? Czy dostrzegł w nas coś ważnego, coś, czego nie jesteśmy w stanie zobaczyć z powodu zbyt bliskiej odległości, z powodu patrzenia na siebie od środka? Coś, do czego dojdziemy może pod koniec życia.

Czy rozumiał, jak żyjemy? I na jakie - szczęśliwe czy nieszczęśliwe - wyglądało mu nasze życie? Zazdrościł nam czy współczuł? Rozumiał nas czy obserwował jak szaleńców? Chciał być taki jak my czy odwrotnie - cieszył się, że jest, kim jest?

Ciekawe, co poczuł, kiedy żywy Misza z krwi i kości wyrósł przed nim i złapał go za bary. Misza, który stał się sensem jego życia. Misza, o którym tyle myślał i którego tak długo obserwował, ale który był niedostępny jak przeciwny kraniec nieba.

Co czuje człowiek, kiedy zaczyna go nawalać jego własne zmaterializowane marzenie?

Człowiek - to voyeur. Od dzieciństwa rozkoszuje się obserwowaniem: mrówek w mrowisku, żab, kotów. Potem innych ludzi.

Niebawem przychodzi moment, kiedy zainteresowanie przeradza się w coś więcej. W świadomość własnej siły, w poczucie, że masz wpływ, że możesz stworzyć pewne warunki, zmienić czyjeś istnienie. I wtedy w mrowisku zdarzają się powodzie, kijanki giną w trzylitrowym słoju z wodą z kranu, tłuste ciała pozbawionych skrzydeł much zdezorientowane podrygują na stole.

Człowiek - to niedorobiony Bóg. Lubi rozbijać i rozkręcać, rozkładać na cząstki, interesuje go zasada działania, to, z czego się wszystko składa i jak funkcjonuje. Tylko - złożyć z powrotem, żeby znów działało i żyło, nie umie.

Tak mali chłopcy rozkręcają zegarki i magnetofony. A potem płaczą, zagubieni nad milionem elementów, nad milionem drobnych, bezdusznych, bezrozumnych cząstek, które nijak nie chcą się złożyć do kupy.

Zagubieni pośród tych drobiazgow, znów gwałtownie odczuwają samotność i bezsilność. Bo ucieczka w cudze życie czyni te uczucia czymś bardziej nieznośnym, bolesnym i straszniejszym - tylko je wzmacnia. Jeszcze o krok zbliża do malutkiej ciemności własnej sypialni.

A więc co możesz zrobić z tym milionem drobnutkich kawałeczków porozrzucanych przed tobą na stole?

Chyba tylko się między nimi zgubić. Zabłąkać się w mnóstwie okoliczności, które zdawały się prostsze niż funt kłaków, w przyczynach i skutkach, w gestach, mimice, w chodzie, w sposobie podawania ręki, w przyzwyczajeniach, namiętnościach, zabobonach. Ugrzęznąć gdzieś, między którymś z trybików (i przez to, że ugrzęzniesz w czwartym, coś brzęknie w dwa tysiące czterdziestym ósmym), i zawyć, tak głośno, jak ci pozwoli ściśnięta klatka piersiowa - bo wszędzie, gdzie spojrzysz, nieskończone labirynty, a wyjście z nich - w funcie kłaków.

I co teraz, Edwardzie Elektryku, panie światła? Co teraz, Leonidzie Hydrauliku, władco wody i wszystkiego, skąd się ona leje i dokąd wycieka? Tak chciałeś podglądać? Tak chciałeś mnie dotknąć od środka?

Nie musiałeś marznąć na swojej drabinie, odmrażając ręce, przewiewając twarz.

Czyżbyś nie wiedział: dla każdego, kto zechce patrzeć, znajdzie się ktoś, kto chce pokazywać.

Patrz.

Krew

Z jakiegoś powodu zawsze wyobrażałam ją sobie za kierownicą kabrioletu - taki słodki, kiczowaty obrazek: siedzi z lekką chustką na głowie, zawiązaną wokół szyi, w wielkich okularach a la Brigitte Bardot. W ogóle była dla mnie kobietą w stylu Brigitte Bardot, no, może jeszcze Sophii Loren, chociaż ta ma chyba zbyt ostre rysy; w żadnym razie jednak nie Marilyn Monroe. Jednym słowem, była urodzonym symbolem seksu. Kiedy zamykam oczy, widzę ją na olbrzymich billboardach nad teksańskimi autostradami, sznur pereł na szyi, białe ząbki, też jak perły; widzę ją na czarno-białych ekranach małych kin, gdzie na sali siedzą niezdarne, nędzne kobietki, wszystkie tak samo spragnione podobieństwa do niej; widzę ją na kalendarzach, jak puszcza oko, na okładkach żurnali, w jasnych sukniach z głębokim dekoltem i odkrytymi ramionami, pod rękę z niezgrabnymi mężczyznami wątpliwej atrakcyjności, ubranymi jednak w drogie, eleganckie garnitury, co nadaje ich toporności szczególnego uroku (kobiety jej pokroju zawsze ciągnie do brzydkich mężczyzn, chociaż Roger Vadim to już było nieporozumienie). Dziwię się, jakim cudem jej życiu udało się tak ułożyć, że nie została aktorką, nie wystąpiła w filmie, nie dostrzegł jej żaden Roger Vadim, nie trafiła ani do Francji, ani do Włoch, ani do Ameryki. Tymczasem siostra cioteczna jej ojca, towarzysząca jego zabawom, której, nie zważając na to, ojciec nienawidził z dziecięcą zawziętością, gdzieś w przerwie między dwiema wojnami razem z rodziną przeniosła się na drugi koniec świata. Niebawem siostra (osoba choleryczna, nerwowa i zgryźliwa) została solistką operową, wyszła za mąż za ukraińskiego emigranta, sknerę i nudziarza, i nawet w domu zawsze chodziła w peruce, ze sztucznymi rzęsami i paznokciami, i na wysokich obcasach. Dlaczegoż i jej nie przytrafiło się coś podobnego? Nie sztuczne rzęsy oczywiście i nie mąż nudziarz, tylko Ameryka, Hollywood i billboardy ze śnieżnobiałym uśmiechem w każdym stanie, gościnne występy w Europie, opowieści o ukraińskim pochodzeniu, kilka prostych zdań wypowiedzianych łamanym ukraińskim, pieniądze dla ukraińskich sierot, fundacja opieki nad zwierzętami - zupełnie jak Brigitte, tom wspomnień o wczesnym dzieciństwie, o rodzicach, o ciotecznej siostrze ojca - znanej solistce operowej, kilka małżeństw, kilka rozwodów, alkoholizm, kilkoro nieszczęśliwych dzieci obdzielonych matczyną troską, diamenty, kochankowie, worki z listami od wielbicieli, talk-show, akcje charytatywne, pokazy mody, kilku depresyjnych maniaków, którzy wydzwanają na jej prywatne ranczo, piszą listy krwią i pozbawiają się życia z

jej powodu, wyrzynając uprzednio wychowanków jednego z przedszkoli - paparazzi, jachty, kluby, depresje, zmarszczki, operacje plastyczne, aukcje i starość w zasobnym majątku, w drogich futrach, z pierścionkami na żółtych palcach, żadnych luster na ścianach, kosmetologzy, masażyści i lekarze (mężczyźni albo potworne, niemłode kobiety), masochistyczne przeglądanie albumów sprzed trzydziestu lat, samotność i paranoja z rzadka przerywane zaproszeniem na rozdanie nagród filmowych, wizytą dziennikarzy, pojedynczymi listami i kartkami, które jeden z maniakałnych wielbicieli, też już stary i bezsilny, do dziś przysyła na ukraińskie Boże Narodzenie.

Jakim cudem ominęło ją to wszystko? Skąd ta wściekła, zła nielogiczność? I po co urodziła się taka, po co ktoś nagroził ją tym niepotrzebnym jej w życiu ciałem, tym zapachem i blaskiem skóry, błyskiem oczu, drobnymi gestami i minami, na które chce się wciąż patrzeć i przez które tak boleśnie ściska w dołku - tym wszystkim, czego przeznaczenia po prostu nie znała i co nosiła na sobie niczym jakieś bezsensowne futro z norek w środku lata. Jej wygląd to było nieporozumienie.

Reszcie jej rodziny o wiele bardziej się poszczęściło, z nimi wszystko było w porządku, pełna harmonia. Ojciec - wielki, niezgrabny i niezdarny, zawsze skrzywiony i małowówny, z krągłym brzuchem i na cienkich nogach; matka - całkowicie obwisła po trzech porodach, z mięciutką, rozciągniętą skórą, cienkimi włosami, wypukłymi oczami i czołem, wąskimi wargami i śmiesznym perkatym nosem. Z obiema młodszymi siostrami też wszystko było jasne. Skrojone niczym według jakiejś boskiej sztampy, odziedziczyły sylwetkę ojca, matczyną wypukłość twarzy, szarobłękitną skórę i niebieskie żyły na nogach - tylko u młodszej do bladeści dochodziły jeszcze włosy niczym biały ptasi puch, a środkowa nie wiadomo skąd podłapała długi cienki nos, podobnego nie miał nikt ze znanych kuzynów. Na szczęście pozostawali jeszcze nieznan.

Odkąd urodziła się średnia siostra - i do samej śmierci ojca - ich matka lubiła opowiadać historię, która podobno przytrafiła się jednej z jej szkolnych koleżanek: otóż kiedy koleżanka wyszła za męża, urodziła Murzynka, a jej mąż, gdy go zobaczył, potłukł wszystkie naczynia, pobił nieszczęsną, ledwie się powstrzymując, by nie udusić bękarta, i pozbierawszy rzeczy, poszedł w siną dal. Babka nieszczęsnej rodzicielki odczekała jakiś czas i zrozumiawszy, że małżeństwo wnuczki jednak się rozpada, zebrała się na odwagę, odwiedziła jej oburzonego męża i wyznała mu największą tajemnicę swego życia - jednorazowy akt z asystentem dyplomaty z Namibii, z którym zaszła w ciążę, będąc już zamężna.

Opowiedziała, jak ze strachu niemal nie pozbawiła życia siebie i nienarodzonego dziecka, jednak coś jej przeszkodziło, a potem zdarzył się cud - noworodek okazał się białoskóry i jasnowłosy, i wszystko niby się ułożyło, babka odetchnęła z ulgą, stała się nagle gorliwą

katoliczką, a nocami, zлана potem, zanurzała się w palące i duszne sny, w których wciąż występował asystent dyplomaty z Namibii.

Z zachwytem relacjonując historię szkolnej koleżanki, mama ze szczególną namiętnością oddawała się opowiadaniu tych snów: jakimś głuchym, stłumionym głosem, raz po raz odkasłując i masując szyję prawą dłonią, opisywała nieprzejrzaną ciemność cieplarni i oranżerii, gdzie powietrze aż spływało tłustą wilgocią, a mięsiste liście wijących się, przypominających płazy roślin dotykały swoją śliską, chłodną powierzchnią rozpalonych policzków i ramion, zostawiając srebrzyste smugi, podobne do śluzu, który ciągną za sobą ślimaki; prawie nie było tam powietrza, a rośliny zamiast produkować tlen, pochłaniały go z szaloną prędkością, wydzielając błękitny dwutlenek węgla i wilgoć, która skraplała się na źdźbłach i liściach, na słupkach i pręcikach, kłosach, pączkach, płatkach i szypułkach; ruchy paraliżował zaduch, ciemność uciskała gałki oczne, a stopy ugniatały jakąś ciepłą, gęstą breję - błoto albo glinę, której bryzgi leciały na łydki i uda, i dolatywały nawet do piersi, koszula nocna nasiąkała wilgocią, lepiała się do skóry i przeszkadzała w przemieszczaniu się, ta biała nocna koszula świeciła w cieplarnianej czerni, zdradzając obecność bohaterki snu - można ją było zobaczyć, podczas gdy ona niczego nie widziała i nawet nie domyślała się, z której strony jest obserwowana - bo to, że jest obserwowana, wiedziała na pewno i ani na chwilę w to nie wątpiła, ogarniała ją panika, próbowała znaleźć wyjście z cieplarni, taplając się w ciepłej glinie, ślizgając się na niej, chwytając się śliskich, jakby zgniłych łądyg, słyszała, jak rośliny trzeszczą i szumią gdzieś w pobliżu, słyszała, jak ktoś zbliża się do niej, ale skąd - nie dawało się ustalić, wrażenie było takie, jakby nadchodził ze wszystkich stron naraz, w końcu znajdowała wyjście - z rozpędu padała prosto w błoto, czuła, jak gęsta, leniwa breja oblepia jej ciało, napęlnia wgłębienia, liże skórę, i nawet koszula nocna nie pomaga; ale było już za późno, kamuflaż nie zdał się na nic, już dawno ją zauważono i za chwilę miała zostać złapana, zamykała oczy i padała twarzą w glinę, teraz ciemność wypełniła ją nawet od środka, nie słyszała dźwięków, nie czuła zapachów i nie mogła oddychać, płuca powinny się już były rozerwać, a całe ciało ostygło z przerażenia, nie zważając na otaczający je żar, jej mokrych, oblepionych błotem pleców ktoś dotykał długo i natarczywie, i sama czuła się jak zgniła łądyga, tak śliski i mokry był ten dotyk, wciskała się twarzą w ziemię, coraz głębiej i głębiej, aż głowę miała całkowicie zakopaną, a ciało sterczało nad ziemią z rozłożonymi nogami, które wisiły w powietrzu niczym gałęzie; jej głowa nie chciała niczego więcej wiedzieć, a ciepłe błoto chlupało i łaskotało - szczególnie, kiedy trafiało na bosc stopy.

Właśnie to oddzielało i oddalało moją podobną do Brigitte kuzynkę od reszty rodziny - kiedy inni słuchali historii o czarnoskórym niemowlęciu, ona słuchała snu. Ten sen wsączał się w jej krew. Teraz śni się mnie.

Mogę wymyślać cokolwiek, mogę zachowywać dokumentalną dokładność, opowiadać to, co wiem, opisywać to, co sama widziałam - a i tak zawsze będę mówić tylko o sobie.

Opisując innych ludzi, ich wygląd i słowa - będę opisywać jedynie siebie samą. W innych nie mogę zobaczyć niczego poza swoim odbiciem.

Opowiadając o kuzynce, która razem z krwią przekazała mi swoje sny, tak naprawdę nie potrafię opowiedzieć niczego o niej samej. Nie potrafiłabym, nawet jeśli przeżyłabym przy niej każdą minutę życia, spała z nią na jednej poduszce, jadła z jednego talerza i nie pozwalała jej spędzić ani chwili beze mnie. Nawet obserwując ją w taki surowy i natrętny sposób (choć to niemożliwe już choćby dlatego, że jest między nami zbyt duża różnica wieku), zostałabym sama, Podobnie zresztą jak i ona. Jesteśmy zamknięci w ciasnych czaszkach jak w malutkich białych pokojach - każdy ma po jednym, i nawet gdybyśmy chcieli, nie moglibyśmy pokazać drugiemu swoich poplątanych i ruchliwych myśli. Nie wyobrażamy sobie nawet, co dzieje się w innych pokojach, i nikt się nie domyśla, co też wyrabia się w naszych. Udając bliskość, zachowujemy spokój, bo wiemy, że ten, kto rzekomo wie o nas najwięcej, nigdy nie zobaczy grubych warstw kurzu ukrytych w kątach, w których huśtają się skurczone trupki karaluchów, tłustych plam na dywanie i ścianach, wywalonej wprost na podłogę brudnej bielizny, pokrytej żółto-brunatnymi plamami, przez którą w tym ciasnym, nigdy niewietrzonym pomieszczeniu unosi się zgniły, słodkawy zapach.

Sortując własną brudną bieliznę (z żółtymi plamami na jedną kupę, z brunatnymi - na drugą), możemy tylko wyobrażać sobie cudze życie. Wyobrażając je sobie, widzimy jedynie odbicie własnego białego pokoju.

I do dziś nie mogę pojąć, że w mojej głowie, którą codziennie oglądam w lustrze, jest czaszka. Wymacuję palcami kontury oczodołów, kości policzkowe, boczne wgłębienia pomiędzy górną a dolną szczęką - i robi mi się wesoło: czyżby tam, w środku, naprawdę była prawdziwa ludzka czaszka? Niemożliwe.

Zatem opowiadałam o tym, co widziałam na własne oczy.

Opowiadałam o niej albo o swoim odbiciu, a może odwrotnie - o jej odbiciu we mnie, nieważne.

Ważne jest to, jaka była. Ważna jest ta nieodpowiedniość jej ciała, nieprzystawalność seksu, który w sobie nosiła, do życia, które wiodła. I nikt nie jest temu winien - nawet Ty, Boże, nawet Ciebie o to nie winię.

To jedna z największych zagadek mojego życia - po co było w niej tyle seksu? Sama nie wiedziała, co z nim robić, nijak go nie wykorzystywała, przeszkadzali sobie nawzajem - ona i jej seks, nie umieli sobie ze sobą radzić, kopali pod sobą dołki - i całe życie w nich przesiedzieli.

Nigdy nie poczuła spokoju i radości płynących z tego, że wyszła za męża, urodziła dziecko, gotowała, zaszywała mężowi spodnie, chodziła do sklepu, do pracy, wypełniała jakieś formularze, piła kawę z koleżankami z biura, słuchała ich zwierzeń, spędzała święta z rodziną, w dni wolne wstawiała później niż w powszednie, a zanim poszła do pracy, słuchała radia. Spokój i radość czuła czasem, spełniając obowiązki małżeńskie - ale to prawie nie było powiązane z żyjącym w niej seksem; czuła, jak dalekie jest to, co ma, od tego, co mieć powinna.

Jej ciało żyło samo dla siebie, nie pytając jej o pozwolenie.

Wciąż się dotykała - nie pamiętam momentu, żeby jej dłonie nie gładziły szyi, ramienia, żeby złożone w łódeczki nie ważyły ciężkich, pełnych piersi, białych, gorących, pachnących aromatyczną skórą, z napiętymi, pomarszczonymi sutkami. Z mężem zawsze spała osobno - to było jedyne, co zrobiła w swoim życiu jak należy - wymogła na mężu własną przestronną sypialnię, w której hulał wiatr i zawsze panowało nieprzytulne zimno - właśnie taka sypialnia najlepiej do niej pasowała, w takiej sypialni, surowej i jasnej, mieszkała zapewne Królowa Śniegu - wiatr i zimno miały ją odciągać od bezustannego pszczelego bzyczenia pragnień, chociaż tak naprawdę nie odciągały, tylko je rozbudzały. Ustawiła tam mnóstwo luster - kilka trzyczęściowych toaletek rozmieszczonych tak, żeby z każdego punktu pokoju mogła widzieć się jednocześnie ze wszystkich stron.

Przed tymi lustrami wklepywała kremy. Miała całą baterię kremów - krem do stóp, krem do ciała, krem do piersi, krem do twarzy i szyi, krem do oczu, krem do rąk. Podobały się jej ich miękkie, mleczne zapachy, podobało się jej wyciskanie z buteleczek i tubek tłustej białej substancji i rozsmarowywanie jej na skórze, podobał się chłód kremów i połysk, jaki zostawiały, podobało się oglądanie siebie w różnych pozach od razu ze wszystkich stron, oglądanie swoich dłoni, które dotykały to ud, to piersi, to łydek albo stóp, podobał się bezradny widok z tyłu, podobał królewski widok z boku, siedziała na niskim stołku na środku pokoju, pośladki i uda rozchyłały się i tonęły w kosmatej bordowej poduszce, i energicznie wcierała w skórę pachnącą wilgoć, odrzucała głowę, podnosiła ręce i przez kilka minut wpatrywała się w ciemne zakamarki pod pachami. Miała dużo grzebieni i szczotek do włosów, drewnianych, metalowych, plastikowych, długo się czesała, a potem potrząsała głową, i gęste włosy nieposłuszenie podskakiwały i opadały na czoło i policzki krótkimi, falistymi pasmami. Miała dużo ładnych, kolorowych sukienek, kwiecistych, gładkich, w grochy i we wzory, opinały jej krągłe uda i krągłe piersi, a tkanina przyjemnie łaskotała skórę, łagodnie jej dotykając. Lubiła nosić kolczyki i korale, lubiła, by przy każdym kroku pobrzękiwały o szyję i policzki. Lubiła koszule nocne - czyste, pachnące proszkiem do prania - które przez pierwsze dwie noce tchnęły świeżością, a potem

przesiadały pod ciężkimi pierzynami zapachem potu i nabierały jej aromatów, podwijaly się aż na brzuch od jej niespokojnych snów, utykały między nogami, odkrywały piersi i kępowały ruchy.

Na rodzinnych świętach albo biesiadach ze współpracownikami często śpiewała dźwięcznym głosem - zupełnie inaczej niż gdy siedziała na stołku, wcierając krem. A jednak nawet kiedy nucila cicho i ostrożnie, odkrywała się i zaczynała wydzielać swój piżmowy aromat - a kiedy się na tym przyłapywała, marszczyła brwi i pochmurniała, bo dookoła zaczynały łakomie błyskać pociemniałe źrenice i nerwowe ochryple oddechy zlewały się w chór, czując wołanie samicy.

Tak samo było z jej śmiechem. Śmiała się wyraźnie i dźwięcznie - i kiedy nieostrożnie zaczynała zanosic się śmiechem, słysząc opowiedziany przez kogoś żart albo tak po prostu, z dobrego nastroju (choć wszyscy wiedzieli, że ta kobieta rzadko bywa w dobrym nastroju) - było tak, jakby głaśkała zwierzęta pod włos, w bardzo czułych miejscach, a zwierzęta od razu pragnęły odpowiedziec jakoś na ten dotyk.

Jeszcze bardziej niż śpiew nauczyła się kontrolować swój niebezpieczny śmiech.

Mogłabym opowiadać o niej w nieskończoność. Mam o czym mówić - jednak teraz nie o to chodzi. Nie chcę opisywać jej malutkich uszu, jej idealnie wyrzeźbionego nosa z nozdrzami (za każde z nich można by wyrznać kilka niewielkich narodów), nie chcę opowiadać o jej śniadaniach przy nakrytym ceratą kuchennym stole - jak kroila grube kromki białego chleba, zlizywała z noża wielkie zmarzniete kawalki zółtego wiejskiego masła, brała palcami plasterki sera i kielbasy i zapijała to wszystko słodzoną czarną herbatą albo kawą z mlekiem; nie powiem ani słowa o jej ciągłym niezadowoleniu i o rozkoszy płynącej z prorokowania nieszczęść i porażek, o cmokaniu (nie z radości, nie w przeczuciu czegoś przyjemnego, ale z rozdrażnienia), o wzdychaniu i zjadliwości. Nie będę powtarzać wszystkich historii o tym, jak przepływała wzdłuż i wszerz miejskie jezioro, kiedy jeszcze można było w nim pływać; o tym, ile fałszywego złota kupowała od fałszywych Cyganów, i jak lubila złoto i ozdoby, i rozmaite kosztowności, jak wieczorem rozkładała przed sobą swoje korale, pierścionki, kolczyki, jak je mierzyła przed lustrami, jak ubolewała, kiedy gubiła któryś ze swoich skarbów; jak jeździła rowerem na bazar - ubierała się w ulubioną sukienkę za kolano, tę, która unosiła się aż do ud - wystarczyło, że zakręciła pedałami; napinały się mięśnie, wylaniały spod oliwkowej skóry niczym naciagniete postronki, jechała sobie, wiedząc, że jej talia w porównaniu z tyłkiem wyglada szczególnie korzystnie, a kiedy chodzila między rzędami straganów na bazarze, kupując warzywa, cebule i szczypior, kalafior, marchew, kartofle i fasolkę szparagową, stapała jak królowa, z rozmachem kręcąc głową, żeby kolczyki bujaly się, uderzaly w policzki i dodawaly jej majestatu, a rower prowadziła obok siebie

jak konia. Tak, lubiła powtarzać, że ma smagłą skórę, kasztanowe włosy i piwne oczy - to była jej duma; gdy się opalała, nigdy nie robiła się czerwona, od razu zaczynała błyszczeć niczym brąz.

Nawet nie wspomnę o tym, że według wszystkich kryteriów należała do kobiet, które zawsze i wszędzie przykuwają do siebie uwagę, nadają ton, narzucają temat rozmowy, mówią, kiedy śpiewać, śmieją się i cieszą zupełnie ze wszystkiego, pełne radości życia i piękne, pełne woli życia i pewności, że przed nimi jeszcze wiele przyjemnych niespodzianek.

Wiedząc o tej swojej zwodniczej właściwości, ze szczególnie okrutną rozkoszą lubiła gnębić ludzi i psuć im nastrój.

I nikt nie mógł się uchronić przed jej zjadliwymi uwagami, sceptycznymi ripostami, przed jej złośliwymi żartami, pochmurnymi historiami, niewesołym śmiechem i złowieszczymi prorocztwami. Ach, jak pięknie, delikatnie i podstępnie kilkoma zdaniem, albo nawet jednym, dwoma wieloznacznymi westchnieniami przemieniała radosne, hałaśliwe towarzystwo w ponurą grupkę samobójców - i ani razu nikt nie zdołał jej przeszkodzić, tak samo jak nikt się nie oparł, żadna, nawet drobna radość nie miała najmniejszych szans pod jej nieubłaganym spojrzeniem. Lubiła psuć i niszczyć - nastrój, miłość, związki, życie, siebie, abstrakcyjne pojęcia, w które rzekomo nie wierzyła (bo wierzyć było niebezpiecznie) i którymi gardziła (bo zapobiegało to wielu niebezpieczeństwom) - wszystko, tylko nie rzeczy materialne. Niszczenie przedmiotów było proste i zbędne. Niszczenie życia było zbędne, trudne, słodkie i bolesne.

Miłość innych do niej i jej do innych nigdy nie dała jej nawet cienia radości. Wciąż pamiętała, że koniec nieodmiennie nadejdzie, dlatego bezsensowne wydawały się jej wszystkie starania, głupawe nadzieje, nawet kilka przyjemnie spędzonych minut drażniło ją, dlatego że ani na moment nie zapominała o najważniejszym. Rezygnując z przyjemności i bez troski maleńkich rozkoszy, chroniła siebie: nic nie mogło jej zaskoczyć. Kiedy pozwalasz sobie na wolność, rozluźniasz się i zaczynasz wierzyć, że nie wszystko jest całkiem złe i że istnieje jednak jakiś sens, stajesz się słaby, śmieszny, bezbronny i żaloszny. Zadbala o to, by nigdy nie być słabą i żaloszną.

Ostatnią słabostką były lustra w sypialni. Jednak nawet to, co miała najwyrazistszego, radykalnie i szczelnie ograniczyła. Kontrolować tembru głosu, zapachu i wewnętrznego blasku skóry nie mogła; nie mogła uniknąć pożądlivych spojrzeń, męskiego ocierania się o jej boki, głodnych łap, które ślizgały się, szczypały, głaskały, klepały i łapały ją za biodra, łydki, ramiona, brzuch. Piorunowała samców spojrzeniem i cedziła przez zęby kilka poniżających słów ale uniknąć tych objęć i pragnień nijak nie mogła. Mogła natomiast zabronić sobie wszystkiego innego. Zamykała wrota i otwierała skrzydła toaletki w sypialni. Tam nie była sama. Tam było jej wiele.

Niełatwo przychodziło jej niedopuszczanie do siebie mężczyzn. Czasem cierpło jej całe ciało, ręce i nogi zalewał ciężki płynny metal, gardło się zaciskało, a krew jak oszalała rozdymała żyły, przez co w udach wszystko drżało, jak podczas trzęsienia ziemi. Ledwie się powstrzymywała, żeby nie stłuc luster, nie roztrzaskać wszystkiego, co stało w pokoju, nie zawyc pełną piersią, szczękając kłami i rozrywając skórę pazurami. Trzeba było używać coraz więcej i więcej kremu. Nie знаła innego wyjścia - krem pomagał schłodzić nieco rozżarzone miejsca i rozgrzać zimne. Czuła się jak ośmiornica z odrąbanymi mackami. Kikuty trzeba było zaleczyć. Nigdy się nie goiły, a nieistniejące kończyny bolały ją jak kalekich kombatantów.

Czasami się poddawała. Tak jak wtedy. O tym w końcu opowiem. Nie mogę już dłużej siedzieć w milczeniu.

Wszystko, co potrafię wyskrobać z pamięci o tamtym lecie, to wążutkie i delikatne smużki, podobne do drewnianych wiórów. Takich wiórów, żółtych i pachnących, pełno było na naszym podwórku - tam, gdzie piłowano i obrabiano deski. Wiórami można było napychać sobie kieszenie, siatki i torby, nie płaciło się za nie. Najcieńsze, niemal przezroczyste i ciepłe kawałeczki, przyjemnie było głaskać koniuszkami palców, opuszki pachniały potem świeżym drewnem.

Nie mogę niczego pamiętać, obrazy wyłaniają się zbyt blado i niewyraźnie, jakbym patrzyła przez lornetkę od drugiej strony - tej, która oddala i czyni ludzi i przedmioty mikroskopijnymi. Nie zapewniam i nie upieram się. Nie jestem przekonana, czy woda naprawdę była wtedy tak ciepła jak mleko i czy naprawdę się jej nie bałam, i pieskiem, rozchlapując na wszystkie strony całe jej fontanny, pływałam przy brzegu pomiędzy ludzkimi ciałami, i czy kiedy zamykałam oczy, leżąc na piasku, a słońce zlizywało z mojej malutkiej skóry słone krople wykradzione z morza, słyszałam równomierne dzwonięcie, uspokajające, senne dzwonięcie wielu dziesiątek głosów, urywki rozmów, których nie rozumiałam, zapachy dyni i kukurydzy, a w dłoni przesypywałam piasek. W piasku trafiały się ostre odłamki muszli, gładziutkie i stępione kawałeczki zielonego szkła z butelek po piwie, pestki moreli - wydaje mi się, że dotykanie suchych Pestek moreli, właśnie tak, z zanurzoną w piasku twarzą, było najprzyjemniejsze.

Miałam trzy lata i kilka miesięcy, byłam chuda, miałam wystające żebra, które można było wykorzystać jako liczydło, a nogi przypominały żabie łapki. Wciąż chodziłam, zsuwając palce i rozstawiając pięty, ale moje nogi były przynajmniej równe. Jak od linijki. Już od dawna nie byłam zakuta w skórzane strzemiona, których nie wolno było zdejmować ani w dzień, ani w nocy, ani w upał, ani w ziąb - jeżeli już, to tylko do kąpieli. Wcisnęli mnie w nie wiosną, miałam wtedy kilka miesięcy bez trzech lat, a moje nogi przypominały koło. Wiosna i lato tamtego roku były upalne. Moje ciało czerwieniało, zalewało się drobnymi jak ziarna maku kroplami dziecięcego potu i

ciągle wrzeszczałam, wrzeszczałam dźwięcznym i ostrym głosem niemowlęcia, zdierałam ten głos i po prostu chrypiałam, a słońce tego niespotykanie upalnego lata zlizywało z mojej malutkiej skóry słone krople, więc łzy szybko się kończyły i płakałam już bez łez, i kurczyłabym całe ciało, gdyby skórzana uprząż nie ograniczała ruchów, a nie mogąc się poruszyć, ciągle marszczyłam twarz we wrzasku i już wtedy zrobiły mi się zmarszczki koło oczu, na czole i w kącikach ust. Ten potworny upał i to malutkie, czerwone, wrzaskliwe dziecko w skórzanych spodniach - trudno było znieść coś takiego. Wywoływałam konflikty, skandale, histerie, bójki, wybuchy chaotycznej agresji.

Zasypiali nad ranem, kiedy po prostu wyłączałam się z braku sił, budzili się już w apogeum upału i mojego wrzasku, mokrzy dorosłym potem, śmierdzący, rozdrażnieni, źli, pozbawieni wiary w to, że kiedykolwiek spadnie deszcz, a to dziecko się zamknie. Gdyby wtedy nie wytrzymali i zdjęli ze mnie te spodnie, spałabym w milczeniu z uśmiechem na twarzy i wkrótce nadszedłby jakiś chłodny cyklon.

A teraz byłabym przepiękną kaleką, cudownym pokurczem o krabim chodzie, napompowanym niespełnionymi, ropnymi, słodkimi i bolesnymi pragnieniami, czuły krzywy potworek - można by mnie było pokazywać za pieniądze i trzymać w klatce pomiędzy brodatą kobietą a mężczyzną, któremu z brzucha wyrósł brat.

Miałam trzy lata i kilka miesięcy i jechałyśmy nieskończenie długo pociągiem, a potem długo, bardzo długo trolejbusem, i chyba jeszcze autobusem, i wcześniej rano - powietrze było takie niebieściutkie, mokre i świeże, ale już pachniało promieniami słońca, igliwem i figami - przybyłyśmy do miejscowości, która mogłaby się nazywać Sołniecznogorskoje, a mogłaby też jakoś inaczej. Hala ciągnęła mnie za rękę i wydawała rozdrażnionym głosem krótkie, ostre rozkazy, których jednak nie słyszałam, bo przechodząc obok sadów, jadłodajni z pielmieniami, żółtych, oblazłych palm i rowów do odprowadzania wody ciągnących się po obu stronach każdej spadzistej ulicy, tak naprawdę wciąż spałam i widziałam to wszystko we śnie. To był jeden z tych bardzo rzadkich wypadków, kiedy sen i jawa w pełni się zbiegają.

Zakwaterowano nas w jednej z drewnianych chatek stojących niemal na samej plaży. Wewnątrz były dwa łóżka z przegniłymi stelażami, stół, trzy krzywe stołki i jedna szafka pokryta brązowym lakierem. Deski podłogi wyścielał piasek i żdźbła suchej trawy.

Tym, co najbardziej poraziło mnie w jednopokojowym domku i po prostu zapędziło w ślepy zaułek, była jego niepotrzebna wysokość. Z zewnątrz budynek wyglądał na piętrowy. Wewnątrz miał zaś tylko jeden niewielki, ale wysoki pokój - pięć metrów bezsensownych desek, na których opierał się spadzisty dach.

Był jeszcze kontakt i radio. Radio grało bezustannie. Hala lubiła słuchać radia.

Przez szpary między deskami ścian widać było takie same domki, plażę, zardzewiałe kosze na śmieci i morze. Przez szczeliny w podłodze - piasek, porozrzucane na nim papierki, opakowania, niedopałki, pestki, poczerńiałe i wyschnięte ogryzki kukurydzy i jabłek, butelki od piwa, kapsle.

Siedziałam na łóżku nakrytym brzydkim, niebieskim kocem z dwoma białymi pasami i patrzyłam, jak Hala rozpakowuje rzeczy, wyciąga z walizki swój kostium, gumowy czepek pływacki, moje kąpielówki, dmuchaną kaczkę, mój plastikowy nocnik. Słońce zalewało pokój, w promieniach światła tańczyły drobinki kurzu. Kazała mi zrobić siusiu i przebrać się w kąpielówki. Potem sama się wysikała, napełniając nocnik po brzegi żółtopomarańczowym porannym moczem o mocnym zapachu.

Pamiętam tę torbę, jej ulubioną plażową torbę z nieprzyjemnej w dotyku, szorstkiej tkaniny upstrzonej pięknymi kwiatami. Torba wydawała mi się prawdziwym cudem.

Miała zatrzaski i po rozłożeniu zmieniała się w plażową matę.

Na nią kładło się ręcznik i suchą bieliznę, w którą obowiązkowo trzeba się było przebrać po kąpiel. Owijała mnie ręcznikiem i żądała, bym się przebrała. Potem sama zdejmowała kostium pod ręcznikiem.

Dno było piaszczyste i piasek przyjemnie pieścił stopy.

Małe rybki łaskotały w nogi, kłując je pyszczkami. Już sześć godzin siedziałam w wodzie, woda bez przerwy, niczym z odkręconych kranów, ciekła z moich ust, nosa, uszu, sączyła się ze wszystkich porów ciała i od czasu do czasu przez histeryczny hałas plażowiczów przedzierał się surowy głos Hali: „Usta masz już fioletowe!”.

Czasami, kiedy odechciewało mi się pluskać, podnosiłam się i zamierałam, nie zważając na kłębiące się wokół gołe ciała dzieci i dorosłych, które potraçały się i z całych sił starały dobrze się bawić - stawałam po pas w wodzie i szukałam jej wzrokiem. Siedziała na swoim barwnym kocu, jej opalona już niemal na brązowo skóra błyszczała niczym nasmarowana oliwą. Kretyński słomkowy kapelusik z szerokim rondem i brzydką różową wstążką, która zwisała jej pod brodą, ocieniał twarz Hali i ukrywał przed moim spojrzeniem jej nastrój. Piła piwo z butelki i zagryzała suszoną rybą, kupioną na miejscu. Okoliczne kobiety patrzyły na nią z przyganą, zezując tak, że dziwiłam się, jakim cudem oczy nie zapadają się im z napięcia do wnętrza czaszki.

O takim przypadku opowiadała mi starsza ode mnie o kilka lat Świeta Jeniszejew.

Jedna tłusta babka z kręconymi włosami - lubiłam na nią patrzeć, bo z jej kostiumu wyłaziło sto białych, błyszczących fałd sadła, które wesoło sprężynowały i podskakiwały, każda w swoją stronę; kobieta wzdrygała się przy każdym ruchu, wytwarzając obrazek tak dynamiczny, że można było zapaść przez nią w półhipnotyczny sen i zacząć opowiadać najtajemniejsze sekrety - no więc

tlusta babka z kręconymi włosami, siedząca po lewej stronie i trochę dalej od Hali, bezustannie wymierzała swoim czterem małym synom i mężowi razy w potylicę i aż parowała wściekłością. Doskonale to widziałam, zapadając się w piasku, stojąc po pas w morzu wśród maleńkich rybek i ludzi w kąpielówkach - wszystkie jej fałdy nabierały nagle buraczanego koloru, a powietrze wokół niej zaczynało wyginać się i drżeć, stawało się widoczne i faliste - bywa takie w otwartym lufciku, kiedy na zewnątrz jest mróz, a w kuchni gorąco, albo nad ognikiem zapalanej kuchenki.

A Hala znów krzyknęła swoje: „Wargi fioletowe!”, odchyliła się do tyłu i oparła na łokciach. Kapelusz spadł na piasek, różowa wstążka przekreśliła jej w poprzek gardło.

Ramięczka kostiumu kąpielowego zsunęły się jej z ramion, niemal odkrywając piersi. Opuściła głowę, przez co dolna warga wyduła się nieco do przodu, i popatrzyła na grubą i jej stadło. A potem uniosła ramiona, zsuwając ramięczka jeszcze niżej. Uspokoila się dopiero, kiedy zobaczyła brzezki swoich sutków. Wtedy zamknęła oczy, uśmiechnęła się i wystawiła twarz do słońca. Tak, oczy miała zamknięte, ale wiedziała, ile niezadowolonych spojrzeń przylepiło się do jej błyszczącej, jakby nasmarowanej oliwą, skóry. W jej wielkim, krągłym brzuszysku nagrzewało się w słońcu piwo, wargi piekły od solonej ryby i już zaczynało się chcieć siusiu. Ale spać też zaczynało się chcieć.

Walentyń Giennadijewicz dopiero co przyjechał, a już zaczął zataczać wokół Hali błędne koła. Zauważyłam go od razu - wyczerpana wysoka postać, kości obciążone bladobłękitną, wilgotną i chłodną żabią skórą, prześwitujące spod niej niebieskie żyły, wgłębienie w klatce piersiowej, żebra, chude ramiona, uda tej samej grubości co nadgarstki, bezbarwne, gęste, ale cienkie włosy na nogach, szczególnie po wewnętrznej stronie ud, trochę włosów pomiędzy niebieskawymi sutkami, pieprzyki pod pachami i na szyi, wielkie jabłko Adama. Miał bardzo duże stopy i bardzo wąskie biodra, do tego brzydki, okrągły brzusek z wystającym na zewnątrz węzłem pępka. Patrzyłam, jak uważnie obserwuje wodne procedury Hali. Wchodziła do wody po pas albo po piersi, lekko ugiwała nogi w kolanach i zaczynała robić przysiady, raz-dwa, raz-dwa, rozgarniając przy tym rękami wodę, jakby płynęła żabką, raz-dwa, raz-dwa, energicznie, w skupieniu, całkowicie pochłonięta tym procesem - jak się zdawało, najprzyjemniejszą rzeczą na świecie.

Raz-dwa, raz-dwa - nad wodą pojawiała się jej mokra szyja, ramiona, mocne opalone ręce, a potem wyskakiwały piersi, ściśle opięte kostiumem kąpielowym, spod którego wypinały się dwa naprężone sutki. Czasem kostium się zsuwał i przez minutę albo dwie, gdy tego nie zauważała, piersi uwalniały się, nie dość dokładnie ściśnięte materiałem, jedna trochę wyżej od drugiej, sutek drugiej widać było tylko do połowy, woda oblepiała je szczelną przejrzystą błonką. Wreszcie Hala

odruchowo obiema rozczapierzonymi dłońmi łapała ramiączka i ani na chwilę nie przerywając przysiadów, naciągała kostium.

Walentyń Giennadijewicz już pierwszego dnia wyszedł na plażę, ale bał się wejść do wody. Musiał najpierw przyzwycząić się do sytuacji. Chodził brzegiem tam i z powrotem, nachylał się po jakieś kamyki i muszle, udając, że niby go interesują i wzruszają, dotykał palcami stóp wody i odskakiwał przestraszony. Ale jego spojrzenie niezmiennie szukało w wodzie głowy i ramion Hali. Widać było, że Walentyń Giennadijewicz o czymś myśli, mruzczał coś sobie pod nosem, zgrzytał złotymi zębami, nieprzyjemnie wylamywał palce. Ciepły słony wiatr stawiał na sztorc jego mizerniutkie siwe włosy i odsłaniał bezbronną i bladą skórę czaszki (w tej bladości było już coś śmiertelnego; nie słyszałam wtedy jeszcze o plamach pośmiertnych, ale teraz rozumiem - Walentyń Giennadijewicz już wtedy miał plamę pośmiertną na czaszce).

Kościsty tyłek i niezgrabny wzgórek pod brzuchem obciążone były małutkimi białymi kąpielówkami. Później, po tym jak odważył się w końcu zanurzyć, kąpielówki zrobiły się przezroczyste i obwisłe. Wyszedł na piasek, szeroko rozstawiając nogi, kąpielówki zsuwały się, napełnione wodą, z wielkiego bąbla obficie ściekały słone krople i zwisała z niego nawet wstążka morskiej kapusty. Widziałam linię, która rozdzielała mizerne połówki jego zadka. Hala zauważyła moje spojrzenie i podążyła za nim, po czym skrzywiła się z obrzydzeniem i odwróciła w stronę morza. Po jej skórze ściekały wielkie krople wody. Wzięła się pod boki, szeroko rozstawiła swoje potężne nogi i wysoko zadarła głowę.

Później jadłyśmy w stołówce kolację i Walentyń Giennadijewicz przysiadł się do naszego stolika. Stolik był lepki, ktoś rozlał na nim mięsny sos, przyszła kulawa kobieta i wytarła stół na pół zgniłą szmatą. Dostałam mdłości od tego smrodu, nie mogłam nawet spojrzeć na stół, nie mówiąc już o mięsnym sosie i zimnym, pozlepianym makaronie. Hala krzyczała na mnie, dojadając drugą - moją - porcję. Weisnęłam się w kąt i cichutko lizałam lepki kompot.

- Nie ma pani nic przeciwko? - zapytał Walentyń Giennadijewicz, stawiając na stole swoją tacę i kłaniając się.

Jednocześnie uchylił wyobrazonego kapelusza. Prawdziwego nie miał.

Hala po prostu zerknęła na niego w milczeniu. Na jej twarzy malowała się odraza, rozdrażnienie i poczucie wyższości. Walentyń Giennadijewicz dziwnym trafem tego wszystkiego nie zauważał. Popatrzyłam na niego, ze zdumienia otwierając usta, i kompot natychmiast wylał się z nich na spódnicę. Hala tylko na to czekała. Zerwała się z miejsca, złapała mnie za rękę i pociągnęła na dwór.

Kiedy przyszłyśmy na śniadanie, Walentyń Giennadijewicz już siedział przy naszym stole. Hala błyskawicznie oceniła sytuację i bez mrugnięcia okiem zaprowadziła mnie do wolnych

miejsc po przeciwnej stronie sali. Zimna i twarda kasza manna z zielonkawym kawałeczkiem w połowie roztopionego masła przypomniała mi moje niedawne wymiociny. Zatrulałem się ogórkiem i wyrzygałem całą owsiankę.

Hala w milczeniu zjadła obie porcje i zaprowadziła mnie do straganu z lodami. To była moja stołówka, nie chciałem jeść niczego innego. Hala nie nalegała, zjadała dwa razy więcej i kupowała mi lody. Zdecydowała, że mogę robić wszystko, na co mam ochotę, i jeśli już tak zależy mi na tym, żeby psuć sobie zdrowie i życie, to ona nie ma zamiaru mi w tym przeszkadzać, prosić i błagać, padać na kolana, i w ogóle nie będzie szarpać sobie nerwów, bo przyjechała tu na wypoczynek, a nie po to, żeby przekonywać kogoś do normalnego odżywiania, każdy ma własną głowę na karku i to nie jej problem. Zawsze kiedy kupowała mi lody, wypowiadała ten monolog ostrym, stalowym tonem, nie zważając na uśmiechniętą sprzedawczynię i ludzi wokoło. Nie rozumiałam jej słów, ale z jakiegoś powodu lody, niezależnie od tego, jak bardzo miałabym na nie ochotę, przestawały mi smakować, w momencie kiedy zaczynała mówić.

Zjadałam je niechętnie, bez przyjemności, spokojnie mogłabym ich już nie jeść, wyrzucić do czarno-białego kosza, ale musiałam je w siebie wepchnąć, żeby ona wreszcie o tym zapomniała i zaczęła mówić o czymś innym albo po prostu zamilkła, myśląc o jakichś swoich sprawach. Hala bardzo szybko zapominała o złości. Kiedy tylko zjadałam lody, znów robiła się dobra.

Na niebieskawym i bardzo cienkim palcu serdecznym prawej dłoni Walentyna Giennadijewicza zauważyłam grubą i masywną złotą obrączkę. Błyszczała na jego wątlej dłoni tak bezsensownie, że po prostu nie można jej było nie dostrzec.

Walentyń Giennadijewicz dogonił nas na wąskiej uliczce, która wijąc się, ciekła w kierunku wody. Po obu jej stronach zwisały niedojrzałe figi. Hala zrywała je dla mnie i karmiła mnie, podając owoce opuszkami palców.

Dzisiaj Walentyń Giennadijewicz miał na sobie jasne spodnie i żółtawą koszulę z krótkimi rękawami i płaskimi kieszeniami na piersiach. Pamiętam niemal niewidoczne żółte pasy - zdawało się, że zaraz wywietrzeją z koszuli, rozwieją się jak tytoniowy dym. Z kołnierza wyrastała galaretowata biała szyjka, było na niej zbyt wiele skóry, jej fałdy trzęsły się i smutno zwisały. Zawsze lubiłam jeść kurzą skórę z mięsnej galarety, specjalnie dla mnie zostawiano na skraju stołu kupkę żółtej kurzej skóry. Ale tak brzydkiej nawet ja bym nie zjadła. Nawet psy by jej nie zjadły.

- Dobrego utrieczka - powiedział, uśmiechając się lękliwie, ale ze wszystkich sił udając śmiałego. - Pani córeczka znów nie chciała jeść? Taka charosza dziewczeczka! - powiedział, niezdarnie głaszcząc mnie po głowie i boleśnie uderzając obrączką, do której od razu przywarły oczy Hali.

Hala zawsze mówiła na mnie „sroka” albo „cyganka”, i kiedy mi coś podarowano, pytała, co tam znowu „wycygałam”; tymczasem tak naprawdę to ona lubiła złoto i biżuterię i gotowa była na wszystko dla nowych kolczyków czy łańcuszka.

Hala nie rzuciła nawet na niego okiem, chociaż w jej nieruchomym spojrzeniu - skierowanym gdzieś ponad posadzonymi tu jałowcami, prosto w morze, które majaczyło tam w oddali, pod niebem, piętnaście minut stąd - od razu zamarła pogarda i wyższość.

- To nie córka - wycodziła przez zęby i pociągnęła mnie za rękę ulicą w dół, z każdym krokiem nabierając prędkości i niemal wlokąc mnie po ziemi.

Walentyń Giennadijewicz też za nami nie nadążał. Poza tym wciąż się kłaniał i przez to zostawał w tyle.

- Co też pani! Co też pani! - bełkotał cały zaśliniony.

Potem zapytał:

- To krewna w takim razie? - Hala kiwnęła głową. - No, wszystko jedno, taka charosza dziewczeczka. Sama radość!

Hala trochę zwolniła i głośno, na granicy krzyku, ale jeszcze dość grzecznie, wyraźnie artykułując każde słowo, przemówiła:

- Potrzebna mi ta radość jak świni siodło. Wcale o nią nie prosiłam, spełniam swój obowiązek, chociaż to wcale nie obowiązek, i w ogóle jestem już nie w tym wieku. A tu przez takich jak pan nie mogę spokojnie odpocząć, bo napłodzicie dzieci, a potem się poopalać nie można, i jeszcze karm je lodami, i jeszcze będą cię winić. Po co mi to wszystko! To nie życie, tylko ciągle szarpanie nerwów...!

Parsknęła jak koń (świetnie jej to wychodziło), wzięła mnie na rękę (bardzo łagodnie, ręce były ciepłe i miękkie, przytuliłam się do jej piersi) i poniosła mnie dalej, znów nabierając prędkości.

Walentyń Giennadijewicz zatrzymał się oszołomiony, a potem pokuśtykał za nami jak zbity pies. Widziałam jego mizerną postać przez jej lewe ramię.

Szukałam w piasku pestek moreli i dokopałam się już do wody. Hala stała w kolejce po leżaki. Walentyń Giennadijewicz podszedł do niej lękliwie i skinął głową. Miał na sobie nowe niebieskie kąpielówki, równie malutkie i żalosne jak poprzednie.

Nagle dokładnie i uważnie mu się przyjrzała i szczerze się uśmiechnęła.

- No, jak się tu panu podoba? - zapytała przyjaznym tonem.

Walentyń Giennadijewicz ożywił się i wyprostował. Prawy kącik jego cienkich ust drgnął i rozciągnął się w żalonym, niedowierzającym uśmiechu. Lewy przeciwnie opadł i skrzywił się jeszcze bardziej odstręczająco.

- Podoba się - powiedział cichutko.

- Nam też się podoba - odparła Hala, nadal się uśmiechając, i kusząco zmrużyła oczy. Jej aksamitny głos pieścił uszy, porzuciłam swoje pestki i podeszłam do niej. - Prawda? - zapytała mnie i dźwięcznie się zaśmiała.

- Wie pan, jesteśmy tu zaledwie od kilku dni, a ja już czuję, jak zdrowieję, i dziecku też się zrobiło lepiej. Ona co prawda słabo jada, nic poza lodami i wodą gazowaną, no, czasami trochę winogron, owoców różnych, ale w stołówce jeść nie chce, a szkoda, żeby talony przepadały, muszę dojadać za nią, ale to nic - już się trochę poprawiłam, kiedy przybieram na wadze, wyraźnie to czuję, inni nawet tego nie dostrzegają, ale ja to czuję...

Walentyń Giennadijewicz w ulewie jej słów prostował się i rozjaśniał, odżywał niczym zwiędła roślina po ciepłym deszczu.

- To charaszo, to przecież charaszo - kiwał głową. Miał zbyt niski głos jak na tak marne ciało - zdawało się, że ktoś wyjął ten głos z krzepkiego przystojniaka i przypadkowo włożył go w wynędzniałego Walentyń Giennadijewicza.

To smutne, ale gdzieś na świecie oszałamiający przystojniak popisывał się muskulaturą brzucha i doprowadzał do nieprzytomności dziesiątki kobiet samym tylko spojrzeniem, cierpiąc jednocześnie z powodu poniżającego falsetu, który wypryskiwał z jego silnego gardła jak nagła i niespodziewana biegunka.

W ten sposób, szczebiocząc pełnym słodczy głosem rozmaite wyznania, niepostrzeżenie zarzuciła mu na szyję różową wstążkę od swojego głupawego słomkowego kapelusza - w sensie rzecz jasna metaforycznym. Poszedł za nią, niosąc leżaki dla nas i dla siebie, grzęznąc po kolana w piasku, od którego jego śnieżnobiałe skarpetki momentalnie zrobiły się szare. Nosił skarpetki do sandałów. Walentyń Giennadijewicz nawet o mało nie wszedł za nami do Przebieralni - Hala na czas zatrzymała go i roześmiała mu się prosto w twarz, figlarnie szturchając go dłonią w pierś.

Oparł się prawym łokciem o postawione pionowo leżaki i wytarł chusteczką pot z czoła. Chusteczka znajdowała się w płaskiej kieszeni na piersi. Była czyściutka i śnieżnobiała.

Hala wiedziała już, że Walentyń Giennadijewicz ma żonę i nie ma dzieci, nigdy ich nie miał i nigdy mieć nie będzie, że prawie wszystkie zęby ma złote, że związany jest z wyrobami jubilerskimi, że często podróżuje, że jego żona lubi mieszkać w daczce i ceni sobie diamenty nie za małe, ale też nie za duże, bo te duże uważa za przejaw złego smaku i prowincjonalności.

- Haleczko - powiedział, starannie składając chusteczkę i chowając ją do poznaczonej niemal niewidocznymi żółtymi smużkami kieszeni na piersi - Haleczko, gdyby pani wiedziała, rybeczko, goworitie o nerweczkach, ja to dopiero mam je poszarpane, oj, jakie ja mam je poszarpane... I problemy z sercem, rybeczko...

Hala tylko się uśmiechnęła figlarnie. Jego żoną już gardziła i nie mogła na nią teraz zważać, usłyszawszy te brednie o rozmiarach diamentów. Lubiła wszystko co wielkie i błyszczące, im większe i bardziej błyszczące, tym lepiej.

Co za idiotka, pomyślała Hala o żonie Walentyna Giennadijewicza, za duże diamenty nie istnieją.

Ona sama nie miała nigdy żadnych diamentów.

- Ma pan porządną obrączkę - pochwaliła Walentyna Giennadijewicza.

- Da, Haleczko, charosza - poważnie skinął głową. (Kiedy myślę o nim teraz, smutek ściska mi serce). - A Ludmiła do dzisiaj ze mnie szydzi z jej powodu. Ona ma cieniutką obrączkę, grawerowaną, motyw roślinny, trzydzieści kamieni, pięć karatów. Niby taka wyszukana - zażartował Walentyn Giennadijewicz, układając się obok nas.

Dla mnie to było przykre. Przykry był ten kościsty dziad w niebieskich kąpielówkach, które z niego spadały, i jego starczy serowy zapach zamaskowany jakąś trwałą wodą kolońską. Pamiętam, że od razu zbliżyłam się do morza.

Hala patrzyła, jak się mości, tak jak pan patrzy na starego, wyliniałego psa, który kręci się dookoła swojej osi i nijak nie może zebrać odwagi, by się wypróżnić.

- Wie pan, Walentyne Giennadijewiczu - powiedziała, kiedy się wreszcie rozłożył i z zadowoleniem westchnął pełną piersią. - Lepiej, żeby przeniósł się pan w inne miejsce.

Ziemia jest okrągła, a świat mały. Pan jest żonaty i ja jestem zamężna, wokół nas setki oczu, mało to może sobie ktoś tam pomyśleć i potem nie wiadomo, którym bokiem nam to wszystko wyjdzie. Ni stąd, ni zowąd. Pan ma te swoje nerwy, serce, mnie też to niepotrzebne. Przyjechałam tu wypoczywać. Dzieckiem się muszę opiekować. A nuż się utopi...

I jeszcze raz zerknęła na niego oziębło, a potem odwróciła się i poszła w kierunku morza, a on zobaczył w jej szerokich brązowych plecach, w troczkach kostiumu i majtkach, które trochę weszły jej w pupę, że już o nim zapomniała, że zajęła się teraz czymś zupełnie innym, tym dzieckiem, rozmową z niezadowoloną tłuscioszką, czymkolwiek, tylko nie nim, nie Walentynem Giennadijewiczem.

I Walentyn Giennadijewicz jeszcze raz westchnął głęboko, ale tym razem smętnie, a nie wesoło, pozbierał swoje manatki i trzymając je pod lewą pachą, pokuśtykał przez plażę, grzęznąc w piasku.

Radośnie zapiszczałam i wbiegłam do morza, wzbijając wokół siebie wspaniałe fontanny i ochlapując Halę. A ona nie robiła mi z tego powodu wymówek.

Przyszedł do naszej chatki wieczorem, kiedy Hala myła mnie wodą z zardzewiałej rury, sterczącej wprost z ziemi. Woda w tej rurze powinna być słodka, ale i tak czułam słony posmak.

- Zdrastwujcie, Haleczko - krzyknął już z daleka, pewnie po to, żeby zapewnić sobie czas na ucieczkę.

Ale ona odwróciła głowę i uśmiechnęła się, nie przestając mnie energicznie mydlić.

- Aj - krzyknęłam, bo tarła zbyt mocno, a do tego przypaliłam się trochę na słońcu.

- Wytrzymaj - powiedziała. - Brudna jesteś jak cyganka.

- A ja w gości przyszedłem - poinformował, kłaniając się nisko. - To właśnie tutaj mieszkacie?

- A gdzie pan mieszka? - zainteresowała się Hala, oglądając dwie pełne siatki, które przytargał.

- Zatrzymałem się w hotelu, mam tam znajomego na recepcji. Niczego sobie, da się wytrzymać, dwa łóżka, sprzątają codziennie - powiedział, wciąż jeszcze ostrożnie.

Dała mi głośnego klapsa w goły mokry tyłek i wreszcie przestałam się wyrywać i stałam spokojnie, nie przestając wylewać łez.

- Przyniosłem wam tu gościniec, dziecinko - powiedział nieśmiało i pokazał siatki. - Morele, winogrona, figi, arbuza, kukurydzę, charoszyj ser żółty, kiełbasę, chlebuszek świeży, oranżadkę... jeszcze szampanskoje...

Hala w milczeniu wycierała mnie ręcznikiem i nie reagowała. Przestałam płakać, bo przez łzy wszystko robiło się niewyraźne. Teraz widziałam, że Walentyn Giennadijewicz się boi, że ona znów go przegoni, że przestępuje z nogi na nogę, patrząc na swoje podarunki, które miały być królewskie, i że czuje się jak bezimienny sługa, który czeka na wyrok królowej: zechce królowa przyjąć kiełbasę czy nie zechce, oto od czego zależało jego życie.

Wreszcie Hala ubrała mnie i wstała.

- No i co pan tak tu stoi jak wryty, Walentyne Giennadijewiczu? - zapytała wesoło, znów biorąc się pod boki. Proszę, niech pan wejdzie do naszego szałas. Zaraz będzie kolacja.

Nigdy nie wierzyłam takim jej nadmiernie przepełnionym radością życia zawołaniom, lubiła podpuszczać, szczególnie wtedy, kiedy była pewna, że inni przyjmą jej fałsz za dobrą monetę. Tego jednak Walentyn Giennadijewicz nie wiedział. Aż podskoczył w miejscu i niemal żałośnie zamierdał swoim zasuszonym zadkiem.

Leżałam w ciemności domku, wciskając się w szorstką ścianę z desek i umierając ze strachu przed szparą między tą ścianą a łóżkiem, która znajdowała się akurat pode mną.

Ale nie mogłam się ruszyć. Wydawało mi się, że wystarczy przesunąć rękę albo nogę, odwrócić głowę albo odetchnąć trochę głośniejsze, a szpara wykręci jakąś przerażającą sztukę, opluje mnie, polize, wessie albo złapie pazurzastymi łapami.

Słyszałam, jak na dworze Hala zanosi się śmiechem. Słyszałam brzęk szklanek, a potem jej szczebiot z ustami pełnymi chleba. Znałam tę jej manierę - mówić z ustami napchanymi jedzeniem, mogłam odróżnić po samym brzmieniu, czy żuje groch, czy fasolę.

- Dziwna z pani kobieta - obcym, pięknym głosem powtarzał Walentyn Giennadijewicz.

Potem Hala zaczęła śpiewać.

Oj, Mariczko czeczери, potem

Kaj my pryjszła karta i w końcu Czornobrywci.

Jej głos wylewał się i dźwięczał bardzo blisko mnie, tuż za ścianą domku, mogłam zejść z łóżka, poczłapać po podłodze, pchnąć sklejkowe drzwi i wyjść do niej. Nabrałam powietrza w płuca i oderwałam się od ściany. Szpara nawet nie drgnęła. Odetchnęłam z ulgą i pobiegłam. Bose pięty dźwięcznie wystukiwały tup-tup-tup. Hajda spać, powiedziała surowo. Jakby nie śpiewała, że „roczeszmy my kuczeri”. Jakbyśmy nigdy razem nie śpiewały tego przed snem.

Wróciłam do łóżka, ale tym razem wcisnęłam się w szparę. Już się jej nie bałam. Chciałam, żeby mnie zjadła.

- Ależ z pani cudna kobieta, Haleczko! - powiedział Walentyn Giennadijewicz.

A ona się śmiała i śmiała, śmiała i śmiała, i znów napełniała usta chlebem.

Jednak następnego dnia na śniadaniu nie siedzieliśmy z Walentynem Giennadijewiczem przy jednym stoliku. Dogonił nas na małym skwerku, pośrodku którego górowało szare popiersie. Na klombach kwitły nudne czerwone pelargonie.

Umierałam z głodu, mój żołądek wysechł i prosił o lody, by się nawodnić. O lody i wodę gazowaną z automatu.

- Masz - powiedziała Hala, podając mi monety. - Idź i kup sobie lody sama. Rób, co chcesz.

I się odwróciła.

Pobiegłam w dół alejką, przeskakując z jednej płyty na drugą. Byłam radosna, monety w dłoni nagrzały się, powietrze pachniało mydłem i morzem, słońce niedawno wstało, upału jeszcze nie było i wiał nawet chłodny wiatr. Przebiegłam przez ulicę pomiędzy dwoma samochodami, skręciłam za róg i zobaczyłam sprzedawczynię lodów.

Tymczasem Hala powiedziała Walentynowi Giennadijewiczowi:

- Bardzo pana proszę, niech mi pan da spokój. Proszę za mną wszędzie nie chodzić, nie musi pan przynosić naszych tac z jedzeniem, niech pan też nie macha do nas przez całą stołówkę. I niech pan nie śmie kłaść się obok nas na plaży, proszę nie stać z nami w kolejce po leżaki, nie kupować nam kukurydzy i nie patrzeć na nas. To mi wcale niepotrzebne. Tylko tego mi jeszcze brakowało.

Kiedy podawałam kobiecie z lodami gorące monety, Walentyn Giennadijewicz pociągał nosem i szurał sandałami.

Jego skarpetki znów były śnieżnobiałe. Umiał sam prać sobie majtki i skarpetki, był porządnym mężczyzną, cierpliwym i uważnym, jego żonie się poszczęściło. Szkoda, że nie mógł mieć dzieci.

Teraz lody chłodziły moją dłoń, która chwilę wcześniej rozgrzała monety. Robiło mi się coraz weselej, bardzo chciałam zdjąć opakowanie i liznąć po raz pierwszy biały placuszek, który sterczał z wafła. Wafli nie jadłam. Wafle zjadała Hala. Dłoń przyjemnie, choć nieznośnie kłuły malutkie igielki zimna. Nie mogłam już prawie utrzymać lodów i dlatego ściszałam je coraz mocniej.

Kiedy zapiszczały hamulce, Walentyn Giennadijewicz powiedział:

- Ale z pani cudna kobieta, Haleczko!

Spokojnie patrzyła, jak jego zgarbiona postać niespiesznie się oddala. Trochę chciało jej się śmiać. Słońce wznosiło się coraz wyżej i poczuła na plecach pierwszy dzisiaj pot.

Cicho podeszłam do niej i stanęłam obok, rozpakowując loda. Opuściła głowę, zerknęła na mnie i znów popatrzyła w dal.

Z tyłu słychać było tupot i po chwili zdyszana kobieta z wytrzeszczonymi oczami złapała ją za rękę.

- To pani dziewczynka? - zapytała kobieta. Hala kiwnęła głową. - Pani dziewczynka o mało nie wpadła pod samochód.

A on okazał się nie takim znowu flaczkiem. Walentyn Giennadijewicz pływał aż za boje, powoli i ostrożnie, ciągle kontrolując oddech i siły, ale jednak pływał. Ona też - szybko i gwałtownie, łapiąc ustami powietrze i wodę, ale nogi, ręce i plecy miała bardzo silne, dlatego szybko pokonywała odległość dzielącą brzeg od boi, łapała się oblepionego wodorostami śliskiego sznura i kołysząc się na falach, odpoczywała. Właśnie tam się spotykali. Za boje, żeby nikt nic sobie nie pomyślał, Hala brała także mnie, płynęła z tyłu i popychała rękami żółte dmuchane koło w kształcie kaczki. Nie było to znowu takie przyjemne - gdy rozcinałam fale dmuchanym kaczym dziobem, woda uderzała gwałtownie i stawiała opór.

Przy bojach zawisali naprzeciwko siebie, trzymając się oplecionego pasmami morskiej kapusty sznura, i rozmawiali. Starła się najbardziej jak to możliwe wysuwać z wody, że niby tak ją wypychają fale. Patrzył na jej piersi i dłoń płynnie suwała się tam i z powrotem po śliskim, mokrym sznurze jak po maśle.

- Ależ z pani dziwna kobieta - mówił. - Niech pani przyjdzie do mnie w gości do hotelu, napijemy się koniaku. Zjemy kawioru. Niech pani przyjdzie, Haleczko.

- Niech pan, Walentyne Giennadijewiczu, się nie zapomina, pan ma żonę, ja mam męża, jesteście ludzie żonaci rechotała, odrzucając głowę do tyłu. Rude farbowane loki dotykały wody i jeszcze bardziej się kręciły. Od wody morskiej zwijały się jeszcze ciaśniej. A małe kształtne noski z krągłymi nozdrzami (za każde z nich można by wyróżnić kilka niewielkich narodów), prawie się złuszczyły i świecił nową, delikatnie różową skórka.

Obok nas przemknęła motorówka ratownika. Ostro zakręciła, zawróciła i zatrzymała się naprzeciwko nas. Wzbiła ogromne fale, przeraziłam się i złapałam Hala, aż pobiełało jej ramię i moje palce.

- Żienszczina, eto wasz riebionok? - surowo zapytał ratownik. - Kobieto, łatwiutko się utopi, a potem będzie pani włosy z głowy rwać.

Zawrócił i znów rozbijał nas strasznymi falami. Zaczęłam płakać. A Hala popatrzyła zagubiona, o ile węższa jestem od dmuchanej kaczki, jak łatwo mogłam zdjąć ręce z jej mokrej i niepewnej powierzchni, prześlizgnąć się jak sardynka do środka, nie dotykając ani prawym, ani lewym bokiem żółtej gumy, i pójść na dno, „pójść na dno jak kamień”, jak potem mówiła. I nie złapałaby mnie - na pewno by mnie nie złapała.

- Wie pan - lodowatym tonem powiedziała Hala - już mi to zbrzydło! Niech mi pan da spokój, to nie wypoczynek, tylko cholera wie co. Wciąż wszyscy czegoś ode mnie chcecie, odczepcie się, dajcie mi w końcu spokój!

Popchnęła mnie do przodu i szybko popłynęliśmy do brzegu, zostawiając z tyłu Walentyna Giennadijewicza, który tak szeroko rozdziawił usta, że jego twarzy nie było widać zza oślepiającego blasku złotych zębów.

Jednak ani razu nie wyślizgnęłam się ze swojej dmuchanej kaczki.

Potem Hala zaczęła co wieczór chodzić do niego do hotelu. Wciskałam się w szparę, nie ruszałam się i nie oddychałam przez kilka godzin. Kiedy wracała, nucąc sobie Oj, Mariczko czecheri, rozdrażniona, z morelami i kielbasą w siatce, udawałam, że mocno śpię. Myślałam: poczekaj, poczekaj, ta szpara mnie połknie, pewnego razu przyjdiesz i mnie tu nie znajdziesz, wtedy dopiero zapłaczesz, wtedy wszystko zrozumiesz. Ale szpara nie chciała mnie połknąć, a ja dalej się jej bałam.

Rano siadałyśmy na drugim końcu stołówki, jak najdalej od Walentyna Giennadijewicza. Hala nawet nie patrzyła w jego stronę, chociaż on próbował do niej mrugać, uśmiechać się, machać rękami z przestraczem i na własne ryzyko, jednym słowem, za każdym razem narażał się na pobicie.

Na plaży kładł się z dala od nas, ale tak, żeby móc ją obserwować. Zresztą leżeć też nie mógł - nerwowo chodził brzegiem, nie odrywając od niej wzroku. Kupowała czeburiaki od opalonych

chłopców, kupowała piwo i suszone ryby, rozmawiała z sąsiadkami, rozmawiała z sąsiadami, częstowała ich suszonymi rybami, wypluwała łuski do morza.

- Hala - mówił Walentyn Giennadijewicz - po cóż pani je tę soloną płótkę? A piwo pani pije jak chłop, na Boga! Aż strach patrzeć!

A Hala krzywiła się pogardliwie, parskała i z ostentacyjnie obojętną miną odwracała się w drugą stronę.

- Smakuje mi, co to dla pana za różnica? - cedziła niechętnie. - Kim pan dla mnie jest, żeby mi robić uwagi? Nikomu nic nie jestem winna. Jak mi się zachce, będę kąpać się nago i pić wódkę z butelki!

- Niech się pani nie kąpie nago! - prosił Walentyn Giennadijewicz swoim intensywnym, kradzionym głosem. Niech pani lepiej przyjdzie, kupiłem charosze mołdawskie wino. Półśłodkie. A wie pani, że je zamawia do obiadu sama królowa angielska!

- A co mi tam angielska królowa! - mówiła i szła pod prysznic.

- Ale cudna kobieta - wzdychał Walentyn Giennadijewicz.

Kiedyś, pod sam koniec lata, Walentyn Giennadijewicz przyniósł szampana i uroczyście odkorkował go pod naszą chatką. Dla mnie przyniósł całą tabliczkę orzechów w cukrze, ale ponieważ nie miałam jeszcze wszystkich zębów, mogłam ją tylko ssać. Obok przechodziła akurat sąsiadka maciora ze swoim miotem i mężem. Rozcierając spieczone fałdy, grubaska popatrzyła znacząco na nasze święto i odwróciła wzrok.

- No tak, to przecież Ela Hryhoriwna z informacji, znajoma Żanny Borysiwny - westchnęła Hala.

- No i co - machnął ręką Walentyn Giennadijewicz. A ja pani prezent przyniosłem.

I wystawił przed nią na dłoni niewielkie czerwone aksamitne pudełeczko. Szeroko się uśmiechnęła i wzięła prezent.

- Nie trzeba było, Walentynie Giennadijewiczu, co też pan...

W pudełeczku leżała para złotych kolczyków z dwoma kamykami po pół karata.

- Charoszi kamni, grawirowka iskusniejsza - cmoknął Walentyn Giennadijewicz. - W sumie cały karacik!

Hala błyskawicznie założyła kolczyki i zadowolona podstawiała szklanekę na szampana.

- No, to za nas - odetchnęła jak po dniu ciężkiej pracy.

- Haleczko, rybeczko - zaskomlał Walentyn Giennadijewicz - niech pani zaśpiewa o kędzierzawej Maricdze!

Hala pozwoliła mu ustawić leżak obok naszych, ale rybę żuła i tak. Wracając z morza, chlapała wodą na jego rozpaloną, czerwoną skórę. On wcale nie ciemniał - w odróżnieniu od Hali, która od razu brązowieła, wciąż pozostawał czerwony, dopóki opalenizna nie zeszała.

Ela Hryhoriwna nie witała się z Halą i z nią nie rozmawiała. Ale jej było to obojętne - podawała Walentynowi Giennadijewiczowi nasz ręcznik i pomagała się wycierać.

Walentyn Giennadijewicz początkowo bardzo się cieszył, a potem zamyślił się nad czymś lękliwie i na jego czoło nadciągnął mrok.

- Hala, dobra z ciebie kobieta - powiedział jej wieczorem, kiedy siedzieli pod drzwiami naszego domku. Bardzo dobra z ciebie kobieta, nigdy takiej nie spotkałem.

Dobrze mi z tobą, jesteś interesująca i nieprzewidywalna, zagadkowa i kobieca.

Już zrozumiała, do czego zmierza, i zasepiła się. Głos Walentyna Giennadijewicza drgnął i wreszcie wpadł w niepewne kwilenie, które najlepiej pasowało do jego wyglądu.

- Hala, było nam dobrze razem i przyjemnie - kontynuował już z mniejszą pewnością siebie. - Ale jesteśmy ludźmi rodzinnymi i trzeba wracać do normy. Mówiłem ci - Ludmiła to dobra kobieta i nie mogę zostawić jej tak po prostu bez środków do życia. Przywykła do mnie i do bezpiecznego bytu, jest do mnie bardzo przywiązana, nie chcę jej krzywdzić. Mądra jesteś, zrozumiesz, wiem. Jesteśmy już niemłodzi, i tak ni w pięć, ni w dziewięć zmieniać życia nikt nie będzie. Nic dobrego z tego nie wyjdzie. A na cudzym nieszczęściu nie zbudujesz szczęścia. Wiedz, Hala, że jesteś najlepszą kobietą w moim życiu, i żałuję tylko jednego - że nie spotkałem cię wcześniej. Nie chcę cię stracić.

Tak że eto samoje... Chodź, będziemy przyjaciółmi, spotkamy się w tym samym miejscu równo za rok, co powiesz?

Hala w milczeniu wyjęła z uszu kolczyki, rzuciła je w piasek i weszła do chatki.

Walentyn Giennadijewicz długo pukał i pojękiwał: „Haleczko, rybeczko, otkroj!” ale ona leżała obok mnie i patrzyła w sufit. Nie płakała. Była bardzo, ale to bardzo zła.

W środku nocy obudził nas krzyk. Na dworze gwizdał wiatr i ryczało morze, zaczynał się sztorm, a cieniutkie zasłony od czasu do czasu rozświetlała błyskawica.

Walentyn Giennadijewicz upił się półsłodkim winem, koniakiem i szampanem, które kupił hurtem od miejscowych Ormian, i teraz klęczał, opierając się czołem o drzwi naszego domku. Kiedy błyskawica rozświetlała noc, jego postać ciemniała na tle drzwi, przypominając wielkiego poranionego konika polnego z niedopitą butelką szampana w tylnej łapce.

- Halinka! - darł się, starając się przekrzyczeć wiatr. - Halinko, wszystko przemyślałem! Ja bez ciebie żyć nie mogę! Nie rzucaj w piasek serca starego czielawieka! Cały karacik, Haleczko, sto karacików, sto tysięcy karacików!

Hala, zaśpiewaj mi o kędzierzawej Maricdze! Błagam cię!

A Ludka niech zostanie na dacy, a my razem uwijemy gniazdko i dziewczynkę tę malutką weźmiemy, twoją Mariczkę! Wpuść mnie! Nie jedz płotki! Przestań, Hala, proszę cię! Nie nada nago! Tylko nie nago! - i zaczął tak strasznie płakać i wyć, że sama wlałam w szparę, nie myśląc już o niczym.

Następnego dnia wyjeżdżałyśmy. Siąpił drobniutki deszczyk, było szaro i zimno. We trójkę, razem z Walentynem Giennadijewiczem, żegnaliśmy się z morzem. Walentyna Giennadijewicza rozboleła głowa, dudniło mu w uszach, tracił oddech i kłuło go serce.

Hala naskrobała mu swój adres na kawałku papieru i powiedziała, żeby listów nie pisał, nikomu to nie jest potrzebne. „Może w gości zajadę kiedyś?” - uśmiechnął się sinymi wargami Walentyn Giennadijewicz. „I w gości nie ma co przyjeżdżać - powiedziała. - Nie będziemy mieli gdzie pana położyć”.

Hala rozebrała się i weszła do wody. Usiadłam na kolorowej torbie, której nie chciało się jej rozkładać.

Najpierw zrobiła kilkanaście rytualnych przysiadów, potem wygięła się do tyłu i całkowicie zmoczyła włosy. Od zimnej wody dostała gęsiej skórki, górna część kostiumu się jej zsunęła, ale nie poprawiła ramiączek, zebrała tylko rękami włosy na tył głowy. Sutki płynnie poruszały się do góry i na dół, ostre, jakby gumowe, niemal skrzypiały. Różowe na tle ciemnobrązowej opalenizny.

- Walentynie Giennadijewiczu, popłynmy jeszcze raz do bojek! - krzyknęła z wody.

Walentyn Giennadijewicz obserwował ją i wytrzeszczał oczy, trzymając się za lewy bok. „Oj, Haleczko, Haleczko” - szeptał, rozbierając się. Kościste, chude nogi, zasuszony zadek, na którym brzydko i śmiesznie zwisały białe majtki. Znów miał na sobie białe majtki. Wyobrażałam sobie, jak będą wyglądać, kiedy Walentyn Giennadijewicz wyjdzie z wody.

Popłynęli obok siebie, synchronicznie rozgarniając wodę. Wokół krople deszczu uderzały o fale, malując na nich piękne krążki. Jego siwe, mizerne włoski namokły i przylepiły się do czaszki. Zdawało się, że jest całkiem łysy.

Płynął i świecił wprost w deszczowe niebo swoją pośmiertną plamą. Na jej głowie podskakiwały mokre rude sprężynki.

Potem zaczął zostawać z tyłu. Płynęła coraz szybciej i szybciej. Coś krzyczał, ale szum morza zagłuszał jego głos - wysoki, słaby, drżący.

Nie oglądała się. Wreszcie złapała się dłońmi śliskiego od pasm morskiej kapusty sznura i płynnie bujała się tam i z powrotem, tam i z powrotem. Deszcz padał coraz mocniej, zalewał jej oczy, fale rosły, trzeba było wracać.

„Walentynie Giennadijewiczu” - zawołała, odwracając się plecami do bojek, ale nigdzie go nie zobaczyła. Coraz trudniej jej było płynąć, dostawała zadyszki, od czasu do czasu odwracała się na plecy, ale i tak ogarniała ją panika, zdawało się jej, że fale unoszą ją coraz dalej od brzegu. Wreszcie poczuła, że stopy dotykają dna - morze wyrzuciło na plażę mnóstwo ostrych muszli, kamyków i wodorostów, w które łatwo się było zaplątać. Walentyna Giennadijewicza nigdzie nie było. Wyszła na brzeg, stanęła obok mnie, wzięła się pod boki i spojrzała w morze.

- Walentynie Giennadijewiczu! - zawołała już trochę histerycznie. Obejrzała się i zobaczyła, że zbliża się do nas tłusta Ela Hryhoriwna z rodziną. Rzuciła się do nich i zaczęła krzyczeć, machać rękami, zakrywać twarz dłońmi, płakać i pokazywać w kierunku morza.

Nie słyszałam jej słów - morze ryczało zbyt głośno. Poza tym padał przecież deszcz.

Rajski ogród i okolice

Zbyt dużo czasu spędziliśmy na terenie domu wariatów.

Zapamiętałam go jako zapuszczony ogród z niewysokimi, powykręcanymi jabłoniemi i intensywnie zieloną, ostrą trawą dorastającą do połowy pni. Kiedyś wymyśliłam taką zabawę: pełzać w tej trawie na czworakach, żeby nikt nas nie zauważył. Ja miałam tylko czarne od ziemi kolana i dłonie.

Młodszy brat, wtedy chyba czteroletni, bardziej ucierpiał: miał pokaleczoną do krwi twarz i ręce.

Dom wariatów mieścił się naprzeciwko naszego czteropiętrowego bloku z epoki Chruszczowa i otoczony był murem w kolorze morelowym. Wejść do środka można było przez ciężkie żelazne drzwi pomalowane zieloną farbą.

Mniej więcej na wysokości oczu drzwi miały niewielkie okienko. Okienko było zawsze zamknięte, a drzwi zawsze otwarte. Chociaż pamiętam też wielką żeliwną sztabę od środka i to, jak ciężko było ją podnieść, żeby wyjść na ulicę Katii Matrosow, przy której mieszkaliśmy.

Kiedy pytałam, kim jest Katia Matrosow, odpowiadano mi, że to taka dziewczynka. Miałam wrażenie, że się znałyśmy, że to jedna z moich przyjaciółek, która mieszkała kiedyś na naszym podwórku, co prawda w sąsiedniej klatce, nie w tej, w której mieszkała podobna do sowy baba Gienia ze sztuczną szczęką (kiedyś baba Gienia tak się zapomniała, krzycząc na Świętę Jenisiejew, że szczęka wyleciała jej z ust i upadła na asfalt), i nie w następnej, tylko w ostatniej, już prawie przy ulicy Serkowa. Katię Matrosow wyobrażałam sobie jak Angelinę, dziewczynkę, którą często pokazywano mi na cmentarzu. Jej grób znajdował się przy głównej alei, zawsze obok niego przechodziliśmy i Hala mówiła wtedy:

„Popatrz, jaka malutka dziewczynka umarła, nazywała się Angelina”. Na nagrobku wzniesiony był naturalnych rozmiarów pomnik z białego kamienia. Dziewczynka w króciutkiej sukieneczce i fartuszką, z kokardami na dwóch kucykach i z pluszowym misiem w dłoniach.

O Serkowa w ogóle nie pytałam. Po prostu nie przyszło mi nawet do głowy, że Serkow to nazwisko. Ulica Serkowa była dla mnie nie czyja, ale jaka. Jaka ulica? - Serkowa.

Wszystko jasne, nie mam pytań.

Za ulicą Serkowa nie przepadałam, bo w przeciwieństwie do ogrodu domu wariatów nie była samowystarczalna, miała początek i koniec, wychodziła z jednej ulicy i wlewała się w drugą, nie była ogrodzona murem, w oknach budynków nie było krat, a z okien nie wyglądali odgradzeni od reszty świata psychiczni. Chociaż z drugiej strony wszystkie te babki i dziadkowie, którzy mieszkali w parterowych domach na Serkowa, i malutkie dziewczynki ze spojrzeniami zbitych kociąt, wiążące na główkach białe chusteczki w niebieskie grochy, wszyscy oni też mieli oczywiste problemy psychiczne. Podobnie jak ludzie na innych ulicach. Weźmy choćby kobietę z ostatniego budynku przy Serkowa. Nie pamiętam, jak się nazywała, z jakiegoś powodu chce mi się i ją, i wszystkie inne baby nazywać babą Gienią (zresztą prawdziwa baba Gienia też była bez wątpienia szalona, ze swoimi ciągłymi wrzaskami, histeriami bez powodu, ze swoją sztuczną szczęką i zwyczajem zabierania czegoś nieboszczykom, na przykład wody, którą obmywano ciało, albo sznurka, którym związywano nogi), choć ona na pewno nazywała się jakoś inaczej. Baba Julia? Baba Hala? Baba Zina?

Pamiętam, miała kilka malutkich pieszków i sprzedawała pestki słonecznika. Całe tłumy przychodziły do niej kupować te pestki, przy jej domu z betonowym gankiem ciągle kręciły się grupki dzieci i kobiet, ledwie nadążała skręcać różki z gazet i wsypywać do nich słonecznik. Jednocześnie ci sami kupujący uparcie rozpowszechniali plotki o tym, że wieczorami Zinaida Hryhoriwna wsypuje pestki do żelaznej miski, zalewa je gorącą wodą i moczy w nich nogi.

Stare, spękane, żółte stopy z twardymi strzępami odpadającej skóry, z odciskami i rankami, wydzielające stały zapach grzybów i spleśniałego sera. Po co to robiła, nikt nie wyjaśniał. Może był to jakiś zabieg leczniczy, a może wiedźmostwo (oto dlaczego miałam ochotę nazywać ją babą Gienią - ta też podobno była wiedźmą). Ale słonecznika nikt nie przestał kupować - wręcz przeciwnie.

Później - chodziłam wtedy do podstawówki - baba Zina zaczęła handlować gumą do żucia. Tylko jednym czy dwoma rodzajami - dla chłopców i dla dziewczynek. Dziewczęce nazywały się chyba „Barbie”. Baba Zina sprzedawała do nich jeszcze „książeczkę”, w której było dwadzieścia czy trzydzieści miejsc na nalepki. Trzeba było wypełnić wszystkie, od pierwszego do ostatniego, wysłać pod wskazany adres, a w nagrodę czekała lalka Barbie. Wiele moich koleżanek wypełniło

prawie całą książeczkę z wyjątkiem jednego numeru. Naklejka numer 23 czy 27 - znów zawodzi mnie pamięć - była wprost nierealną rzadkością. Nigdy nie widziałam jej na własne oczy, chociaż opowiadano mi o niej.

Ale podejrzewam, że nie występowała w przyrodzie. Podobnie jak nigdy nie spotkałam dziewczynki, która dostałaby lalkę Barbie. Chociaż przyjaciółki moich przyjaciółek, według słów ich przyjaciółek, już prawie-prawie ją wygrały.

W porównaniu z wszystkimi ulicami miasta, otwartymi i niesamodzielnymi, dom wariatów przypominał królestwo. Królestwo nie wymagało wiz, ale miało granicę, mniej więcej taką jak ta dzieląca Ukrainę od Rosji czy Białorusi: w zasadzie wolno ci jeździć bezkarnie tam i z powrotem, jeśli masz czas i natchnienie, ale czasami może się zdarzyć i tak, że cię nie puszczą, zawrócą albo odeślą, zabraniając wjazdu na zawsze.

Nikt nie pilnował, żeby na teren szpitala nie przedostawali się obcy. W samym szpitalu mało kto nadzorował pacjentów, a co dopiero zajmował się tak nieważnymi rzeczami, jak zabawy dzieciarni z sąsiedztwa pod zakratowanymi oknami szaleńców.

Sanitariuszy nie odróżnialiśmy od chorych. Zasada była taka, że najspokojniejszym, najmniej niebezpiecznym pacjentom pozwalano wychodzić do ogrodu. Błąkali się po alejkach, przeważnie pojedynczo, z pustymi spojrzeniami, obracając w żółtych kościstych palcach jakieś gałązki czy guziki. Z wyglądu ich skóra zdawała się sucha i cienka jak papier. Powinna szeleścić, gdyby przeciągnąć po niej dłonią.

Wszyscy zachowywali się podobnie - a było to pewnie spowodowane działaniem leków, którymi ich szprycowano, by zapobiec nawrotom i przyływowi samowoli - poruszali się tak, jakby ubrano ich w klosze z pancernego szkła.

I chodzili po ogrodzie, w piżamach, szlafrokach i spodniach od dresu, w gumowych kłapkach i rozdeptanych sandałach, jakby rozplątywali nogami jakąś nić, która, jeśliby jej nie rozplątać, mogłaby ich udusić. Ich skulone postaci, schylone głowy, krzywe, wyszczerzone zęby, rozszerzone, nieruchome źrenice, wpatrzone w niewidzialny punkt przed sobą - pośród jabłoni o powykręcanych gałęziach, pośród krzaków pokrytych białymi owocami, które dzieci lubią rozgniatać na asfalcie (owoce przyjemnie trzaskają, wypryskując przejrzysty, gorzki sok), pośród wysokiej trawy o liściach jak pilniczki do paznokci - ich postaci z kloszami z grubego, pancernego szkła, które uciskają potylicę i ciemię, uciskają ramiona, kręgosłupy, nie pozwalają robić gwałtownych, obszernych ruchów, nie pozwalają szybko chodzić i skakać - zbyt są ciężkie.

Wielu z nich po prostu siedziało. Wielu się uśmiechało.

Wielu się krzywiło. U niektórych nie można się było dopatrzeć jakiegokolwiek wyrazu twarzy. Niektórzy szeptali albo bełkotali - przeważnie bardzo szybko i niezrozumiale, wielu ćwierkało jak ptaki lub śpiewało.

Prawie nigdy nie łączyli się w pary ani grupy. Pół biedy jeszcze, kiedy milczeli. Bo jeśli już mówili - jak niezdarne, jak dzikie były ich rozmowy.

Większość niegroźnych pacjentów, których wypuszczano na spacer, nie należała do jednak niedawnych schizofreników czy osób z depresją maniacką, ale do alkoholików, których przywieziono tu w szczyście delirium tremens i trzymano tydzień albo dwa pod kroplówką, albo narkomanów - zazwyczaj młodych chłopaków, chudych i pryszczatych, ciepło ubranych (opiekowały się nimi mamy, siostry albo dziewczyny). Oni też chodzili pod kloszami, co było naturalne - metody leczenia alkoholizmu czy uzależnienia od narkotyków nie różniły się rzecz jasna od metod leczenia chorób psychicznych. Ale w takim razie dlaczego pielęgniarki i lekarze też mieli na sobie klosze? Dlaczego oni także nerwowo obracali w palcach guziki i kartki, dlaczego szeptali coś sobie pod nosem i szczyrzyli zęby? Gdyby ktoś uważnie się im przyjrzał, dostrzegłby u nich, odpowiedzialnych za zdrowie psychiczne innych, wszystkie objawy nękające ich pacjentów, wszystkie choroby, które starali się leczyć. Odróżnić pracowników domu wariatów od pacjentów można było tylko dzięki dwóm rzeczom - białym fartuchom i wybuchom złości. Ale ani jedno, ani drugie nie było wyłącznym atrybutem pracowników i pomylić jednych z drugimi naprawdę nie było trudno.

Szaleńców agresywnych można było zobaczyć w oknach, za kratami. Prosiłi o papierosy i cukierki, uśmiechali się strasznymi uśmiechami i coś do nas krzyczeli. Ale najczęściej po prostu stali i patrzyli. Absolutnie znieruchomiali, matowi i wyblakli, brudni albo zachlapani starą farbą, rozmocy i niewyraźni - na takich wyglądali przez szyby.

W którejś z młodszych klas nasza nauczycielka, mieszkająca po drugiej stronie domu wariatów (to znaczy budynek szpitala znajdował się między moim a jej blokiem) i chodząca do pracy przez ogród, ze śmiechem opowiadała nam, jak z jednego z okien wystawiła kiedyś głowę dziewczyna w fioletowej chustce i krzyczała do niej i innych przechodniów, że jest Marią, Po Prostu Marią - nie Matką Boską, ale bohaterką latynoamerykańskiego serialu; „Ludzie, nie poznajecie mnie, to przecież ja, to przecież ja, Maria, Kocham Jose Ignasia!”. Nauczycielka mówiła o tym jak o czymś zabawnym, czule i z odrobiną wyższości. Często opowiadała nam wesołe historie ze swojego życia rodzinnego, o mężczyźnie, który zamiast szklanki wody wypił szklankę wódki, o córce, która mając trzy i pół roku, poszła spać do budy, przekonana, że suka Mucha jest jej matką. Mówiła o szalonej tak, jak mówi się o kociętach, które dopiero co się urodziły i są jeszcze całkiem ślepiutki, a już wyrabiają takie pocieszne rzeczy!

Ktoś inny opowiadał, że w naszym domu wariatów leży rzekomo kobieta, która twierdzi, że jest matką Gagarina.

I że ona być może nie jest szalona.

Jednym słowem wszyscy niebezpieczni chorzy byli skutecznie odizolowani, pozostali zaś nosili na głowach klosze i dlatego nikomu nic nie mogli zrobić.

Ogród domu wariatów był cichym i bezpiecznym miejscem zabaw. Tam najłatwiej było przyczać się w jakimś zacisznym, ukrytym i zapomnianym przez ludzi miejscu.

W trawie rosło wiele dmuchawców, z których można było robić kędzierzawe księżniczki. Jak się je robi, pokazała mi kiedyś Swieta Jeniszejew: nóżkę dmuchawca trzeba było rozdzielić na cztery albo sześć części. Im więcej nówek i im one cieńsze, tym wspanialsze i gęstsze staną się loki księżniczek. Potem dmuchawiec wkładało się do kałuży.

Kałuże były wtedy ciepłe. Włosy księżniczki skręcały się w nieprawdopodobną trwałą. Jednak dziwne, że to właśnie Swieta Jeniszejew pokazała mi tę zabawę. Księżniczki, loki i kwiaty nigdy jej nie interesowały. Na każdym podwórku jest taka dziewczynka: krępa, niewysoka, krótko ostrzyżona, z bezczelną miną i głosem, o którym można powiedzieć wszystko, tylko że nie jest to głos małej dziewczynki.

Swieta nigdy nie nosiła spódnic ani sukienek. Swieta nigdy nie zapuszczała włosów. Swieta nigdy nie bawiła się lalkami. Kiedy się z nami zadawała, robiła to tak, jakby była chłopcem, który rozmawia z dziewczynkami, bo ciekawi go obserwowanie tego, jakie są inne i głupiutkie.

Najczęściej można ją było zobaczyć na podwórku, gdzie razem z chłopakami grała w piłkę albo w kwadraty. Albo strzelała jarzębiną ze spluwki. Albo łąziła po drzewach.

Albo szła z chłopcami na „budowę”, albo do „psychiatryka”, albo nad rzekę, albo nad jezioro, albo jeszcze gdzie indziej.

Mówiłam już, że Swieta mieszkała nad nami, na trzecim piętrze. Miała starszą siostrę Tanie, która przypominała mi moją wyobrażoną siostrę cioteczną - wydawała mi się piękna, miała kręcone włosy, nosiła krótkie spódnice, malowała rzęsy, usta i paznokcie.

Rodzice Tani i Swiety, nałogowi alkoholicy, wynajmowali się we dwójkę do przeprowadzania remontów, a zarobione pieniądze przepijali w ciągu tygodnia, głośno i rozpaczliwie, z kłótniami, krzykami, bijatykami, łzami, tłuczeniem naczyń i mord. Ojca, Żenki Jeniszejewa, strasznie się bałam.

Nigdy nie powiedział do mnie ani słowa, a ja mówiłam do niego chyba tylko „dzień dobry”, ale z jakiegoś powodu czułam, że lepiej trzymać się od niego z daleka. Wiedziałam, że kicha i na mnie, i na wszystkich innych - i że mogło mu nagle odwalić, o czym świadczyło jego apatyczne spojrzenie.

Włosy na głowie Żenki wiły się w drobnych lokach, a długa niechlujna grzywka sama z siebie układała się po lewej stronie twarzy - do pełnego obrazu brakowało tylko kaszkietu z goździkiem, akordeonu w dłoniach i ogniście czerwonej rubaszki w drobniutkie białe groszki. Przyklepionego w kąciku ust papierosa już miał. Przypominał wilka z radzieckiej kreskówki - tyle że wilk był sympatyczny, a Żenka nie. Chociaż może zmyślam, bo teraz, kiedy wydaje mi się sympatyczny i staram się go sobie przypomnieć, to myślę, że powinien był mi się podobać.

Wierka Jeniszejew była wzorową żoną i matką. Tyle że się rozpiła i zmieniła w zwyczajną zapuchniętą alkoholickę. Żenka ją bił i długo chodziła posiniaczona i poraniona.

Z jakiegoś powodu zapamiętałam ją w różowym fartuszku gospodyni domowej. Wychodziła tak na podwórko. Na naszym podwórku wszyscy w ogóle chodzili w tym samym co po domu. A dziewczynka z sąsiedniej klatki, czarnowłosa ślicznotka, Żydóweczka Lena, którą wszyscy przezywali obraźliwie Modnisią, co ani trochę jej nie dotykało, a nawet przeciwnie, pochlebiali jej, lubiła wnosić z domu na podwórko talerz ze śniadaniem, obiadem albo kolacją i jeść bez pośpiechu, przymykając z rozkoszy oczy i pozwalając wszystkim wokół napawać się niespotykanymi delikatesami na talerzu i niesamowitymi czarnymi i gęstymi rzęsami, które umiała opuszczać na policzki, trzymać je tam przez jakąś chwilę, a potem unosić wolno, bardzo wolno i z drżeniem, zarzucając je aż na brwi, wbijać pełne wyższości spojrzenie czarnych oczu w rozmówcę. Lena miała wąziutki nosek z garbikiem, piegi i wąsik. Zawsze wszystko wiedziała i miała swoje zdanie na każdy temat, po prostu przeszywała ludzi tym swoim drżącym spojrzeniem, paraliżowała ich - no, może nie wszystkich, ale mnie na pewno. Przez jakiś czas starałam się nawet naśladować tę jej manierę, ale brakowało mi wystarczająco długich rzęs, gęstych brwi i czarnych oczu.

Wierka (mówili do siebie wyłącznie „Wierka”, „Żenka”, „Swietka” i „Tańka”, wkładając w te imiona całą swą czułość, miłość i oddanie), kiedy miała już ponad czterdzieści lat, urodziła trzecią córkę. Nazwali ją na cześć ojca, ale żeby jakoś ją od niego odróżnić, wołali na nią nie Żenka, a Żeniczka. Żeniczka splotła w sobie wszystkie rodzinne cechy: kręcone włosy, zadarty nos, podobieństwo do wilka z kreskówki, spódniczki i malowane paznokcie już w wieku pięciu lat oraz niedziewczęcy, niski głos.

Mieli jeszcze babcię Dunię - zdaje się przybraną matkę któregoś z dorosłych, maleńką kobietkę z laską - siwe włosy zebrane w kok, prościutko z rosyjskiej prowincji. Cichutka i milcząca, siadywała na ławce przed klatką i nawet nie zawsze odpowiadała na „dzień dobry”. Kiedyś miała męża - oficera czy kapitana, wysokiego, chudego, z długimi czarnymi wąsami, które zawadiacko sterczały w obie strony jak u huzara. Przeżyli szaloną historię miłosną, raz po raz wpadali w różne tarapaty, ale dawali sobie radę, wydostawali się z nich cali i zdrowi i suchą nogą,

prawie nieskalani, wychodzili z rzeki krwi. Podczas wojny babcia Dunia walczyła z mężem ramię w ramię, a teraz znalazła się tutaj, w dusznym, obcym, zachodnioukraińskim miasteczku, do którego nie wiadomo co, jak, kiedy i dlaczego zaniósł ją razem z przybranym synem Żeńką (być może synem jej oficera-kapitana z inną kobietą, jakąś piwnooką Aksinią), z Żeńką, o którego zawsze troszczyła się jak o rodzzonego syna i któremu wszystko oddawała, odbierając sobie od ust.

Zachowała dla siebie tylko całą kupę orderów, medali i nagród, z której przybrany (ale dla niej jak rodzony) syn Żeńka od czasu do czasu podkradał to i owo i sprzedawał, kiedy przez dłuższy czas nie było zleceń na remonty. Czasem z powodu tych orderów i medali przybrany syn Żeńka bił babcie Dunie. Nie zważając na to i na swoją delikatną kompleksję, dosyć długo pożyła - codziennie schodziła o lasce z trzeciego piętra, żeby posiedzieć na ławce przed klatką i pogapić się prosto przed siebie błękitnie przejrzystym, niewidzącym spojrzeniem, a wieczorem powoli i z wysiłkiem wdrapywała się po schodach do mieszkania. Koniec końców życie w nieprzyjaznym, ciasnym miasteczku - tak daleko od ojczystego domu, od wszystkiego, czego smak i zapach tak dobrze знаła, co było dla niej naturalne i żywe - przypominało raczej cierpliwe półsenne oczekiwanie na coś, co miało nadejść i ją uwolnić. Podejrzewam, czekała tak już nie pierwszą dekadę.

Jeniszejewowie mieszkali nad nami, ale poza tym nic nas z nimi nie łączyło. Jakie to dziwaczne, że Swietka, wojownicza i złożona jak składany nóż w jej kieszeni, cała w zadrapaniach, szramach i liściach, z papierosem za uchem, ze splawką za gumką szortów, z kradzionymi kopiejkami w trampkach - ta Swietka z jakiegoś powodu się do mnie przywiązała. Naśmiewała się ze mnie i kpiła, śmieszyło ją i dziwiło to, jak wymawiam słowa i jak się zachowuję, uważała, że jestem oferma i szczeniak, przecież byłam od niej młodsza o rok czy dwa i to była kolosalna różnica wieku.

Do wariatkowa najczęściej zaciągała mnie właśnie ona.

Mama zanim wypuściła mnie na podwórko, zakazywała mi przechodzić przez ulicę. Obiecywałam. Wtedy Swietka zaczynała podpuszczać wszystkich, żeby pójść do ogrodu.

Dzieciaki się godziły. Ja się opierałam. „Mama mi nie pozwala” - mówiłam. Wtedy Swietka zaczynała się ze mnie naśmiewać, znęcać i przezywać, potem obiecywać bezpieczeństwo i obronę, a później mówiła: „Nu wsio idiom” i szłam.

Rosły tam najlepsze papierówki, jakie kiedykolwiek w życiu jadłam. Wielkie, wyborne jabłka, słodkie i niezeepsute przez robaki i chemikalia - lepsze papierówki widziałam chyba tylko na pewnej działce w Czernichowie, tam owoce były jeszcze większe, ale po tym jak wymiotowałam jednym z nich przez całą noc i cały następny dzień, papierówki z domu wariatów na zawsze zajęły w moim sercu pierwsze miejsce.

Rosły tam też rajskie jabłuszka - malutkie, wielkości moreli, z jaskrawo czerwoną skórką, czerwone nawet w środku i trochę cierpkie. Rajskie jabłuszka spadały z drzew i pobłyskiwały w trawie - objadaliśmy się nimi tak, jak objadaliśmy się też niedojrzałymi, czyli zielonymi papierówkami i nic nam później nie było. Nie mieliśmy nudności i nigdy nie bolały nas brzuchy.

Swietka włąziła na drzewo, trzęsła nim, jabłka spadały na ziemię, zbieraliśmy je do kieszeni, czapek i plastikowych wiaderk. Swietka tymczasem zrywała sobie największe i najbardziej dojrzałe owoce. Kiedy nabraliśmy już dość zielonych łupów, szliśmy do naszego miejsca - na betonowe schody przy jednym z odrapanych budynków gospodarczych, od razu na lewo od żelaznych drzwi. Budynek był chyba porzucony - nikt nigdy do niego nie wchodził, a ponieważ miejsce zarośnięte było krzakami, chwastami i trawą, ludzie, którzy używali zielonych drzwi, zwykle nas nie zauważali. No, chyba że zbyt głośno śmialiśmy się albo rozmawialiśmy. Ale nawet wtedy rzadko nas stamtąd przeganiano.

Rodzice większości dzieci, jak również bezdzietni mieszkańcy okolicznych podwórek, zakradali się do psychiatryka z wiadrami i workami. Na własne oczy widziałam, jak przez nasze podwórko dziesiątkami kilogramów, całymi tonami taszczyli worki papierówek. Sprzedawali je potem w całym mieście, robili z nich przeciery i kompoty, cały Iwano-Frankowsk leciał na papierówkach z psychiatryka.

To jeśli chodzi o ludzi. Natomiast psychiczni, o ile pamiętam, jabłek nie jedli. Wyteżam pamięć, dokładam wszelkich starań, skupiam się, odrzucam poboczne myśli, zamykam oczy i nakrywam głowę poduszką. Tak, pamiętam okruchy czerwonej cegły w trawie. Tak, pamiętam, jak malowaliśmy tę cegłą klasy na asfaltowej alejce pomiędzy dwoma budynkami o zapleśniałych ścianach. Pamiętam, że kilku stałych psychicznych chodziło za nami i po prostu obserwowało, co robimy. Wyglądali jak ryby w akwarium. Tłusty czerwonoskóry i łysy facio z brzuchem tak wyдутym, jakby za miesiąc, dwa miał urodzić chłopczyka trzy dwieście. Chłopak ze złamanym nosem i stale zabandażowanymi rękami. Dwie łyse kobiety w jednakowych fioletowych fartuchach: zawsze trzymały się za ręce. Do twarzy jednej z nich przykleił się zdziwiony uśmiech. Nie miała przedniego zęba. Czasami przyłączał się do nich jakiś zgarbiony dziadek. Mrużył oczy, kiwał z dezaprobatą głową i spoglądał na nas podejrzliwie. Co kilka minut odwracał się, przykładał do ust pomarszczoną brązową piastkę i coś do niej szeptał, ukradkiem zerkając w naszą stronę. Potem podnosił drugą rękę do góry, wymacywał nią w powietrzu coś delikatnego i ostrożnie brał w dwa palce - kciuk i wskazujący - wyobrażoną antenę, naciskał ją kilka razy, a potem opuszczał rękę coraz niżej, uważnie świdrując nas ziarenkami oczu łypiących spod krzaczastych brwi. Następnie przykładał do pięści ucho (wielką szarą muszlę pocętkowaną białymi brodawkami i gęsto usianą długimi, grubymi włosami), stał tak chwilę, znieruchomiały, i

w końcu zręcznie chował pięść do kieszeni spodni od piżamy. Otrzeptywał dłonie, odwracał się do nas i długo patrzył takim zadowolonym, chytrym spojrzeniem, jakby trzymał nas wszystkich tutaj, w tej brązowej garści.

Zdarzało się, że ktoś z naszej eskorty zniknął. Facia w ciąży raz nie było. Dziadek tajny agent zniknął na dłuższy czas i już myśleliśmy, że umarł, ale niebawem znów zobaczyliśmy w krzakach znajomą zgarbioną sylwetkę. Natomiast umarł chłopiec ze złamanym nosem, który czasem z nami rozmawiał, wymieniając imiona wszystkich swoich kuzynów, kolegów z klasy, sąsiadów, wszystkich psów i kotów, imiona śpiewaków, aktorów, polityków, postaci historycznych i literackich - wtedy nie mogliśmy tego jeszcze wiedzieć, ale on był po prostu pojechany na imiona, ten chłopiec ze złamanym nosem i wiecznymi plamami zaschniętej krwi na bandażach. Swietka pytała go o bandaż, krew i o to, dlaczego zwariował, wysłuchiwał jej pytań, śmiesznie przekrzywając głowę i patrząc na nią jednym okiem jak ptak.

Wtedy zaczął nazywać. „Ja nazywam się Wiktor Romanowycz Roszka, moja mama nazywa się Anastazja Hryhoriwna Roszka, mój tata nazywa się Roman Petrowycz Roszka, moja babcia nazywa się Lidia Fedoriwna Kazirożeć, mój dziadek nazywa się Hryhorij Antonowycz Kazirożeć, moja druga babcia nazywa się Forcyzja Władleniwna Roszka, mój drugi dziadek nazywa się Petro Pyłypowycz Roszka, moja ciotka nazywa się Ciotka Żyża, a druga ciotka nazywa się Ciotka Żanna, a on nazywa się Alosza, a on nazywa się Fiodor Siergiejewicz, a on nazywa się Funtik, a ona nazywa się Ała Borysowna Pugaczowa, a ona nazywa się Samantha Smith, a on nazywa się Mychajlo Serhijowycz Gorbaczow, a on nazywa się Kris Kelmi, a on nazywa się Nelson Mandela, a on nazywa się Doktor Harris, a ona nazywa się Diana Ross, a on nazywa się Wielki Wąż Chingachgook”.

Na naszym podwórku mieszkały dwie siostry, które niebawem zaczęliśmy nazywać Ciotką Żyżą i Ciotką Żanną. „Hej, gdzie jest Ciotka Żyża?” A Ciotka Żanna poszła z Modnisią nad rzekę. „Patrzcie!” - krzyczały dzieci i zaczynały wlec się śladem sióstr jak żywy ogon - wystarczyło, że chociaż na chwilę zjawiły się na podwórku - „Ciotka Żyża i Ciotka Żanna Kazirożeć-Mandela!”. Trwałoby to do samego końca, przez wszystkie nadchodzące czasy, gdyby biedny Wiktor Romanowycz Roszka nie umarł. Powiadomiła nas o tym jedna z kobiet w fioletowym fartuchu, ta druga, z normalniejszą mimiką. Już nie było tak śmiesznie nazywać sióstr Ciotką Żyżą i Ciotką Żanną. Zaczęliśmy je nazywać „Bananowa” i „Śmietanowa”.

W naszej klatce, na piętrze, na którym mieszkały siostry, na wszystkich ścianach wyskrobane było niezdarnymi literami: „Bananówa-Śmietanówa”, właśnie tak, z kreską.

Do dziś widzę te napisy, kiedy tam przychodzę.

Ale wcześniej Roszka jeszcze żył - po prostu miał złamany nos i zabandażowane ręce. Podchodził do nas najbliżej ze wszystkich, pomagał zbierać jabłka i zanosił je do naszej kryjówki, ale nigdy ich nie jadł. Inni psychiczni też nie jedli. Patrzyli, jak my jemy.

Roszka niby siedział z nami, ale jednak poza granicą kręgu, w odległości kroku, dwóch. Obserwował, co robimy (niewiele robiliśmy), jednak rozmów, zdaje się, nie słuchał i nie słyszał. Nie słyszał nawet kpin pod swoim adresem i tego, co dotyczyło jego osoby. Trzeba było kilka razy powtórzyć jego imię, do tego w pełnym brzmieniu: „Wiktor Romanowycz Roszka”, żeby w końcu jakoś zareagował.

Wzdrygając się, Roszka wytrzeszczał na nas swoje łagodne i otepliałe oczy, oczy człowieka, którego zrzucono z najwyższych warstw atmosfery, gdzie było tak spokojnie, gdzie bezpiecznie przepływały chmury.

Kiedy Swietka najadła się jabłek, tak że aż ścierpł jej język i podniebienie, wyciągała pomiętego papierosa. Kradła je babci Duni - babcia Dunia paliła najtańsze papierosy, najlepiej „Bielomor kanał”, ale były jeszcze jakieś inne, których nazwy już nie pamiętam.

Żeby dostać się na budowę, nie trzeba było przechodzić przez żadną ulicę. Budowa tak naprawdę nie była żadną budową, po prostu piłowali tam drewno na deski. Plac zaczynał się przy naszym podwórku i odgradzony był od niego jedynie żelazną siatką. W siatce ziały dziury, przez które przechodziliśmy. Od czasu do czasu ktoś łątał dziury drutem, ale wówczas znajdowaliśmy inne przejścia, w najgorszym wypadku na budowę można się było dostać, obchodząc ją dookoła i przechodząc przez bramę.

Zawsze wałało się tam mnóstwo desek, kijów, pieńków, miękkich trocin, zawsze pachniało świeżym drewnem. Chłopaki i Swietka mieli tam miejscówkę na dachu niewielkiej szopy - ciasną niszę, do której przez szczeliny w deskach równymi pasmami wpadało słońce i w promieniach ciężko kołował drewniany kurz, ściany ozdobione były sztucznymi kwiatami z rozplecionego cmentarnego wieńca, a na krzywym stołku w kącie stał portret małego Wołodii Uljanowa.

Od razu za budową zaczynało się przedszkole, także ogrodzone siatką. Ta jednak nie stanowiła problemu - z łatwością przez nią przełaziliśmy, bo chociaż kończyła się ostrymi kolcami, nie była tak chybotliwa i niepewna jak siatka otaczająca budowę.

W tym przedszkolu ktoś stuknął mnie kiedyś w głowę huśtawką tak mocno, że upadłam i leżałam pod nią kilka minut, ale nie dlatego że straciłam przytomność czy nie mogłam otrząsnąć się z zamroczenia, tylko dlatego że huśtawka bujała się nade mną tam i z powrotem, a ja leżałam na dole i obserwowałam jej lot i zabawy wiatru w rozłożystych koronach drzew.

Swietka i Natasza Karieta-Sznobelka (cienkonoga żyrafa zdługaśnymi, niezgrabnymi kończynami i długim nosem) mówiły, że tutaj, w tym przedszkolu, mieszkała kiedyś stara

wiedźma. Jedyne, co o niej zapamiętałam - i akurat ta osobliwość damskiej anatomii budziła we mnie największe przerażenie - to jej długie, ostre pazury.

Nie musiałam nawet wyteżać wyobraźni, żeby zobaczyć mglistą sylwetkę wysokiej, chudej kobiety ubranej w czarny wdowi strój, w kapelusiku z woalką w groszki. Powinno od niej zalaływać spleśniałą, zgniłą kaszą i drewnem. Czasem śniło mi się, że zbliża się do mnie, pokonując przestrzeń gwałtownymi zrywami, jakby ślizgając się na lodzie.

A wszystko wokół niej migotało szarymi śnieżynkami, jak nocą w telewizorze. Jej wystawione do przodu ręce - wyciągnięte tak, jakby próbowała na oślep wymacać drogę, dosięgały mnie ostrymi klingami paznokci. Paznokcie były białe i paskudne.

Kiedy indziej przez tydzień nie mogłam spać, po tym jak poszłam ze Swietką i Sznobelką na początek ulicy Serkowa.

Akurat naprzeciwko baby Ziny, w piętrowym domu mieszkała wcześniej Kadeta z rodziną. Mówiła, że musi zabrać stamtąd jakieś ważne rzeczy. Nikt już tam nie mieszkał, dom walił się w oczach. Weszliśmy na strych i z piętnaście minut łaziliśmy pośród kurzu i gratów. Na strychu unosił się stęchły, ciepły, słodkawy zapach. Karieta ze Swietką namawiały się szeptem. „Wiesz, tutaj powiesił się kiedyś jeden dziad, po tym jak umarła jego baba - powiedziała Karieta, wskazując dłonią belki nad moją głową. - Trup baby leżał jeszcze w mieszkaniu na stole, a on już telepał się tu, na strychu. Niebieski, z wywalonym językiem”. Rozpłakałam się i zaczęłam prosić, żebyśmy jak najszybciej stąd poszły. Zwlekały i naśmiewały się ze mnie. „Czego ty się boisz, teraz ich tu nie ma”.

Akurat, nie ma. Wyraźnie stał mi przed oczami dziad w domowych kapciach wsuniętych na boscie stopy - laczki trzymały się wytartymi lamówkami na paluchach u stóp.

Widziałam, jak trup z wolna huśta się w obie strony, słyszałam, jak przejmująco skrzypią belki. Rzeczy, na które patrzyłam, stały tam także wtedy, kiedy dziad się wieszał, kiedy chrypiał po raz ostatni i kiedy szamotał się już martwy.

Wszystkie te rzeczy go widziały - a więc ja także mogłam widzieć przez nie jego struchlałe ciało, ze skazańczo zwisającymi wektorami kończyn, z pochyloną, bezbronną głową na złamanym karku. Jednocześnie przed moimi oczami ukazywał się zimny trup baby na stole w mieszkaniu.

Te zwidy przyłgnęły do mojej pamięci, ugrzęzły w niej, jak traktor grzęźnie w świeżym, żywym bagnie. Kipiały i wypływały na powierzchnię z natrętnym chlapaniem i mlaskaniem, rozpędzając sny i niewinne myśli.

Pewnego wieczoru razem ze Swietką uciekałyśmy przed przedszkolnym stróżem. Serce waliło mi gdzieś w głowie i dlatego niemal nic nie widziałam. Nogi płały się i drżały, wiatr gwizdał w uszach, przebijałyśmy się przez krzaki, które drapały nas boleśnie, a stróż, widząc to,

krzyknął wściekle, gotowy nas rozszarpać, piekielny diabeł. Zostałam z tyłu, Swietka odwróciła się i machnęła ręką, potknęłam się, upadłam i stłukłam kolana, podniosłam się i pobiegłam dalej, nie czując jeszcze bólu, bo w tym momencie ważniejsza była ucieczka, dopiero potem zaczęłam narzekać. Wreszcie wcisnęliśmy się do jakiejś kryjówki pomiędzy garażami, budową a przedszkolem. Długo dyszałyśmy, opierając się o drewniany płot. I kiedy serca wreszcie zaczęły bić spokojniej i nie łapaliśmy powietrza z tak dzikim świstem, Swietka przyłożyła palec do ust i wskazała na płot. Nasłuchiwałyśmy. Tuż za ogrodzeniem rozgrywała się jakaś walka. Deski chygotały się i skrzypiały, szeleściły liście, rwała się tkanina, głucho burczał mężczyzna, kobieta mówiła coś szeptem. Jej głos stawał się coraz głośniejszy i bardziej nerwowy. „Proszę przestać, niech pan przestanie - mówiła - chcę pójść do domu, mąż na mnie czeka, niech pan tego nie robi, niech pan mnie puści, proszę mnie puścić, proszę pana, dosyć, proszę przestać, nie trzeba, no, nie trzeba, bardzo proszę, bardzo proszę, tak bardzo pana proszę!” Już zaczynała płakać. Tymczasem on sapał i chrypiał i nie zamierzał jej donikąd puszcząć. „Cicho, cicho - mówił głosem, który powinien należeć do starego pijanego dziada z włosami w uszach i spodniami beznadziejnie obwisłymi w kroku. - Nie wierę się, proszę cię, no, chodź, chodź, nie wrywaj się, proszę cię, cichutko, cichutko, czego płaczesz, no, chodź, zdejmij to, no co ty, no, przestań, daj, rozepnę, o tak, nie, nie, przestań, rozepnę, o tak, chodź, chodź, no, przestań, nie puszcę cię, bardzo proszę, chodź szybciotko, ja muszę, bardzo muszę, no, proszę cię, patrz, jak muszę, ja nie mogę, no, bardzo proszę, no, proszę cię, no, stój prosto, stój, mówiłem, nigdzie nie pójdziesz, zdejmij jeszcze to, nie ubieraj, nie ubieraj się, mówiłem, no, daj tu, no, daj mi, o tak, o tak, o tak, bardzo proszę, bardzo proszę, proszę cię bardzo!”

Nie rozumiałam, co się dzieje, nie widziałam niczego oprócz huśtającego się płotu, ale chichotanie Swietki (choć czułam, że też się boi, nie mniej niż ja) i te dzikie dźwięki, do których moja wyobraźnia nie umiała niczego domalować i które były dla mnie jak korki od butelek, wypełnionych czymś, czego nigdy nie próbowałam ani nie wahałam, sprawiły, że po plecach przebiegały mrówki, nogi drżały i zasychało w gardle, i bardzo było mi żal kobiety, i niedobrze, niezręcznie, nieprawidłowo, ale nie mogłyśmy się oderwać, przyłgnęłyśmy do drewnianego płotu i umierałyśmy z ciekawości, ciekawiło to nas, ciekawiło tak bardzo, że nie chciałyśmy, żeby to się w ogóle kiedykolwiek skończyło.

Ale poszli - kobieta dalej płakała i prosiła, zanosila się już szlochem, a on miał to w nosie, pociągnął ją dokądś, gdzie nie mogłyśmy ich już więcej słyszeć - i z tego powodu nienawidziłam go jeszcze bardziej niż za to, że zmuszał kobietę do czegoś, czego nie chciała.

Sterczałyśmy tam jeszcze z pięć minut, obgadując usłyszane, a potem odlepiłyśmy się wreszcie od płotu i powoli powlekłyśmy na nasze podwórko. Ale prawie od razu minął nas radiowóz.

Milicjanci żwawo wyskoczyli z samochodu i podbiegli do grupki ludzi, której nie zauważyłyśmy zza rogu. Ludzie wskazywali rękami najbliższy garaż. Milicjanci rzucili się w tym kierunku. Sprawiedliwość tryumfowała.

Wyprowadzili go, wykręcając mu ręce na plecach i zatraskując kajdanki na nadgarstkach. Nie mógł iść, spodnie i majtki miał spuszczone aż na buty, pasek włókł się po ziemi, białe chude nogi świeciły niebieskimi żyłami, a między nimi bezbronne telepało się zmarszczone i smutne prątko.

Nie zdążył nic zdziałać. Milicjanci wlekli go za sobą, a on tylko charczał coś niezrozumiałego i wybałuszał oczy jak konisko.

Młoda kobieta przy kości wyszła za nimi. Była już spokojna, chociaż wciąż blada i rozchwiana. Poprawiała ubranie i fryzurę. „Przecież mąż na mnie w domu czeka” - powiedziała milicjantom, kiedy powiadomili ją, że będzie musiała pojechać z nimi na posterunek.

Gapie śmiali się i docinali zaaresztowanemu biedakowi.

Klepali się po ramionach i podawali sobie ręce. Pewnie! Ta historia bardzo ich zbliżyła. Być może przyjaźnią się do dzisiaj dzięki temu, że pewnego dnia podsłuchali gwałt. Zapanowała wśród nich wspaniała, ciepła atmosfera święta, ktoś wyniósł butelkę, ktoś kieliszki, jakaś kobieta przyniosła chleb i pomidory. W głuchą noc raz po raz powtarzali całą historię od początku do końca, ściągając do swojego towarzystwa coraz więcej i więcej postronnych. Historia obrastała w nowe szczegóły, a potem, kiedy pośpiewali już półtorej godziny pod nocnymi szepczącymi lipami, zapadło melancholijne milczenie i jakiś mężczyzna pomyślał głośno: „Ech, ale po co było się tak wyrywać”. A jakaś kobieta westchnęła: „Wszystko jedno i tak nic by mu z tego nie wyszło”. Po kilku minutach zaczęli w milczeniu rozchodzić się do domów.

Nie nauczyłam się jeszcze nawet żuć, a i zębów w moich ustach nie było znowu tak wiele, ale mięso już zajmowało w moim życiu pierwsze miejsce. Wystarczyło, że po prostu zobaczyłam na kuchennym stole niemal żywe, zakrwawione skrawki cielęciny - i zaczynałam po szczenięcemu piszczeć i podskakiwać. Plasterki kielbasy kładłam sobie na języku i ssłam. Mogłam zjeść za jednym zamachem dwa, trzy kilogramy kielbasy. Kiedy otwierałam oczy o świcie, myślałam o mięsie i w głowie zaczynało się przyjemne zamroczenie. Większość moich życiowych nawyków związana była z mięsem.

Wygrzebawszy się z ciepłej pościeli, kiedy przelazłam już przez śpiące ciało Hali i wzbudziłam falę niezadowolonych pomruków, kłaskałam bosymi stopami po zimnych,

pomalowanych na czerwono deskach podłogi, czując, jak język miękko tonie w aksamitnej, gęstej ślinie na samą myśl o kielbasie. Mój język i ślina miały wtedy chyba smak i zapach mięsa - nie surowego, raczej wędzonej szynki.

Dziewczynka Wędzona Szynka mija pokoje, wychodzi do przedpokoju oświetlonego mglistym, rozproszonym światłem i z wysiłkiem, obiema rękami łapiąc za metalową klamkę lodówki Dniepr, rozwiera jej mroźną paszczę. Nie interesują ją zupy w słoikach, nie ciekawia kiszzone ogórki ani surowe jajka na specjalnej półce. Sięga do czule różowego pętka doktorskiej kielbaski. Nie ma znaczenia, ile jest w niej prawdziwego mięsa, nieważne, czy jest świeża, czy nie bardzo, obojętne, że tak raniutko małe dzieci o jedzeniu nie mogą nawet myśleć.

Wgryzałam się w kawałek białej kielbasy mlecznymi białymi zębami. Jadłam mięso po słodyczach, jadłam mięso przed snem i zasypiając, marzyłam o mięsie.

Moim szczególnym przysmakiem były kurze skórki i flaki, które mama z Hala uznawały za nie nadające się do galarety. Specjalnie dla mnie w przedświąteczne wieczory w napelnionej tropikalnymi oparami wilgotnej kuchni rosły góry mięsnych odpadków. Otwierałam usta i kobiety po kolei wrzucały do nich mięsne okrawki, a ja się oblizywałam i z wdzięcznością machałam ogonem.

Nie byłam wybredna, jeśli chodzi o mięso. Z jednakową rozkoszą - ale jaką, jakże bezkresna była ta rozkosz! - wcinałam kotlety, pulpety, serdelki, smalec, słoninę i nieskończone czarne węże surowej albo smażonej kaszanki. Mięso było dla mnie święte w każdej postaci. Bez przesady można je było nazwać sensem mojego życia, bo właśnie ono odciągało mnie od smutnych myśli, od pytań o to, dlaczego umarł chomik i dlaczego umarł gołąb, i dlaczego jeździmy do prababci na cmentarz, chociaż żadnej prababci tam nie ma. Dopóki było mięso, nigdy nie powiedziałabym, że życie jest niesprawiedliwe albo pozbawione sensu. Mogłam jeść mięso trzy razy dziennie - a nawet częściej. Kiedy potrawa, którą mnie karmiono, okazywała się bezmięсна, przestawałam uznawać ją za potrawę. Nie chciało mi się jeść, traciłam apetyt, nastrój i chęć życia.

Hala, szczerze się ciesząc z mojej miłości, była po prostu nieprzytomnie dumna z takiego pełnego radości życia, rezolutnego i witalnego dziecka. Często urządziła dla nas dwóch seanse samouwielbienia. Przypominam je sobie bez szczególnego wysiłku.

Hala, duża i przy kości, siedzi na chybotliwym taborecie za kuchennym stołem. Stół nakryty jest brudnożółtą ceratą, gęsto posiekaną wąskimi śladami po nożu. Jeśliby spróbować oderwać ją od stołu, będzie się go czepiać, wydając nieprzyjemny kleisty dźwięk. Najpewniej jest właśnie słoneczny ranek jakiegoś radosnego, wolnego dnia. Rodzice jeszcze śpią, dziadek chrząka w toalecie, przez kuchenne okno, zasłonięte białą przejrystą firanką, hojnie leje się gęste światło (takie światło bywa tylko w dziecięcych wspomnieniach), na kuchence gazowej w wielkim garnku

coś wrze i paruje. W kuchni jest jak zawsze nieznośnie gorąco. I rośliny rosną tu tłuste, z mięsistymi liśćmi i łodygami, żrąco zielone, wybijające i jakieś przesadne.

Na ceracie przed Halą rozłożone jest jedzenie. Biały i ciemny chleb, masło, słonina, smalec w słoiku, kiełbasa, jajka na twardo. Wielkim nożem Hala odkrawa od wszystkiego po solidnym plastrze i posyła go do ust - tak po prostu, po kolei, nie robiąc żadnych kanapek i niczego sobie nie gotując, właśnie tak zawsze najbardziej jej smakowało a przeżuwając, jednocześnie z zadowoleniem nuci dźwięcznym głosem jakąś szczebiotliwą piosenkę, która sączy się ze „szczekaczki” znad lodówki. Stoję przy stole, zadzierając głowę, i obserwuję ją. W moich oczach jest jasno, bardzo jasno.

- Masz, Sofijeczko, zjedz maselka - słodkim głosem mówi do mnie Hala i odkrawa swoim wielkim nożem pokaźny kawał. Kilka centymetrów sześciennych żółtego, wiejskiego masła.

Posłusznie otwieram usta i łykam.

- A teraz troszkę słoninki - mówi Hala, kiwając głową z aprobatą. Kawał słoniny jest nie mniejszy i nie cieńszy. Ale trudniej go żuć, nie rozpuszcza się tak szybko w ustach.

Hala wyciera resztki słoniny i masła z mojego upačanego pyska skrajem jaskrawoczerwonego fartucha. Hala zawsze lubiła czerwony - nawet mój nocnik na jej żądanie wybrali taki. Oprócz niego czerwona była jej szczoteczka do zębów, koszyk na bieliznę, kubki, garnki, trzepaczka do dywanów, aparat telefoniczny, kapcie i wycieraczka.

- Zuch, grzeczna dziewczynka - mówi Hala i głaszcze mnie po głowie usmarowaną masłem dłonią. - A teraz zjedz jeszcze łyżeczkę smalcu.

I zanurza w wielkim trzylitrowym słoiku smalcu, przywiezionego od cioci Nastii ze wsi Ozeriany w obwodzie tarnopolskim, wielką stołową łyżkę. Kiedy łyżka zawisa naprzeciw mojego nosa, przez krótką chwilę badam jej zawartość - góra białożółtego, błyszczącego smalcu z plamkami rudych skwarek pod wodospadem słonecznego światła błyszczy niczym sterta drogocennych kryształów. Nawet jeść szkoda takie piękno. Ale jestem bezlitosna. Otwieram usta i śmiało łykam smalec. Przyjemny poranek dnia wolnego od pracy. Życie dopiero się zaczyna.

Przedszkole zmusiło mnie nienawidzić ryby. Przedszkole w ogóle zmusiło mnie nienawidzić wielu rzeczy - zresztą mój przypadek, szczerze mówiąc, nie jest najgorszy. Jednego z moich znajomych zmuszali tam do wyjadania z talerza własnych wymiocin.

Na mięso wpłynąć nie mogli, bez żadnej szkody dla mojego organizmu i z apetytem używałam mięsa półsurowego, półświeżego, półspalonego, półprawdziwego. To jedyne, na co w ich przeklętym przedszkolu miałam apetyt. Natomiast najgorszymi torturami były przedszkolne ryby i leżakowanie. Kiedy po tych niezliczonych salach, zastawionych zepsutymi zabawkami i malutkimi drewnianymi krzeselkami, rozlewał się charakterystyczny zapach brudnego żelaza,

ogarniała mnie niewyjaśniona tęsknota, niepojęta rozpacz i przez wypłowiałe wymiotnie-błotniste firanki dostrzegałam nagle na placu zabaw, gdzieś tam między piaskownicą a chatką (w której najczęściej udawało mi się porządnie pobawić w lekarza) zjeżony oblaźły grzbiet jakiegoś wielkiego nieznanego zwierzęcia, złowieszczonego, śmierdzącego i złego. Poruszyło swoim nagim błyszczącym ogonem, nerwowo wzbijając w powietrze kupy suchych liści. W dni mięsne zwierzę nie pojawiała się nigdy, natomiast po dniach rybnych (dniach brudnego żelaza) uparcie i bezczelnie wślizgało w moje koszmary, wyganiając z wysiedzianych miejsc maleńkie wściekle karzełki. Te karzełki grały zazwyczaj w moich snach krewnych, którzy nagle z jakiegoś powodu zmienili się tak zewnętrznie, jak i wewnętrznie, i straszili mnie, obrażali, wyganiaли z mieszkania i prowadzili w nieznane przerażające miejsca, na pustkowia, do wąskich szarych ulic między wysokimi ślepyimi budynkami. Po obudzeniu długo nie mogłam oprzytomnieć i podejrzliwie przyglądałam się rodzicom. Byłam czujna i przygotowana na to, że w każdej chwili, gdy tylko zbyt gwałtownie odwrócę głowę czy otworzę drzwi, zamiast zwyczajnych ludzi zobaczę kilku niewyrośniętych pokurczów, którzy wstrętnymi syczącymi głosami będą dyskutować, jak się mnie pozbyć, najpierw do woli pomęczycywszy.

Przedszkolanki nie musiały udawać. I w snach, i na jawie wyglądały jednakowo strasznie. Weźmy chociażby Ludmiłę Pyłypiwnę. Ludmiła Pyłypiwna miała ponad pięćdziesiątkę, była wysoka, chuderławą kobietą z pomarszczoną żółtą twarzą. Białka jej wybałuszonych piwnych oczu mętnie i złowieszczo błyskały tą samą chorobliwą żółcią - skutki żółtaczk, problemów z wątrobą i woreczkiem żółciowym.

Bez wątpienia zalewała ją żółć.

Co rano, kiedy rodzice przyprowadzali dzieci za rękę do przedszkola, witała ich z przymilnym uśmieszkiem. Cienkie starcze wargi, zwilżone gorzką („Ach, tak mi się pogorszyło, tak się pogorszyło!”) śliną, która gęstniała w kącikach ust, tworząc krople białej piany. „Ta-a-a-a-k - ta-a-ak! Dzień dobry, Michasiu! Tatuś cię dziś przyprowadził?” - wyśpiewywała z udawaną czułością. „Hałynko, zajączku malutki, dlaczego znowu jesteś taka zaspana? Znów dziś nakakasz w południe?” - głaskała po głowie najmniejszą i najbardziej strachliwą dziewczynkę, zanim jej babcia po raz kolejny zaczęła przeproszać, wyjaśniając, że Hałynce jest bardzo trudno, bo jej mama umarła, a tata pije. Ludmiła Pyłypiwna cmokała ze współczuciem, wypytywała o szczegóły i układając usta w literę „o”, mechanicznym gestem zeszkrobywała zajady i ślinę z kącików warg. W ustach zawsze miała coś niecałkiem przeżutego - kawałek chleba, kartofel, sernik.

Lubiła mówić z pełnymi ustami, zapluwając się i siejąc wokół okruchy śmierdzącej, lepkiej kaszy.

Potem, kiedy rodzice już jej nie zagrażali, Ludmiła Pyłypiwna zaczynała rytualną przemianę. Nikogo już nie nazywała „zajączkiem” czy „gąską”, nie uśmiechała się (chyba że krzywym uśmiechem wariatki na kilka minut przed rozstrojem psychicznym) i nie sepleniała. Jej gładkie, czarne, przetykane nitkami siwizny włosy, zebrane na potylicy w długi koński ogon, przylegały do czaszki jeszcze ciaśniej, a cienki biały przedziałek, podobny do precyzyjnego chirurgicznego cięcia, zaczął się rozszerzać i rozwierać i już nie wiedzieliśmy, co z nami będzie.

Ludmiła Pyłypiwna krzywiła się i coraz bardziej nerwowo, drapiąc przy tym aż do krwi zajady i podbródek, przemierzała pokój z zabawkami. Znieruchomiałe dzieci bały się nawet oddychać. Ludmiła Pyłypiwna żuła makaron, pluła nim, błyskała kilkoma żelaznymi zębami i z nienawiścią cedziła coś w odpowiedzi na przestraszone pytania grubej otepiałej niańki, którą miała pod pantoflem. Nie rozchyłała nawet warg (choć resztki makaronu w jakiś sposób dalej wypryskiwały na wytarty parkiet), a oczy zwężyły się jej w dwie cieniutkie szczeliny zalewające się krwią i żółcią.

Takie piękne intensywne kolory - czerwony i żółtopomarańczowy.

I talerz leciał w okno, widelec - w ścianę, a dwa malutkie drewniane foteliki, z których strzepnęła półmartwych ze strachu i od uderzenia chłopców - w dziecięce głowy.

- Idioci! Durnie! Niedorozwinięte zasrańce! Jelopy! Kaleki! Pokraki niedonoszone! - jej usta rozdziawiały się tak szeroko, że nie można było dojrzeć reszty twarzy. Kręciła głową i dziwiło nas, że czaszka nie zerwała się jeszcze z zawiasów i nie zaczęła obracać wokół własnej osi. Klamra, którą zebrany był ogon, rozpinała się i leciała w nos poblądłej niani. Rozpuszczone włosy powtarzały konwulsje swojej właścicielki. - Porozrywam na kawałki! Rozszarpie! Zaduszę! Zabiję! Zakopie! Ze sraczką i smarkami pomieszam! Szszszszsz!

Hrrrrrrrr! - wściekała się, miotając jak w gorączce. Potem obiema rękami łapała jeszcze jeden fotelik i waliła, waliła, waliła nim o ściany i stół. Ślina i kawałki drewna leciały na wszystkie strony, dzieci rzucały się na podłogę i nakrywały głowy rękami, z góry padała na nie tłusta niania, chcąc osłonić je przed furią - a jej podwinięty fartuch odsłaniał grubaśne nogi z nabrzmiałymi niebieskimi żyłami i wielki tyłek w białych, wydętych jak żagiel majtkach.

Niania jęczała żałośnie, a dzieci jedno po drugim zaczynały ryczeć. Odłamki fotelika i stołu, strużki śliny i smarków, wrzask, ryk, jęki, pot, łzy, „smarki i sraczka” krążyły w przypominającym bąka tornadzie.

- Wszyscy pójdziecie do żłobka gary szorować! Wszyscy, słyszycie? Imbecyle, debile, idioci, dupy śmierzące! Już, zaraz, w tej sekundzie wszyscy co do jednego pójdziecie szorować gary do żłobka! - pomału gasła i zatrzymywała się zasapana, oczy się jej rozszerzały, a źrenice

zaczynały biegać w obie strony, jak u spłoszonego konia. Przedszkolanka jeszcze kilka minut dyszała, jej piersi ciężko się unosiły, a ręce zaciśnięte na kawałku fotelika drżały. Niania czerwona i mokra od potu wstawiała na swoje nogi kłody, obciągała fartuch i zaczynała uspokajać dzieci.

Spojrzenie Ludmiły Pyłypiwny rozjaśniało się, chwytając ustami powietrze i nagle zaczynała widzieć. W spojrzeniu odbijało się zdziwienie.

- Griszeńka, czemu płaczesz? - pytała cichym, zatroskanym głosem. - Iwanoczka, a ciebie kto tak nastraszył?

- Mario, co się stało? - zwracała się do niani, starając się zrozumieć przyczyny tego poruszenia. Dzieci wciąż jeszcze pochlipywały, ale już z wyraźną ulgą. Niektóre nawet się uśmiechały.

I wtedy spojrzenie Ludmiły Pyłypiwny padało na kawałek fotelika, który trzymała w dłoniach. Przez chwilę przypatrywała się mu w milczeniu, potem rozglądała się po pokoju. Niania z jękiem znów rzuciła się układać dzieci na podłodze.

- Ech wy diabelskie oberwańce! - znów strzykała jadem Ludmiła Pyłypiwna, wymachując nad głową nóżką fotelika. - Tepe, zaszczane wandale! Kto to zrobił? Kto to zrobił, pytam?

Zbliżyła się do kupy malutkich skurczonych ciałek zbitych na podłodze, włosy tłustymi pasmami zwisały jej wzdłuż twarzy, szczeliny oczu znów wyblęskiwały na czerwono.

- Pytam ostatni raz, pierdziele niedorżnięte: kto to zrobił? Kto zniszczył mienie państwowe? Kto zniszczył własność Kraju Rad? Kto wzgardził hojnymi darami Wiecznej Partii i Wielkiego Lenina? - cedziła przez zęby, zamachując się nóżką to nad jedną, to nad drugą dziecięcą główką. Opętanie minęło. Teraz był to zwyczajny atak sadyzmu. I Ludmile Pyłypiwnej było słodko, ach, jakże słodko jej było!

Odrzuciwszy na bok kawałek drewna, zaczynała nagle jedną dłonią masować sobie udo i przygryzać dolną wargę, a drugą łapała za rękę którejś z dzieci i ciągnęła je za sobą, wlokła po podłodze, zaczepiając o meble i zabawki. Wreszcie rzucała ofiarę w kąt, cedząc: „Będziesz tu klęczeć do wieczora. A wieczorem wszystko opowiem twoim rodzicom, gnoju jeden! Oni ci już dadzą!”. Po chwili odwracała się do reszty dzieci, które znów zanosili się chóralnym rykiem, i łapała następne. Kiedy wszystkie kąty były już zajęte, Ludmiła Pyłypiwna nie wytrzymała i pędem leciała do toalety. Drzwi nie zamykała. Ale i tak nikt by tam nie wszedł.

Jedną ze swoich najulubieńszych rozrywek grzeszyła podczas leżakowania. Nie pamiętam, jak udawało się jej położyć dzieci spać, a tym bardziej zmusić je, by zasnęły (choć ja na przykład ani razu nie zasnęłam w przedszkolu - pewnie ze względu na własne bezpieczeństwo) - ale po jakichś piętnastu minutach krzyczenia i wydzielania śliny w sali panowała martwa cisza.

Odczekiwała jeszcze piętnaście minut. Do tego czasu większość dzieci zaczynała mruczeć przez sen i puszczać nosem bańki. Wtedy przedszkolanka na palcach wchodziła do sypialni i wybierała ofiarę. A najlepiej - dwie. Zatrzymawszy się przy tych, którzy spali najbardziej słodko, zamierała nad nimi na jakąś minutę, obserwując ich swoimi nieruchomymi żółtymi oczami i uśmiechając się tak łagodnie i ze wzruszeniem, że zdawało się, że za moment uroni łzę rozczulenia nad snem aniołków.

I wtedy gwałtownie zrywała z nich kołdrę i mrużąc oczy, zaczynała z całych sił tupać i kręcić głową:

- Ach ty suko, suko ostatnia! Ile można głądzić! Co mówiłam? Co mówiłam? Pysk ci zatkać? Język ci wyrwać?

Wszystkie śpią jak należy, a te tu bez przerwy głądzą! Ja ci zaraz pokażę! Żeby tak przeszkadzać innym spokojnie spać!

Myślisz, że dla ciebie zasad nie ma? Zaraz ci je na twojej dupie zaszrane wypiszę! Zaraz jedno z drugim pójdziecie mi do żłobka gary szorować! No! Wstawać! Szybko! - i łąpała senne, oszalałe, zagubione dzieci za ręce i wyciągała je z łóżek. A kiedy maluchy zaczynały bąkać coś na swoją obronę, ona wściekała się jeszcze bardziej.

- Zaraz, zaraz mi tu zobaczycie, zaraz wam pokażę, niedojdy przekłete! Nie ubierać się - tak, w majtkach, pójdziecie zaraz na dół, do żłobka, tam akurat czeka sto garnków ze sraczką! Będziecie je myć do wieczora, jełopy! A najlepiej nie w majtkach - bez majtek pójdziecie! No, zdejmować majtki! Majtki, powiedziałam, zdejmujcie!

W tym momencie w sali nie spał już nikt. A ryczały nie tylko niesprawiedliwie obwinione ofiary, ale też kilkoro szczególnie nerwowych i wrażliwych dzieci. Ludmiła Pyłypowna tylko na to czekała - momentalnie łąpała za ręce także je i zaczynała zrywać z nich majtki.

- O, znaleźli się jeszcze pomocnicy. Teraz, natychmiast idziecie ze mną do żłobka podmywać zaszrane dupy, gówna w dłoniach nosić i gary szorować! Kto jeszcze chce? Niech no tylko ktoś piśnie - zaraz polecą za tymi ślicznymi! I żeby mi się nikt nie zesrał ze strachu, świnie pustogłowe!

Kiedyś „obudziła” w ten sposób i mnie - ale ponieważ jak zawsze nie spałam, a tylko udawałam drzemkę, to i jękać się nie zaczęłam. Pozdzierawszy z nas majtki i ścisnąwszy dłonie, Ludmiła Pyłypowna wyciągnęła nas z sypialni, by spełnić swoją groźbę. Dreptaliśmy za nią, nagie i blade małe żaby, płacząc się jej pod nogami i potykając o siebie nawzajem.

Długo nas prowadziła, o wiele dłużej niż powinno trwać leżakowanie. Na każdym kroku zatrzymywała się, nachylała do naszych twarzy i zaczynała parskać śliną, opisując wszystkie

powaby zasranych garnków i „żłobkowej sraczki”. Tego dnia jadła kotlety z kaszą gryczaną. Szlochaliśmy i obiecywaliśmy, że już nigdy nie będziemy. Nie wierzyła.

- Nie wierzę wam! - wrzeszczała Ludmiła Pyłypiwna. Już tyle razy wam uwierzyłam, diabelskie nasienie! Do grobu mnie wpędzicie! Kiedy wy wreszcie wyzdychacie, swołocz przekłeta? Kiedy mi dacie spokój?

Przed drzwiami żłobka niespodziewanie się uspokajała, pytała, czy naprawdę więcej nie będziemy, a my, zachłystując się rześzystymi łzami, przysięgaliśmy, że nie, nigdy więcej - i Ludmiła Pyłypiwna, momentalnie weselsza, pozwalała nam wrócić i się ubrać.

- No popatrzcie, zasańcy. Wszystkie jak należy piją mleko, a wy tu na golasa zasuwanie! - ganiła nas filuternie.

Ja sama mam kilka traumatycznych wspomnień związanych z Ludmiłą Pyłypiwną. Na przykład z jakiegoś powodu bardzo lubiła mnie całować. A to, uwierzcie, było o wiele gorsze od jej wrzasków, grózb i szantaży. Ścisnęła mnie pomiędzy swoimi miękkimi, obwisłymi piersiami, w okolicy których czaił się szczególnie kwaskowaty zapach, ugniatała mnie dłońmi, nazywając jeśli nie „cukiereczkiem”, to na pewno „milusią”, brała moją twarz w obie dłonie i zaczynała całować w usta. Cmok, cmok, cmok. Mokra i śmierdząca. I szeptała coś czule, umiejętnie opryskując mnie śliną. Znosiłam to. Znosiłam w życiu wiele podobnych rzeczy, bo myślałam tak: jeśli ja mogę wytrzymać, a komuś bardzo się to podoba, to dlaczego nie sprawić człowiekowi przyjemności?

Na obiad było piure z kartofli i ryba. Dzień brudnego żelaza. Miałam nudności, do gardła podchodził mi podejrzany ciężki kłęb. Odsuwałam głowę od talerza, starałam się nie oddychać przez nos i zauważałam za oknem pokryty liszajami grzbiet zwierzęcia z moich koszmarów.

Na dodatek w piure trafił mi się okrągły kawałek soli wielkości porządnego winogrona. Odłożyłam go na brzeg talerza i dalej apatycznie grzebałam widelcem w ziemniakach.

Reszta dzieci już dawno leżała w łózkach - po obiedzie zawsze mieliśmy leżakowanie. I tylko ja jedna siedziałam nad swoim talerzem, niezdolna przetransportować do ust chociaż części tego, co się na nim znajdowało. Leniwa rozmemłana niania siedziała w przeciwnym kącie pokoju i podpierając głowę dłonią, odganiała przebrzydłą muchę. Niania zjadła kilka porcji kartofli i teraz chciało jej się spać.

Trzasnęły drzwi i z sypialni wyszła Ludmiła Pyłypiwna.

- A to co? - powiedziała do niani, wskazując mnie palcem. Niania wzruszyła ramionami. - Co to jest, ciebie pytam? - zwróciła się już do mnie Ludmiła Pyłypiwna, pochylając się nad stołem i groźnie patrząc prosto w mój talerz. - No, dlaczego ty nic nie jesz? Zaraz z ciebie duszę wytrąsnę! Patrz, Mario - Ludmiła Pyłypiwna chwyciła kciukiem i palcem wskazującym prawej

dłoni kulkę soli i podniosła ją do góry. - Popatrz, cukierki je i dlatego nie chce obiadu! Cwana gapa! No i gdzie ty chowasz te cukierki? - zapytała mnie.

- To nie cukierek, to sól - wyskamląłam.

- Jaka sól, jaka sól, co ty pleciesz!/? Zaraz pójdziesz klęczeć do kąta! Sól! Wymyśliła sobie! - zapluwała się rozgniewana Ludmiła Pyłypiwna. Już wiedziała, że nie dojem obiadu - chyba że sama mnie nakarmi, a na to nie miała dziś ochoty. Ale tak po prostu pozwolić mi nie dojeść obiadu Ludmiła Pyłypiwna nie mogła - za takie rzeczy trzeba gnojów karać!

- Dobrze - powiedziała sprytnie. - Dobrze, zostaw kartofle i rybę. Umawiamy się. Zjadaj teraz swojego cukierka.

Ssij. Wyssiesz - i możesz iść spać.

- Ale to nie cukierek! To sól! - raz jeszcze spróbowałam wyjaśnić. Jednak nikt nie zamierzał mnie słuchać.

- Jaka sól, kogo ty chcesz oszukać? Ty bydlę niedobite! No, otwieraj usta! - otworzyła mi usta i wrzuciła w nie bryłkę soli. Bryłka momentalnie zaczęła rozpuszczać się w gorącym piure, a ja wzdrygnęłam się cała na jej smak, który natychmiast wsączył się w język, podniebienie, policzki i dziąsła. Odruchowo wyplułam „cukierka” - poleciał w stronę niańki, która tylko jęknęła.

Ludmiła Pyłypiwna zbita z pantałyku takim przebiegiem wydarzeń, odprowadziła katapultowaną bryłkę zagubionym spojrzeniem.

Co było dalej, nie pamiętam.

Kiedy wybujała wiosna, Ludmiła Pyłypiwna poprowadziła nas na łono przyrody, nad jezioro. Szliśmy grzecznie parami. Dzień był słoneczny i wesoły - zdaje się przeddzień jakiegoś święta. Niedługo mieliśmy się na zawsze pożegnać z Ludmiłą Pyłypiwną - z tego powodu robiło się nam szczególnie radośnie i jasno na duszy.

Ludmiła Pyłypiwna też wyglądała na pogodną, jak nigdy. Opowiadała nam coś o ptakach i roślinach, pokazywała kwiaty, zrywała liście z drzew. Głaskała nas po głowach, całowała zaślinionymi ustami, uśmiechała się uśmiechem, który nie wróżył nic złego.

Nic też złego się zresztą nie zdarzyło. Ludmiła Pyłypiwna zaprowadziła nas na daleką i bezludną polankę za jeziorem. Wokół rosły gęste krzaki dzikich róż i bzów, wszystko pachniało tą soczystą, świeżą, niezakurzoną i niespłowiałą jeszcze zielenią, która trwa bardzo krótko - wiosną, kiedy młode rośliny stają się już silne i dojrzałe, ale jeszcze nie zdążą zaznać szkodliwego wpływu środowiska i czasu.

Na polanie Ludmiła Pyłypiwna dalej zabawiała nas na wszelkie sposoby, a potem, kiedy jej rozczerzenie i błogosławiony stan sięgnęły apogeum, powiedziała:

- Dzieciaki, zaraz was o coś poproszę, zróbcie to dla mnie. Jestem bardzo chorą kobietą i potrzebuję waszej pomocy.

Wyjęła z torby plastikową siatkę i wlaższy w gąszcz roślinności, zaczęła zrywać pokrzywy. Kiedy zebrała pokaźną wiązkę długich, silnych roślin, Ludmiła Pyłypiwna wróciła do nas.

- O tutaj, weźcie sobie jeszcze po siatce - wyciągała do nas swoją torbę. A potem rozdzieliła pokrzywy między kilkoro dzieci. - Chłostajcie mnie po plecach, to bardzo, bardzo zdrowe, drogie dzieci.

Następnie Ludmiła Pyłypiwna, wzdrygając się z nerwów i niecierpliwości, drżącymi rękami zdjęła bluzkę i odwróciła się do nas tyłem. Miała szerokie, białe plecy. Nad spódnicą zwisały ciężkie fałdy tłuszczu. Ramiączka białawoszarego stanika wrzynały się jej w skórę, robiąc w ciele podrażnione różowe wgłębienia. Pod pachami na staniku widać było wielkie plamy potu. Podobne plamy widziałam na staniku Marijki Dmytryk, kiedy w ósmej klasie przebierałyśmy się przed wuefem - ale plamy Marijki Dmytryk były jeszcze bardziej nasycone, niemal czerwonawobrunatne.

- Chodźcie, dzieciaki, bijcie mnie! Bijcie! - rozkazywała surowo, trochę się nachylając, żeby było nam wygodniej. Mocniej, mocniej, nie bójcie się! Chłostajcie! To bardzo zdrowo, pokrzywa to roślina lecznicza, dzieci, zapamiętajcie to. A ja jestem chorą kobietą. Tak mi się pogorszyło!

Dzieciom się to spodobało. Błada wąta skóra na plecach Ludmiły Pyłypiwnej zaczynała pokrywać się pęcherzami i czerwieniem.

- O tak, o tak! - wychowawczynie krzyczała zadowolona, wydając syczące dźwięki, jak gdyby oblewała się wrzątkiem. - Zuchy! Doskonale! O tak, o tak!

Zdaje się, że była to nasza ostatnia wiosna w przedszkolu.

Była jeszcze taka historia. Któregoś ciepłego dnia podczas leżakowania jak zawsze się nudziłam i pocąc się pod bezsensowną, mętnie niebieską kołdrą w romby, postanowiłam spróbować się choć trochę rozerwać. Spośród innych dostępnych w tym momencie rozrywek wybrałam wyprawę do toalety. Leżenie w skośnych promieniach rażącego słońca bez żadnej możliwości odkrycia się czy pełnowartościowego ruchu (to karane było przez prawo) do tego stopnia męczyło i wpędzało w poczucie tak głuchej, bezdennej beznadziei, że zdawało mi się, że lada moment wybuchnę, zacznę krzyczeć albo popełnię coś tak strasznego, że naprawić albo złagodzić nie uda się tego już nigdy.

Wygrzebawszy się spod kołdry i założywszy buty, cichutko wyszłam z sypialni. W pokoju zabaw czatowała tłusta niańka.

- A ty dokąd się wybierasz? - zapytała niezadowolona, odrywając spojrzenie od okrągłego lusterka, które trzyma na wysokości twarzy (właśnie wyrywała pęsetą czarne, gęste włoski nad górną wargą).

- Ja... idę siusiu.

- No idź - zgodziła się niańka i wróciła do swoich przykrych wąsów.

W toalecie czekała na mnie niespodzianka. Chuderlawy chłopiec z bezczelnym pyskiem - klasyczny jednak, ulubieniec mamusi, przyzwyczajony do tego, że dorośli głośno rechoczą, kiedy tylko powie „dupa” albo „jaja”. Już wtedy, w okresie rozkwitu dziecięcej seksualności, na jego twarzy malowała się chciwość i żądza. Jednym słowem, dobry chłopczyk. Obiecujący.

Pamiętam dokładnie, że nie był z mojej grupy. Pamiętam, że był o rok starszy. Pamiętam, że mówił po rosyjsku (tak! rosyjskojęzyczny chciwy chłopczyk!). Pamiętam, że spędził w naszej grupie kilka dni. Nie pamiętam dlaczego.

Były to czasy, kiedy chłopcy i dziewczynki chodzili do wspólnej toalety. Chłopcy lubili grupować się przy jednym klozecie i sikać do niego jednocześnie. Dziewczynki lubiły stać za ich plecami i patrzeć.

Ale teraz, podczas leżakowania, we wspólnej przedszkolnej toalecie byliśmy tylko we dwoje. Kiedy weszłam, rosyjskojęzyczny chciwy chłopczyk susiał. Z jakiegoś powodu się zmieszałam. Pewnie poczułam jego niepohamowaną chciwość. Ale powodów, by się odwrócić i sobie pójść, nie miałam. I w ogóle na pierwszy rzut oka, była to absolutnie normalna sytuacja, małe dzieci susiają. Dlatego podeszłam do najbliższego klozetu, spuściłam majtki i siadłam.

Tymczasem chłopczyk szybciotko skończył i zbliżył się do mnie. Uśmiechał się podle i słodziutko. Stał nade mną - wysoki, chuderlawy, z płowymi włosami i wielkimi uśmiechniętymi ustami, z dołkami w policzkach, kłapouchy, z wypiętym brzuchem, w śmiesznych majtkach - i patrzył na mnie z góry, uśmiechając się. Zerkałam na niego z dołu w pozycji, która nie sprzyjała pewności siebie. Ciekł ze mnie cieniutki strumyczek. On patrzył na mnie, a ze mnie w tym czasie ciekł strumyczek. Oboje milczeliśmy i jedynym dźwiękiem, który naruszał w tej chwili ciszę toalety, było niegłośne, żalosne chlupotanie w muszli pode mną. Jednocześnie starałam się nadać twarzy jak najsurowszy i najnieprzystępniejszy wyraz. Zdaje się, że to szczególnie podobało się chłopczykowi.

Kiedy podciągnęłam majtki i zamierałam czmychnąć, złapał mnie za rękę.

- Pasłuszaj - powiedział chciwy chłopiec, chytrze mrużąc oczy (do dziś mam słabość do mężczyzn z chytrze zmrużonymi oczami) - Hafijka, iii kak tam tiebia. Dawaj ty pakażesz mnie pisku, a ja tiebia za eto paciełuju.

Z oburzenia nie znajdowałam słów. Gniewnie potrząsnawszy głową, znów rzuciłam się w kierunku drzwi.

- Nu pasłuszaj że! - nie odpuszczał. - Wot Aksanka pakazała. I ja jejo paciełował.

Widać, chciany był z niego chłopiec. Niewykluczone, że i ja bardzo chciałam, żeby mnie pocałował, ale z jakiegoś powodu nie ustępowałam. Pałałam wściekłością i surowością. Strzepnąwszy z ramienia jego dłoń, zmierzyłam chłopczyka lekceważącym spojrzeniem.

Jego uśmiech zaczynał się ulatniać. Zrozumiawszy, że nic tu nie wskóra, natręt wyglądał niemal żałośnie. I nagle opuścił wzrok i dźwięcznie się roześmiał. Roześmiał się zwycięskim złośliwym śmiechem.

- Nu i nie nada! Ja uże wsio uwidieł! - krzyknął, pokazując palcem moje majtki.

Pochyliłam głowę i - och, jakie przerażenie mnie ogarnęło! Krew uderzyła do głowy, w uszach zaszumiało i poczułam, że czerwienię się od makówki do samych pięt.

Śpiesząc się, by podciągnąć majtki, nie zauważyłam, że się zawinęły, i teraz chłopiec widział wszystko, co go ciekawiło. Chociaż nie, nie wszystko - i to było nawet gorsze.

Zupełnie malutki kawałek różowej rybki wyglądał obraźliwie i wstydliwie.

Szybko schowałam go pod materiałem, ale było już za późno. A chłopczyk śmiał się i śmiał, chociaż nie sędzę, żeby go to naprawdę rozweseliło. To było po prostu znaczenie przez zwycięzcę swojej ofiary - tak moja suka obsikiwała upolowane przez siebie myszy.

Najgorsze, że wcale nie byłam nieprzystępna i porządnicka. Przeciwnie - z dziecięcą seksualnością wszystko było u mnie w porządku. Już od dłuższego czasu miałam normalną partnerską umowę z sąsiadem z przedszkolnej sypialni. Kiedy kładziono nas spać i nakrywano kołdrami, nie umawiając się wcześniej, zdejmowaliśmy majtki - żeby móc się sobie wzajemnie zademonstrować, trochę się odkrywając. Całą godzinę tak leżeliśmy, goli, gotowi na to, że wychowawczyni w każdej chwili może zechcieć zedrzeć z nas przykrycie. Ale byłam pewna, że on mnie nie oszuka, i on też we mnie nie wątpił. Po prostu leżeliśmy obok, przykryci innymi kołdrami, rozkoszując się wspólną tajemnicą. To był idealny związek.

Poza tym bawiąc się w chowanego i inne gry z dalekimi ciotecznymi braćmi, przekonałam ich, że zwycięzca ma prawo tłuc pokonanych po gołej pupie, mówiąc przy tym:

„Niegrzeczny! Nieposłuszny!”. Kiedyś zastał nas przy tym zajęciu dziadek. Zamarł w uchylonych drzwiach, nie rozumiejąc, co się dzieje. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Miał takie zagubione, przestraszone spojrzenie, że zrobiło mi się go żal. Stał tak kilka sekund i burknął coś pod nosem, a potem odwrócił się i wyszedł. I nigdy o tym nie wspomniał.

W historii z chciwym chłopczykiem dotknęło mnie to, że wziął ode mnie coś bez pozwolenia. I nawet nie po prostu bez pozwolenia - skorzystał z mojej bezbronności, zjadł to, co przypadkowo wypadło z okna prosto w jego rozdziawione wielkie usta. Zresztą, słusznie zrobił.

Po przygodzie z chciwym chłopcem doszłam do wniosku, że aby uniknąć takich sytuacji, trzeba chcieć dawać.

A samej brać.

Na lewo od domu wariatów, też naprzeciwko naszego bloku, po drugiej stronie ulicy, znajdowała się polana. Dopiero teraz rozumiem, jak śmiesznie i bezsensownie było ją tak nazwać - wtedy jednak nie było dla mnie nic bardziej oczywistego i naturalnego niż to określenie.

Polana zajmowała róg na skrzyżowaniu ulic Katii Matrosow i Karmaliuka (taka to niezwykła kombinacja). Był to porosły trawą trójkąt, coś na kształt skwerku - a przynajmniej miał on służyć jako skwerek według wzniesłego zamysłu urbanistów. Swoim zwężonym i wydłużonym czubkiem trójkąt przechodził w kilka niegłębokich jarów, które broniły dostępu do morelowego muru domu wariatów, a trochę dalej stawały się płytsze, aż zupełnie zniknęły, wcinając się w prywatne, niemal wiejskie podwórka na ulicy Karmaliuka.

Tylko w tych jarach trawa i chwasty rosły sobie tak wysoko i gęsto, jak chciały. Gigantyczne osty z soczystymi liśćmi i fioletowymi kłującymi kwiatami, które Swietka i inni chłopcy tak bardzo lubili wrzucać dziewczynom za spódnice. Trujące rośliny z leniwymi, kłapouchymi liśćmi i pustymi łodygami, które strzelały na trzy metry w górę i z czasem drewniały. Chwast ten wywoływał oparzenia podobne do tych powodowanych przez meduzy - tak mi opowiadano. I dobrze pamiętam, jak wygląda to oparzenie - nieregularne czerwonośliwkowe plamy, które rozpełzają się po powierzchni skóry, czyniąc ją szorstką, rozpaloną, gorącą i zgrubiałą, czułki i wyrostki plamy przenikają coraz głębiej, zatruwając krew i wywołując lęk w naczyniach krwionośnych. Oparzenie nieznośnie piecze, pojawia się miejscowa gorączka, potem w ogóle gorączka, ból nie daje zasnąć, nie daje usiąść ani się położyć, trzeba brać zastrzyki, przyjmować antybiotyki i smarować się maściami, potem śliwkowy odcień zaczyna blaknąć, przechodzi w malinowy, różowokremowy, ale pozostaje jeszcze swędzenie, do tego stopnia silne i dokuczliwe, że czasami męczy nawet bardziej niż ból.

Opowiadano, że pewnego lata roślina ta zabiła we Frankowsku kilkanaście osób. Szwagier mojej babci, wujek Wasia, ścinał zdrewniałe łodygi, których powierzchnia wyglądała tak, jakby była precyzyjnie i misternie rowkowana, i robił z nich pamiątki - przeważnie wąskie cylindryczne wazony, które siostra babci, ciocia Nadia, ozdabiała różami, kokardami i motylkami, ulepionymi z ciasta i pomalowanymi gwaszem (choć może akwarelkami).

Nad jarami rosły rozłożyste i dziuplaste wierzby. Ich cienkie ruchliwe gałęzie dotykały ziemi. Wierzby tworzyły kilka kopuł, w których można się było zaciąć i tak sobie siedzieć, niewidocznym dla całego świata, obserwując, co się wokół dzieje. Choć tak naprawdę przyjemności w tym siedzeniu pod wierzbą było niewiele - tę miejscówkę już dawno upodobały sobie różne wesołe grupy, które pozostawiały po sobie skutki podobne do klęsk żywiołowych - puste butelki, zużyte prezerwatywy, strzykawki, buty, czapki, kupy gówna i kałuże wymiocin, ucięte palce z czarnymi paznokciami.

Polanę przecinała wąska alejka z płyt chodnikowych.

Stało przy niej kilka ławek, na których młode mamy mogły siedzieć i kołysać w wózkach niemowlęta. Wokół pasły się krowy i kozy. Naprzeciwko, na początku Karmaliuka - ulicy, która prowadziła na Nabrzeżną, do Bystrzycy Sołotwińskiej - ludzie czekali na pomarańczowy i zdezelowany, rozgrzany w słońcu, prześmierznięty gumą, żelazem, kurzem i ludzkimi ciałami autobus, „czwórkę”. Obok przystanku mieszkał osiłek i przyglup, kudłaty Fiedia. Jego matka była szalona, ale cicha i niegroźna; idąc, mruczała sobie pod nosem - ze zmęczeniem i wyrzutem, jakby opisywała to, co widzi wokół: „Banany-banany-banany-banany”.

Polanę lubiły gołębie. Gruchały, urządzały tańce godowe, parzyły się, jadły okruchy, którymi karmiły je omdlałe od słońca emerytki, paskudziły na płyty, a ich odchody kipiały na chodniku jak na patelni. Poza tym na polanie rosło mnóstwo koniczyny - białej i różowej, pełno niezapominajek i dmuchawców.

Był tu jeszcze punkt obserwacyjny pozwalający oglądać niedostępną dla nas część domu wariatów. Jeśli od razu za najbardziej dziuplastą wierzbą, porażoną jakąś ciężką chorobą drzew, z powodu której jej wąskie srebrzyste listki skręcały się i czerniały, wdrapać się na mur, łapiąc się rękami występow, a nogi wstawiając w zagłębienia i pęknięcia w ceglach, to wchodziło się na płaski dach jakiegoś małego budynku już na terenie szpitala. Jeśli okoliczności sprzyjały i nie namierzył nas żaden z sanitariuszy albo psychicznych, rozplaszczaliśmy się na tym dachu i wyglądaliśmy zza gzymsów, starając się zachowywać jak najciszej. Było stamtąd widać kwadratowe wyasfaltowane podwórze pomiędzy jadalnią a kilkoma innymi pomieszczeniami. Na tym podwórzu zawsze kręciło się szczególnie dużo psychicznych i byli wyjątkowo dziwaczni, przerażający i niezwykli.

Kiedyś mieliśmy szczęście oglądać ich dyskotekę. Zwabiła nas głośna elektroniczna muzyka, która dobiegała, sądząc po dźwięku, z rozkręconego na ful kaseciaka - szum rozmagnetyzowanej taśmy zagłuszał melodię składającą się z jednego prostego motywu, zapętlonego natrętnie i zapadającego w pamięć niczym uderzenia młota pneumatycznego.

Już sama ta agresywna, energiczna „muzyka” świadczyła o chorobliwości i smutku. Przyczailiśmy się w naszej kryjówce i staraliśmy ukryć drżenie rąk i nóg, spocone dłonie i strach w oczach, zamaskowany ledwie powstrzymaną wesołością.

W dole na wyasfaltowanym kwadracie, w najbardziej palącym słońcu, psychiczni mieli święto. Kilku leniwych sanitariuszy siedziało wokół kaseciaka w cieniu pod jadalnią; palili i obserwowali pacjentów. Ci wyraźnie nie wiedzieli, co mają robić. Większość po prostu stała nieruchomo, chaotycznie rozrzucona w różnych punktach niechronionego przed słońcem podwórza. Stali i patrzyli przed siebie - tak, jak tylko oni potrafili. Mogę odróżnić to spojrzenie od tysiąca innych, w pół sekundy rozpoznać jego odmienność, jego rozproszone w przestrzeni skupienie.

Ogolone głowy kobiet zawinięte były w chustki - nierzadko ciepłe, wełniane. Mężczyźni oczywiście czuli się tu o wiele swobodniej: wielu nie miało w ogóle niczego na pokrytych zadrapaniami i ranami czaszkach, niektórzy nosili czapki albo kaszkiety. Po tych nakryciach głowy można było pewnie określić stopień odizolowania, wyobcowania ze świata i bezbronności. Kobiety, które pozbawiono włosów, wszystkie co do jednej wiązały na głowach chustki. Te, które nie chciały tego robić, pragnęły zrzucić z siebie całe ubranie i dlatego były zamknięte w salach z kratami. Spokojne zaś, przeciwnie - naciągały na siebie wszystkie dostępne łachy. I one właśnie, w to straszliwie upalne popołudnie w największym ogniu lata na niechronionym przed skwarem podwórzu, stały w promieniach słońca ubrane w wełniane swetry, flanelowe szlafroki, syntetyczne koszule, rajtuzy, rajstopy, skarpetki, kalesony, dziergane podkolanówki i bezrękawniki, marynarki, palta, puchówki, waciaki.

Jednak na ich woskowych twarzach nie można było dojrzeć nawet kropli potu. Nie było im gorąco - przeciwnie, wiele z nich drżało, kulilo ramiona, zacierało ręce i chowało je w rękawach. Kasety trzasnęła i muzyka umilkła. Ale psychiczni nie ruszyli się ze swoich miejsc. Jeden z sanitariuszy powoli wyciągnął rękę i zmienił stronę. Znów zabrzmiał znajomy rytm. Zabawa trwała.

Grupka pacjentów zebrała się wokół wielkiej blaszanej beczki, wkopanej pod kątem w ziemię, przykrywką do nieba - to, jak mi wyjaśniono, była pralka. Nie wiem, jak działała, nie wiem, jak można było w niej coś prać, nie wiem, czy tu, w królestwie zapachów, w ogóle kiedykolwiek coś prano.

Zapomniałam wspomnieć o zapachu - a była to chyba najważniejsza rzecz na terytorium wariatkowa. Nawet zza muru, nawet gdy nie przekraczało się granicy, czuło się już tę ciężką, gęstą, potworną mieszaninę, żrącą i trującą.

Zwalała mi się na ramiona, wsączała przez pory skóry, bardzo trudno było się jej pozbyć - to jeden z zapachów, które wżerają się niemal na wieczność. Zapach domu wariatów był jakby pierwotną substancją, Wielką Matką, z której rodził się smak, kolor, obraz i fizyczne ciała. Zdaje się, że w tym miejscu najpierw był zapach, a dopiero potem pojawiło się wariatkowo z ogrodem, pacjentami i sanitariuszami. W tym zapachu odgadywało się obszczone żółte prześcieradła pokryte pleśnią, zgniłą kapustę w kątach pod stołami, wilgotny tynk pod brudnymi paznokciami, łyzy na spoconej skórze, leki, spirytus, biegunkę, palony cukier, chlor, beznadzieję, bezsenność, zepsute zęby, kompot z suszu, siniaki, krwotoki, szepty, mgłę, rosę, zajady w kącikach ust, samotność, strach, zgolone włosy w celofanowych torebkach, krzyki. Żadna pralka nie mogła wypłukać zapachu tych rzeczy.

Jednak tego dnia psychiczni znaleźli dla pralki lepsze zastosowanie. Po kolei wchodzili do środka, łapiąc dłońmi za dwa okrągłe uchwyty po obu stronach otworu, a inni zaczynali powoli obracać beczkę. Kręciła się ciężko i niechętnie, wydając przenikliwe piski i skrzypy, głośniejsze nawet od muzyki z kaseciaka. Potem rozpędzała się i obracała coraz szybciej i szybciej, szybciej i szybciej. Psychicznych ogarniała hazardowa gorączka: podniecali się, chichotali, podskakiwali i rozkręcali beczkę z całych sił. Ten, kto siedział w środku - wściekał się i wrzeszczał. I nie wiadomo było, czy wrzeszczał z zachwyty, czy ze strachu.

Po jakimś czasie beczka zamierała. Jeszcze przez chwilę nikt z niej nie wychodził. Ci, którzy stali wokół, zaglądali do środka, wyciągali ręce i namawiali się między sobą.

Wreszcie z beczki wyłaniała się głowa, potem ramiona i reszta ciała. Bohater musiał najpierw złapać oddech i postać chwilę na czworakach. Potem psychiczni zaczynali go zachęcać - niepewnie stawał na nogi i zaczynał iść.

Ale nogi go nie słuchały - uginając się, stapały w zupełnie inną stronę. A pozostali patrzyli na to i umierali ze śmiechu.

Tańczyć nikt nie chciał. Tylko kilkoro pacjentów, stojących albo siedzących nieruchomo na rozpalonym asfalcie i wbijających przed siebie mgliste spojrzenia, leciutko kiwało głowami w rytm - albo i nie - muzyki. Ktoś, zupełnie skamieniały, kiwał małym palcem albo ramieniem. Ktoś uśmiechał się do siebie. Jedni obserwowali drugich i wyglądali tak, jakby patrzyli w absolutną pustkę.

Tańczyła tylko jedna kobieta, była bliska wyzdrowienia, skoro zrzuciwszy chustkę i odsłoniwszy ciemnego języka na czaszce, nie starała się zerwać z siebie ubrania. Stała pod ścianą, równie nieruchomo jak inni. Tuliła się do muru całym ciałem - dłońmi, potylicą, plecami, pupą, piętami.

Patrzyła przed siebie. Minutę, dwie, trzy, pięć. A potem gwałtownie i płynnie - odrywała się od budynku, odrywała się jednocześnie we wszystkich punktach, którymi ledwo dotykała ściany, a jej szyja wydłużała się do przodu, unosząc głowę, do przodu wysuwała się też dolna szczęka, kobieta robiła krok - i szyja z głową wracały na miejsce, jeszcze krok - i głowa znów po gęsiemu wysuwała się do przodu. Pięć czy sześć takich kroków naprzód, potem to samo wstecz, z powrotem do ściany. Znów przyklejała się do muru i stała tak nieruchoma aż do następnego tańca. A wyraz jej twarzy był w przybliżeniu taki, jak wyraz twarzy ściany.

Kiedy ją zauważyliśmy, nie mogliśmy oderwać od niej oczu. Dusiliśmy się ze śmiechu, rechotaliśmy, zatykając usta dłońmi. Natomiast od nas nie mógł oderwać oczu nasz dziadek agent. Siedział obok sanitariuszy, jak zawsze mrużąc oczy i szepcząc tajemne szyfry do swojego nieistniejącego kieszonkowego nadajnika.

Nie wiem, co go skusiło, nie rozumiem, dlaczego czekał tak długo, w każdym razie w końcu nie wytrzymał.

Może po prostu wkurzyło go, że nabijamy się z ich królowej, z najlepszej tancerki w rajskim ogrodzie. Wyciągnął rękę i palcem wskazującym wycelował w naszą stronę. A potem wrzasnął. Wysokim, przenikliwym głosem, ostrym, nieznośnym, zupełnie nie przypominającym głosu, jaki powinien wydawać z siebie leciwy mężczyzna. Głosem-syreną, głosem-szpadą, głosem-ultrafioletowym światłem.

Palec wskazywał na nas, z szeroko otwartych ust wylewał się wrzask, ale wyraz twarzy i poza dziadka ani trochę się nie zmieniły. Wciąż siedział obok sanitariuszy, jego oczy były zmrużone, a brwi zmarszczone.

Psychiczni, nie zorientowawszy się nawet, o co chodzi, rzucili się do otwartych drzwi stołówki. Utknęła w nich już pierwsza grupka, następni pchali od tyłu, narastała panika.

Tancerka stała nieruchomo pod ścianą, nie patrząc na nas, chociaż była odwrócona ku nam twarzą. Sanitariusze zabrali się do uspokajania pacjentów pięściami i pałkami. Jeden z nich pobiegł do nas, inny rzucił się w kierunku żelaznych drzwi - wyjścia z domu wariatów. Ale my zsuwali się już z muru, rozbiegaliśmy się każdy w inną stronę. Część popędziła ulicą Karmaliuka do Nabereżnej, inni wzdłuż Katii Matrosow. Ja skręciłam w Serkowa. Zrobiłam kółko podwórkami i wróciłam do domu.

Całe moje dzieciństwo było tak gęsto nawleczone historiami związanymi z psychicznymi, że nie wyobrażałam sobie niczego normalniejszego.

Tak na przykład, kiedy miałam kilka lat, usłyszałam historię o szalonej samobójczyni. Zabiła się, skacząc z dachu naszego budynku. Miałam wtedy kilka miesięcy, leżałam w swoim dziecięcym łóżeczku i niczego nie rozumiałam.

Ale nie przeszkadzało mi to widzieć samobójstwa - oraz wszystkiego, co je poprzedziło i co stało się potem - wyraźnie, jakbym oglądała film. Chociaż nie - dokładniej rzecz ujmując, pamiętam to wszystko jak sen, tak porażający, że wrył mi się w pamięć. Na jawie, gdy tylko się ockniesz, okoliczności i wydarzenia snu parują, znikają na zawsze, ale uczucie, które im towarzyszy i z którym się budzisz, pozostaje na cały dzień, albo nawet dłużej - tak silnych i nasyconych emocji nie doznaje się prawie nigdy w realnym życiu z powodu prawdziwych wydarzeń. Mija czas i nagle ktoś mówi słowo albo odwraca głowę, albo wyciąga na dłoni monetę, czy też nagle spostrzegasz muchę, która łązi po szybie, albo słyszysz buczenie lodówki - i przesywa cię wspomnienie, przypominasz sobie sen, przypominasz sobie niektóre szczegóły, i wywołane przez nie uczucia powracają z pełną siłą. Dziwne, ale ten mały impuls, który obudził wspomnienie snu, nie jest w żaden sposób związany z samym snem - ktoś mógł powiedzieć: „A co on tam...” i przypominasz sobie: śniło ci się, że całujesz po kolei ludzi, którzy siedzą w rzędach na krzesłach pod ścianą, całujesz każdego w policzek, na pożegnanie, oni się do ciebie uśmiechają, odpowiadają cmoknięciami, ktoś zasnął i całujesz go śpiącego i wtedy dochodzisz do dziewczynki, którą słabo znasz, ale jest dla ciebie z jakiegoś powodu strasznie ważna - i chociaż wiesz, że odnosi się do ciebie z wyższością i szyderczo, marzysz, żeby ją pocałować, chcesz, żeby zmiękła i zaczęła cię lubić, pytasz ją nawet: „Mogę cię pocałować?” - chociaż wolno ci to zrobić tak po prostu, bez pozwolenia, ale ona nagle, zupełnie niespodziewanie kręci głową i z lekkim uśmiechem zabrania ci tego - i jesteś zmieszana, rozczarowana, obrażona, zdruzgotana. I nosisz w sobie tę obrazę przez cały dzień, chociaż tak naprawdę niemal nie znasz tej dziewczynki i na jawie nigdy cię nie obraziła.

Różnica polega na tym, że w wypadku samobójstwa szalonej, nie przypominam sobie impulsu, który obudził moją pamięć. Nie pamiętam, czy ten impuls w ogóle istniał. Zdaje się, że wspomnienie żyło we mnie i mogłam je wywołać w dowolnym momencie, i było zawsze jaskrawe i wyraźne.

Wyraźnie widzę więc, jak w dzień, nie mając żadnego planu, ale już potajemnie myśląc o ucieczce, błąka się po ogrodzie, między drzewami, po kolana w trawie. Nikt jej szczególnie nie pilnuje - od samego początku była spokojna, nigdy nie robiła gwałtownych ani podejrzanych ruchów.

Dlatego wypuszczają ją, by pooddychała świeżym powietrzem, i myślą nawet, żeby ją wypisać.

Zatem błąka się po ogrodzie aż do wieczora, a kiedy wszystkich innych zaganiają do sal, ona chowa się w krzakach, a potem na palcach przekrada do żelaznych drzwi w murze. Jej zniknięcie

zostaje zauważone w momencie, kiedy wchodzi do klatki schodowej naszego budynku. Akurat do tej klatki, gdzie w jednym z mieszkań w dziecięcym łóżeczku leżą kilkumiesięczna ja.

Jej sąsiadka z sali zaczyna krzyczeć i uderzać w kraty. Sanitariusze, rozumiejąc, o co chodzi, rzucają się na poszukiwanie. Część z nich przeczesuje ogród, inni - mkną do najbliższych podwórek po drugiej stronie ulicy.

Ona tymczasem wbiega schodami na trzecie piętro. Tam wchodzi na górę po zardzewiałej żelaznej drabince wiszącej obok drzwi do mieszkania Jeniszejewów. Obiema rękami i czołem podnosi klapę, która zamyka kwadratowy właz na strych. Ma dużo siły - od dawna wiadomo, że szaleńcy w afekcie są bardzo mocni fizycznie.

Jej oczy niemal od razu przywykają do ciemności. Przestraszone szczury i koty rozbiegają się jej spod nóg. Nie strąca żadnego garnka, żadnego dzbanka, nie wpada na zepsute regały, krzesła i stłuczone muszle klozetowe, którymi zavalony jest strych. Intuicyjnie znajduje niewielki otwór, który prowadzi na dach, i wyłazi przez niego. Stąpa bosymi stopami po dachówkach - kaptcie zrzuciła jeszcze tam, na trzecim piętrze, kiedy wspinała się po drabince.

Podchodzi do samej krawędzi dachu i patrzy w dół. Któryś z naszych sąsiadów zauważa ją i pokazuje sanitariuszom.

Jeden z nich rzuca się do klatki. Dwóch po prostu stoi, zadzierając głowy.

Ona na nich nie patrzy. Ogląda niebo, ogląda powietrze (może tajemnica spojrzeń szaleńców polega na tym, że oni wciąż oglądają powietrze), ogląda swoje nogi, podwórko pod sobą, jarzębinę naprzeciwko klatki, wysoką, wyższą nawet od budynku, lipę po prawej stronie. Wiatr rozwiewałby jej włosy, gdyby je miała.

Słyszy, jak na strychu stuka klapa, jak miauczy przerażony kot i ktoś zaczyna przewracać połamane krzesła i muszle klozetowe.

Jej wargi cały czas rozciągnięte są w uśmiechu.

Kiedy głowa sanitariusza wysuwa się z włazu, ona robi krok.

Kiedy przelatuje obok okna pokoju na drugim piętrze, leżą tam ja w dziecięcym łóżeczku.

Chwilę później uderza o asfalt i czerwona substancja pryska jak sok i miąższ z rozbitego arbuza. Ludzie i sanitariusze stoją dookoła.

Zabiera ją pogotowie, podwórko pustoszeje, dozorczyńni zaczyna rozcierać miotłą kałużę krwi. W lewo - w prawo, w lewo - w prawo. Wokół kałuży na asfalcie malują się cienkie ciemne ryski. Wtedy zaczyna kropić deszcz. Rano nie będzie już widać tych śladów.

Od czasu do czasu któremuś z szaleńców - głównie kobietom - udawało się uciec. Jasne, że było to bardzo łatwe, a jednak ucieczki zdarzały się nieczęsto. Taki pomysł nie przychodził chyba pacjentom - tym, którzy mieli wstęp do ogrodu - na myśl.

Pamiętam kilka takich przypadków.

Najjaskrawsze jest wspomnienie pewnego pochmurnego dnia, kiedy wybieraliśmy się na cmentarz. Staliśmy pod klatką, czekając na kogoś. Deszcz przestał padać, ale wiatr zdmuchiwał krople z drzew. Na mokrym asfalcie marszczyły się kałuże. Było smutno i ciężko, chociaż nic się nie stało, i nie mogłam pojąć przyczyny smutku.

Przebiegała podwórko niespodziewanie i błyskawicznie.

Nikt nawet nie zwróciłby na nią uwagi, chociaż wyglądała wymownie: łysa czaszka z kilkoma kępkami króciutkich włosów, sińce pod oczami, wykrzywione usta. Biała koszula nocna w groszki, do kolan, a na nogach miękkie klapki, namoknięte w kałużach. Biegając, rozsyłała na wszystkie strony bryzgi wody. Blade nogi zlewały się z powodu szybkości w równomierną jasną smugę.

Sanitariusze pojawili się, kiedy dobiegła do lipy i trzepaka. Dwóch potężnych facetów w białych fartuchach, na głowie jednego jakimś cudem trzymała się biała lekarska czapeczka.

Mknęła znacznie szybciej niż oni. Na pewno uciekłyby, gdyby miała dokąd. Gdyby nie zachowywała się jak owad, który ze wszystkich sił tłucze się o szybę, choć wystarczy wzniesć się o centymetr, by wylecieć na zewnątrz przez otwarty lufcik. Gdyby uciekiniarka wybrała drogę przez podwórko, przez ulicę Serkowa i znów zakręciła na Matrosow, to stamtąd mogłaby skierować się dalej, aż do jeziora i działek, albo przez Karmaliuka nad rzekę. Prędzej czy później i tak by ją złapali, ale miałyby szansę i mogłaby pobiegać trochę dłużej, mogłaby znaleźć jakieś wyjście, trochę przeciągnąć przyjemność.

Jednak ona zrobiła inaczej. Przebiegała podwórko po przekątnej i sama zapędziła się w kozi róg. Zatrzymała się jak wryta na wewnętrznym podwórku piętrowego domu na początku Serkowa, przed budą, z której wyskoczył na nią owczarek.

Sanitariusze zareagowali stosownie. Powalili ją na ziemię, wymierzili kilka kopniaków w nerki, wykręcili ręce za plecy i zawinęli w kaftan bezpieczeństwa - naprawdę, jeden z nich miał ze sobą kaftan bezpieczeństwa. To był jedyny raz, kiedy go widziałam.

Gdy prowadzili ją z powrotem, znów po przekątnej przez całe podwórko, nie próbowała się nawet wyrwać. Pochyliła głowę i pokornie dreptała tam, dokąd ją prowadzono.

A na jej twarzy nie było śladu rozczarowania czy złości.

Tylko apatia i zmęczenie, spojrzenie, którym obserwuje się powietrze.

Kiedyś Swietka i Wasia Belmondo z pierwszego piętra wzięli mnie nad jezioro.

Nie pamiętam, którędy szliśmy - pamiętam tylko, że trzymali mnie za ręce z obu stron i przez całą drogę uspokajali, tłumacząc, że wszystko będzie dobrze, że nic się nie stanie, będą mnie bronić, a mama o niczym się nie dowie.

Do dziś nie wiem, do czego im byłam potrzebna.

Nad jezioro szliśmy długo, błakaliśmy się po parku, oglądaliśmy diabelski młyn, zadzierając głowy tak, że aż zaczynało ciemnieć w oczach, bujaliśmy się na skrzypiących huśtawkach, zjeżdżaliśmy ze zjeżdżalni, prosiliśmy, żeby tak po prostu wpuścili nas na samochodziki. Łapaliśmy dłońmi drucianą siatkę i przytykaliśmy do niej nosy, długo przyglądając się, jak inne, szczęśliwe dzieci jeżdżą elektrycznymi autkami. Nawiasem mówiąc, nigdy nie udało mi się na nich przejechać.

Kiedy wszystko się nam znudziło, ruszyliśmy do najbardziej oddalonej, zapuszczonej części parku. To był prawie las - przynajmniej tak mi się wtedy zdawało. Wysokie, gołe pnie i korony, przez które przebijało się tylko kilka punktowych promieni słońca - a i te gubiły się w gęstej, już trochę pożółkłej trawie, w szerokolistnych roślinkach, które lubią cień i wilgoć, i w kupach śmieci, niedopałkach i butelkach. Gdzieś w górze złowieszco krakały wrony, wyraźnie kłócąc się między sobą i zrzucając na nas pierze i odchody.

Z każdym krokiem coraz bardziej załośnie i uparcie żądałam powrotu. Ale oni opędzali się tylko ode mnie z roztargnieniem. Bawić się bez dorosłych w parku i jeszcze w takim miejscu, gdzie nawet z dorosłymi rzadko się chodzi - to nie zdarza się co dzień! Oni grają rolę dorosłych - a ja jestem z nimi, głupie przestraszone dziecko, które jęczy i piszczy, przecież dzieci zawsze jęczą i piszczą, a dorośli drą się na nie i przekupują lodami.

Swietka obiecała mi lody. A potem zauważyła między pniami pomalowaną na żółto budkę. To była strzelnica.

Krzyknęli radośnie jednym głosem i rzucili się tam niczym do światła na końcu tunelu, wlokąc mnie swoim śladem. Opierałam się, starając skoncentrować swoją niechęć w nogach. Ale oni byli silniejsi - ciągnęli mnie do strzelnicy, a za nami niczym złote fajerwerki unosiły się w powietrze wzburzone przez moje sandały kupy zeszłorocznych liści i śmieci.

Dostawszy się tam, stanęli nagle niezdecydowani i przestraszeni. Wewnątrz panowała niemal całkowita ciemność, śmierdziało czymś stęchłym, mokrym i słodkawym. Podłoga była wysypana wpół zgniłymi wiórami i niedopałkami. W kącie stały butelki po piwie i wódce. Za wysoką przegrodą z desek siedział rozwalony nieprzyjemny facet dla mnie był niemal starym dziadem, chociaż tak naprawdę nie miał chyba jeszcze nawet pięćdziesiątki. Opuścił na nas mętne oczy, zogniskował spojrzenie, zaciągnął się papierosem, strzepnął popiół na podłogę, chrząknął, wciągnął smarki do gardła i z całych sił splunął gdzieś w kąt pod ladę.

- Szo nada, dzieci - zapytał takim głosem, jakby zamierzał nas pozabijać. W dusznej ciemności brzęczały muchy. Postrzelać chcecie? To strzelajcie.

I położył na ladzie przed Swietką i Wasią Belmondem dwie strzelby, które najpierw złamał na pół i napełnił malutkimi czarnymi kulkami. Aż kwiknęli z radości, przysunęli do lady wysokie stołki barowe, wspięli się na nie i klękali - bo tylko tak mogli wygodnie oprzeć się łokciami o kontuar, wziąć strzelby i celować.

Facio chrząknął, odszedł i stanął obok mnie. Przejęłam się radością przyjaciół, z zachwytem obserwowałam, jak przykładają strzelby do ramion, jak namawiają się, celując, jak wybierają tarczę. Na ścianie naprzeciwko na kilku półeczkach wisiały zrobione ze sklejk figurki zwierząt z namalowanymi cyframi: zające, wiewiórki i niedźwiedzie.

Trafienie w niedźwiedzia było najbardziej zaszczytne.

- Dawaj, dawaj, strzelaj miśka - powiedział facio głuchym głosem.

Potem podszedł do mnie i pochylił się.

- Jaka dobra, grzeczna dziewczynka - przemówił łagodnym głosem, rozdziawiając usta i dysząc mi w twarz zapachami jeszcze gorszymi niż te panujące w szopie. Jaka ładna malutka dziewczynka. Jak się nazywasz? Ile masz lat?

Odpowiadałam, wstydliwie spuszczać wzrok i czerwieniąc się. Było mi nieswojo i nieprzyjemnie, ale nie umiałam postępować ostro z dorosłymi, którzy mi się nie podobali.

Wydawało mi się, że wszystkich dorosłych trzeba znosić.

Nawet jeśli ci się nie podobają. Trzeba odpowiadać na ich pytania, chociaż nie można nigdzie z nimi chodzić ani brać od nich cukierków.

Facio nie proponował, żeby dokąś z nim chodzić, cukierków też nie dawał, ale najwyraźniej coś było nie tak.

Nie mogłam zrobić gwałtownego ruchu. Nie mogłam dać po sobie niczego poznać. Było mi niedobrze, niepokoiłam się i bałam, chciałam, by wszystko wokół zmieniało się płynnie, poprawnie i samoistnie, i miałam nadzieję, że może zaraz tak się właśnie stanie, może, Swietka i Wasia odrzucą na bok strzelby i pobiegniemy daleko stąd - stałam więc oniemiała i myślałam o tym, ale nic nie działo się tak, jak chciałam.

- Popatrz, słoneczko, jakie mam tu kulki - facio położył przede mną blaszane pudełko z czarnymi kulkami. Widzisz, jakie ładne kulki? Weź sobie, pobaw się nimi.

No, dawaj, dawaj, nie bój się, pozwalam, podobają ci się te kulki?

- Tak - odpowiedziałam, chociaż kulki ani trochę mi się nie podobały - w ogóle nie były interesujące. Jak mogły mnie zaciekawić stalowe kulki? No, jak mogły mnie zainteresować?

- Dobra dziewczynka, dobra - zagadywał, głaszcząc mnie po głowie, a potem obejmując jedną ręką, przyciskając do siebie, zaglądając mi w twarz, przyciskając się do mnie swoim tłustym

nosem z czarnymi cętkami i kłując szczecina. Jego oczy poprzecinane były czerwonymi żyłkami. Za płaskimi paznokciami dłoni czerniały smużki brudu. Na palczkach palców rosły gęste włosy.

- Swieta, chodźmy już - powiedziałam. - Chcę do domu.

Dawno zauważyli, co się dzieje, ale byli tak zachwyceni strzelaniną, że nie mogli się od niej oderwać. Tylko od czasu do czasu wymieniali spojrzenia i parskali śmiechem.

Kiedy dzieci się boją, to się śmieją.

A on już włożył swoją potworną rękę z włosami na palcach, brudem za paznokciami i żółtymi od tytoniu opuszkami w moje majtki. Wrywałam się nieśmiało, ale znosiłam to.

- Taka grzeczna, ładna dziewczynka - szeptał. - Powiedz wujkowi, jesteś grzeczną dziewczynką? Posłuszną?

- No, Swieta! Swieta! Idziemy! Chodźmy już! - prosiłam.

- Szczas, szczas paidiom, jeszcze dwa razy strielnu w miszku - odpowiadała mi co chwilę i wybuchała śmiechem, wymieniając z Wasią spojrzenia.

Facio wziął moją dłoń i powiedział:

- Jaka malutka śliczniutka rączka! No! - rozpiął pasek przy swoich wymiętych, zaplamionych, nieświeżych spodniach i zaczął wpychać ją gdzieś tam do środka.

Z całej siły zacisnęłam dłoń w pięść. Pchał i pchał, jednocześnie starając się chwycić moje usta swoimi splekanymi, otoczonymi cienką smużką śliny wargami. Odwracałam się. Nic nie czułam i nie pamiętam, co tam było w jego spodniach. Nie sądzę, że chował tam coś nadzwyczajnego. Pewnie było to coś w rodzaju jego zmarszczonej, żółtej szyi, całej w czerwonych pęcherzach, jego owłosionych palców z brudem za paznokciami, płatków jego uszu i korków z miodu w środku albo smarków przyklejonych do włosów, które sterczały z jego szerokich nozdrzy. Chociaż może chował tam sklejkowego misia - najzaszczytniejszy cel.

- Nie chcę - prychnęłam, starając się odzyskać rękę.

- Nie chcesz? - I od razu mnie puścił.

Swietka wreszcie się przełamała i zeskoczyła ze stołka.

- Wsio, idiom - powiedziała, biorąc mnie za rękę. - A to ciebie mama użę zdiot.

Wasia Belmondo zszedł na podłogę mniej chętnie.

Podziękowali, a facio nagle wepchnął rękę do kieszeni swoich wciąż jeszcze rozpiętych spodni i wyciągnął stamtąd kilka rozpuszczonych landrynek. Widać było, że trzymał je tam nie od dzisiaj, podgrzane ciepłem ukrytego organu facia zdążyły na śmierć skleić się z papierkami.

Pokręciłam głową, ale wepchnął mi je w garść. I znów pogłaskał po głowie.

- Przyjdźcie jeszcze - powiedział. - Pozwolę wam postrzelać.

Był już wieczór i promienie nie przebijały się przez korony drzew. Mknęliśmy przez park. Swietka i Wasia Belmondo mocno i łagodnie trzymali mnie za ręce.

Przy jeziorze się rozryczałam. Ryczałam i ryczałam, niepocieszenie i niepowstrzymanie, przypominałam polewaczkę, wąż strażacki, tamę podczas powodzi. Swieta i Wasia, patrząc na moje łzy, rechotali. I to zupełnie nie dlatego, że byli okrutnymi dziećmi, już wtedy cynicznymi i bez serca.

Nie, po prostu tak bardzo się bali. Czuli się winni. Było im mnie żal. Bali się tego facia tak samo jak ja - a może nawet bardziej.

Nie puszczała mi dłoni ani na chwilę. Swietka kupiła mi nawet lody. Wasia Belmondo przynosił mnie na rękach przez kałuże. Oboje na wyścigi błagali, żebym niczego nie opowiadała rodzicom. Sama wiedziałam, że nie opowiem.

Dowleliśmy się do domu, kiedy było już całkiem ciemno. Zostałam ukarana i długo nie mogłam wychodzić na dwór.

Historia o Mirce i Wirce.

Mirka była grubiutką i nieładną dziewczynką z białą skórą i czarnymi włosami. Przyjechała z rodzicami z Pragi ojciec był dyrektorem frankowskiej filii pewnego czeskiego przedsiębiorstwa. Firma zajmowała się produkcją tandety. Jakichś tam świeczek czy zapalniczek do kuchenek gazowych.

Mirka od razu wywołała ożywienie. Po pierwsze - była nowa. Po drugie - z zagranicy. Po trzecie - bogata (jak nam się wtedy zdawało). Ubierała się jaskrawo - czegoś takiego nigdy nawet nie widzieliśmy, częstowała nas dziwacznymi cukierkami i gumami do żucia, bawiła się lalkami, których piękność sprawiała, że niemal traciliśmy przytomność.

Poza tym Mirka była towarzyska, pewna siebie i kokieteryjna. Od razu zaczęła się kleić do młodszego od niej o dwa lata Dimy. Mirka umiała wabić - zapraszała Dimę w gości, karmiła czeskimi łakociami, dawała w prezencie podkoszulki i pokazywała kreskówki na wideo. Dima oznaki zainteresowania przyjmował z wdzięcznością, ale nie dopuszczał Mirki zbyt blisko. Nie przejmowała się tym, uważając, że jest zbyt wstydlivy i po prostu potrzebuje więcej czasu. Nie brała w ogóle pod uwagę, że nią, rozkoszną i urodziwą, ktoś mógłby się nie zainteresować.

Przyjaźniłyśmy się. Wielu się z nią przyjaźniło - na przykład wspomniana Wirka, ale interesowność Wirki wymalowana była na jej czole. Nie umiała działać delikatnie. Żeby wyłudzić, powiedzmy, gumę do żucia, Wirka mówiła: „Mirka, opowiem ci coś o Dimie, jak wyniesiesz mi dziesięć gum”. Mirka natychmiast rzucała się do domu po gumy, a potem ciesząc się jak krowa (pociła się i jej pot już wtedy śmierdział, i trzęsła białym sadłem pod kolorowym

podkoszulkiem) i nastawiając uszu, słuchała tego, co Wirka kłamała o Dimie. Pamiętam jej prostacki, ufny wyraz twarzy, natchnienie w oczach wytrzeszczonych od udawanego zdziwienia - wyraźnie kogoś naśladowała, być może swoją matkę, dorosłą krowę. Wzdychała i wodziła dłonią po pulchnym policzku: „Jaka ja jestem dobra, mamma mia, czyżby nie było granic mojego złotego charakteru?”.

Kiedyś Mirka zaprosiła mnie i Wirkę do siebie do domu. Jej rodzice siedzieli przed telewizorem, poszliśmy do pokoju Mirki oglądać zdjęcia i kasety wideo. Mirka ze wszystkich sił starała się nas porazić i zachwycić. Pokazywała nam ubrania, kolorowe majtki i kostiumy kąpielowe, szczoteczkę do zębów na baterie, budzik, zabawkowe pianino, włączała na własnym magnetofonie ulubione czeskie piosenki i śpiewała je nam, udając, że plastikowa figurka Myszki Miki to mikrofon. Na Wirce największe wrażenie zrobił wielki czekoladowy niedźwiedź w błyszczącym kolorowym sreberku. Długo trzymała go w dłoniach, wahała i przekonywała, jak fajnie byłoby go zjeść.

Podniecone całym tym zamieszaniem i nieskończonym potokiem wrażeń, razem z Wirką, nie namawiając się i nie bardzo wiedząc, czego tak naprawdę chcemy, obiecałyśmy Mirce bajkową i niezapomnianą przygodę i poprosiłyśmy, żeby zamknęła drzwi na klucz. Potem położyłyśmy ją na łóżku, na pachnącej czystej pościeli w słoneczka i chmurki, i zaczęłyśmy ją rozbierać. Odsłaniałyśmy jej pulchne białe ciało pokryte delikatną skórą, dmuchałyśmy na nie i dotykałyśmy go palcami, głaskałyśmy dłońmi i całowałyśmy. W talii miała kilka wielkich wałków tłuszczu, jej skóra pokryta była jedwabistym puszkciem, a piersi - których tak naprawdę jeszcze zupełnie nie było, te drobne pagórki też były tylko tłustymi zgrubieniami - małe, drobnutkie niczym jagódki suteczki. Wodziłyśmy z Wirką po tych jagódkach koniuszkami języków i nie odrywając się od roboty wymieniałyśmy spojrzenia i porozumiewawczo uśmiechałyśmy się do siebie.

Mirka przesadnie jęczała i wzdychała, niespokojnie wiła się po łóżku, podnosiła ręce, odsłaniając pachy, w których nie zaczęły jeszcze nawet rosnać włosy, rzucała głową na boki, szeptała, jak jej dobrze, och, jakże jej dobrze, jak my to robimy i co takiego robimy, że jej jest tak dobrze, tak przyjemnie, tak słodko. A my, zachęczone jej pochwałą, lizaliśmy coraz czulej i szybciej, niespokojnie wzdrygając się na każde skrzypnięcie za drzwiami - w każdej chwili do pokoju mogli zastukać rodzice.

I w końcu zastukali. Mirka się zerwała, byle jak w pośpiechu włożyła ubranie i otworzyła. Rodzice patrzyli na nas z przestachem, coś podejrzewając. Uśmiechałyśmy się serdecznie, a Wirka nawet powiedziała coś łobuzersko nieszczerego, coś w swoim stylu: jak dobra i miła jest

państwa córeczka, Mirka, to prawdziwa przyjaciółka i jesteśmy takie szczęśliwe, że możemy grzać się w jej promieniach!

Rodziców to nie uspokoiło. Przeciwnie - poprosili, żebyśmy poszły.

Na pożegnanie wdzięczna Mirka, błyszcząc i dosłownie tryskając radością na wszystkie strony, w tajemnicy przed rodzicami wyniosła dla nas czekoladowego niedźwiedzia.

Wirka złapała go i pociągnęła mnie za sobą. Wyglądało to tak, jakby od początku dokładnie wiedziała, co trzeba zrobić, żeby zdobyć tę wspaniałą nagrodę.

Tego niedźwiedzia nawet nie spróbowałam.

Kilka dni później pokłóciłyśmy się z Mirką. Nie pamiętam powodu - coś jej opowiedziałam, jakąś prawdę, którą bez wątplenia trzeba było ukryć. Mirka mi nie uwierzyła, zaczęła histerycznie krzyczeć (na pewno dokładnie tak jak krzyczała jej matka, starsza krowa), poczerwieniała, rozryczała się, a potem złapała mnie za podkoszulek i szarpnęła. Nie bolało, ale Mirka nieostrożnym ruchem zahaczyła o srebrny łańcuszek z krzyżykiem, który miałam na szyi, i zerwała go.

- Popatrz, co narobiłaś - wyciągnęłam ku niej rozerwany łańcuszek. Zachowywałam się nad podziw spokojnie i byłam zrównoważona, co działało na Mirkę jak płachta na byka. Jak każda histeryczka nie zamierzała przyznać się do winy. Zawodząc i krzycząc, grubaska pobiegła do domu.

Tego samego wieczoru rodzice Mirki oskarżyli mnie i Wirkę o to, że ukradłyśmy im czekoladowego niedźwiedzia. Przyszli do Hali, z którą utrzymywali bardzo dobre stosunki sąsiedzkie, i nagadali o nas takich rzeczy, że wołałam nawet nie wiedzieć. Oczywiście powiedziałam Hali, że to wszystko nieprawda. A potem sama poszłam do nich, żeby wyjaśnić, co się stało.

Rodzice Mirki rozmawiali ze mną na klatce. Do mieszkania mnie nie wpuścili.

- Myśleliśmy - powiedzieli - że jesteś uczciwą i przyzwoitą dziewczynką. Masz bardzo porządną kuzynkę, miłą kobietę, z którą lubimy się spotykać. Mirka lubiła cię i ufała ci, i mówiła o tobie, że jesteś jej najbliższą przyjaciółką.

A ty zachowałam się tak nikczemnie, żałośnie i podstępnie! Ta Wirka, z nią wszystko jasne, jakich ona ma rodziców i brata... Ale ty! Masz przecież kuzynkę! Wydawało się nam, że jesteś zupełnie inna! Jak mogłaś nas oszukać, poniżyć, okłamać! Zachowałam się jak złodziejka, jak najpodlejsza, najnikczemniejsza, zepsuta osoba! Nie spodziewaliśmy się po tobie czegoś takiego! To się po prostu w głowie nie mieści! Nie sposób w to uwierzyć! Taka szkoda, tak niezmiernie ciężko myśleć o tym, że mogła być z ciebie dobra, porządna dziewczyna, a teraz wyrośniesz na trzeciorzędną, niepotrzebną, zbędną i złą istotę, zdolną do wszystkiego, do każdego przestępstwa.

Jak mogłaś postąpić tak z dziewczynką, której sumienie jest czyste niczym kropla rosy, która zeszła wprost z obrazka z aniołkami! Czy nie widzisz, że ona to niezmacone lecznicze źródło? Że jest Promykiem porannego słońca? Że jest delikatnym kwiatem na samym szczycie gór? Jak można tak paskudnie i odrażająco deptać tę piękność, tę świętą cnotę, ten dar Niebios? Jesteśmy rozczarowani, rozgoryczeni i przygnębieni. Takie ciosy od losu znosimy bardzo ciężko. My, ludzie uczciwi i pracowici. Stokroć ciężiej, kiedy na twoich oczach podły uczynek popełnia osoba małoletnia, która do tego pochodzi z dobrej rodziny. Nie mamy ci nic więcej do powiedzenia. Od dziś drzwi naszego mieszkania są przed tobą zamknięte i żadne klęczenie, żadne łzy, błagania i skrucza nie otworzą ich przed tobą. Nie masz prawa rozmawiać, ani nawet zbliżyć się do Mireczki. W przeciwnym razie natychmiast wezwiemy policję i transz do poprawczaka. Obiecujemy ci i przysięgamy na imię kochanej córki naszej Mirosławy!

Wymówili te słowa, nie dając mi nawet możliwości, bym czemukolwiek zaprzeczyła, o nic nie pytali, nie interesowała ich moja wersja zdarzeń - wyciągnęli już własne wnioski i nic na świecie nie mogło ich przekonać, że nie mają racji.

A mimo to spróbowałam.

- Ale ona mi zerwała łańcuszek! - wykrzyknęłam, starając się uśmiechnąć.

- Co? Łańcuszek? Och, ty suko kłamliwa! - zawołali rodzice Mirki. - Mało ci bezczelności, żeby po wszystkim, co się stało, mówić coś takiego o naszej przepióreczce? Idź stąd natychmiast, warta jesteś największej pogardy!

- Nie mówię, że ona umyślnie! - starałam się wyjaśnić. - Jakoś się zezłościła i popchnęła mnie, przypadkowo zaczepiając o łańcuszek - i zerwała!

- Nie, ludzki upadek nie ma granic! - gardłowali, zatraskując drzwi. Zza drzwi usłyszałam, jak mama Mirki, wzdychając, mówi: „Jakie to smutne, że ona ma taką porządną kuzynkę!”.

A ja zostałam przed drzwiami, oszołomiona i półmartwa, czułam się tak samo, jak w tym dziecięcym śnie, w którym pukam do drzwi pokoju moich rodziców, a otwierają mi złe karzełki i zaczynają na mnie krzyczeć, a ja nijak nie mogę im wyjaśnić, że to przecież ja, ja, czy mnie nie poznajecie.

Szkoda jednak, że nie zjadłam tego kradzionego niedźwiadka.

Teraz w miejscu polany stoi nowy blok, a wariatkowo, budowa i przedszkole to białe plamy, nie zauważam ich, gdy przechodzę obok, i tylko czasem, wyglądając z okna pokoju Hali, ze zdziwieniem zauważam kupę desek za metalową siatką, nowy budynek naprzeciwko, betonowe podwyższenie w kącie między szopami i pojemnikami na śmieci, przy których pochowany był mój gołąb. Gołębia znalazłam pod szkołą, miał złamane skrzydło, opiekowaliśmy się nim razem z dziadkiem. Dziadek lubił zwierzęta, kiedyś pracował jako leśniczy, zwalczał szkodniki. W moje

urodziny gołąb najadł się trutki na karaluchy i umarł. Dziadek zakopał gołębia niedaleko śmietnika i przez pewien czas nosiłam tam kwiaty z wazoników Hali.

Dziadka pochowano w lany poniedziałek. Mieszkaliśmy już wtedy gdzie indziej, jechałam na pogrzeb z drugiego końca miasta. Po drodze oblali mnie wiadrem wody. Na pogrzeb przyszłam przemoknięta do suchej nitki.

Ludzie z podwórka nie przychodzą do mnie nawet w snach. Ale bardzo dobrze ich pamiętam. Gruzin Iszchanow z parteru, sklerotyczny nosaty staruszek o lasce, który wiecznie wysiadywał pod klatką, wyprowadzając swoich czarnaście chihuahua. Jego ciało znaleźli na trzeci dzień.

Psy szczekały bez przerwy. W pokoju unosiła się ściana nieznośnego, żrącego smrodu. Wszystkie pokoje Iszchanowa zavalone były rybnymi i mięsnymi konserwami.

Chłopczyk Walientin, który bawił się głośno sam ze sobą w wojnę. Biegał po podwórku, wymachiwał kijem, padał i wskakiwał na ławki i stół, drąc się: „Ja ciebie uniczożu!

Tiebie nie zdobrowat! Siejczas ja iskupaju ciebia w twojej sobstwiennoj krwi!”.

Głuchoniema ślicznotka Inna, która uczyła nas swojego języka.

I nie wiem, co tam teraz słyhać w domu wariatów. Czy dzieci z okolicznych podwórek spędzają swoje dni w ogrodzie. Czy każdy może wejść na teren szpitala przez żelazne drzwi pomalowane na zielono. Czy na wyasfaltowanym kwadracie przed stołówką stoi pralka, w której psychiczni wysyłali się nawzajem w kosmos. Nie wiem nawet, czy mur otaczający wariatkowo wciąż jest morelowy. I czy jabłonie wciąż rodzą tam najsmaczniejsze jabłka w mieście.

Piraci i Dziewica Maryja

Niektórzy ludzie z minionego życia natrętnie pojawiają się w życiu obecnym. Przy czym z zasady w tak bezsensownych wcieleniach, w charakterze ani trochę nieistotnych, peryferyjnych postaci, że zaczynasz czuć się jeszcze bardziej jak przedmiot czyichś diabelsko dowcipnych żartów. Przypomina to trzeciorzędną hollywoodzką komedię, w której z jakiegoś powodu występuje nasz ulubiony, utalentowany aktor - na przykład Gary Oldman; gra niemal dwadzieścia drugoplanowych ról i od czasu do czasu na kilka minut pojawia się na ekranie: to jako sprzedawca na stacji benzynowej, to jako delikatny profesor entomolog, to znów jako kucharz w japońskiej restauracji, a zaraz potem jako stara prostytutka.

Ciągle prześladuje mnie Mucha. Nigdy się specjalnie nie przyjaźniłyśmy - znajoma znajomych, nic więcej. Nigdy nie spędzałam z nią czasu - spotykałyśmy się przypadkiem, wymieniałyśmy kilka zbędnych zdań, czasami ktoś przyprowadzał mnie do towarzystwa, w którym się obracała rosyjskojęzycznej młodzieży z dobrych rodzin słuchającej death-trash-doomu

(zbierali się na skwerze za teatrem Franki) - ale i tam wszystko ograniczało się do skromnych powitań i kiwnięć głową.

Zapomniałam o niej, tak jak zapomniałam o dziesiątkach innych ludzi z przeszłości. Nie pamiętałabym ani tego, jak wygląda, ani jej krótkich i pokrzywionych zębów, ani rudego pazia, ani dziecięcego głosu, ani imienia - zapomniałabym, że w ogóle ją znałam. Tak jak nie mogę przypomnieć sobie teraz imion większości osób z klasy, a niektórych nie potrafię zidentyfikować, nawet kiedy ich spotykam.

Ale Muchę ktoś ciągle mi podrzuca. Jakby chciał się upewnić, że nie zapomnę historii, którą już od stu lat usiłuję wyrzucić z pamięci. Jakby mi powtarzał, że tej historii nie należy zapomnieć. Więc jej nie zapominam - nie mogłabym, nawet gdybym chciała. Żebym jeszcze wiedziała, do czego mi ona potrzebna. Dlaczego mam zrywać się w środku nocy, zlana potem, przekonana, że oni są tu, obok, w ciemności, że nachylają się nade mną, na razie milczący i nieruchomi, ale już za chwilę usłyszę ich głosy i zobaczę jamy ich strasznych ust. Dlaczego muszę tak często przekonywać samą siebie, że to tylko sen, że wszystko jest w porządku, że nie ma się czego bać, że jestem bezpieczna i tym razem nie zrobiłam nic złego ani głupiego. Dlaczego mam ze strachu zapominać, jak należy oddychać i skąd się bierze głos.

Wystarczy tylko, że uspokoję się na trochę dłużej i od razu wpadam na Muchę. Zupełnie tak, jak gdy ktoś ma do ciebie za moment zadzwonić, żeby powiedzieć ci coś nieprzyjemnego. Siedzisz i przygotowujesz się na tę chwilę, trwasz w ciągłym napięciu, odtwarzasz w głowie dźwięk dzwonka, układasz w myślach tekst, który usłyszysz w słuchawce - jednym słowem, jesteś gotowy na najgorsze, żeby nie dać się zaskoczyć. Trwa to tak długo, że wreszcie męczysz się i zaczynasz dopuszczać do siebie kuszące myśli - może jednak nie zadzwonią, może coś się stało, może zmienili plany. Początkowo opędzasz się przed tymi oznakami małoduszności i zachowujesz pełną gotowość. Ale ludzka cierpliwość ma granice - w momencie gdy, nie zdając sobie z tego nawet sprawy, na ćwierć sekundy kierujesz myśli w stronę jakiejś kaszy przyprószonej fetą albo rysunków Henriego Michaux, właśnie wtedy jak grom z jasnego nieba, rozdierając ci błony bębenkowe, wywołując natychmiastową arytmie i rozsuwając mrok przed oczami, rozbrzmiewa dzwonek telefonu.

Tak właśnie jest z Muchą - pojawia się wtedy, kiedy zapominam o wszystkim, co związane z nią i z czasem, kiedy nasze trajektorie przecinały się częściej niż teraz.

W takich momentach wydaje mi się, że lada chwila usłyszę przypominający grom chichot, który rozleje się z sufitu, z nieba czy głośników alfa romeo, które zatrzymało się przy mnie na skrzyżowaniu.

Jakie to subtelne, że ten żartowniś (Żartowniś?), którego poczucie humoru jest mi niezwykle bliskie, nawet pomimo tego, że staję się ofiarą jego okrutnych rozrywek, wybrał sobie na narzędzie szykan właśnie Muchę. Nie Chrystynę Szczubrę - nieumyślnie winną tego, co się stało, nie Olę Szowczyk, z którą spędzałam dwadzieścia cztery godziny na dobę, nikogo z moich ówczesnych przyjaciół czy dobrych znajomych (większości z nich nie spotykałam od tego czasu nawet przypadkiem), tylko właśnie Muchę, na którą pierwszą padło podejrzenie i która naprawdę była bogu ducha winna.

Pierwszy raz zobaczyłam ją, kiedy schodziła po schodach wypożyczalni wideo. Od czasu naszego ostatniego spotkania na milicji minęły już, zdaje się, prawie dwa lata. Przyjechałam do Frankowska na jakiś weekend czy wakacje.

Początkowo nawet jej nie poznałam. Nabrała ciała, zniknęła gdzieś delikatność nimfетки, niezgrabność pełnej radości życia sarenki, po dziecięcemu kapryśny grymas warg.

Skądś za to wzięły się piersi - były szczególnie widoczne pod półprzejrystą, koronkową bluzką (kiedyś takie bluzki nosiła tylko Ola Szowczyk i dobrze pamiętam, jak Chrystyna Szczubra, dusząc się ze śmiechu, opisywała je Musze - siedziałyśmy na werandzie przedszkola, niedaleko liceum, Mucha i Chrystyna ubrane w proste spódnice do kostek i ciemne bluzy z kapturem, Chrystyna miała na sobie jeszcze puchowy ciemnożółty bezrękawnik, w każdym uchu po dziesięć kolczyków, na szyi, nadgarstkach i palcach tanią metalową biżuterię, która po kilku dniach łuszczyła się i czerniała, a głowa Muchy owinięta była bandanką z napisem „Cannibal Corpse”). Skądś wziął się tyłek, wyraźny, podkreślony krótką czerwoną spódnicą, a nogi już nie przypominały łapek konika polnego.

Wyglądała na laskę. Jaskrawoczerwone cienkie nitki warg, wyraźna linia brwi podkreślona ołówkiem. Złote kolczyki i łańcuszek z wisiorkiem w kształcie serca.

Na przedramieniu - spiralnie zawinięty wąż z żółtego metalu. I ciemne afrykańskie warkoczyki do pasa, których część zebrana była w węzeł na potylicy. I konieczne przy takiej toalecie czerwone szpilki na cieniotkich obcasach z fantastycznie długimi, zaostrozonymi czubami, a do tego - krwawego koloru torebeczka, przyciśnięta do samego serca.

Dostrzegła moje spojrzenie, zamruwała ze zdziwieniem ciężkimi od tuszu rzęsami, rozpoznała mnie i z roztargnieniem powiedziała: „Priwiet”. Z jakiegoś powodu obu nam zrobiło się nieswojo i dlatego z ulgą minęłyśmy się na początku schodów - miałam zamiar wypożyczyć jakiś film.

Szybko odstukotała, z trudem przestępując z nogi na nogę, jak to robią kobiety, które nie zdążyły jeszcze przyzwycząić się do nowych szpilek. Pośladki rytmicznie napinały tkaninę spódnicy.

Zatrzymałam się jeszcze przed drzwiami wypożyczalni i popatrzyłam za nią. Drzwi się otwarły i ze środka wyszedł żylasty, szpakowaty mężczyzna. Dogonił Muchę, a ona, nie zatrzymując się, wprawnym ruchem chwyciła go pod rękę.

To był jej ojciec. Od razu przypomniało mi się, jak Chrystyna Szczubra mówiła kiedyś przy okazji, że ojciec Muchy jest współwłaścicielem wypożyczalni wideo.

Minął rok. I znów przyszło lato. Spędziłam trzy miesiące za granicą i na jakiś czas wróciłam do Frankowska, nie mając już ochoty mieszkać we Lwowie.

Ten dzień wydawał mi się szczególny. Poprzedzały go jakieś dramatyczne wydarzenia, szarpania-rozstania, e-maile, absurdalne plany, poplątane i niewyraźne, ale uporczywe pragnienia, potem przyjazd jakiegoś krótkotrwałego kochanka, rozmowy w różnych językach, ciągle nieporozumienia, wyjazdy, ulewy, festiwale wątpliwej muzyki - jednym słowem, nieprzerwany hałaśliwy bałagan, ani chwili, żeby zatrzymać się i odetchnąć.

Potem wszystko jakoś się samoistnie rozeszło, znajomi zniknęli i nie było już dokąd jechać, i w ogóle chciało się albo zrobić coś nowego, albo po prostu położyć się spać, z tym że nikt nie miał siły ani niczego wymyślać, ani nawet wlec się do łóżka. Niebo zaciągnęło się lirycznymi chmurami i znów zaczęło padać. Nie wiedzieć czemu, razem z przyjaciółmi weszliśmy zjeść obiad do restauracji z lustrzanymi szybami. Nie wiedzieć czemu - bo nikt nie był głodny, a i obyczaju chodzenia razem do restauracji wcześniej u siebie nie zaobserwowaliśmy.

Ogarnął mnie głęboki smutek i rozpacz, wewnątrz wszystko ćmiło, kłuło i rozdzierało, a sytuacja zdawała się doskonała w swojej - jak by to patetycznie wyrazić - nieskończonej niedoskonałości: i gromy, i błyskawice, i kałuże z bąbelkami, i ludzie pod parasolami, i mokre budynki, i krople spływające po gałęziach winorośli, i człapiący dokądś mokry kundel, i podjeżdżająca pusta marszrutka, i gruba babka niosąca siatkę pomidorów, i pusta, mgliście oświetlona restauracja pachnąca kawą - i miłość, która jest tak blisko, ale została uduszona matrioszką.

Mucha w roli kelnerki tylko wzmocniła te dokuczliwe trele.

Podpłynęła do stolika, przy którym siedzieliśmy, tym razem gotowa na nasze spotkanie, bo przez kilka minut mogła mnie obserwować zza baru. Ja byłam gorzej przygotowana.

Dlatego podczas gdy ją zdziwienie i skrępowanie ominęło, mnie ogarnęło z podwójną siłą.

- Priwiet - powiedziała. - Jak leci? - I uśmiechnęła się nitkami warg.

- Dobrze - odparłam. A potem, żeby być towarzyska i gościnna, dodałam już zupełnie kretyńsko: - A ty tu pracujesz?

Ona jednak uznała moje pytanie za uzasadnione. Kiwnęła głową i przygotowała się, by zapisać zamówienie.

Zdaje się, że tym razem w ogóle nie była umalowana.

Przyłizane kasztanowe włosy zebrane były na potylicy w niedługi ogonek. Ta fryzura dała mi możliwość dostrzeżenia, jak bardzo jej twarz zaokrągliła się i jakby urosła przez ostatnich kilka lat. Wcześniej miała malutką bladą twarzyczkę z garbatym noskiem, śmiesznym wypukłym podbródkiem i wydatnymi kośćmi policzkowymi. Teraz te zabawne rysy nie rzucały się już w oczy. Nie można było nazwać jej już nawet zabawną. Natomiast można było nie zauważyć w tłumie.

Długa skromna spódnica, biały fartuszek, usłużność, opanowanie, uwaga. Była dobrą kelnerką.

Zostawiłam Musze duży napiwek. Wydawało mi się, że w ten sposób daję wyraz mojej sympatii. Nie sędzę, żeby bardzo jej potrzebowała.

Ostatnim razem natknęłam się na Muchę w redakcji jednej z frankowskich gazet. Siedziała za biurkiem w recepcji i sama mnie zawołała, pomachała mi nawet ręką. Była w figlarnym nastroju - w ogóle sprawiała wrażenie osoby, której życie zaczyna układać się jak należy.

Zaskoczyła mnie bardziej niż podczas poprzednich spotkań. Mucha zaczęła przypominać kobietę - kobietę z błyszczących żurnali, w różowych ubraniach i z nienaganną skórą. Bezbłędna. Z oślepiającym uśmiechem. Z bujną fryzurą i akrylowymi tipsami, którymi wprawnie stukała w klawiaturę. Taka kobieta może się w każdej chwili rozebrać i wszystko będzie miała nienaganne, latem czy zimą, w dzień czy w nocy - zdejmie swoje pachnące stringi, a skóra pod nimi będzie pokryta równą opalenizną i gładko wydepilowana. W pępku będzie miała kształtny złoty kolczyk z diamentem, a w pochwie kulki z nefrytu lub srebra do trenowania mięśni waginy, żeby móc doprowadzić swojego mężczyznę do orgazmu, rozplaszczając go po prostu na łóżku i dosiadając.

Odbierała telefony, nosiła dokumenty do księgowości albo redaktorowi naczelnemu do podpisu, porządkowała stare akta. Widać było, że wszystko to bardzo się jej podoba. Chociaż, być może, zadowolony uśmiech świadczył tylko o tym, że kulki robią swoje.

Przestraszyłam się do tego stopnia, że zaczęłam unikać jej wzrokiem. Chciała porozmawiać - ale ja udawałam, że jestem zajęta i się śpieszę. Boję się kobiet z błyszczących żurnali. W dwie sekundy przejrzą cię na wylot: no, co to za paznokcie, co za kształt brwi i dlaczego nie masz jeszcze pasemek. Nie mówiąc już o kolczykach. Nie mówiąc o kulkach z nefrytu. Albo przynajmniej z plastiku.

Z Chrystyną Szczubłą chodziłyśmy do szkoły od pierwszej klasy. Ale tak naprawdę zauważyłyśmy się gdzieś w ósmej wtedy, kiedy poszłyśmy do liceum.

O czasie sprzed liceum moja pamięć zachowała jedno wyraźne i jaskrawe wspomnienie związane z Chrystyną.

Mieszkała z rodziną w piętrowym domku na cichej uliczce po drugiej stronie wariatkowa. Lubiła mówić o psychicznych, podobało się jej słuchanie i opowiadanie o nich, wyobrażanie sobie ich życia. Później często pokazywała mi miejsce, w którym narkomani, oddaliwszy się na godzinę, dwie ze szpitala, gotowali kompot. Był to głuchy kąt ogrodu, dokąd w dzieciństwie nawet nie docieraliśmy - porośnięty krzakami bzu i zavalony spróchniałymi gałęziami.

Ulicę od terenu szpitala oddzielał tu nie ceglany mur, ale zwyczajna metalowa siatka. Przez nią właśnie oglądałam czarne pozostałości po ognisku i wielki kocioł podwieszony na kiju nad paleniskiem.

Ojciec Chrystyny miał własny biznes i w domu wszystko było urządzone jak najlepiej. Przestronne pokoje z miękkimi sofami, dużo drewna i pastelowych kolorów.

Pokój Chrystyny znajdował się na poddaszu - to było marzenie nie pokój. Malutki, zaciszny, ze spadzistym dachem, wyłożony jasną boazerią. Wtedy zdawało mi się, że mając taki pokój, człowiek nie może być nieszczęśliwy. Poza tym pełen był rozmaitych ciekawostek - najbardziej kuszący okazał się prawdziwy mikroskop. Chrystyna w każdej chwili mogła oglądać pod nim wszystko, co zechciała - rośliny, owady, kawałki kory, włosy. Mikroskop obrastał jednak kurzem na jednej z półek. Chrystynie rzeczy szybko się nudziły. Była dziewczynką flegmatyczną, a ponieważ jej wyraziste piwne oczy z natury skrywały się pod ciężkimi powiekami i rzęsami tak gęstymi, że wyglądały na sztuczne, zawsze sprawiała wrażenie znudzonej i sennej.

Wtedy, na początku podstawówki, zaprosiła do siebie do domu mnie i jeszcze kilka koleżanek. Być może na urodziny, a może po prostu, by razem popatrzeć przez mikroskop, nieważne. Badałyśmy jej pokój, nie przestając zachwycać się i dziwić, jej mama gotowała dla nas w kuchni kakao i nagle któraś z nas jęknęła ze strachu.

Na biurku Chrystyny stało niewielkie okrągłe akwarium.

Pływały w nim drobne rybki - gupiki, skalary, mieczyki.

A dookoła, na całym blacie, wśród książek, długopisów, zeszytów, barwnych plastikowych sprężyn, które przelewają się z ręki do ręki, i figurek z kinder niespodzianek, aż roilo się od rybich trupków, pomarszczonych i zasuszonych.

- Oho, ile ich znowu powyskakiwało - bez cienia emocji skonstatowała Chrystyna. O wszystkim mówiła zawsze beznamiętnym tonem - tak o rzeczach najgorszych, jak i najlepszych. Dopiero po kilku latach znajomości nauczyłam się rozpoznawać w jej nie zdradzającym emocji głosie smutek (którego zawsze było tam najwięcej), zmartwienie, beztroskę, rozpacz. Przypominała w tym swoją matkę - wysoką, chudą, ciemnowłosą kobietę, ciągle zmęczoną, niezadowoloną i jakby stale gotową na to, że jeszcze chwila, a na jej głowę zwałą się najrozmaitsze nieprzyjemności.

A potem Chrystyna się uśmiechnęła, odlepiła rybiego trupka od stołu - słychać było przy tym cichy trzask! I rzuciła nim w którąś z najbliższych stojących dziewczyn. Podniósł się wrzask i krzyki, ale wtedy do pokoju weszła mama z filiżankami na tacy i spojrzawszy zmęczonym wzrokiem na biurko, powiedziała surowo:

- Chrystyno, przecież prosiłam, żebyś wyrzuciła zdechłe rybki.

Gdy piłyśmy kakao, Chrystyna zeszkrobywała gupiki, skalary i mieczyki z biurka. Na jej bladej twarzy ocienionej gęstymi czarnymi włosami odbijało się obrzydzenie i nuda.

Negatywne emocje wyjątkowo do niej pasowały.

Nigdy nie miałam rybek i nie wiem, na ile normalne jest w ich przypadku kończenie życia samobójstwem. Słyszałam kilka razy o delfinach i wielorybach, które wypływają na brzeg. Ale to są ssaki. Zresztą nie sądzę, by wyskakiwały na ląd z zamiarem zakończenia życia. Nie chcę wierzyć w zwierzęta, które szukają śmierci. Skłaniam się raczej ku myśli, że delfiny i wieloryby wypływają na brzeg, chcąc się przed śmiercią uratować.

Ciekawe, przed czym ratowały się gupiki, skalary i mieczyki z akwarium Chrystyny Szczubry.

Miałyśmy tak podobne charaktery pisma, że same nie potrafiłyśmy ich odróżnić.

Ostatnie dwa lata liceum przesiedziałyśmy z Chrystyną w pierwszej ławce. To był jej sprytny pomysł, nadzwyczaj dobrze obliczony chwyt psychologiczny. Wszyscy wiedzą, że w pierwszych ławkach siedzą prymusi, pewne swojej wiedzy, nienaganne, pilne dzieci. Nie warto ich ruszać, zawsze rozwiązują wszystkie zadania, wkuwają regułki, notują w punktach. I chociaż wszyscy doskonale wiedzieli, że jeśli chodzi o nas, prawo pierwszej ławki nie całkiem się sprawdza, to jednak zwykle udawało nam się w ten sposób wybronić - Chrystynę i mnie niepokojono znacznie rzadziej niż innych. Kiedy w końcu wywoływano ją do tablicy, z jej półprzymkniętymi, ciężkimi powiekami, z jej zmęczoną, pozbawioną krwi twarzą i nudą w głosie, cała reszta, z nauczycielką na czele, zaczynała ziewać i przysypiać. Chrystyna umiała wpędzać ludzi w tak głębokie poczucie bezsensownego, nieciekawego marnowania czasu - niezależnie od tego, czym się zajmowali - a do tego uświadamiała im absurdalność i marność ich życia, że mało kto odważał się ją ruszyć - niech już lepiej siedzi sobie i drzemie.

Ja rzecz jasna zaczerpnęłam od niej nieco tej zbawczej inercji. Praktycznie nie dało się mnie sprowokować do lęku przed klasówką, wyrzutów sumienia z powodu nieodrobionej pracy domowej, odrobienia tejże czy denerwowania się z powodu trójki, i w ogóle jakichkolwiek mąk tego rodzaju.

Chrystyna przymykała oczy, zasłaniała dłonią usta i ziewała.

- Też mi coś! Wielka tragedia - mówiła. - Jeszcze tylko dwadzieścia dwie minuty do końca. A potem będzie można pospać. Tak się dzisiaj nie wyspałam - a sny miałam przyjemne. A potem, jak już sobie pośpię, zrobię sobie koktajl mleczny w mikserze. I obejrzę Hey Arnold!

Była dorosła, surowa i stateczna, nic nie mogło wyprowadzić jej z równowagi, umiała patrzeć z taką wyższością i demonstrować tak zimną pogardę, że była po prostu lodowata - i bardzo lubiła kreskówkę Hey Arnold! Nie opuszczała żadnego odcinka.

W albumie fotograficznym zrobionym na zakończenie szkoły nie ma zdjęcia Chrystyny. Kiedy nas fotografowano, była akurat chora. Nie mam więc najmniejszego powodu, by brać ten album do ręki. Nie otworzyłam go ani razu od zakończenia szkoły. Po co? - żeby oglądać jakieś nieznanome twarze? W tym celu mogę pogrzebać w internecie, kupić błyszczący magazyn albo włączyć telewizor. Żeby znów zobaczyć, jak kiepsko wyszłam? Byłam podobna do obrażonego i przestraszonego żółwia.

Nie mamy żadnej wspólnej fotografii. A tak bym chciała mieć jej zdjęcie. Takie, na którym siedziałyby bokiem, z profilu, na jakiejś kłodzie, najlepiej na tle krzaków dzikiej róży (tych, które rosły w przedszkolu, dokąd chodziliśmy na wagary). Ze swoją fryzurą a la Kleopatra - proste czarne włosy do ramion, wyraźna linia grzywki sięgająca do samych łuków brwi, które niemal zbiegają się u nasady nosa.

Włochaty pieprzyk. Kształtny nos z łagodnym garbikiem.

Zapowiedź wąsików nad górną wargą. Mocno obciągnięta wąskimi džinsami pupa. Oczy zmrużone w niewesołym uśmiechu - reakcja na to, co powiedziałam na chwilę przed tym, nim ktoś trzeci zwolnił migawkę aparatu.

Zawsze śmiała się jak ludzie, którzy dopiero co oprzytomnieli po przeżytej tragedii i znów zaczynają reagować na żarty, na śmieszne, wesołe historie, ani na sekundę nie zapominają jednak o tym, że ich nieszczęście jest tuż obok, że wcale nie odeszło, że nigdy ich nie opuści.

Wspominałam już, że na początku Chrystyna była metalową. Nosiła długie spódnice, obszerne podkoszulki, czarne, poprzecierane džinsy, martensy, bluzy z kapturem, bezrękawniki, powyciągane swetry do kolan, bandanki na głowie i na nadgarstkach - a wszystko najlepiej czarne. W każdym uchu własnoręcznie zrobiła sobie po kilkanaście dziurek.

Chrystyna przeprowadzała tę operację za pomocą zwyczajnej igły, najpierw dezynfekując ją w spirytusie, potem zalewając sobie pół twarzy krwią, a na koniec tracąc przytomność - zawsze mdlała z niedożywienia, niedospania albo na widok krwi, ale nie przestawała nie dojadać, nie dosypiać i upuszczać sobie krwi, utraty przytomności się nie bała. Dziurki w uszach wypełnione były srebrnymi kóleczkami. Na szyi na ciężkich łańcuchach huštały się czaszki i odwrócone

krzyże, na palcach i nadgarstkach błyszcząły pierścienie i bransolety z koźlimi głowami i malutkimi sylwetkami diabłów.

Jednym słowem - nic nowego, zestaw standardowy złożony z odłamków różnych subkultur, stylów muzycznych i nastoletnich wyobrażeń o życiu.

Ubranie - to była oczywiście rzecz zewnętrzna. Dużo bardziej skomplikowana okazywała się sprawa muzyki.

Chrystyna, jej najlepsza przyjaciółka, delikatna i krucha blondynka Julia, Zajka, puchata dziewczynka z puchatymi oczami, i ruda, wolna od ojcowskiej opieki Mucha, usiłując wkraść się w łaski złowrogich, ubranych na czarno chłopców z pochmurnymi twarzami i hałasem w słuchawkach walkmanów, starannie i z oddaniem przesłuchiwały wszystkie kanoniczne napalm deathy, sepultury, tiamaty, slayery, canibal corpse'y, megadeathy i mottorheady. Zakładały sobie specjalne, wzruszające zeszyty, w których zapisywały nazwy grup, tytuły albumów i piosenek, a wieczorami, zamiast uczyć się wzorów chemicznych i praw fizyki, wkuwały wszystkie te informacje, żeby nie daj Boże nie narazić się na wyśmianie i poniżenie przez swoich surowych guru.

Urządzały sobie swego rodzaju treningi - spotykały się u którejś w domu i puściwszy na pełny regulator jeden z przesłuchanych albumów, starały się jak najnaturalniej i najpiękniej rozkoszować się ich brzmieniem, ze znanstwem formułując swój zachwyt dla gitary basowej, perkusji czy wokalu.

Ale nie wytrzymały długo. Zmęczone, pozwalały sobie łyknąć trochę grzesznej rozkoszy i usadowiwszy się jak najbliżej telewizora, włączały wideo ze złej jakości nagraniem koncertu unplugged Nirvany. Dziewczynki płakały, upajały się wizerunkiem Cobaina na plakatach, w gazetach i na podkoszulkach (ich ulubionym był ten, na którym Cobain ma oczy mocno podkreślone czernią), tragizm w jego głosie wywoływał u nich dreszcze, a blondynka Julia, klękając, całowała nawet ekran, kiedy Kurcik roztrzaskiwał gitarę.

Ola Szowczyk początkowo grała rolę ofiary. Chuda, koścista, tak blada, że aż sina, była o dziwo towarzyska i pełna radości życia. Wydawała się nam jednym z tych freaków, którzy nawet nie zauważają, gdy ktoś się nad nimi znęca, biorąc żarty postronnych za wyraz uwagi i sympatii.

Z wyglądu przypominała drabinę albo żyrafę. Długa, patyczasta, z kolaniskami, które sterczały ze śmietanowobiałych nóg jak u niezdarnie zbitej drewnianej lalki. Bez piersi, bez talii, bez pupy, w ogóle bez jakiegokolwiek figury - zresztą, jaką figurę może mieć szkielet? Na jej pociągłej twarzy roilo się od ropnych wągrów. Oprócz pryszczy można tam było dojrzeć rude brwi nieokreślonego kształtu, drobne, prosięce, wodnistobłękitne oczka otoczone króciutkimi i

rzadziutkimi jasnymi rzęsami, mięsisty piegowaty nos, maleńkie, cienkie, dziwacznie wygięte i ledwie zauważalne wargi, a całego tego piękna dopełniał kokieteryjny dołek w podbródku.

Jej włosy - długie, płowe, z rudawym połyskiem - można by nazwać pięknymi, gdyby nie fryzury, za pomocą których szpeciła je Ola. Niezależnie od tego, czy robiła sobie koński ogon, zaplatała warkocz albo dwa, kręciła loki, czy po prostu je rozpuszczała, zawsze budowała nad swoim niewysokim czołem potężną świątynię - nalakierowaną na bok płaską grzywkę, z której do samych brwi opadało kilka powiewających pasemek.

Ola miała swoje własne poczucie piękna i to zgodnie z nim dobierała stroje - zakładała krótkie spódniczki i odsłaniała swoje patykowate nóżki, krzesła iskry z syntetycznych błyszczących koszulek i bluzek ozdobionych haftami, kokardami, pomponami, wycięciami, złocistymi kwiatami, guzikami, głębokimi dekoltami, które nie uwydatniały ani wypukłości, ani zagłębień. Kolory, które dla siebie wybierała, boleśnie raziły oczy i wyobraźnię: różowy z sałatowozielonym, fioletowy z pomarańczowym, jaskrawoczerwone maki na szaleńczo zielonym tle, złote róże przeplecione srebrzystymi listkami.

A zachowywała się przy tym tak filuternie i bezpośrednio, jakby się sama prosiła, by z niej żartować, jakby się sama oddawała w ręce Chrystyny Szczubry. Tak więc Chrystyna, udając przemożną ciekawość, prosiła Olę, by ta opowiedziała, jak udaje się jej ułożyć tak piękną grzywkę, a kiedy Ola ochoczo opisywała ten niełatwy proces, Chrystyna nie dopuszczając do warg nawet cienia uśmiechu, spokojnie i sennie pytała, czy zdaniem Oli fryzura ta będzie do niej, Chrystyny, pasować. Włosy Chrystyny sięgały wtedy łopatek, a grzywki nie miała, bo w jej kręgach grzywka uważana była za przejaw plebejstwa. Ola jednak tego nie wiedziała i szczerze pragnąc pomóc, szczebiotała i krążyła wokół Chrystyny jak mucha wokół nieruchawej żaby kryjącej w paszczy błyskawiczny język.

Kiedy przypadał nam z Chrystyną dyżur po lekcjach, Ola zostawała z nami. Mieszkała w dziewięciopiętrowym bloku tuż obok mojego i czekała na mnie, żeby nie wracać sama do domu. Czekając, oczywiście pomagała, a ponieważ była rzutką i zaradną wiejską dziewczyną, szybko wszystko za nas sprzątała. Nastrój Chrystyny znacznie się dzięki temu poprawiał - siedząc za nauczycielskim biurkiem i bawiąc się kolczykami, prosiła Olę, żeby zaśpiewała nam swoją ulubioną piosenkę grupy Fantom-2.

Zgrabnie wymachując miotłą i kręcąc tyłkiem, Ola - która, poza wszystkim innym, pozbawiona była głosu i słuchu starannie zawodziła:

*Dwa słońca nad nami, dwa nieba nad nami,
Między słońcem i niebem płoną dwoma gwiazdami,
Podwójne słowa, podwojony krok jeszcze raz,*

We śnie na jawie lecę do gwiazd, lecę do gwiazd!

Rodzice Oli Szowczyk byli masarzami. Mięso sortowali i kroili w domu, tusze trzymali na balkonie, a sprzedawali wszystko na bazarze. Wiezorami bardzo często można było zastać Szowczyków przy pracy: od stóp do głów wymazani świeżą krwią rąbali siekierą kości, wycinali wielkimi ostrymi nożami soczyste kawałki boczku, układali na oddzielnej kupie żeberka, pakowali serca, płuca, nerki i wątroby. Na oddzielnej kupce leżały racice, kopyta i ogony. Wieprzowe i cielęce głowy obserwowały to wszystko ze spokojnym smutkiem w zaciągniętych krwią oczach.

Z kuchni na balkon - przez przedpokój i dwa pokoje - ciągnęły się tłuste błyszczące smugi krwi. Trzeba było uważać, żeby nie poślizgnąć się na tych ścieżkach.

Ojciec Oli, krępy, łysy osiłek z solidnym brzuszyskiem, wykonywał swoją robotę w skupieniu i odpowiedzialnie.

Z jego wyglądem mocno kontrastował tembr głosu: wysoki, niemal piskliwy, histeryczny. Mięsem zajmował się ubrany w stare spodnie od dresu, które z powodu brzucha wisiały tak nisko, że wydawało się, iż za moment można będzie zobaczyć gąszcz włosów łonowych. Czasami zakładał jeszcze niegdyś biały, a teraz brudnożółty fartuch, który ozdabiał coraz to nowymi plamami krwi, żółci i soków żołądkowych martwych zwierząt.

Matka Oli, ruchliwa kobieta z zasuszonym tyłkiem, szczebiotka z wiecznie wymiętą trwałą, też miała brzuch nieproporcjonalnie wielki jak na jej chuderlawą figurę (był to oczywiście skutek mięsnej diety). Lubiła zakładać rude legginsy z wystającymi bąblami na kolanach i naciągać je w taki sposób, że gumka sięgała aż do piersi. Wprawnie oddzielając od mięsa kiszki, żyły i inne barachło, paplała beztrąsko.

Żywili się rzecz jasna głównie mięsem. To było jakieś królestwo mięsożerców. Mielone, schabowe, smażona wątróbka, żeberka z fasolą, befsztyki, zrazy i pierogi z mięsem, galaretka z nóżek, zupa z wołowymi ogonami, sałatka z jajkiem i sercami, gotowany ozorek cielęcy, kawałek boczku zapieczony z serem i czosnkiem, jako dodatki - pilaw i sos mięsny. Jedli mięso na śniadanie, obiad i kolację. Nie uznawali jakichkolwiek potraw bezmięsnych. Niezależnie od tego, kiedy bym do nich przyszła, na stole kuchennym stał obowiązkowo talerz z kawałkami bułki posmarowanej smażonym mózdzkiem.

- Olka, co tak siedzisz? - wołał swoim piskliwym głosem ojciec. - Usmaż mi mózdzku.

Jej ojciec szczególnie lubił smażony mózdzek i świeżą kaszanę.

Ola miała jeszcze starszą siostrę Natałoczkę. Była to wysoka dziewczyna z taką samą figurą i mniej więcej taką samą twarzą jak Ola. Różnica polegała tylko na tym, że Natałoczka nosiła długie, grube, sięgający aż do pupy czarny warkocz.

Jak na siostry miały z Olą doskonale stosunki. Dzieliły jeden pokój - buduar ozdobiony bateriami pustych pojemników po tureckich dezodorantach, buteleczek po perfumach tegoż pochodzenia - ciecz w środku miała zazwyczaj czerwony albo żarówiastozielony kolor. Toaletka była wymalowana szminką i oblepiona naklejkami w kształcie serduszek. Na półkach i w kredensie stały obrazki przedstawiające małe kędzierzawe dziewczątka z puciołowatymi policzkami i rozpustnymi ustami, obejmujące kocięta, albo kupidynów i cherubinów z różowymi pupkami, chociaż było też kilka pejzaży - góra, strumyk i Hucul z trombitą; eksplozja wulkanu; cisza na morzu i samotny żagiel na horyzoncie. Honorowe miejsce zajmowała reprodukcja płótna rosyjskiego malarza Szyszkina Ranek w sosnowym lesie.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, porozstawiane były pamiątki w postaci porcelanowych diw w ekstatycznych pozach, szczeniaków i co najmniej trzydzieścioro kociąt, a do tego rozmaite sarenki, kurczątka, słoniki i zajaczki. Na ścianie nad wersalką wisiał kilim przedstawiający odpoczywającą rodzinę tygrysów. Na szafie pod samym sufitem prostował skrzydła drewniany rzeźbiony orzeł. Parapet i toaletka ugiwały się pod ciężarem kosmetyków - można tam było, oprócz aktualnych zasobów, znaleźć na przykład szminkę, którą Natałoczka po raz pierwszy pomalowała sobie usteczka w piątej klasie, albo tusz, który Ola dostała, gdy szła na swoją pierwszą dyskotekę.

Wszystko to wieńczyła kupa magazynów „Cool”, dziesiątki sentymentalnych pocztówek i pluszowe zabawki, które grzecznie siedziały w rzędzie na oparciu kanapy przykrytej pstrokatą narzutą.

Przed snem, leżąc obok siebie na tej kanapie, siostry długo rozmawiały. Natałoczka wtajemniczała Olę w najtajniejsze szczegóły stosunków między kobietą a mężczyzną, opowiadała o swoich niewiarygodnych przygodach, wysłuchiwała jej zwierzeń, dzieliła się przerażającymi sekretami.

Potem niektóre z nich Ola opowiadała mnie. Na przykład, że Natałoczka zdążyła już sobie zrobić osiem albo dziewięć aborcji.

Siostra Oli cierpiała na chorobę przewodu moczowego i często obsikiwała się z wrażenia albo ze śmiechu. Czasami Ola umyślnie ją rozśmieszała - lubiła to robić zwłaszcza w obecności osób trzecich i sama często stawałam się świadkiem tego, jak Natałoczka, poczerwieniawszy z napięcia, kuląc się i przyciskając dłonie do dolnej części brzucha, mknęła do toalety.

Pewnego razu wyszła stamtąd biała jak ściana i poinformowała z przestraczem, że dwie minuty temu wypadło z niej do klozetu siedem kulek śluzu.

Poza tym Ola Szowczyk miała najlepszą przyjaciółkę. Nazywała się Ola Hreczka i była niska, miała figurę japonki, piwne oczy w kształcie migdałów, śmieszny szeroki nos i wyraźnie

zarysowane, wydatne wargi. Jej bujne włosy sięgały pasa, były niemal takie jak u Japonki, tyle że jasne.

Ola Szowczyk dużo mi o niej opowiadała i w końcu postanowiła nas ze sobą poznać. Z jakiegoś powodu spotkałyśmy się na klatce przy windzie.

- Wiesz, tak śmiesznie było, kiedy poznałyśmy się z Olą - powiedziała mi Ola Hreczka. W jej głosie coś poskrzypywało, coś jakby zardzewiały trybik, skrzypienie wychodziło szczególnie ostro, kiedy Hreczka się śmiała. - Spotkałyśmy się u znajomych. Podchodzę do niej i mówię: „Ola”. A ona:

„Tak, Ola”. A ja do niej: „A ty?” A ona spojrzała na mnie jak na głupią - i Hreczka zaczęła się śmiać, kręcąc swoim trybikiem.

Kiedy jechałyśmy windą, Hreczka znów przemówiła.

- Znam taką sztuczkę. Zaraz ci pokażę.

Rozdziawiła usta, wyjęła jeden z przednich zębów i wyciągnęła go w moim kierunku na dłoni. W miejscu po zębie ziała czarna dziurka.

- To ząb na przyssawce - skrzyknęła porozumiewawczo Hreczka.

Zaczął się od tego, że kiedy wlekłyśmy się rano na lekcje, Ola Szowczyk opowiedziała, jak to podobają się jej długie spódnice. Mówiła, że do mnie i do Chrystyny długie spódnice wyjątkowo pasują. Do niej niestety zupełnie by nie pasowały, bo jest za chuda, chociaż z drugiej strony, kiedy się ma takie piękne i długie nogi jak ona, grzechem byłoby chować je pod spódnicą do kostek. Ale czasami bardzo by chciała. I w ogóle - ogromnie się jej podobają bandanki i bluzy z kapturem, i jedna piosenka Nirvany - Rape me, a Metallica podoba jej się prawie cała.

Z czasem Ola Szowczyk została metalówką. Zapuściła długą grzywkę i rozczesywała ją na boki, pozostawiając na środku równy cienki przedziałek. Przez kilka dni w tygodniu nosiła długie spódnice, kupiła sobie bluzę z kapturem, kupiła długie swetry i pierścionki z czaszkami, a także czerwoną bandanę z pentagramem.

Co rano brnęłyśmy razem do szkoły. Zima wypadła śnieżna, w całkowitej ciemności dozorca torowali ścieżki dla pieszych, usypując po obu stronach chodników zasy pyły wyższe od człowieka średniego wzrostu. W tych tunelach panował chłodny mrok, od czasu do czasu mętnie rozjaśniany żółtawym słabym światłem latarni, zaspanych białych okien i reflektorów samochodowych. Nad głowami zwisały wypukłe, przygniecione ciężarem śniegu gałęzie.

Misko Fikus był od nas o dwa lata starszy, wysoki i barczysty, miał piękne wielkie wargi. Dużo czytał i przyjemnie było z nim rozmawiać. Wszystko to wyglądało tak: urywał się ze szkoły i przychodził pod nasze liceum, żeby poczekać na Olę i odprowadzić ją do domu. Ponieważ wracałyśmy do domu razem, wychodziło na to, że Misko odprowadzał także i mnie. Przynosił Oli

kwiaty i cukierki, brali się za ręce i niespiesznie kierowaliśmy się w stronę dworca, przechodziliśmy przez wiadukt nad torami i szliśmy dalej ulicą Braci Majdańskich. Wymieniali z Olą kilka czułych zdań, a potem ja i Fikus zaczynaliśmy omawiać książki. Rzadko mogłam tak przyjemnie i interesująco mówić z kimś o książkach.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby Fikus nie zakochał się w Oli zbyt mocno. Zaczął przychodzić do niej nawet rano i odprowadzał ją na lekcje, siedział u niej do późnej nocy, dogadywał się z jej rodzicami w sprawie wesela i imion dzieci. A wtedy pojawił się Ołeh Monio - energiczny kurdupelek, skaut, optymistyczny i wiecznie zadowolony. W oczach Oli jego witalność przeważała nad flegmatycznym i melancholijnym usposobieniem Miśka.

Dla tego ostatniego wszystko zakończyło się więc tragicznie. I tak był już skrzywdzony: ojciec, zdaje się, porzucił jego i matkę, matka po jakimś czasie wyjechała na saksy do Włoch i teraz Fikus mieszkał ze swoją stareńką babcią. A na dodatek kobieta jego życia znalazła sobie innego, skauta-wiercipiętę - i to ostatecznie załamało nieszczęsnego Miśka.

Teraz Ola Szowczyk spędzała czas w objęciach sprytnego Monia, a Fikus zaczął przesiadywać do nocy u mnie. Rozkładał się na wersalce, która przez jakieś siedem lat służyła mi za łóżko, i wbijał roztargnione spojrzenie swoich ujaranych, wybałuszonych oczu w wymalowane flamastrami potworne kwiatki na tapecie. Teraz czytał tylko Mechaniczną pomarańczę Burgessa. Przychodził do mnie, siadał i po-wo-li przemawiał:

- A ja za-czą-łem czy-tać Me-cha-nicz-ną po-ma-rań-czę Bur-ge-ssa.

- Przecież poprzednim razem już o tym rozmawialiśmy - dziwiłam się.

- Tak - wzdychał Fikus. A potem zaczynał w zamyśleniu liczyć ślady po wkluciach na przedramionach.

- A ja za-czą-łem czy-tać Me-cha-nicz-ną po-ma-rań-czę Bur-ge-ssa - informował mnie po jakimś czasie.

- Fikus, słuchaj, może pójdziesz już do domu? - pytałam łagodnie.

- Tak - wzdychał Fikus i siedział dalej.

Potem szedł do przedpokoju, gdzie stał telefon, i dzwonił do Oli. Słuchawkę podnosiła Natałoczka i opowiadała Miśkowi, jak ją dzisiaj przycisnęło i że musiała się wysikać na środku bazaru. Słyszałam, jak Misko odpowiada jej: „Tak, tak, tak” - i wzdycha. Potem, nie zegnając się, odkładał słuchawkę i zaczynał wkładać buty.

- Idziesz? - wychylałam się ze swojego pokoju.

- Tak - mówił Fikus.

- No to na razie.

- Mhm.

Jego matka zalegalizowała pobyt we Włoszech i udało się jej na jakiś czas przyjechać do domu. Fikus znalazł się na oddziale odwykowym. Ola go odwiedzała.

Potem matka wyjechała, poprosiwszy Olę, żeby się opiekowała Miśkiem. Ola pilnowała go razem z Moniem. Fikus jakoś pogodził się z sytuacją, znów całymi dniami przesiadywał u niej w domu, a ona cierpliwie robiła mu herbatę i słuchała miłosnych wyznań, Monio natomiast nie podzielał cierpliwości do słuchania tych zwierzeń. Ola żaliła mi się na Fikusa i z jakiegoś powodu postanowiłam nagle wszystko Miśkowi powiedzieć.

Wkładałam buty, zbierając się do domu, a Miśko stał oparty o framugę i bezgłośnie poruszał wyschniętymi wargami. Jego oczy stały się podobne do oczu suma na dnie ciemnego, zamulonego jeziora.

- Miśko - powiedziałam do niego surowo - weź, wkładaj buty i wal do domu. Wiecznie tu przesiadujesz. Zbrzydłeś już Olce, zbrzydłeś jej rodzicom, nawet Natałoczce zbrzydłeś - ona do ubikacji przez ciebie nie może normalnie pójść.

Daj wreszcie ludziom pożyć w spokoju. Weź, ubieraj się i wychodź. Czekam na ciebie.

Fikus bez mrugnięcia okiem zaczął wkładać swoje rozwalone buty rozmiar czterdzieści osiem. Dłonie też miał wielkie - nie na darmo był nie tylko Miśkiem, ale też Fikusem - z długimi palcami zakończonymi kształtnymi owalnymi paznokciami.

- Tak - powiedział na pożegnanie, prostując się przed Olą.

- Pa pa, Misza - odpowiedziała mu, słodziutko się uśmiechając. Staneła na palcach, wygięła plecki, objęła go za szyję i cmoknęła w policzek.

- Mhm - powiedział Misza.

W milczeniu wyszliśmy na klatkę, zeszliśmy na podwórko. Kończył się listopad, było już zupełnie ciemno, pod nogami potrzaskiwała cienka lodowa skorupa.

Misza z jakiegoś powodu nie skręcił na ścieżkę prowadzącą do przystanku, tylko poszedł ze mną przez podwórko. Szedł obok mnie, ciężko sapiąc.

- Słuchaj - powiedział nagle. - Nie wiedziałem, że taka z ciebie suka.

- Mhm - odparłam.

Dalej za mną nie szedł.

Ta historia z Miśkiem - to jedna z dwóch najgorszych rzeczy, jakie zrobiłam. One męczą mnie najbardziej.

Druga - oddałam swojego psa myśliwym, nie mogąc sobie z nim poradzić. Teraz pies często mi się śni: wydaje mi się, że spotykam go w mieście, idzie z nowym panem, nasze spojrzenia się krzyżują. Patrzy na mnie spokojnie i w jego oczach widzę rozczarowanie, ból i odrazę.

Miśko mi się nie śni. Ale gdyby się przyśnił, sen byłby mniej więcej taki sam.

Tymczasem Chrystyna Szczubra i jej koleżanki także zaczęły nowe życie. Swoich chłopców w wytartych dzinsach porzuciły, by siedzieli w głuchym kącie skweru imienia Franki i popijali chrzczone wino, zagryzając je waflami Artek. Nie chciało im się już robić na nich wrażenia, dawno powyrzucały zeszyty z nazwami grup i albumów. Teraz pragnęły siedzieć z dorosłymi facetami przy stolikach nocnych klubów i palić papierosy More, zgrabnie pociągając przez słomkę martini nalane do stożkowatych kieliszków na długich nóżkach. Chciały jeździć z facetami na przednich siedzeniach ich dżipów. Chciały słuchać, jak faceci ryczą w komórki groźnymi głosami: „Pietia, ja pierdolę, przecież ci mówiłem, w mordę jebany, że trzydzieści dwa dwieście i jeszcze z górką, kurwa, ma być! Inaczej, kurwa, będziemy Romancyka prosić, a oni, do kurwy nędzy, mają w tym tygodniu kontrolę! W dupę głowy poobcinane, Pietia! W dupę, mówię! Dobra, chuj z tym, kurwa, cześć”. I tak słodko ścisnęło się serce na myśl o tym, że ci wujkowie mają dorosłe ciocie-żony, już dzieciate, z brylantami w uszach i na palcach, i że dorosłe ciocie-żony teraz, po prostu teraz, dokładnie w tym momencie, kiedy wujek wozi swoim dżipem nieletnią uczennicę po nocnym mieście, siedzą w swoich wybajerzonych kuchniach, zalewają się whisky Jack Daniels, palą czerwone dunhille i nerwowo stukają długimi purpurowymi paznokciami w masywny dębowy blat, zastanawiając się, gdzie jest ich mąż - na dnie Bystrzycy Sołotwińskiej czy Bystrzycy Nadwirniańskiej, a może dla odmiany na dnie jeziora miejskiego, i co przywiązane jest do jego szyi - kamień, worek złomu czy silnik od traktora, a jeśli nie zatonął i zabawia się w łóżku z jakąś kurwą, podczas gdy ona, ciocia-żona, łamie sobie paznokcie pokryte artystycznym manikiurem o świeżo polakierowany dębowy blat, to gdzie go własnoręcznie utopi, kiedy przypałęta się nad ranem w Bystrzycy Sołotwickiej, Nadwirniańskiej, miejskim jeziorze czy w ich dżakuzi z hydromasażem.

Chrystyna Szczubra, rozumiejąc, że tych poważnych mężczyzn, sownie obdarzonych poczuciem piękna, trudno zwabić na bluzy z kapturem i martensy, zaczęła nosić obcisłe spodnie biodrówki, króciutkie sweterki i wydekoltowane bluzeczki, zostawiła sobie już tylko cztery czy pięć kolczyków - a i te były teraz złote, i używała perfum Davidoff. Glany zamieniła na szpilki, podcięła grzywkę, pudrowała się i szminkowała - słowem, wszystko jak należy.

Razem z przyjaciółkami chodziły pod dyskotekę „Ura” za każdym razem poświęcając cały dzień na to, by „doprowadzić się do porządku” - i stojąc za rogiem kina „Kosmos”, podobne do niewysokich transwestytów, wypijały po butelce albo i dwie jakiegoś ginu z tonikiem czy brandy z colą, bo na alkohol w barze nie było ich stać. Potem, wraz z setką innych transwestytów, pakowały się do środka - w pewne dni wejście do dyskoteki dla osób płci żeńskiej było darmowe. Te z dziewcząt, którym udało się przeżyć szaleńczy tłok przy wejściu, momentalnie rzucały się do toalety - jeszcze raz się upudrować, jeszcze raz wytuszczać oczy, jeszcze raz umalować wargi, bo

szminka została na szyjce butelki ginu z tonikiem. Potem można było spokojnie wejść na górę, do sali, gdzie któraś z przyjaciółek zajęła już stolik, i zamówić sobie szklanę soku pomarańczowego i setkę wódki, wymieszać to i sączyć ta-a-a-akimi małutkimi łyżkami, żeby starczyło na kilka godzin, a najlepiej - na całą noc.

Kiedy mężczyźni przyjeżdżali wreszcie swoimi dżipami, pijaniutki dziewczęta wykonywały przed lustrami wysokimi na całą ścianę powabne tańce, mdlejąc od przeczuć nadchodzącej nocy. Mężczyźni siadali przy stolikach, zamawiali sobie kurze udka i wieprzowe steki, zamawiali butelkę wódki i nasyciwszy się, niespiesznie obserwowali wygibasy świeżutkich kurek. Mogli wybierać dziewczynki jak dania z menu - właśnie tak to było pomyślane.

Któryś z sylwestrów razem z Chrystyną, Muchą i Julią spędziłyśmy przyczajone po kolana w śniegu za srebrzystymi choinkami przy dyskotecę „Ura”. Wszystko zaczęło się w zaciszu i ciepłe mojego domu, ale one jakoś nie mogły usiedzieć w miejscu. Mówiły jak nie o jakimś Robercie Pawłowyczu z sygnetem na palcu, to o Kiziu i jego szramie na całej policzku.

Namawiały, żeby pójść razem z nimi, obiecywały niezapomniane przeżycia, nowe znajomości, radości i smakołyki, a przy okazji sugerowały, że jeśli będę miała szczęście, mogę spotkać tam swoje przeznaczenie. Wyobraziłam sobie siebie w objęciach Roberta Pawłowicza - i spodobało mi się to.

Zgięte w pół, chowałyśmy się za choinkami i obserwowałyśmy, jak pijani i hałaśliwi ludzie przed wejściem do dyskoteki cieszą się, że nastał nowy rok.

Dziewczęta uparcie nie zgadzały się na wyjście z za choinek.

- Nie uda nam się wejść do środka, bo nie mamy pieniędzy. Trzeba poczekać na kogoś znajomego, kto może nas wprowadzić - wyjaśniały mi.

- A dlaczego nie można czekać przy wejściu? Po co siedzieć w tym śniegu? - dziwiłam się.

- Bo można się natknąć na kogoś niepożądanego - odpowiadały.

Niepożądanych było nad podziw wielu. Wśród nich Chrystyna pokazała mi Roberta Pawłowicza - drobnutkiego dziadka, którego twarzy praktycznie nie można było odróżnić od suszonej figi. Gdy go zobaczyłam i jednocześnie przypomniałam sobie, jak kiedyś w dzieciństwie, podczas wczasów na Krymie, Hala zrywała dla mnie figi prosto z drzewa, zrozumiałam, że wszystkie moje nadzieje zeszły na psy.

Już prawie nad ranem, kiedy nogi całkiem nam zdrętwiały i zaczęły pomału obumierać, Chrystyna wyszła z za choinki i poszła przywitać się z jakimś facetem w szelkach. Niebawem siedziałyśmy przy okrągłym stoliku w sali z telewizorem. Przy stoliku było ciasno, wszyscy milczeli, kelner przyniósł różowego szampana, stuknęłyśmy się, pooglądałyśmy trochę telewizję, podziękowałyśmy, pożegnałyśmy się - i poszłyśmy do domu spać.

Niedługo potem Chrystyna i jej przyjaciółki znalazły na dyskotecę prawdziwych przyjaciół. Nie byli to wymarzeni goście z dziupami, do nich dotrzeć nie było wcale tak łatwo - przeszkadzała konkurencja. Jednak na razie można było przyjemnie i pożytecznie spędzać czas w towarzystwie obiecujących młodzieńców, którzy, chociaż jeździli ładami, latali już jednak dla Bena.

Ben był ojcem miasta. Nie bardzo się go bano, bo mówił po ukraińsku. Ale latać dla niego, to był wielki zaszczyt, z którego młodzieńcy Chrystyny byli nieprzytomnie dumni.

Byli to chłopcy, którzy dopiero co przekroczyli dwudziestkę. Prawie wszyscy mieszkali z rodzicami albo babciami, a najostrożniejsi na spółkę wynajmowali mieszkania.

Wiadomo, o czym marzyli - o dziupach, dzakuzi, żonach w kuchni na bajerze i o tym, żeby wydzierać się do kogoś: „W dupę głowy poobcinane, kurwa!”.

Chrystynie najbardziej podobał się Wowa. Często mi o nim opowiadała - jaki jest wysoki i muskularny, jak pięknie błyszczą jego buty, jaki ma niski, aksamitny głos, jak elegancko pali, jak rozkosznie wypuszcza dym przez nozdrza i jaki piękny ma nos - orli, kształtny, gruziński, a do tego oczy z zabójczym spojrzeniem i czarne włosy, i wygięte w krwiożerczym grymasie wargi, i zęby białe jak w reklamie pasty, i że nigdy nie widziała go dwa razy w tej samej koszuli - i mimo to, tylko wyobraź sobie: jest dobry, miły i czuły!

Wspólnie spędzany czas polegał na tym, że po prostu siedzieli przy jednym stoliku. Chłopcy płacili za napoje dziewczyn. Nie trzeba już było pić ginu z tonikiem pod dyskoteką. Teraz można było przychodzić przed samym początkiem - i wpuszczali ich zawsze bez kolejki, bo bramkarze byli znajomymi Wowy.

Kiedy dziewczęta odpoczywały po tańcach, Wowa i jego przyjaciele opowiadali im o życiu Bena i jego ludzi. Odkrywali przed nimi straszne tajemnice o nielegalnie przewożonych przez granicę samochodach, o tym, jak i po co dyrektora kombinatu mięsnego zamierzano otruć serdelkami i w jaki sposób żona Ruli zemściła się za to, że jej męża przywiązali za nogi do tylnego zderzaka samochodu i ciągnęli z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę z Frankowska do Kołomyi. Dziewczęta, pochłaniając wódkę z sokiem, mrugały i z przerażeniem zakrywały wymanikiurowanymi dłońmi rozdziawione usta.

A ja, słuchając Chrystyny co poniedziałek na pierwszych lekcjach, robiłam to samo swoją pozbawioną manikiuru dłonią.

Teraz wreszcie opowiem o tym, co słyszałam od Chrystyny o Musze. Mucha była jedną z dziewczyn, które już się pieprzyły. I to podobno od dawna.

Jeszcze kiedy Mucha była malutka, ojciec porzucił ją i jej matkę. Matka Muchy była prostytutką. Nie wiem, czy mąż porzucił ją, dlatego że była prostytutką, czy została prostytutką, dlatego że porzucił ją mąż i trzeba było zarabiać na życie. Bo ona była akurat taką prostytutką,

która zarabia na życie, a nie po prostu kobietą lekkich obyczajów. Pieprzyła się z cudzoziemcami i biznesmenami i kupowała Musze ładne ubrania. Ojciec też kupował jej ładne ubrania, bo doskwierało mu poczucie winy.

Mucha z rudym paziem, krzywymi ząbkami, chodem długonogiego jelonka, z wydętymi, cienkimi wargami, które nadawały jej twarzy wiecznie rozkapryszony wyraz, Mucha ze zdziwionymi oczami, mocno obrysowanymi niebieską kredką, bezpardonowa Mucha, dla której rzeczą najnaturalniejszą w świecie było podciągnięcie bluzki na środku ulicy, żeby poprawić stanik, który źle zapięła, wychodząc z domu, albo zademonstrowanie wszystkim, którzy akurat znaleźli się w pobliżu, swoich nowych fig. Tak we francuskich filmach przedstawia się dziewczęta z nieszczęśliwych rodzin, które zeszyły na złą drogę. Na szczęście zawsze spotykają przypadkiem samotnego faceta, zamkniętego w sobie, ale bardzo dobrego i uczciwego - policjanta czy na przykład kiler - który zmienia ich życie, wskazuje im słuszną drogę, wyjaśnia, że nie należy tak bezmyślnie nurzać się w grzechu. Facet ginie rzecz jasna tragicznie, ale dziewczynka jest już uratowana i czeka na nią szczęśliwe i porządne życie.

Mucha wierzyła, że spotka takiego faceta. I robiła wszystko, by go nie przeoczyć.

Kiedyś Chrystyna poinformowała mnie, że nie mając co robić w wolne dni, postanowiły razem z blondynką Julią wypisać wszystkich facetów, z którymi pieprzyła się Mucha. Przypominanie ich sobie zajęło im ponad godzinę. Lista miała sto dwadzieścia trzy punkty.

- I to tylko ci, o których wiemy na pewno! - z zachwytem opowiadała Chrystyna. - A wyobraź sobie, o ilu ona milczy!

Jeszcze innym razem Chrystyna zdradziła, że Mucha się zakochała. Poznała na dyskotecce mężczyznę koło pięćdziesiątki, pociągającego, siwowego, w drogim garniturze i okularach ze złotymi oprawkami. Zawiózł Muchę do siebie do domu - a tam ona o mało nie zemdląła z wrażenia: mieszkał w starej kamienicy z sufitem na wysokości czterech metrów, łóżko miał z baldachimem, na ścianach wisiały olbrzymie obrazy w złożonych ramach, a kuchnię od salonu dzieliło gigantyczne akwarium z tropikalnymi rybami.

Mężczyzna obchodził się z Muchą bardzo czule i delikatnie, włączył romantyczną muzykę, zapalił świece i przygotował kolację, a rano przyniósł śniadanie do łóżka. Potem odwiózł ją do domu i obiecał, że zadzwoni. Teraz wyjeżdża, a kiedy tylko wróci - nie wiadomo jednak dokładnie, kiedy to będzie - od razu do niej zadzwoni.

Mucha czekała i czekała. Obiecała sobie nawet nie sypiać z nikim oprócz niego. Ale on się nie zjawił. Więc obietnicę trzeba było odwołać - nie mogła tracić okazji.

Pewnego lata, mniej więcej o drugiej w nocy, razem z Olą Szowczyk postanowiłyśmy pójść się kąpać nad rzekę. Bystrzycę Nadwirniańską dzieliło od naszych domów dziesięć minut spacerem ścieżką pomiędzy daczami.

Podniecone swoim śmiałym pomysłem, założyłyśmy kostiumy kąpielowe, wzięłyśmy ręczniki i wyszłyśmy na dwór.

Wokół nie było żywej duszy. Wiał ciepły, gęsty wiatr. Księżyc ledwie prześwitywał zza chmur.

Przeszłyśmy przez podwórka, budynki wisiały nad nami jak czarne olbrzymy, światło paliło się tylko w kilku oknach. Ulica, przez którą zazwyczaj nie można było przejść z powodu nieskończonego i wartkiego potoku samochodów, wydawała się nam nienaturalnie pusta i cicha.

Minęłyśmy parking, przy którym obszczeakały nas stróżujące psy, i jak najszybciej przeskoczyłyśmy obok domku ochroniarza - wyjrzał przez okno i długo wpatrywał się w ciemność, spostrzegłszy w mętnożółtym świetle latarni dwie dziewczęce postacie niosące ręczniki. Pamiętam, że ja zawiesiłam go sobie na szyi i czułam się tak, jakbym szła przez miasto w piżamie i domowych kapciach albo całkiem goła ze szczotką do zębów w dłoni.

Ścieżka pomiędzy daczami całkowicie tonęła w mroku. Brzęcały owady, wiatr szeleścił w drzewach i trawie, szczeakały psy. Trzymałyśmy się za ręce i stapałyśmy cicho i ostrożnie, jakbyśmy się bały, że ziemia za chwilę runie nam spod nóg. Najmniejszy podejrzaný dźwięk sprawiał, że w środku wszystko się nam zaciskało. Ponieważ w takiej nieprzejranej ciemności wszystkie dźwięki wydają się nawet nie tyle podejrzané, ile nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że niebezpieczeństwo depcze ci po piętach, na tamę wdrapałyśmy się zupełnie niepewne tego, czy naprawdę chcemy popływać. Mimowolnie wyobrażałam sobie, jak zacisznie i bezpiecznie jest w tej chwili w domu, jak pewnie i mocno zamknięte są tam drzwi i jak spokojnie świeci lampa nad świeżo zaścieloným łóżkiem.

Rzeka szumiała w dole. Widziałyśmy jej prąd, znacznie wolniejszy, jak nam się zdawało, niż w dzień. Woda błyszcząca i przetaczała się leniwie, jakby z każdym centymetrem coraz bardziej gęstniała, zmieniając się w tłustą błyszczącą substancję - smołę albo ropę.

Stałyśmy tak kilka minut, patrząc w nurt i nie mając odwagi się odezwać. Dźwięcznie kumkały żaby. Wreszcie Ola powiedziała szeptem: „No chodźmy”.

Zrobiłyśmy kilka kroków - i zamarłyśmy. Z lewej strony coś zaszleściło w trawie.

Ocknęłam się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Mknęłam nieprzytomnie w kierunku świateł odległej stacji benzynowej. Ola biegła za mną i rechotała swoim bełkotliwym śmiechem - zwykle drażnił mnie do szaleństwa, ale teraz wydawał mi się najmiłszym ze wszystkich dźwięków.

- Stój, zatrzymaj się! - krzycała do mnie. - To jeź! To był zwyczajny jeź!

Znów stałyśmy i patrzyłyśmy na rzekę. Ola nie przestawała się śmiać, ja też próbowałam, ale zęby dzwoniły mi ze strachu. Nie mogłam go już kontrolować - narastał i nie dawał mi oddychać. Chciałam do domu i powiedziałam:

- No co, idziemy do wody?

Zdawało się, że rzeka jest już blisko. Brzeg od tamy dzieliły gęste krzaki wikliny. Jej węzłowate korzenie, które woda wyrwała z gruntu, wiły się jak dziwaczne węże i splatając ze sobą, zwisały nad bajorami, w których larwy i komary czuły się jak w siódmym niebie.

Lazłyśmy po omacku, cierpiąc z powodu klaustrofobii.

Tutaj, w krzakach, trudno by było zawrócić, gdyby ktoś nas napadł; nikogo tam oczywiście nie było, ale ani na moment nie zapominałyśmy, że te rzeczne zarośla to ulubiona kryjówka psychopatów i wszelkiego rodzaju zbrojców. Przelazłyśmy po jakichś śliskich i niepewnych gałęziach, podając sobie ręce i łapiąc się gałązek wierzbowych rosnących nad błotem. W którymś momencie moja noga ześlizgnęła się z jakiegoś konaru i znalazłam się po pas w gęstej, zimnej brei. Z głośnym chlupaniem moje stopy grzęzły w lepkim, ciągnącym się mule. Potem długo wyławiałyśmy stamtąd mój kłapek, od stóp do głów wsmarowując się błotem.

I wreszcie wyszłyśmy na równy nadbrzeżny teren. Rzeka szumiała już całkiem blisko. Stapałyśmy wyczerpane po kamieniach, nie mając najmniejszej ochoty zanurzać się w wodzie.

A kiedy podeszłyśmy niemal do samego brzegu, zauważyłyśmy w odległości kilku kroków grupkę skulonych mężczyzn. Siedzieli na piasku z nogami w rzece. Obok cichutko grał magnetofon. Mężczyźni rozmawiali ścisłymi głosami, bez przerwy się ruszając - wyglądało to tak, jakby zanurzyli ręce w wodzie i starali się wymacać coś na dnie.

- No i co oni tam robią? - zapytałam. Kolana się pode mną ugięły.

- Nie wiem - chichocząc, odpowiedziała Ola.

Trzecia w nocy. Sterczałyśmy nad brzegiem rzeki, odgródzone wikliną, bajorami, daczami i tamą od reszty ludzi, którzy spali sobie spokojnie w swoich łóżkach. Na mojej szyi wisiał ręcznik. Obok kilku mężczyzn bełtało nogami wodę. Obojętny i zimny prąd ciężko toczył dokądś swoje najeżone fale.

- No co, idziemy się kąpać? - Ola zaczęła się rozbierać.

Ja też zdjęłam koszulkę, a potem szorty. Następnie równie szybko je na siebie włożyłam.

- Co z tobą? - Ola zdziwiona wzięła mnie za rękę.

- Ciekawe, co oni tam robią - powiedziałam, tak jakby odpowiedź na to pytanie miała mi pomóc ustalić, czy warto rozbierać się, czy nie.

Ola też się ubrała.

- To idziemy do domu?

- Ale wykapałabym się jednak - westchnęłam.

- Ja też - zgodziła się Ola.

I wtedy jeden z mężczyzn wstał, odszedł trochę na bok i pochylił się nad białym tobołkiem. Ciemność rozmywała kontury i zmieniała rozmiary. Początkowo tobołek wydawał się dość niepozorny - wielkości średniego psa. Ale kiedy mężczyzna, wyżejając się, podniósł go i pociągnął za sobą, okazało się, że tak naprawdę w płótno mógł być też zawinięty człowiek.

To był człowiek. Wyraźnie zobaczyłam zwisającą z jednej strony głowę z długimi włosami, bujała się przy każdym ruchu mężczyzny. Niosący raz po raz potykał się o kamienie i włosy, które opadały jak delikatna zasłona, dotykając ziemi. Koniec płótna włókł się za nim.

Dwóch pozostałych wstało i rozstąpiło się. Ten, który niósł ciało, zaczął powoli wchodzić w czarny nurt. Poślizgnął się i najwyraźniej nie mógł namacać stopami w miarę pewnego gruntu, kamienie - nierówne i ostre - w każdej chwili gotowe były wyslizgnąć mu się spod nóg.

Kiedy mężczyzna zabrnął w wodę po uda, pochylił się i ostrożnie (jego ręce drżały z wysiłku) opuścił ciało. Niemal w całości się zanurzyło, lekko podskakując na falach jak szałwiarz. Jeden z dwóch, którzy czekali na brzegu, podał mu kij. Mężczyzna złapał go i zaczął ostrożnie popychać ciało - coraz bliżej i bliżej wartkiego nurtu rzeki. Prąd porwał wreszcie tobołek i powłókł go po kamieniach, rzucając i obracając nim jak zabawką.

Wyszedł księżyc. Ciemne ciało dziewczyny płynęło w błyszczącej gęstej wodzie. Rozłożyła ramiona, jakby odpoczywała, jej głowa to podnosiła się, to opadała na falach: wydawało się, że próbuje zbadać rzeźbę dna i od czasu do czasu nabiera powietrza, a potem znów się zanurza. Włosy rozpląły się wokół jej potylicy czarną plamą, wymyślnie zwijając się i układając w ulotne wzory, płacząc się z podobną do śliny pianą.

Niosło ją dalej i dalej. Trzech na brzegu podążało za nią wzrokiem.

Biała, ciężka, zupełnie mokra tkanina całkowicie się rozwinęła i rozpostarła na powierzchni wody, gdzieś tylko nadymając się i marszcząc.

Na chwilę zrobiło się zupełnie ciemno - księżyc zasłoniła chmura. Kiedy się rozwiła, widać było, że tkanina zaczepiła o wielki pokręcony konar nad wodą i pluszcze się w nurcie.

Następnego dnia przyłączyła się do nas Ola Hreczka. Kupiliśmy arbuza i butelkę wódki.

- Tak robili w serialu Beverly Hills - powiedziała Hreczka. - To powinno być bardzo smaczne.

W domu wycięliśmy w arбуzie dziurkę i wlałyśmy do środka prawie całą butelkę. Wódka nie bardzo chciała wsiąkać.

- Trzeba poczekać - zaproponowałam.

Hreczka przyniosła ze sobą aparat fotograficzny. Ola Szowczyk zaczęła napszczać wody do mojej wanny, robiąc sobie w tym czasie makijaż. Podrysowała brwi i nałożyła zielone cienie, usta pomalowała na bordowo, a potem dokładnie się upudrowała - jej twarz zaczęła przypominać maskę pośmiertną, białą jak kreda, pokrytą tysiącami drobnymi rozgałęzionymi pęknięciami.

Następnie rozebrała się i położyła w gorącej wodzie.

Hreczka wyciągnęła swoją mydelnicę (co innego mogła wyciągnąć w łazience!) i zaczęła fotografować.

- Uwielbiam kąpać się w cudzych wannach! - z rozczuleniem poinformowała nas Ola Szowczyk. Pozując, całkowicie unieruchamiała twarz, ani razu nie mrugnęła, rozmarzone spojrzenie utkwiała w jakimś niewidocznym punkcie i uśmiechała się łagodnie bordowymi usteczkami-niteczkami.

Wieczorem rozkroiliśmy arbuza - smakował okropnie, najmniejsze kawałki trzeba było przeżuwać w najwyższym skupieniu, kontrolując odruchy wymiotne. Każda z nas mogła zmusić się do zjedzenia zaledwie dwóch plasterków. Potem wyciągnęliśmy się na wznak na podłodze. Czułam radość, że nie muszę już jeść wódczanego arbuza. Czułam radość - alkohol zadziałał.

Ole rozmawiały o seksie. Szowczyk mówiła, jak podnieca ją świadomość, że w każdej chwili ktoś może wejść do pokoju. A Hreczka - że jej chłopak Wasia ma ochotę na inną.

- Chcesz, pokażę ci, jak się całować? - zapytała nagle, odwracając się do mnie twarzą. Leżałyśmy obok siebie, miałam jej wargi naprzeciwko moich oczu. Uśmiechała się.

Leżałyśmy przed otwartym balkonem. W pokoju słabo świeciła tylko jedna mała lampka zawieszona na ścianie.

Dookoła niej krążyło kilka ciemnych, włochatych ciałach.

Przez drzwi balkonowe widać było kawałek ciemnofioletowego, jakby świeżo malowanego nieba. Na samym dole przecinały go dwie wąziutkie szarawobzowe chmury.

Hreczka przesunęła się trochę wyżej. Widziałam wszystko w zwolnionym tempie. Jej twarz bardzo długo zbliżała się do mojej. Nie miała odwagi. Ja też jej nie miałam. Ale odległość między nami była zbyt mała, by się wycofać.

Gdzieś pod sufitem przenikliwie bzyczał komar. Jakby ktoś bardzo, bardzo szybko stukał milimetrym srebrnym nożem o małą kieliszek.

I wreszcie nieśmiało i czule dotknęła mnie wargami, zupełnie leciutko, raz, drugi, trzeci - dotknęła i oderwała się, a potem znów trochę się zbliżyła, złapała najpierw górną wargę, potem dolną, w skupieniu i nie śpiesząc się, a potem przesunęła zaostroszonym koniuszkiem języka po linii dolnej wargi - tam, gdzie już zaczyna się ślina, doszła do prawego kącika, zatrzymała się na chwilę (miałam w tym czasie przed oczami płatek jej ucha i delikatną szyję pokrytą białym

puszkiem) i po prostu dotknęła swoimi wargami moich. Gwałtownie wydmuchnęła przez nos gorące powietrze na mój podbródek i się zaśmiała. Ja też się zaśmiałam.

Ole rozmawiały wtedy o tym, że podczas seksu nie wiedzą, czy dochodzą, czy nie. Ja dochodziłam bez seksu.

Pierwszy raz zdarzyło mi się to podczas olimpiady literatury i języka ukraińskiego. Posyłali mnie na nią co roku, poczynając od piątej klasy.

Nienawidziłam olimpiady - był to, jak się wydawało, nieobowiązkowy etap nauki, mnie jednak nie wolno było z niego zrezygnować. To była rola, którą musiałam grać, jeśli chciałam liczyć na jakąkolwiek pobłażliwość i odpuszczenie grzechów z innych przedmiotów. Wszyscy nauczyciele wiedzieli - ta dziewczynka jest finalistką olimpiady literatury i języka ukraińskiego, dlatego można jej postawić czwórkę z chemii, fizyki i geometrii.

Mnie, przyzwyczajoną do półsennego spokoju Chrystyny Szczubry, na olimpiadach najbardziej wytrącała z równowagi atmosfera ogólnego rozdygotania i zapoconej egzaltacji. Te całe armie dziewcząt z konwulsyjnie przygryzionymi ustami, z gorączkowym rumieńcem na policzkach, z przestraszonym, rozbieganym spojrzeniem. Ich zaciśnięte w pięści dłonie - tak mocno, że aż białły im kostki palców - ich rozpacz i gotowość do płaczu w każdej chwili. „Ojojjoj, nic nie umiem”. „Wielki Boże Jedyny, zapomniałam zasady interpunkcji w zwrotach z imiesłowami przysłówkowymi!”

„O rany, rany, o ja nieszczęśliwa, jak ja spojrzę w oczy Motrynie Jakiwnej - nie mogę sobie przypomnieć drugiej strofy monologu Mawki!”

Przyciskały do piersi swoje pokreślane tabelami, zapisane regułkami, cytatami i wzorami rozprawek na prawdopodobne tematy zeszyty. Po sto razy sprawdzały, czy wszystkie ich długopisy piszą. Podejrzliwie przyglądały się innym aha, ta już była w zeszłym roku, ale ona to durna jest - pisała wypracowanie na temat dowolny. A ta wszędzie wciska cytaty z Liny Kostenko. A ta nawet nie wie, jak się pisze „nie” z czasownikami - jakim cudem w ogóle co rok tutaj trafia? Ach, no tak, ona jest przecież z rosyjskiej szkoły.

Gdzieniegdzie można było dostrzec głowy chłopaków.

Ale oni byli jeszcze gorsi - z jakiegoś powodu wszyscy, jak jeden mąż, żałośni i mizerni, z niewinnym czarniutkim puszkiem nad górną wargą, ich włosy, rozdzielone przedziałkiem tak krzywym, że przechodził prawie nad uchem, błyszcząły jak posmarowane roztopionym smalcem. Egzemplarze te często mówiły same do siebie, a kiedy odważały się zwrócić do kogoś innego, to z reguły z czymś w rodzaju: „Proszę powiedzieć, czy wolno mi pisać nie Taras Hryhorowycz, ale Ty-Hy i stawiać po Ty-Hy kropki?” albo „Przepraszam, pani chyba uważa, że w tym zdaniu po

słowach »osiada za widnokrąg« powinien być średnik - ale ja się nie zgadzam! Znam zasadę, która przeczy temu, co pani ma na myśli!”

Nadzorcynie, rozdawaczki papieru i dyktowaczki dyktand sprawiały nie mniej przerażające wrażenie. Te pachnące konwaliowym słodem i zgniłym mięsem harpie mówiły, napinając struny głosowe do tego stopnia, że mało co nie wypchnęły na zewnątrz swoich powiększonych tarczyc.

Miały całkowicie wyskubane, a następnie ponownie narysowane kredką cienkie, czarne brwi. Rozdymały nozdrza jak przestraszone przez błyskawicę i grom kobyły, surowo zerkały i stukwały w biurko czubkiem długopisu, starając się w ten sposób zwrócić uwagę na to, jak istotna i konieczna jest misja, którą wypełniają.

Po przeznaczonych na wykonanie zadań godzinach wszystkich uczestników nieodmiennie karmiono kotletami rybnymi, zimnym makaronem i sałatką z tartych buraków. W powietrzu unosił się mocny i żrący zapach zaszczutej zwierzyny. W dusznej atmosferze auli łysawi dziadkowie w rozdeptanych półbutach z żółtymi smużkami na kołnierzykach koszul akcentowali i podkreślali, jakim honorem i odpowiedzialnością jest uczestnictwo w takich wydarzeniach.

Zatem pewnego razu siedziałam pośród dziesiątków młodych współbojowników ojczystego słowa i starałam się nie poddać ogólnej atmosferze psychozy. Najpierw koniecznie trzeba było napisać wszystko na brudno - pisanie od razu na czysto było zabronione. Każde skreślenie uznawane było za błąd. Trochę przesadziłam z zachowywaniem spokoju i równowagi - kiedy się rozejrzałam, okazało się, że prawie wszyscy oddali już skończone prace i pomyślnie opuścili salę.

Jedna z nadzorczyń zerknęła na zegarek i zagulgotała:

- Moi drodzy, zostało dwadzieścia minut do końca. Proszę się pośpieszyć.

A ja nie zaczęłam jeszcze nawet przepisywać brudnopisu na czysto.

I wtedy mnie wzięło. Pisałam, a litery płynęły mi przed oczami. Z jakiegoś powodu przypomniały mi się kotlety rybne i buraczki, przed wewnętrznym okiem migotały puszyste wąsiki i niemyte uszy chłopca, który przez kilka godzin siedział na prawo ode mnie, ale już dawno wyniósł za drzwi swoją namiętność do konstrukcji składniowych i środków stylistycznych; przypomniałam sobie, jak drżały palce dziewczynki z dwoma grubymi preclami warkoczy po obu stronach głowy - i moje palce też zadrżały.

- Tak-tak-tak, piętnaście minut, moi drodzy - lodowatym głosem powiedziała nadzorczyń, poprawiając przed lustrem swoje namalowane brwi.

„Tak-tak-tak - chodziło mi po głowie - piętnaście minut, moi drodzy, dawaj, dawaj, dawaj, moja droga” - ręka zaczęła mi już mdleć, nawet w przybliżeniu nie wiedziałam, co tam skrobię na ostemplowanych arkuszach. Mam bardzo rozłożysty charakter pisma - tutaj, z pośpiechu, pisałam dwa słowa w linijce. Wychodziły jakieś totalne kędziory jak precle na głowie tamtej dziewczyny.

O, nawet biedaczka, która miała problemy z czasownikami, położyła na biurku swoją pracę. Zostałam sama.

- Proszę kończyć, streszczać się, bardzo proszę - poradziła mi nadzorczyńni. Z jakiegoś powodu zaczęła krążyć wokół ławki, przy której siedziałam - ścierwik, który nie może doczekać się śmierci rannej antylopy (przypuszczam, że ta kobieta demonstrowała mi, jak należy się prawidłowo streszczać). Ciągłe mi się wydawało, że chce zajrzeć do mojego plecaka.

„Kończ, streszczaj się” - modliłam się sama do siebie.

Ale słów było tak dużo, a liter jeszcze więcej, rysowałam więc coraz to nowe i nowe koła i owale, a ze stron mojej pracy wylaniały się kontury świeżo zdartych owczych skór.

- Siedem minut - ze znużeniem burknęła nadzorczyńni i ziewnęła, nie zasłaniając ust.

A mój długopis w tym momencie przestał pisać.

- Przepraszam, czy mogłaby pani...

W milczeniu podała mi swój długopis, mówiąc spojrzeniem: za późno i tak już nie zdążysz.

Sama wiedziałam, że nie zdążę - ale z jakiegoś powodu zawzięcie pisałam dalej, nie zważając na to, że pociemniało mi przed oczami, a w uszach jakoś elektrycznie huczało.

- Pięć - powiedziała.

„Dzzzz” - słyszałam.

Nadzorczyńni odtoczyła się gdzieś daleko, jej głos prawie do mnie nie docierał, ale ja nie przestawałam wodzić długopisem po papierze - czułam, że to jedyny sposób, by uchwycić się rzeczywistości, która wyslizgiwała mi się z rąk, a może to ja wyslizgiwałam się z niej, zsuwając się tyłkiem ze skraju krzesła. Byłam do tego stopnia skoncentrowana, że rzuciłam wszystkie swoje fizyczne siły do walki o to, by zdążyć, naprężyłam każdy mięsień mojego ciała - a ponieważ utrzymać ciągłego napięcia nie mogłam, naprężałam i rozluźniałam mięśnie w rytm pulsowania krwi w skroniach i przesuwania długopisem po arkuszu. Mięśnie odpowiedziały z niebywałą gotowością - uchwyciwszy rytm, naprężyły się i rozluźniły już same. Głośne sapanie starałam się resztkami sił ukryć przed nadzorczyńnią.

- Trzy - powiedziała. - Proszę kończyć.

Zapach zaszczutych zwierząt.

Żółte smużki na kołnierzyku.

Jakie w tym lesie grywałeś mi wprzód,

goniąc rój marzeń wiośniany...

*Błagam cię, graj, ukochany!*¹

- No, koniec - i wyciągnawszy rękę, wyrwała mi pracę.

Ale mi było już wszystko jedno. Orkiestra zagrała tusz i sala zgotowała owację na stojąco. W oczach powoli zaczynało się przejaśniać.

I naprawdę koniec. Doszłam.

W tamtym roku nie zajęłam medalowego miejsca.

Jednym z ostatnich chłopców Oli Szowczyk, którego pamiętam, był Wład Listiew, metalowiec. Grał na gitarze basowej w zespole Czakra, reszta składu pochodziła jeszcze ze starej metalowej załogi Chrystyny Szczubry.

Figurę miał niemal dystroficzną. Budową ciała i rysami twarzy przypominał Olę - jej jakby wyciągniętą w górę kopy z szczecina na twarzy. Był wnukiem „wyzwolicielei”, mieszkał więc naturalnie przy jednej ze starych i najlepszych ulic, która odchodziła w stronę dworca od ulicy Franki, w polskiej kamienicy ze ścianami grubości półtora metra i sufitem na wysokości czterech. Boczna ściana jego domu była całkowicie opleciona winoroślą, żywa, zielona powierzchnia wypełniona gniazdami ptaków i owadami.

Kiedyś ten dom wydawał mi się szczytem piękna. Zresztą naprawdę jest piękny.

Dla Włada Listiewa Ola Szowczyk porzuciła kurdupelka Oleha Monia.

- Gdy widzę, jak stoi na scenie, taki olbrzymi, aż mi się żal robi Monia - mówiła.

Kiedyś zaciągnęła mnie na jam session do hotelu „Czerwona Gwiazda”. Kręciło się tam pełno ubranych na czarno ludzi z umalowanymi pyskami. Podeszła do nas dziewczynka, Alonka, z małą butelką w dłoni.

- Dał mi to jeden koleś z Kołomyi - wykrzyczała podniecona, jej głos tonął w dźwiękach nowej piosenki Czakry Twój miotwyj czieriep uwidał. - To prawdziwa ludzka krew! Pozwolił mi wziąć łyka! Zajebicie!

Alonka spotykała się z wokalistą Czakry. Nazywali go „Pryszcz”, niebawem miał wyjechać do Londynu, żeby pracować tam jako stolarz.

Z Listiewem i jego bliskim przyjacielem Maszą chodziliśmy czasami nad rzekę. Masza był milkliwym, wstydlwym karzełkiem - zdaje się, że Ola chciała mnie z nim skojarzyć.

W milczeniu brnęliśmy przez most, schodziliśmy z tamy po przeciwnej stronie rzeki i długo szukaliśmy miejsca, gdzie można by posiedzieć. Tamtego lata w wiklinowych krzakach rozłożył

¹ Lesia Ukrainka, Pieśń lasu. Baśń dramatyczna w trzech aktach, przek. Jerzy Litwiniuk, Warszawa: piw, 1989 (przyp. tłum.).

się cygański tabor. Cyganie zrobili sobie daszki z ceraty i palili opony. Nad rzeką wisiała zasłona gęstego czarnego dymu. Nieznośnie śmierdziało paloną gumą.

Wład i Masza rozpalali ognisko i wyciągali z plecaków tanie wino. Picie tego wina wymagało ode mnie nadludzkiego wysiłku. Każdy łyk chciał się z powrotem wydostać na zewnątrz, napinałam więc mięśnie twarzy, które same z siebie układały się w żalony grymas. W takich momentach naprawdę ratował mnie dym z palonych opon.

Przez tę ciągłą walkę o utrzymanie godnej miny ani razu nie udało mi się porządnie upić.

Siedzieliśmy cicho, dopóki nie zgasł ogień. Od czasu do czasu podchodziły do nas umorusane Cyganiątka i prosiły o pieniądze albo przynajmniej łyk wina. Ani jednego, ani drugiego im nie dawaliśmy. Pierwszy wstawał Wład.

Za nim podskakiwał Masza. My też w milczeniu wstawaliśmy, gasiliśmy tłące się gałęzie i powoli brnęliśmy w kierunku naszych domów.

Tej zimy Chrystyna była zakochana. Mówiła o nim per „Hryhorij Pawłowycz”, chociaż miał, zdaje się, nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Był chyba do tego stopnia poważnym typem, że „Grisza” czy - jeszcze gorzej - „Grześ” po prostu nikomu nie przeszłoby przez gardło. A gdyby przeszło, to byłby to pierwszy i ostatni raz w życiu tego, kto by się na to odważył. Te straszne rzeczy Chrystyna opowiadała nam ściszym głosem, nie ukrywając dumy i zadowolenia.

Hryhorij Pawłowycz miał biznesy w Rosji. Mama i żona Hryhorija Pawłowycza mieszkały we Frankowsku. Kobiety wychowywały trójkę dzieci Hryhorija Pawłowycza. Hryhorija Pawłowycza poszukiwała ukraińska i rosyjska milicja, poza tym wpisany był przez Interpol na listę najniebezpieczniejszych przestępców. Hryhorij Pawłowycz wielu zabił i wielu poranił. Hryhorij Pawłowycz lubił jeść na śniadanie croissanty w Paryżu, a na kolację owoce morza na Sardynii. Garnitury szył mu sycylijski projektant, któryś z rosyjskich gubernatorów podarował mu helikopter, przywoził żonie i dzieciom czarny kawior w beczkach zrobionych z rzadkich gatunków drewna oraz gigantyczne tusze jeszcze niemal żywych różowoczerwonych łososi. Ale ani żona, ani dzieci tego wszystkiego nie jadły, łososie zaczynały powoli rozsiewać ciepły, słodkawy zapach i pokrywały się gęstą tłustawą substancją, podobną do wydzieliny z pochwy. Wielki dom na wskroś przesiąkł tym zapachem, i dzięki połączeniu czerwonej cegły i eklektycznych narośli w formie kolumn, łuków i wież przypominał wielki organ płciowy, który leniwie rozłożył się pośród miniaturowego angielskiego parku z gipsowymi figurami wener i afrodyt. Hryhorij Pawłowycz raz czy dwa przywiózł tam Chrystynę i nakarmił ją czarnym kawiozem, ale robił to niechętnie - dom kojarzył mu się z mamą i - w mniejszym stopniu - z żoną, a one uosabiały odrażającą kobiecą fizjologię. Wspominając o którymś z ogniw tego łańcuszka, Hryhorij Pawłowycz krzywił się boleśnie i spluwał.

Na jednym z pierwszych spotkań zapowiedział Chrystynie:

- Chcę cię od razu uprzedzić: nie całuję się z kobietami, nie potrzebuję tego ślinienia i tej zarazy, jestem zajęтым człowiekiem, wy nie wiadomo, czym się zajmujecie, nie lubię tego wszystkiego, zapamiętaj to sobie. To dotyczy nie tylko ciebie, to taka zasada i nie będę jej łamać.

Najprawdopodobniej Hryhorij Pawłowycz w ogóle ochoczo zrezygnowałby ze wszystkich kobiet, skoro uważał, że odbierają mu zbyt wiele sił, czasu i energii, krążąc i przysysając się do jego delikatnej skóry (Chrystyna lubiała powtarzać, jaką delikatną skórę ma Hryhorij Pawłowycz, zwłaszcza na szyi, za uszami) niczym tłuste muchy z zielonkawo-tęczowymi skrzydłami, którym po szaleńczym nurkowaniu w gównie wiecznie chce się przyłgnąć do czegoś sterylnie czystego. Hryhorij Pawłowycz dosyć często zwracał się o pomoc do Muchy - mieli bezproblemowe półprywatne, półbiznesowe stosunki, Mucha dostawała swój zasłużony banknot, Hryhorij Pawłowycz zaciskając zęby i robiąc sobie wyrzuty, że nie może opanować cielesnych potrzeb, mógł zaspokajać je przyzwicie, mechanicznie, minimalnie tylko zanurzając się w lepkich i ciepłych mokościach.

Chrystyna nie raz podkreślała, jak bardzo podoba się jej surowość i stanowczość Hryhorija Pawłowycza. Mężczyźni nie mają prawa mazać się i kwilić. Chrystyna nigdy nie zniosłaby mężczyzny, który pełzałby za nią na kolanach, płakał i ciągle pchał swój język tam, gdzie go nie proszą.

Język - to nieładnie.

Hryhorij Pawłowycz pojawiał się we Frankowskiej średnio raz na miesiąc. Zawsze dzwonił do Chrystyny, zabierał ją do swojego samochodu i po prostu ze sobą woził, załatwiając w tym czasie różne sprawy. W samochodzie siedzieli, milcząc, bardzo rzadko uśmiechając się do siebie i jeszcze rzadziej wymieniając błażymi uwagami. „Zimno?” - bąkał Hryhorij Pawłowycz. „W porządku” - odpowiadała Chrystyna. „Zjemy coś?” - pytał. „Proszę jeść” - mówiła. „W porządku?” - interesował się. „Zimno” - pocierała dłońmi ramiona.

Postanowił wziąć ją pewnej zimowej nocy w kuchni u któregoś ze swoich przyjaciół. Dopalać papierosa, zbyt miękki jak na siebie gestem poprosił, żeby zdjęła spodnie.

Potem milcząc, przyparł ją do ściany - Chrystyna poczuła tyłkiem gładką, chłodną powierzchnię kafelków i zadrżała.

Było jej niewygodnie, nie wiedziała, co ma zrobić z nogami, zaczęła przypominać sobie, jak to robią na filmach i że tam wszystko jest tak namiętnie i pięknie, ale nie odważyła się zarzucić mu łydek na biodra - i tak zaczął się już denerwować i burczał pod nosem: „Stań normalnie, stań normalnie” - nie wiadomo było, do kogo się zwraca, do niej czy do siebie. Wreszcie zaczął przeciskać się między jej białymi udami, dłonią wgniatając jej głowę w swoje ramię. Chrystyna

nie miała czym oddychać, lewa pięta, którą opierała się o podłogę, ciągle się ześlizgiwała, kość ogonowa uderzała o ścianę i do tego nie przestać myśleć o tym, że jej nos jest teraz śmiesznie rozplaszczony na obojczyku Hryhorija Pawłowycza i gdyby zobaczył ją z taką miną, na pewno skrzywiłby się i splunął. Hryhorij Pawłowycz tymczasem, chociaż nic nie widział i nie słyszał, krzywił się coraz bardziej, wydobywając z siebie przy tym jakieś przeciągłe gardłowe chrypienie. Z całej siły rozsuwał nogi Chrystyny i wciskał tam coś, czego ona naturalnie nie mogła zobaczyć, mając twarz rozplaszczoną na jego koszuli. Jednym słowem seks wychodził im tęskny, suchy i wymięty.

Już po kilku minutach, kiedy Hryhorij Pawłowycz głośniejsze zacharczał, zadrżał, wypuścił na potylicę Chrystyny gorący oddech i mięknięc w jednej chwili, zwałił się na nią swoją spoconą ciężką tuszą, oboje poczuli, jak po nogach idzie im jakiś wielki gorący ślimak. Chrystyna poczuła w końcu prawdziwy ból, a Hryhorij Pawłowycz, z trudem łapiąc urywany oddech, odskoczył krok do tyłu i wytrzeszczył oczy najpierw na jej, a potem na swoje nogi. Oprócz śluzu, który wysychał w oczach, zamieniając się w błyszczące łuski, ich uda wysmarowane były kilkoma smugami krwi.

- Co z tobą? - krzywiąc się z niezadowolaniem, zapytał Hryhorij Pawłowycz. - Co ty? Dlaczego nie powiedziałaś?

Podał jej papierowy ręcznik, zapalił, odwrócił się, kiedy się wycierała i wkładała spodnie, i odwiózł ją do domu, nie pytając ani razu, czy jej zimno i czy w porządku.

Ale Chrystyna czuła się w porządku. Przynajmniej tak mówiła. „To byłoby obrzydliwe, gdyby zaczął mnie całować i głaskać - opowiadała surowo. - Zachciało mi się zrobić to właśnie z nim, bo wiedziałam na pewno, że nie będzie się mazgać”.

Hryhorija Pawłowycza długo nie było widać, w końcu jednak się pojawił i znów zaczął wozić Chrystynę swoim samochodem. Ni stąd, ni zowąd zmienił też sposób, w jaki ją traktował. Przywiózł jej futerko z królików, które co prawda okazało się na Chrystynę za duże, ale idealnie pasowało na jej mamę. Znacznie częściej interesował się tym, czy jest jej zimno, czy w porządku, i nalegał, żeby zjadała całe mięso, które zamawiał dla niej w zajeździe pod miastem. Witając się albo żegnając, oschle całował ją w policzek. Kiedyś nawet przeleżeli całą noc w jednym łóżku.

- Ma bardzo miękkie wargi - opowiadała Chrystyna, prawie zamykając oczy. - Ale złości się, kiedy mu to mówię.

Chrystyna stała się tak bezbronna i wrażliwa - nawet wobec nauczycieli, wobec klasówek i ocen kwartalnych że zrobiło mi się jej żal. Próbowałam jeszcze jakoś to naprawić, dać jej przykład, przypomnieć, co robić, by niczym od ściany odbijał się od nas cały ten groch, ale ona zaczęła się uczyć fizyki i biologii i powtarzać: „Hryhorij Pawłowycz kazał mi pozdawać na czwórki, ma znajomych na wyższych uczelniach”. „Mnie żaden Hryhorij Pawłowycz tego nie

mówił” - wyśmiewałam się z niej, dalej wabiąc nieróbstwem, chociaż czułam, że niespodziewanie zostałam sama. Tak naprawdę to ja okazałam się bezbronna - groch boleśnie walił prosto w czoło.

Tymczasem Hryhorij Pawłowycz zaczął mieć problemy.

Wezwano go na milicję, ktoś telefonował w środku nocy i groził, przychodziły anonimy, kilku jego przyjaciół zniknęło bez śladu, odciętą głowę jednego z nich po jakimś czasie znaleziono powieszoną na jednej z kariatyd w starym budynku na ulicy Szewczenki. Coś podobnego obiecano zrobić też z matką, żoną i dziećmi Hryhorija Pawłowicza.

Trzeba sobie było jakoś z tym wszystkim radzić.

Hryhorij Pawłowycz wyjawiał Chrystynie kilka wariantów planowanego wyjścia z sytuacji. Przenieść się z rodziną do Rosji. Przenieść się samemu do Rosji. Albo do Ameryki. Ale lepiej do Rosji. Zainscenizować śmierć, a samemu uciec do Rosji. O, to mniej więcej tyle.

Chrystyna dzieliła się ze mną jego przemyśleniami na temat każdego z wariantów. Jej samej najbardziej podobało się zainscenizowanie śmierci. Chociaż nie mówił jej tego wprost, była pewna, że Hryhorij Pawłowycz zabierze ją ze sobą. Być może nawet rodzina uwierzy w jego śmierć i wtedy będą mogli spokojnie zamieszkać razem w Pietropawłowsku Kamczackim.

Przez ten ostatni miesiąc czekała na niego z dużo większą niecierpliwością niż zwykle. Często jej się śnił. Nie była w stanie o niczym innym mówić. Ale naprawdę podciągnęła się z biologii, chemii i fizyki. Poczułam się oszukana i zbita z tropu. Nie miałam się czego chwycić. Ola Szowczyk zaczęła spotykać się z chudym chłopcem w czarnych dżinsach; strasznie podobała się jej jego masywna, wydatna grdyka.

Gdzieś pod koniec zimy przypadł tydzień absolutnego szczęścia. Hryhorij Pawłowycz zadzwonił i poinformował, że się stęsknił i że przyjedzie za tydzień. Chrystyna nie mogła myśleć już o niczym innym. Chodziłyśmy razem przymierzać mundurki - za miasto, do jakiejś szkoły krawieckiej (dyrekcji naszego liceum przyszło do głowy, że uczniowie tak poważnej placówki edukacyjnej powinni nosić jednolite mundurki; rzetelnie wszystko rozpatrzono i stanęło na tym, że można ograniczyć się do zapewnienia uczniom jednakowych marynarek, a ponieważ liceum faworyzowało nauki przyrodnicze, wybrano marynarki mętnie zielone, w odcieniu podobnym do tępego bólu zęba. „To kolor natury” - wyjaśniono nam na apelu). Szłyśmy tam na piechotę, a potem błąkałyśmy się po pustkowiach wokół technikum, od czasu do czasu przysiadając na pieńkach lub wyrzuconych z jakiejś budowy betonowych płytach i wypalając po papierosie Primaluks z białym nitrem. Z szarej, zmieszanej z piaskiem ziemi zaczynała kielkować wątła trawa. Wokół żelaznych budek ustawionych na potrzeby budowlańców wygrzewały się w słońcu bezdomne psy.

Później zanurzałyśmy się w chłodnej szarości technikum.

Lubiłyśmy wyobrażać sobie na głos, że się tu uczymy - że niby spóźniłyśmy się na lekcje i idziemy teraz nieskończonymi korytarzami, na ścianach wiszą tablice z rysunkami maszyn do szycia i opisami ich budowy, z wykrojami i zasadami bhp. I że niby najbardziej na świecie lubimy szyć, i kiedy siadamy, bierzemy w jedną rękę igłę z nitką, a drugą przytrzymujemy tkaninę albo naciskamy nogą pedał maszyny do szycia, a obok na stole leżą nożyce, szpilki, kreda, centymetr, pinezki, szpulki nici i tak dalej - to nasze serca zamierają ukojone i nie trzeba nam nic więcej, tylko tak siedzieć, mrucząc coś sobie pod nosem i chwytając twarzą łagodne wiosenne promienie słońca, i szyć, szyć, wbijać igłę w tkaninę, i wyciągać ją milimetr dalej, i rozkoszować się równiutkim ścięciem, i widzieć, jak tkanina zaczyna przemieniać się w prawdziwy fartuch lekarski albo szkolną spódnicę czy wymiotnie zieloną marynarkę dla liceum przyrodniczego.

Na przymiarki chodziłyśmy co tydzień przez miesiąc czy dwa. Mierzyl nas i przesywali marynarki. Mimo to w mojej jeden rękaw wyszedł w rezultacie krótszy od drugiego, ramiona były krzywe i zbyt wypchane, kieszeń oderwała się już trzeciego dnia, i w ogóle był to potworny syntetyczny wytwór, który krzesał iskry i nerwice, śmierdział odpadami chemicznymi, a kiedy go zakładałam, czułam się po prostu bezsensownie i śmiesznie, a do tego cierpiałam z powodu zimna i duchoty jednocześnie.

Ale to właśnie dzięki marynarkom dostałyśmy tyle wolnego wiosennego czasu. A zwłaszcza ten tydzień przed przyjazdem Hryhorija Pawłowycza - Chrystyna, uroczysta i cicha, kierowała moją uwagę na chmury i wczesne dmuchawce wokół pokryw kanalizacyjnych. Planowała całe swoje dalsze życie. Naturalnie i we mnie pojawiło się poczucie, że to tydzień, po którym zacznie się coś zupełnie innego - prawdziwego, ostatecznego, nieodwracalnego i dobrego. I nie trzeba będzie więcej tracić czasu na szkołę, która wprowadza tylko zamieszanie i męczy, i będzie się można wreszcie wziąć do czegoś potrzebnego i prostego - być może zostanę szwaczką albo zajmę się wojaczką, czy może zostanę działaczką, albo będę kierować taczka, albo pracować jako sraczka i pieniądze trzymać w paczkach, może zostanę jakąś śpiewaczką albo przelatującą kaczką, albo wędrowną pływaczką, albo twoją kozaczką (panie pułkowniku mój niebieskooki) albo zwinę się w kuleczkę - i przez jakiś czas będzie mnie można wykorzystać jako poduszeczkę albo szpaczą budeczkę.

Z Chrystyną lubiłyśmy chodzić zwłaszcza w jedno miejsce, prawie w samym centrum miasta - nie wiem, czy zachowało się do dzisiaj. Można się tam było dostać kilkoma różnymi drogami - najczęściej wybierałyśmy tę przy prosektorium Akademii Medycznej albo wąskie przejście między sklepem z zabawkami a salonem samochodowym.

Od szerokiej ulicy wypełnionej potokiem samochodów i zaganianych przechodniów dzieliło nas jakieś dwadzieścia metrów - ale my wdychałyśmy już wilgoć i smród piwnicy, opary liszai i

grzybów. Nad nami wznosił się wysoki, stary mur, na wpół ruina, splekany, porośnięty roślinnością, zdruzgotany - kiedyś wyznaczał granicę miasta. Dalej, już nawet tam, gdzie znajdował się salon samochodowy, miasta wówczas nie było. Teraz zachował się już tylko niewielki kawałek muru, z jednego końca opleciony dziką winoroślą, przesyty tysiącem splecionych roślinnych macek i korzeniami drzew. Kilka wątych drzewek przebiło się przez mur niemal na wylot. Po drugiej stronie w kamieniu wrosły żółte kwiaty. Skądś sączyła się zielona, zgniła woda.

Jeśli stanęło się w wąskim przesmyku między murem a sąsiednim budynkiem (starą, omszałą polską kamienicą), można było bez wysiłku dotykać dłońmi obu naraz. Wydawało się, że kamienica niemal grzęźnie w ziemi. Jej ściany były zielone od pleśni, na schodach, które prowadziły do piwnic, rosły blade trupie grzyby. W ciemnych oknach prawie nigdy nie pojawiała się żywa dusza - drżąc ze strachu, wyobrażałyśmy sobie bezszelestnych i półprzezroczystych ludzi, którzy mogliby tam mieszkać, zastanawialiśmy się, jak dają sobie radę, jakim cudem nie zamarzają w zimnych pokojach z niebotycznymi sufitami, jak udaje się im nie oszaleć od monotonnego kapania wody, która znajduje sobie wszędzie przejście, jak mogą żyć bez światła, w cieniu rozłożystej akacji, która sterczała nad wałem z drugiej strony muru, wyższa nawet od kamienicy, i chyliła gałęzie na ślepe okna i balkony, sprawiając, że w zaułku panował wieczny półmrok, królestwo szczurów, glist i duchów.

Siadałyśmy pod akacją i plecami opierałyśmy się o wzniesienie. Z jednej strony pnia świeciło słońce, dzięki czemu kontrast z zaułkiem i kamienicą stawał się jeszcze ostrzejszy. Kładłyśmy się, opierałyśmy na łokciach i odrzucałyśmy głowy do tyłu. Wiosną i latem wszystko tu bujnie rosło.

Gęsta trawa zwisająca nad murem wyglądała jak nierówno podstrzyżona grzywka nad czyimś czołem. Na jednym z balkonów nieruchomo przesiadywała stareńka babcia, w jej twarzy nie było niczego poza oczami. Wtedy wydawało się nam, że patrzy na nas z przyganą, nienawidząc nas za to, że nie jesteśmy takie, jakie powinnyśmy być - jej nienawiść była tak silna, że nie pozwalała się jej poruszyć, krzyknąć kilku przekleństw, czy bodaj pogrozić ręką. Być może babka już dawno zmieniła się w mumię. Może w jej suchym, martwym ciele kłębiły się jakieś niezmordowane owady z segmentowanymi ciałkami - poruszały się tak żwawo, że stara zdawała się oddychać równomiernie całym ciałem, a jednocześnie robiły to tak ostrożnie, by nie pozwolić szczątkom rozsypać się w kupę popiołu.

Prawdopodobnie poza nią nikogo tam nie było. Przynajmniej my nie słyszałyśmy nigdy kłótni, krzyków ani rozmów - co najwyżej szum liści akacji, który brałyśmy za ukradkowy szept. Czasem zdawało się nam, że za oknami poruszają się jakieś postaci, ale były to chyba zabawy

kotów albo szczurów, a może po prostu gra światła i cieni. Czasem z głębi budynku słychać było powolne kroki, czasami skrzypiała rama jednego z okien, za którym jednak nikt się nie pojawiał - ale można to było wyjaśnić zwyczajnym pulsowaniem starego, porzuconego gmachu, który pamięta wszystko, co się w nim zdarzyło, czuje dotyk sprzed stu lat, słyszy dźwięczny śmiech i śpiew, i głęboko boleje nad swą rozpaczą, spustoszeniem i gniciem. A ciało starej odczuwa jak część siebie - jak piec albo schody, przeżarte przez korniki.

Hryhorij Pawłowycz zadzwonił do Chrystyny wieczorem z informacją, że właśnie przyjechał. Tylko na trochę, tylko na kilka dni, poza tym musi być bardzo ostrożny, bo problemów tylko przybyło i teraz we Frankowsku na każdym kroku grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie wie, kiedy znowu przyjedzie i czy w ogóle mu się to uda, ale o tym później. Bardzo tęskni i strasznie chciałby ją zobaczyć, wiele o niej myślał i musi jej powiedzieć coś ważnego. Umówili się na spotkanie następnego wieczoru.

Chrystyna przyleciała do szkoły, mdlejąc z niecierpliwości i podniecenia. Nie mogła usiedzieć w domu. Na lekcjach też było jej ciężko. Zerwałyśmy się razem z trzech ostatnich godzin, mówiła bez przerwy, sto razy powtarzając mi ich telefoniczną rozmowę, opisując, w co się ubierze, i powtarzając jak oszalała: „A jeśli zaproponuje, pojechać z nim?”.

Pożegnałyśmy się i pomknęła do domu szykować się, chociaż do ich spotkania zostało jeszcze jakieś sześć godzin. Wyobrażałam sobie, jak piękna będzie dzisiaj, jak będą błyszczeć jej oczy, jak będzie opuszczać na policzki jedwabiste rzęsy, z jaką gracją wysiądzie z samochodu, a on poda jej dłoń, będzie otwierał drzwi i nie oderwie od niej wzroku.

Resztę dnia spędziłam w sposób dla siebie niezwykle następnego ranka nawet zemdlałam pod prysznicem. Potem leżałam w łóżku i kiedy zadzwoniła Chrystyna, zdążyłam się już porządnie wyspać, chociaż wciąż czułam się otepiała.

Nie mogła mówić. Dusił ją histeria. Sto razy na sekundę wymawiała moje imię.

- Co się stało? - zapytałam.

- Hryhorij Pawłowycz umarł - zawyła, a mnie się zdawało, że jej łzy wyciekają jak rosa przez dziurki w słuchawce.

- To nie była bomba, nie zarżnęli go ani nie utopili. Nie zginął w strzelaninie z milicją. To się stało przypadkiem i nie miało żadnego związku z pogroźkami i porachunkami.

Hryhorij Pawłowycz po prostu poszedł z przyjaciółmi na dyskotekę. Do jakiegoś tam „Millenium” czy czegoś w tym rodzaju. Jego dobry nastrój poprawiał się z każdym wypitym kieliszkiem. Siedzieli przy stoliku i wołali coś do siebie, starając się przekrzyczeć muzykę. „Idę do kibla” - wydarł się Hryhorij Pawłowycz. „Co?” - zapytał któryś z przyjaciół. „Odląć się!” - powtórzył Hryhorij Pawłowycz i wstał.

Trochę nim bujało, ale dzięki temu było mu jeszcze weselej.

W drzwiach wpadł na chłopaka, trochę młodszego od siebie. Chłopiec też był pijany, na przyjazne poklepywanie po ramieniu odpowiedział szturchańcem, Hryhorij Pawłowycz rozłożył ręce i powiedział: „Nie, no co ty!” ale chłopak znowu go popchnął, Hryhorij Pawłowycz nie wytrzymał i dał mu w twarz, chłopak ryknął i rzucił się na Hryhorija Pawłowycza, uderzył głową w jego splot słoneczny, ale zatrzymać się już nie zdołał i obaj, tracąc jakiegokolwiek oparcie i stając się nagle lekcy jak jesienne liście, wpadli w fałszywy witraż, który posypał się deszczem tysięcy odłamków i okruchów, i wszystko to z brzękiem i hukiem wyleciało z drugiego piętra i spadło na asfalt pomiędzy zaparkowanymi samochodami.

Hryhorij Pawłowycz pocałował potylicą ziemię. Chłopiec wylądował na nim i został przy życiu, chociaż pokaleczył sobie plecy.

Chrystyna przez tydzień nie mogła odzyskać przytomności. Nie jadła, nie spała, biologia i chemia wyparowały, jakby nigdy nie istniały nawet ich nazwy. Kiedy wróciła do szkoły, bałam się do niej zagadać.

Później niby doszła do siebie, ale jeszcze długo, o ile pamiętam, ni stąd, ni zowąd zaczynała opowiadać, jak to Hryhorij Pawłowycz pokazywał jej album z reprodukcjami obrazów sławnych malarzy, jak pomagała Hryhorijowi Pawłowyczowi wybierać krawat i jak Hryhorij Pawłowycz zapomniał złożyć żonie życzenia z okazji urodzin, a ona, Chrystyna, mu o tym przypomniała.

- Wiesz, zdawało mi się, że wczoraj dzwonił - mówiła, patrząc na mnie tak, jakby sama od dawna wiedziała, że postradała zmysły, i prosiła tylko, żeby udawać, że wszystko jest w porządku.
- Ktoś zadzwonił, podniosłam słuchawkę, a w niej męski głos powiedział: „Halo!” - i to był głos dokładnie taki jak jego, aż mrówki mi przeszły po plecach, ale wtedy mama odebrała drugi telefon i po tamtej stronie ktoś rzucił słuchawkę.

Albo:

- Wiem na pewno, że on nie umarł. Przecież mówił, że zamierza zainscenizować swoją śmierć. I to właśnie zrobił.

Nikogo nie mógł w to wtajemniczyć, nawet mnie - przecież to dla mojego bezpieczeństwa. Ale zrobił aluzję: uprzedził, że chce powiedzieć mi coś ważnego. Myślę, że jest w Rosji, zmienił nazwisko, paszport. Niedługo do mnie zadzwoni czuję to.

- Pewnie, zadzwoni - uspokajałam ją. - Zadzwoni, i to bardzo niedługo. A na razie w Pietropawłowsku Kamczackim szykuje dla ciebie beczki czarnego kawioru i soli różowoczerwone tuszki siomgi. Jak ci? Zimno? W porządku?

Zbliżało się zakończenie liceum. Opadłe płatki kwiatów jabłoni i wiśni gęsto zaścieliły chodniki. Czekały nas egzaminy końcowe, zaczynała się pora upałów i przez to wszystko

poczucie, że jest się zagnanym w pułapkę, tylko przybierało na sile. Koledzy i koleżanki z klasy pocili się i chodzili na korepetycje, a w wolnych chwilach spotykali się i urządzali grupowe seanse całowania z języczkiem.

Tymczasem ja zostałam sama w domu na całe dwa tygodnie. Sama z białym grubiotkim psem, łagodnym niczym anioł. Wreszcie znikła choćby najmniejsza konieczność chodzenia do szkoły. Znacznie łatwiej było zostawać w domu, spać do późna, czytać, co się chciało, mało jeść, dużo palić i myśleć o tym, że wcześniej czy później przyjdzie lipiec i sierpień, i nieróbstwo będzie już w pełni uprawomocnione, i nie będą go psuć obsesyjne myśli o tym, co trzeba zrobić i czego zrobić się nie chce.

Chrystyna, spakowawszy swoje liczne manatki, przeniosła się do mnie. Spałyśmy razem na rozkładanej kanapie w dużym pokoju, przy otwartych drzwiach na balkon, przez które w nocy wlatywały pierwsze komary i świecił wielki, natrętnie żółty księżyc. Przed snem Chrystyna zakładała błękitno-fioletowy jedwabny szlafrok w paski.

Wychodziłyśmy z domu tylko po to, żeby kupić jedzenie i przejść się nad rzekę. Resztę czasu spędzałyśmy przeważnie, siedząc w kuchni i zapełniając popielniczkę petami.

W dzień często przychodziły koleżanka Chrystyny blondynka Julia, Mucha i czyjaś nowa przyjaciółka Tania - z puszystym, apetycznym ciałem, szerokimi udami, wypukłym brzuchem, który wystawał trochę nad paskiem spódnicy czy spodni, z malutkimi, sterczącymi piersiami. Miała zachrypnięty, przepalony głos, gadała na całe gardło, dużo klęła, a rechotała tak, że ciągle miałam ochotę zatkać jej usta. W moim domu czuła się swobodnie i niewymuszenie: siedziała w łazience bez końca, myła moimi szamponami długie tlenione włosy, grzebała w kosmetykach mamy, smarowała kremami rumiane policzki.

Kiedy się zwały, cierpiałam z niepokoju. Ciągłe mi się wydawało, że ktoś na nas doniesie, że przyjdą sąsiedzi, milicjanci czy podpułkownik Swiridow z milicyjnej izby dziecka. Dziewczęta rozłożyły się na podłodze w pokoju i dojąc wino oraz rozsypując popiół z papierosów na meble i dywan, flegmatycznie malowały paznokcie, wyskubywały brwi i mrużyły się do otwartego okna, wystawiając twarze do słońca. Julia i Tania miały policzki usiane ładnymi rudymi piegami. A mnie, kiedy one rozkoszowały się i odpoczywały, ciągle pociły się dłonie i nerwowo pulsowały nogi.

Wsluchiwałam się w dźwięk windy, wyglądałam przez balkon i czekałam w strachu, kiedy to wszystko się wreszcie wyda, kiedy surowi ludzie zaczną pesetami wyciągać z popielniczki oznaczone śladami jaskrawoczerwonej szminki niedopałki, kiedy będą przez lupę oglądać brud na podłodze, przeliczać i zapisywać liczbę pustych butelek po winie. Czasami piłyśmy wódkę - wtedy moja neuroza jeszcze narastała, pomnożona przez odrazę do smaku i zapachu alkoholu,

którego nie umiałam pić i który wiecznie wypryskiwał mi nosem, podczas gdy ja kaszlałam i zalewałam się łzami.

Od czasu do czasu przychodziła do nas Ola Szowczyk.

Za pierwszym razem, jak zawsze towarzyska i serdeczna wobec wszystkich, próbowała nawet trochę z nami pobyc - ale kiedy Tania zdjęła stanik, wrzuciła go za lodówkę i zaczęła podskakiwać, od czego brzuch i piersi trzęsły się jej komicznie, Ola podziękowała i w dalszym ciągu się uśmiechając, wyszła.

Później przychodziła tylko, kiedy nie było innych dziewcząt. Siadała w kuchni, krzywiła się z obrzydzeniem na widok baterii butelek i kupy niepozmywanych naczyń (czasami nawet dobrowolnie zmywała, dokładnie wycierając naczynia ściereczką i układając je w schludną piramidkę), kręciła głową i zaczynała opowiadać, jak niemiłosiernie dużo wymagają teraz w szkole, ile klasówek, testów i odpowiedzi trzeba znosić, jak powściekali się nauczyciele, jak wymyślają coraz to nowe i nowe próby i przeszkody nie do pokonania, i że wszyscy - jakby wzmowie - codziennie poświęcają przynajmniej kilka minut na omówienie mojego i Chrystyny potwornego, niegodnego zachowania, grożą poprawkami, trójkami i dwójkami, ganią nas, obrażają i hojnie sypią niedwuznacznymi aluzjami. Przez te jej opowieści dostawałam mdłości, wpadałam w rozpacz i traciłam wiarę tak w lipiec, jak i w sierpień. To się nigdy nie skończy. Inne życie nie było mi pisane. I to nie dlatego, że będę przez sześćdziesiąt lat chodzić do szkoły. To maj i czerwiec będą trwały sześćdziesiąt lat, a ja utknę tu, w tym przepalonym i zasranym przez nas mieszkaniu, i już zawsze będę czuć wyrzuty sumienia, już nigdy nie zdołam zrzucić z siebie tego stutonowego lenistwa, które rodzić będzie tylko dodatkowe kręgi papierosowego popiołu i staników Tani.

Odcierpiawszy, próbowałam wrócić do społecznie akceptowanego trybu życia. Wycierałam kurze, myłam podłogę, wyciągałam notatki, kartkowałam podręczniki, blednąc jak ściana ze strachu przed groźnym wyglądem monstualnych wzorów i wykresów, a potem spoglądałam na Chrystynę - ona tymczasem, czysta i pachnąca, zawiąawszy się w jedwabny szlafrok, mruzczała pod nosem piosenkę i z natchnieniem piłowała paznokcie.

- Zośka, uspokój się - uśmiechała się do mnie sennie. Wszystko będzie dobrze.

I myślałam: no rzeczywiście, no dlaczego miałabym cokolwiek robić? No dlaczego jacyś ludzie, jakieś ciocie i wujkowie, którzy noszą majtki z porozciąganyymi gumkami, śmierdzą potem, pracują na działkach i lubią jeść na kolację kartofle smażone z cebulą, dlaczego ci obcy, postronni wujkowie i ciocie mają mi napędzać stracha? Czy nie jest mi wszystko jedno? Czyżby to na nich, a nie na mnie czekało niebieskie niebo i dziewicze kłęby chmur, kiedy będę stąd odlatywać liniowym samolotem o śnieżnobiałych skrzydłach? Czyżby im, a nie mnie miały się pokłonić

aborygeńskie plemiona Australii? Czyż to nie moją świątynię zbudują niebawem nad Dnieprem w Kijowie? Czyż to nie za mną krok w krok będzie chodzić mały czarnoskóry sługa o imieniu Kakao, podarowany mi tylko po to, by spełniał moje najmniejsze życzenie, jeszcze zanim pojawi się ono na końcu mojego języka? Czyż to nie ja, cała w białych szatach, będę leżeć rozluźniona na szezlongu, pociągając przez słomkę koktajl z owoców tropikalnych, a moje długie, sięgające aż do pięt jasne włosy będą kapać się w falach przyboju?

Uskrzydłona rwącym napadem manii wielkości, całkowicie zapominając o poczuciu beznadziei i chęci poprawy, spokojnie kładłam się obok Chrystyny, oddychałam pełną piersią i czułam nawet, jak Kakao delikatnie dotyka mojej potylicy barwnym wachlarzem, zsyłając mi świeżość i chłód (podczas gdy to wieczorny wiaterek poruszał zasłonę w oknie, która powiewając, dotykała moich włosów).

Nie myślałam już więcej o egzaminach końcowych, nazwiska nauczycieli wyparowały mi z głowy. Osiągnęłam wszystko, czego chciałam - cały świat był obok mnie, tu i teraz, pod cienkim prześcieradłem, które mogłam unieść, opuścić głowę i oglądać leżące pod nim cudowne krajobrazy z lotu ptaka.

Chrystyna kilka razy wybrała się z przyjaciółkami do „Ura”, a ja zostawałam sama. Oczywiście namawiała mnie, bym się do nich przyłączyła, ale niezmiennie odmawiałam. Nie po to zrywałam się ze szkoły, żeby znosić dyskomfort na dyskotecę.

Natomiast później z przyjemnością słuchałam jej opowieści. O tym, co piły i komu urwał się guzik od spodni, o tym, jakim nowym samochodem przyjechał Wachtang i jak się znowu upiła „ta-głupia-Tańka”, jak kręciła się na rurze do striptizu i jak wszyscy się z niej śmiali, aż Wowa poprosił, żeby pokazała im taniec brzucha - bo ona ciągle się chwali, że umie wykonać taniec brzucha, a Wowa tak lubi się nad nią znęcać, chociaż pieprzy ją bardzo często, ale to dlatego że ma potworną dziewczynę, nazywa ją „osiem sutków” - panna ma całe piersi w pryszczach. Jednym słowem, zachwycające, niewiarygodne historie.

Samej Chrystynie zaczął się szybko wykluwać świeży romansik z „tłustym, ale śmiesznym i miłym” Saszeńką. Na razie tylko się witali i uśmiechali do siebie. Saszeńka podobał się Chrystynie, bo palił grube cygara, trzymając je w grubych palcach. Wowa opowiadał, że Saszeńka o nią wypytywał i dowiedziawszy się o jej związku ze zmarłym Hryhorijem Pawłowyczem, chrząknął z zaciekawieniem.

Z Hryhorijem Pawłowyczem mieli kiedyś jakieś porachunki, ale to było dawno, a teraz najlepszy przyjaciel Saszeńki, Roma, zamierzał ożenić się z wdową po Hryhoriju Pawłowyczu i usynować jego dzieci.

- Bandyci mają taką zasadę - z dumą poinformowała mnie Chrystyna. - Kiedy któregoś z nich zabiją albo posadzą na dożywocie, najlepszy przyjaciel zobowiązany jest do opieki nad jego rodziną. Lepiej się od razu powiesić, niż tego nie zrobić.

Kiedy zapytałam ją, czy któregoś z jej znajomych bandytów posadzili już na dożywocie, rozdrażniona odpowiadała: „Posadzili” - i milkła, nie mając ochoty mówić dalej.

Gdy zainteresowałam się, co w myśl tej zasady powinien robić najlepszy przyjaciel, jeśli ma już własną żonę i dzieci, obraziła się i fuknęła z niezadowoleniem.

- Musi się rozwieść i ożenić z żoną przyjaciela? - nie dawałam za wygraną.

Chrystyna kilka minut milczała, a potem, znów się uspokoiwszy, powtórzyła:

- No widzisz, Roma żeni się z Nataszą - fakt ten nadzwyczaj ją cieszył. Przecież ona też czuła się wdową po Hryhoriju Pawłowyczu i niemal krewną jego żony.

Gorzej było, kiedy Chrystyna przypominała sobie o swojej ideefixe - o tym, że nikt mnie jeszcze nie przeleciał i że trzeba natychmiast coś na to zaradzić, nie mogła spać spokojnie, tak bardzo chciała, żeby ktoś to w końcu zrobił. Zaczęło się po jej pierwszym razie z Hryhorijem Pawłowyczem. Początkowo opowiadała mi, jakie to bolesne i nieprzyjemne (wyobraziłam sobie ich kuchenny stosunek wyraźnie, z dźwiękami i zapachami, przeżywając to chyba mocniej niż ona sama), ale potem zaczęła przekonywać, że już dawno przyszła na mnie pora, że wszyscy to robią, a ty, ile można, i normalna przecież jesteś, a nie jakaś tam Ola Szowczyk, a nawet ona już ho-ho, a ty jeszcze w ogóle nie tego, więc trzeba z tym natychmiast coś zrobić, i tak dalej.

Mówiła z takim zachwytem i namiętnością, ani trochę przy tym na mnie nie zważając, że aż zaczęło mi się wydawać, że chodzi o jakąś rzecz obcą mi i całkowicie mnie nie dotyczącą, jakiś kawałek mięsa czy kości, kiel słońca albo pień prehistorycznego, skamieniałego drzewa - oto on, leży tutaj, na środku pokoju, i nie mam z nim żadnego związku, oglądam go z podziwem i lekką odrazą, już z góry zmęczona perspektywą tego, że trzeba natychmiast coś z nim zrobić.

Chrystyna po prostu marzyła o mojej defloracji. Można było odnieść wrażenie, że dla niej osobiście ma to być wydarzenie nie mniejszej wagi niż ponowne przyjście Chrystusa na ziemię. Wybrała już nawet idealnego jej zdaniem kandydata - swojego przyjaciela Wowę, tego z orlim nosem, jak u Gruzina.

- Tylko pomyśl, to najlepsze, co może być! - wykrzykiwała z niezwykłą dla siebie egzaltacją. - To mój przyjaciel!

Tak dobrze go znam! Sama nie miałabym nic przeciwko temu, żeby mnie przeleciał, ale znamy się za długo, sama rozumiesz. To przystojniak, ma trzydniowy zarost, zawsze pachnie wodą kolońską, a kiedy mówi, można po prostu umrzeć!

(Trzydniowy zarost i zapach wody kolońskiej miały bezsprzecznie pomóc mi lekko i przyjemnie pozbyć się cnoty).

- Już pora, Zośka, już pora! - pokrzykiwała na mnie Chrystyna. - Jak długo można zwlekać? Do starości? Tym bardziej że, sama pomyśl, zakocha się w tobie, rzuci swoją potworną laskę - on przecież i tak jej nie kocha - i się pobierzecie. A jak nie będziesz chciała za niego wychodzić, to nie ma obowiązku - tak czy inaczej na pierwszy raz jest idealny! I nic nie mów!

...Ech, lepiej by było, gdybym faktycznie niczego nie mówiła - i zgodziłam się na Wowę Chrystyny.

Dziwna rzecz - ale chcąc uniknąć podanego mi na tacy (jak zapewniała Chrystyna - chociaż sam Wowa z trzydniowym zarostem ani mnie, ani jej dalekosiężnych planów najprawdopodobniej nawet się nie domyślał), chcąc więc uniknąć idealnego bruneta, który w czasie kiedy Chrystyna opowiadała mi o nim, zmienił się w mojej wyobraźni w prawdziwego marlboromena, szorstkiego, suchego, męskiego, opalonego i do tego w opinających twarde mięśnie pośladków bokserkach, poderwałam w pociągu z Frankowska do Lwowa jego absolutne przeciwieństwo - blondyna, który przy tym ani trochę nie ustępował swojemu rywalowi w kiczowatości, a nawet miejscami go w niej przewyższał.

Z tym, że bruneci i marlboromeni przynajmniej mi się podobali.

Przeciwieństwo też miało na imię Wowa. Kiedy tylko zbliżyłam się do swojego miejsca w pociągu, natknęłam się na jego zaciekawione spojrzenie. Zerwał się na równe nogi, złapał moją torbę i położył ją na półce. Podziękowałam i uśmiechnęłam się. To był idealny typ dla Oli Szowczyk.

Chrystyna splunęłaby i zwymiotowała na sam jego widok.

Ja zareagowałam spokojniej. Co więcej - już pół godziny później całowaliśmy się w korytarzu, a jego palec zanurzony był w moim wnętrzu.

Całując się, w myślach konstatowałam, że wychodzi mu to całkiem dobrze - jakoś konkretnie, czy jak, bez zbędnego ślinienia i rozmemłania. Natomiast palec spowodował pewien dyskomfort - stać tak z rozpiętymi spodniami w kącie korytarza, dokąd co chwila ktoś wychodzi zapalić, i czuć, jak coś natrętnie pociera cię i rozciera, było, delikatnie mówiąc, niewygodnie. Jednak ogólnie rzecz biorąc, sytuacja mnie śmieszyła: to było tak niepodobne do mnie.

Jedyne, czego żałowałam, to że ludzie, którzy nas widzieli, nie mogli dzielić mojej wesołości, ponieważ nie byli wtajemniczeni w szczegóły dotyczące mojej osoby. Zastanawiając się nad tym, żywo odpowiadałam na jego pocałunki i poruszałam udami, starając się znaleźć jak najlepszy kontakt z jego dłonią. Mężczyźni, którzy podejmowali próbę wyjścia na papierosa, od razu uciekali w głąb wagonu i wyobrażałam sobie, jak dzielą się tym, co zobaczyli, ze swoimi

żonami czy po prostu z przypadkowymi towarzyszami podróży i jak tam, w wagonie, wszyscy pasażerowie z przyganą kręcą głowami, załamują dłonie i wzdychają (choć tak naprawdę bez wątplenia nam zazdroszczą szczególnie mężczyźni, którzy zakrywają dłońmi i gazetami swoje napuchnięte, spocone rozporki).

Kiedy wróciliśmy na miejsca, jakaś kobietka odsunęła się ode mnie najdalej, jak się dało.

- Pokażę ci fotki - powiedział Wowa energicznym, choć trochę zdenerwowanym głosem. Widać było, że stara się być luzakiem i duszą towarzystwa.

Kiedy grzebał w sportowej torbie Pумы, przyjrzałam mu się dokładniej. Uśmiech nie schodził mi z ust. Czułam się tak, jakbym przemieniła się w postronnego obserwatora, który - choć nie ma żadnego związku z tym, co się wokół niego dzieje - wszystko doskonale rozumie i umie wczuć się w sytuację. Przypominało to oglądanie filmu któregoś z ulubionych reżyserów - kiedy z rozkoszą wychwytyjesz najdrobniejsze momenty groteski, ironii i sarkazmu; kiedy zdaje ci się, że rozumiesz wszystkie aluzje.

Wowa był niewysoki - mierzył niemal tyle co ja - i przysadzisty, o kilka lat ode mnie starszy. Ubrany w adidas, czarne dzinsy i czarny golf. Bardzo jasne włosy miał ostrzyżone na jeża. Dołek w podbródku. Widać było, że uważa się za niedoścignionego kusiciela, marzenie każdej kobiety w dowolnym wieku.

Wowa wyciągnął z torby kilka grubych albumów ze zdjęciami. Woził je ze sobą właśnie na takie okazje. A takie okazje były dla niego oczywiście chlebem powszednim.

Zaczęłam przerzucać strony.

- Jestem podobny do Brada Pitta - powiedział, wskazując siebie na grupowych zdjęciach. - Mówiły mi to wszystkie moje dziewczyny.

Album zaczynał się dziesiątką fotografii z przyjęć i uroczystości. Na każdej z nich zaczerwieniony Wowa siedział przy stole między dwoma, za każdym razem innymi dziewczętami, które obejmował, wyglądając jeśli nie zza butelki wódki, to znad miski sałatki. Dziewczęta szeroko się uśmiechały. Wowa trzymał je tak, jakby demonstrował skóry zabitych przez siebie piżmaków.

Po nich szły fotografie, na których siedział już w węższym gronie - z kilkoma dziewczętami albo z jedną szczęściarą.

Album kończył się zdjęciami dziewczyn w szlafrokach, koszulkach, stanikach, kobiet otulonych w prześcieradła, przykrytych poduszkami, owiniętych ręcznikami. Zagubione i nieswoje siedziały, stały albo leżały na tle przybitych do ściany tureckich kilimów z wyblakłymi wzorami, gdzieś w kadr wchodziły fragmenty mebli, kredensy z kompletem kryształowych naczyń, półeczki z pluszowymi zabawkami, stół z resztkami jedzenia, niepościelone łóżka.

- To niektóre z moich dziewczyn - powiedział z dumą Wowa. - O ta, widzisz, ta jest ostatnia. Zresztą to już nie dziewczyna, ma trzydzieści dwa lata, to najstarsza z moich kochanek. Poznaliśmy się w zeszłym miesiącu w Kijowie, przyjaciel nas zapoznał - jej mąż pojechał w delegację, spacerowaliśmy po Hydroparku, chociaż zimno było jak cholera. Posiedzieliśmy sobie romantycznie w kawiarni, a potem pojechaliśmy do niej. I zostałem tam na tydzień, wyobrażasz sobie? Fajna kobietka. Namiętna. Jak trzeba.

Słuchałam tego wszystkiego, zachęcająco kiwając głową.

Używał wielu rusycyzmów, ale akcent miał z Nadwornej.

Sąsiedzi nadstawiali uszu, udając, że zajmują się swoimi sprawami. I tylko jeden dziadek odwrócił się do nas całym ciałem i nie mrugając, patrzył to na mnie, to na Wowę.

A ten nie cichł:

- Kobiety Igną do mnie. Ja je po prostu rozumiem. Wesoly ze mnie chłopak, serdeczny. Najważniejsze dla mnie, to żeby partnerce było dobrze, żeby się jej spodobało, żeby miała rozkosz. Wtedy i mnie jest dobrze. Nie jestem egoistą, nie interesuje mnie taki seks raz, dwa - i już go nie ma, i nie zapyta nawet o imię. Ja mam podejście do kobiet.

Po prostu je kocham. Kocham je wszystkie. To znaczy was wszystkie - uśmiechnął się uśmiechem, który kwalifikował chyba jako „kuszący”. Odpowiedziałam mu mniej więcej w tym samym duchu.

- Nie zawracam sobie głowy różnymi problemami, głupotami, miłość nie miłość, rozstanie, zdrada. Wszystkie kobiety kocham, wszystkie mi się podobają. A co to zdrada? Jeśli twoja kobieta miała ze mną rozkosz - to co to jest, zdrada? Podziękowałbyś lepiej, co? - zaśmiał się z własnego żartu. - W młodości trzeba się wyszaleć. Na razie nie mam zamiaru się żenić, mama i tata mi trują: „Żeń się, żeń”, a ja im mówię: „Jeszcze się nie wyszalałem”.

Jestem za młody, żeby siedzieć w domu z żoną i dziećmi.

Chcę robić kobietom dobrze, wiem, gdzie polaskotać, gdzie pogłaskać, gdzie polizać, żeby ona aż zapłakała z rozkoszy. Moje partnerki ciągle płaczą z rozkoszy. „Wowa, nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam” - powiedziała mi ta Ała z Kijowa. To dlatego że ja kobiety kocham. Nigdy nie mógłbym żadnej skrzywdzić. Ja mogę je tylko pieścić.

To jest was. A z drugiej strony - ciągnął - może bym się i ożenił, ale gdzie teraz znajdziesz porządną dziewczynę, cnotkę, żeby niebyła puszczałska? Teraz takie dziewczyny, no tego. Ze wszystkimi po kolei, z kim popadnie. Sama wiesz. A ja tak nie chcę. Ja chcę, żeby była porządna, cnotka, skromna, nie puszczałska. To przecież przyszła matka moich dzieci! No nic, potem znajdę, a teraz poszaleję.

Jeszcze tyle kobiet na mnie czeka! Co? - spojrział na mnie, robiąc jawną aluzję.

- No jasne - odpowiedziałam.

Wziął mój numer telefonu i obiecał, że zadzwoni. Wiedziałam, że zadzwoni i wiedziałam po co. Miałam ochotę obejrzeć ten film do końca. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam.

Wowa odczekał kilka dni - wszystko według scenariusza.

Następnie zadzwonił, umówiliśmy się na randkę. Na kilka godzin zamknęłam się w łazience i dokładnie wygoliłam także te miejsca, gdzie włosy nawet nie próbowały rosnąć.

Kilka razy głęboko się zacięłam i nie mogłam zatamować krwawienia.

Naciągnęłam rajstopy i czerwoną spódnicę do kolan, której nigdy wcześniej ani później nie zakładałam. Do tego jakąś bluzkę Chrystyny walającą się w głębi szafy. Zauważyłam, że krew z ranki przesiąkła przez rajstopy i ścieka po nodze na podłogę. Ale nie miałam czasu się tym zajmować.

Szybko pomalowałam rzęsy i popryskałam się jakimiś dziecięcymi perfumami. Popatrzyłam w lustro. Najgorszy ze wszystkiego był wielki pryszcz na środku czoła, który wyszedł dziś rano i błyszczał dumnie niczym gwiazda zaranna. Normalnie wpadłabym w histerię, ale nie tym razem. Wyniosłam mojego pryszcza na dwór.

I tak spóźniłam się ze czterdzieści minut. Wyraźnie się denerwował: zaczął już podejrzewać, że nie przyjdę, jednak mimo to nadal czekał na mnie pod kioskiem między blokami. Pocałował mnie w policzek, pochwalił spódnicę, ocenił pryszcz.

- Kupiłem ciastka - podał mi paczkę ciastek Maria.

Kiedy szliśmy przez podwórka, uprzedził, żebym się nie przestraszyła. Mieszka u starego alkoholika, który wiecznie chleje z kumplami, jednym słowem, melina i burdel, ale w jego, Wowy, pokoju wszystko jest w porządku - no, zaraz sama zobaczę.

W windzie przycisnął mnie do siebie. Jego konkretne pocałunki naprawdę mi się podobały i odetchnęłam z ulgą „Gdyby tylko nie ten pryszcz” - pomyślałam.

Alkoholika nie było w domu. Mieszkanie śmierdziało dymem, szczyną i rzygami. Wowa podszedł do toaletki w przedpokoju, wziął jakieś perfumy i popsikał powietrze wokół siebie. Zrobiło się jeszcze gorzej.

- No nic, chodź do mnie - powiedział i otworzył mi drzwi.

W jego pokoju wszystko było odrapane: ściany z odpadającą i zapaćkaną farbą, zasłony w oknach, chybotliwy stolik, wytarta wersalka.

Wowa położył ciastka Maria na stoliku i podszedł do mnie. Nie mógł powstrzymać radości - malowała się ona na jego twarzy w postaci głupawego uśmiechu. Jak u dziecka, które znalazło swój prezent, zanim mu go podarowano.

Znów zaczął mnie całować i trochę zbyt gwałtownie położył mnie na wersalce. Następnie zadarł ze mnie bluzkę. W korytarzu skrzypaneły drzwi, wyrwałam się i usiadłam.

- Nie bój się, to stary przyłazł - powiedział, wyszedł z pokoju, coś do kogoś wybełkotał i wrócił, przynosząc ze sobą gęstą smugę smrodu. Zamknął drzwi i obrócił wbity w futrynę zagięty gwóźdź.

(Widzę w zbliżeniu, jak kciukiem i palcem wskazującym obraca gwóźdź z trochę skrzywionym łebkiem, tak żeby przytrzymał drzwi).

Później wrócił gotowy na wszystko. Jego cierpliwość się skończyła, zaczął poruszać się szybko, pocałunki stały się o wiele mniej przyjemne.

Znów zadarł ze mnie bluzkę, spróbował rozpiąć mi stanik, ale zrozumiał, że straci na to zbyt wiele cennego czasu, po prostu podciągnął go do góry, uwalniając moje piersi. Nie odrywając od nich wzroku, opuścił rękę i zadarł mi spódnice. Rajstopy trochę się przekrzywiły i zsunęły.

Zaczął je ściągać gwałtownie i nieumiejętnie. Tak, jakby nigdy nie miał do czynienia z nylonowymi rajstopami.

Kiedy doszedł do kostek mocno szarpnął - rajstopy przykleiły się do świeżych ranek. Z podrażnionych nacięć znów połała się krew.

Pozostawały jeszcze majtki, do których dobrał się, ledwie nad sobą panując.

Pisnęłam coś w rodzaju: „Poczekaj, poczekaj, Wołodia, jeszcze nigdy tego nie robiłam...” - ale on niedbale opędził się ode mnie i zrzucił majtki na podłogę.

- To nic, pomalutku, rozluźnij się. - Słyszał już całkiem inne głosy.

Leżąc na plecach z zadartą bluzką na szyi i zadartą spódnicą w pasie, widziałam gdzieś daleko swoje zgięte i podniesione nogi. Zdawały się wielkie - kolumny, które podtrzymują popękany sufit z żółtymi zaciekami po dawnych zalaniach. Pomiędzy nogami huśtał się praktycznie nieznamomy chłopak, w skupieniu wpatrując się w coś, czego nie mogłam zobaczyć z powodu fałd spódnicy. Patrzył tam spojrzeniem nurka, który stara się ustalić głębokość.

Wydaje mu się, że widzi, jak pod masą wody falują wodorosty, jak bąbelki tlenu unoszą się powoli, jak pomiędzy kamieniami i muszlami przebiegają raki, a jeszcze głębiej nie ma już nikogo, poza lodowatymi ślepyimi istotami z zębami jak igły i lampami na środku czoła.

Jego twarz, szyja i uszy poczerwieniały, na czole wystąpiły drobniutkie krople potu. Całkowicie się zapomniał, w myślach zanurzając się do samego dna, podobny do szaleńca, który gapi się uparcie w jeden punkt, kiwając się z boku na bok.

Wowa bujał się do tyłu i do przodu i nie zważał na moje jęki. Badałam spojrzeniem sufit i zasłony za mną, od czasu do czasu zerkając na mokrego białego jeża nad moim brzuchem. „To

nic, to nic - mówił mi ten jeź - trzymaj się, rozluźnij”. Znosiłam to. Kiedyś musiało się przecież skończyć.

Wszystko się kiedyś kończy, myślałam. Wcześniej czy później się z tego wyplączę.

Wgryzał się we mnie, wciskał i tarł, uwierał i przeciskał, wszystko było jakieś nudne i ciężkie - absolutnie zbędne i niepotrzebne, zepsułam sobie dzień, teraz jeszcze zajdę w ciążę albo podłapię jakąś zarazę, a on - taki dureń, nawet pokazać go nikomu nie będzie można, i jeszcze ten pryszcz, i deszcz zaczyna padać, myślałam.

Sapał i przewracał oczami, jakby za chwilę miał stracić przytomność, jego nozdrza rozdymały się, usta otwierały, a dolna szczeka wysuwała się do przodu. Rękami trzymał mnie mocno za uda i dalej wpatrując się w miejsce akcji, całą miednicą wciskał we mnie swój klin. Tam na dole coś cichutko chlupało - niczym przyływ. Albo jak żaby skaczące w błoto.

Nagle Wowa z przestachem otworzył oczy, gwałtownie odsunął mnie obiema rękami, potem prawą dłonią złapał konia i zaczął go szybko walić, głośno stękając i odrzucając głowę do tyłu. Bryzgi poleciały na mój brzuch. Uśmiechałam się do niego uspokajająco. Ale w jego oczach jeszcze nie pojaśniało.

Laskę miał niedługą, ale grubą, mocną i nabitą - taką, jak i on sam; z porządną główką, czerwoną, napęczniałą i błyszczącą. Nigdy nie widziałam czegoś takiego z tak bliska.

Teraz obserwowałam, jak kurczy się i więdnie, jak rozciągnięta jeszcze kilka sekund temu gładziutka skóra układa się w miękkie zmarszczki, jak blednie i maleje.

Wowa przyniósł rolkę papieru toaletowego, odwinął kawałek dla siebie, a resztę podał mi. Wycieraliśmy się, nie patrząc na siebie. Krew sączyła się tylko z nacięcia na nodze. Wokół wałały się nasze porzrzucone ubrania. Bezsensowne rajstopy zwisały z brzegu tapczanu. Zakładając je, zauważyłam na łydce wielkie oczko. Teraz mój kostium wyglądał naprawdę jak skończone dzieło.

- Było ci chociaż trochę dobrze? - zapytał Wowa, zapinając pasek.

- Mhm - odpowiedziałam, pomyślawszy chwilę i zdecydowawszy, że w takiej sytuacji lepiej odpowiadać twierdząco.

Poszedł do kuchni robić herbatę, a ja siedziałam z podkulonymi nogami i brodą opartą o kolana i myślałam o tym, że film wyszedł niezbyt ciekawy.

Potem piliśmy mocną herbatę bez cukru - na powierzchni pływała cienka przejrzysta błonka. Wowa pogryzał ciastka Maria. Ja nie miałam ochoty.

- Tak, wszystkie mi mówią, że jestem mistrzem - stwierdził nagle, tak jakby reagował na coś, co powiedziałam. - Po prostu kocham kobiety, wszystkie. Nie interesuje mnie, żeby tak raz, dwa, popieprzyć się i nie zapytać nawet o imię. Lubię dawać rozkosz. Mogę jeszcze szaleć i szaleć - mówił Wowa, w zamyśleniu siorbiąc herbatę i mlaskając ciastkami. - Młody jeszcze

jestem, mama i tata chcą mnie żenić, ale spróbuj teraz normalną dziewczynę znaleźć, żeby porządna była, cnotka, nie puszczała się z kim popadnie. Dziewczyny dzisiaj nie są takie, dają, komu popadnie.

Za oknem szumiał gęsty wiosenny deszcz. Wowa wyciągnął się na tapczanie i ułożył mnie na swoim ramieniu. Teraz oboje patrzyliśmy na pęknięcia i żółte plamy na suficie, wypuszczając w ich kierunku dym z papierosów.

- Wszyscy mi mówią, że jestem podobny do Brada Pitta - powiedział.

- Tak, pewnie, że jesteś - odpowiedziałam, dziwnym trafem uspokojona i cierpliwa jak opiekunka w domu starców.

- Teraz jadę na tydzień, dwa do Nadwornej i znów będą mnie męczyć tą żeniaczką - przeciągnął się. W krzyżu coś mu zachrząściło.

- A kim są twoi rodzice? - zapytałam, sama nie wiedząc czemu. Trzeba przecież było jakoś podtrzymać rozmowę.

- Mój tata robi drewniane pamiątkowe orły i rzeźbi talerze - wyjaśnił Wowa. - Takie, co w Jaremczu sprzedają, wiesz?

- Wiem - kiwnęłam głową.

Wreszcie poznałam człowieka, którego ojciec zajmuje się produkcją drewnianych orłów. Zawsze mnie interesowało ich pochodzenie. Nie takie to wszystko znowu bezsensowne.

- Słuchaj - skierował na mnie raptem swoje wąziutkie oczy, w których ze zdziwieniem zauważyłam dziecięce błaganie (uczeń drugiej klasy prosi nauczycielkę, żeby nie wstawiała mu dwójki do dziennika). - Słuchaj, pocmoktaj go.

Właśnie tak powiedział: „pocmoktaj”.

- Co? - zapytałam ze szczerym pragnieniem uzyskania odpowiedzi.

- Pocmoktaj go! - poprosił jeszcze raz. Jego głos urwał się wzruszająco i zadrżał.

Przesunęłam spojrzenie w dół śladem jego ręki: lewą dłoń ostrożnie trzymał swój zaczerwieniony i znów gotowy organ, który rozkwitał w oczach, napęliając się coraz bardziej i bardziej - wdawało się, że z żołądki za chwilę tryśnie krew.

- Jak to? - ja też zmieniłam się w uczennicę, w dwójkową uczennicę, która słysząc, że wywołuje się ją do tablicy, stara się zyskać na czasie, dopytując się bezsensownie: „Ja?”

- N-n-no-o-o! - Kapryśnie wydał wargi, prawą ręką przyciągając moją głowę do swojego borowika. Miałam go tak blisko twarzy jak własny nos. Czułam jego zapach - zapach rozgrzanego na słońcu siana, gorącego bulionu i grzybów.

Grzał moją twarz jak lampka. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Ja - bezradnie, niechętnie i z lekkim zaciekawieniem.

On - bezczelnie zmuszając i wymagając. Tak po prostu, tylko dlatego że mu się chce. Gorący grzyb prosił się do koszyka.

- N-n-no-o-o! - niemal płakał Wowa, przyciskając mnie policzkiem do gładziutkiej, rozpalonej powierzchni.

- Ale ja nie umiem - uśmiechnęłam się do niego, wyglądając jednym okiem zza grzyba. Jego jasne loczki łaskotały mnie w wargi.

- No weź! - jęknął. - No weź do buzi!

Rozchyliłam odrobinę wargi i dotknęłam nimi żołądzi.

Jej skórka była niewiarygodnie cienka i delikatna - jak by tu jej nie przerwać? Koniuszkami języka znalazłam cienki rowek, po którym zeszałam niżej, do czegoś przypominającego kołnierz z miękkimi fałdkami.

Na tym moje badania się zatrzymały. Wowa złapał moją głowę obiema rękami i zaczął szybko przesuwając ją w górę i na dół (kto tu był pompką, a kto piłką?). Jednocześnie dyszał i cieniutko popiskiwał. Jego fiut niemal wjechał mi do gardła, wywołując odruchy wymiotne. Z zaskoczenia zacisnęłam zęby i zaczęłam wyrywać głowę z rąk Wowy. Nie protestował. Rozczarowany i znów spocony, opadł na łokcie. Włosy łonowe były zupełnie mokre, przez co loczki pozakręcały się jeszcze bardziej.

Kiedy zakładałam buty, do Wowy przyłaził jego gospodarz alkoholik. Malutki pomarszczony dziadek z czerwonymi oczkami - podobny do żołądzi (teraz miałam prawo robić takie porównania). Kłaniał się nam przesadnie, szepcząc coś Wowie do ucha i pryskając śliną. Wowa podał mu hrywnę.

- Spodobałaś mu się - powiedział mi w windzie.

Odprowadził mnie pod samą klatkę, osłaniając parasolem. Prawdziwy dżentelmen, marzenie kobiet w każdym wieku. Z powodu deszczu na ulicach było pusto - mogłam nie martwić się specjalnie oczkiem w rajstopach.

- Jadę teraz na tydzień, dwa do taty i mamy do Nadwornej - powiedział mi na pożegnanie. - Nie wiem, kiedy wrócę. Ale zadzwonię. Czekać na mnie.

- Aha - odparłam.

Było mi wszystko jedno. Po prostu zmarnowałam czas.

Podarłam rajstopy.

(Dobrze przynajmniej, że nie uzupełniłam jego kolekcji w opasłym albumie: ja w porwanych rajstopach i z przyszczem na środku czoła na tle ciastek Maria).

Było mi wszystko jedno.

Następnego dnia rano, wybierając się do szkoły, zemdlałam pod prysznicem.

- Ty zawsze tak reagujesz na katastrofy na świecie - powiedziała mama. - Dzisiaj nad Morzem Czerwonym wybuchł samolot.

A tak naprawdę poczułam śmierć Hryhorija Pawłowycza. Poprzedniego wieczoru wyleciał przez witraż z dyskoteki „Millenium”.

Marzenie Chrystyny roztrzaskało się z hukiem. Na kilka miesięcy dała mi spokój - zresztą nie miała nastroju: opłakiwała swoją („Spójrzcie, jaki mam uduchowiony i patetyczny wyraz twarzy”) miłość rozbitą w proch.

Pomysł, żeby skojarzyć mnie w końcu z marlboromenem Wową, wynikł podczas naszego dwutygodniowego miodowego miesiąca.

- Dużo mu o tobie opowiadałam - poinformowała mnie, siedząc przy kuchennym stole i patrząc w dal nad działkami i wsią Uhornyki.

- A co takiego?

- No... że fajna jesteś. Mądra. Cnotka - robiąc pauzy, odpowiadała niewzruszona Chrystyna.

- Już nie - odpowiadałam obrażona. - Teraz się mną nie zainteresuje.

- Jeden raz się nie liczy - mądrze zawyrokowała Chrystyna. I dodała, żeby mnie zachęcić: - Jakbym była facetem, dawno bym się w tobie zakochała.

Pewnego dnia rano zadzwonił telefon. To była Chrystyna po dyskotecce poszła odsypiać do blondynki Julii.

Jej głos brzmiał rześko i zagadkowo.

- Czekaj na gości - powiedziała.

- Jakich znów gości? - burknęłam niezadowolona, niewyspana i przygnębiona: przez całą noc śniły mi się pełne pogardy spojrzenia nauczycielek olbrzymek o usmarowanych kredą palcach.

- Przyjdziemy dzisiaj do ciebie z Wową i Tolikiem! - poinformowała Chrystyna.

Sen odszedł, jak ręką odjął. Jedną rzecz słuchać opowieści o tych odległych i dziwnych ludziach, wyobrażać ich sobie w różnych sytuacjach, wyobrażać sobie siebie z nimi, nie do końca wierząc w ich istnienie, a całkiem co innego dowiedzieć się, że - czy tego chcesz, czy nie chcesz - ci widmowi ludzie zjawią się w twoim życiu, zmaterializują tu i teraz, i to nie gdzie indziej, jak w mieszkaniu twoich rodziców!

- Co ty, odpada - burknęłam.

- Jak to odpada! Zośka, przestań, przecież się umówiliśmy - udawała złość Chrystyna.

- Nie chcę. Będzie mi głupio. O czym ja mam z nimi rozmawiać? Boję się. Poza tym musimy się przygotowywać do testu z PO - bąkałam.

- Jakie PO, co ty? Zośka, uspokój się, mówię ci! - surowo rozkazała Chrystyna. A potem dodała łagodniej: - Wowa ma jutro urodziny.

- No a ja co mam z tym wspólnego?

- Wszystko. I nic nie gadaj.

Chrystyna z jakiegoś powodu kazała mi założyć długą aż do pięt dżinsową sukienkę na ramiączkach. Do dziś nie rozumiem, czym się kierowała. Zawsze była zdania, że rzeczy, które nosiłam, zbyt wiele zakrywają, są za skromne i zbyt staromodne. Prawdopodobnie wydawało się jej, że w tej śmiesznej sukience będę bardziej przypominać cnotkę.

Przyszli pod wieczór. Ze zdenerwowania miałam mdłości, natomiast nasza suczka przywitała ich jak starych dobrych przyjaciół (zresztą witała w ten sposób wszystkich).

Wowa ani trochę nie przypominał marlboromena. Był jakiś chudy i zbyt ruchliwy. I nie miał zarostu. A jego wargi nie były wygięte w drapieżny i krwiożerczy łuk. Jednym słowem - obcy, nieznamy osobnik, który nie miał nic wspólnego z bohaterem opowieści Chrystyny.

Niebieska koszula z cienkiego dżinsu włożona była w czarne spodnie. On i Tolik - grubiutki czarnooki pokurcz - przynieśli kilka butelek wina. Na mnie nie zwracali prawie uwagi. Tak jakby po prostu mnie tam nie było.

Pewnie nie wiedzieli, jak się do mnie odnosić. No jeszcze czego - ktoś by wiedział, jak się odnosić do istoty w tak idiotycznej sukience?

I kiedy ja z przestachem wodziłam za nimi oczami, Chrystyna i Julia kroili chleb i robiły kanapki z kielbasą, Mucha paliła, gapiąc się w ciemność za oknem i uśmiechając się do siebie samej, a Tania rechotała głośniej niż kiedykolwiek, starając się zwabić mężczyzn do kuchni swoim zachrypłym śmiechem. Faceci siedzieli w dużym pokoju.

Właściwie nie siedzieli. Chodzili z kąta w kąt, uważnie oglądając sprzęt grający i kolekcję płyt, obrazy na ścianach, szczególnie uważnie przyglądali się staremu obrazowi z Maryją Dziewicą trzymającą na rękach Jezuska.

Przytłumione, spokojne tony, półaluzje (jakby ktoś mówił szeptem albo chodził na palcach), miękkie cienie, półprzejrzystość, która graniczyła z iluzorycznością. Złożone i wyraźne płynne linie. W kącikach oczu kobiety i dziecka, których delikatne i blade twarze świeciły niepokojącą, prostą urodą, wyraźnie różowiały niewielkie cętki - odnosiło się wrażenie, że oczy obojga są wilgotne, że za chwilę poleją się z nich łzy. Aureole nad ich głowami wyglądały tak naturalnie, że w patrzącym mimowolnie powstawało wrażenie, iż codziennie widuje on dziesiątki ludzi z czymś takim dookoła fryzur i że jest to jedna z najzwyczajniejszych rzeczy.

Obraz namalował mój prapradziadek Karl Skoczdopeł, malarz - studiował na Akademii Wiedeńskiej, a potem ozdabiał kościoły we wsiach Galicji.

Przyniosłyśmy kanapki i wszyscy rozsiedli się w końcu w różnych kątach pokoju. Usadowiłam się na podłodze.

- Zośka, nie siedź tam - szepnęła Chrystyna.

- Dlaczego? - zdziwiłam się.

- No bo nie - powtórzyła uparcie. - Chodź tutaj, siądź obok mnie - pokazała miejsce pomiędzy sobą a Wową.

- Tu mi wygodnie - machnęłam ręką i sięgnęłam po wino, żeby odwrócić jej uwagę.

Nie bardzo było o czym rozmawiać. Żeby to ukryć, zawzięcie siorbałam wino. Sytuację ratowała jedynie Tania od alkoholu mocno się zaczerwieniła i zaczęła się po trochu rozbierać.

Wowa i Tolik w milczeniu wymieniali spojrzenia, mrugając do siebie cwaniacko. Z rzadka któryś z nich wypowiadał kilka słów. Zdawało się, że są trochę zakłopotani koniecznością spędzania z nami czasu.

Tymczasem ja, przyglądając się Wowie, zaczynałam przyzwyczajać się do jego realnego wyglądu. Wprawdzie okazał się nie tak znów opalony i ogorzały, jak przystało na wiecznie niedomytego kowboja z arizońskich prerii, ale jego włosy pobłyskiwały idealną, głęboką czernią, a dłonie były wielkie i kształtne.

Nie mógł się nadziwić ilości książek.

- Ja też lubię czytać - powiedział, przemieszczając się wzdłuż regałów. - Czytałaś o piratach?

- Nie, nie czytałam - odparłam.

Wowa zamilkł stropiony i gapił się na grzbiety książek.

- No ci, piraci. To napisał Arfinbald. A raczej Arfongelc.

Hiszpanie jacyś, Francuzi. Jak oni zdobywali ziemie i rabowali miasta. I jakie mieli prawa honorowe, i o różnych układach. Już parę razy to czytałem. No niedawno znowu.

Słuchałam go z nieco przesadnym entuzjazmem. Zdawało mi się, że jest wzruszający. Męski i wzruszający jednocześnie. A zarost można zapuścić w trzy dni.

Chrystyna zawołała mnie do przedpokoju.

- Nie mów tak - powiedziała.

- Jak? - nie zrozumiałam.

- No tak jak mówisz - wyjaśniła Chrystyna. - Oni tego nie lubią.

Wróciłyśmy do pokoju. Tania stała na środku i zadarłszy koszulkę, z całych sił wypinała brzuch. Jej wielki, opięty dżinsami tyłek równoważył figurę z przeciwnej strony.

- No dawaj, dawaj - zachęcali ją Wowa i Tolik.

- Ale ja już tak dawno tego nie robiłam - powiedziała, nienaturalnie przekrzywiając głowę na bok. Wyglądała jak przetrącona kaczka. Domyślałam się, że tylko się kryguje.

- No nie szkodzi, dawaj, spróbuj - energicznie machnął ręką Tolik.

- No dobrze - Tania głośno wypuściła powietrze, opuściła głowę i skupiła wzrok na swoim pępku. Następnie zaczęła szybko i płynnie wciągać i wypinać brzuch. Powstawała dzięki temu fala, która nadymała się pod piersiami, a potem staczała niemal do samego kroku. Jak wielki ślimak, który się dokądś śpieszy.

- To jest taniec brzucha - wyjaśniła Julia.

Wowa poprosił, żeby włączyć muzykę. Chrystyna wybrała Stinga.

Wieczór ciągnął się niemiłosiernie. Trochę się już wstawiłam i chciało mi się spać. Tania przeciwnie - biegła po mieszkaniu w samych majtkach i staniku, pokrzykując i piszcząc, jasnowłosa, rozpalona, z pysznym ciałem, rozczochrana.

- No dobrze - powiedziałam. - Siedźcie tu sobie, a ja już chyba pójde spać.

- Papierosy się nam skończyły - powiedział Tolik. - Daj nu klucz, sam pójde. Nie martw się.

Nie martwiłam się. Dałam mu klucz, własnoręcznie zademonstrowałam, jak otwierają się i zamykają marne drzwi wejściowe.

Na zegarze była dwunasta zero trzy.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! - zwróciłam się do Wowy.

Popatrzył na mnie dziwnie.

- A, no tak - zareagował wreszcie. - Dziękuję.

W przedpokoju wpadła na mnie z rozpędu Tania. Nawet nie zdążyłam oprzytomnieć, a już leżałam pod nią na łóżku, bezsilnie szarpiąc kończynami. Boleśnie ścisnęła mnie w talii.

- La-la-la! - krzyczała mi do ucha, obsypując pocałunkami. - Tra-la-la-la!

Zupełnie pijana i ogłupiała. Pachniało od niej mlekiem i winem. Nie miałam czym oddychać. Jej ciało ważyło jednak niemało.

Po chwili Tania rozluźniła się i wetknęła mordkę w moją szyję. Potem zaczęła lizać mój obojczyk.

- Tania - w drzwiach pojawił się Wowa. - Daj się dziewczynie wyspać!

Zdjął ją ze mnie i wywłócił z pokoju.

- Tra-la-la-la! - wyśpiewywała Tania, odwracając się do mnie i wyciągając ręce.

Potem przyszła Mucha. Uświadomiłam sobie, że prawie jej nie widziałam i nie słyszałam tego wieczoru.

- Śpisz? - zapytała smutno i łagodnie.

- Jeszcze nie - odparłam.

- Położę się z tobą, dobrze? Już mi to wszystko zbrzydło.

- A oni co robią?

- A - machnęła ręką Mucha. - Łażą. Tolik przyniósł jeszcze wina.

Kilka minut wcześniej słyszałam, jak otwiera drzwi. Doskonale mu poszło. Można było spać spokojnie.

Mucha położyła się obok i przykryła drugim kocem. Nasze ciała się nie dotykały. Zwinęła się w kłębek. W ciemności zobaczyłam, że włosy opadły jej na twarz. Mucha bardzo szybko zasnęła, śmiesznie sapała przez nos i pojękiwała.

Ja natomiast bardzo długo nie mogłam zasnąć. Za ścianą słychać było kroki i przytłumione głosy. Od czasu do czasu z dużego pokoju dobiegał szalony rechot Tani, ale szybko ją uspokajali.

„Co oni tam robią? - dziwiłam się. - Czemu nie śpią, nie leżą, nie siedzą? Dlaczego wciąż chodzą i chodzą? Ja bym nie mogła tak chodzić”.

Słyszałam, jak skrzypią drzwi od szafy. Czegoś szukają, może kołdry albo poduszki. Słyszałam, jak wysuwają szuflady - głupawa ciekawość źle wychowanych dzieci. Zajrzeli nawet do starej maszyny do szycia. Maszyna otwierała się z głośnym metalowym szczękiem.

Zupełnie niespodziewanie zachciało mi się iść do szkoły. Spokojniej tam czy jak.

Rano, żegnając się z Wową, powiedziałam:

- Sto lat!

Wyglądał na przestraszonego.

- Przecież wczoraj składałaś mi już życzenia - powiedział. - Zapomniałaś, czy co? - pomyślał chyba, że byłam pijana w trąbę.

- Nie zapomniałam. Chciałam ci po prostu jeszcze raz życzyć wszystkiego dobrego.

- Jasne - pokiwał głową.

Nic nie było jasne - wyraźnie to widziałam. W głowie mu się nie mieściło, że życzenia z okazji urodzin można składać choćby i milion razy. Nawet, jeśli urodziny wypadają za pół roku.

Siedziałam na podłodze i mówiłam zdaniami wielokrotnie złożonymi. On przez dwadzieścia parę lat trzykrotnie przeczytał jedną książkę. Mogła być z nas idealna para.

Chociaż wydymał tej nocy Tańkę, ogarnęła mnie czułość.

Wysoki, smutny mężczyzna, który spędzał urodziny w cudzym mieszkaniu. Bez grupowego seksu, bez striptizerek, bez próby zabójstwa. Wszystko to oczywiście przed nim ale tak się mu pewnie chciało, żeby to już, natychmiast.

Przywoływałam w wyobraźni jego spojrzenie i zaczynałam dostrzegać w nim zdziwienie i zainteresowanie. Było pełne sympatii i zaciekawienia. „Nie ma co do tego wątpliwości -

myślałam, siorbiąc poranną kawę, która wyjątkowo mi nie smakowała - musiałam go w jakiś sposób poruszyć.

Dotknąć w samo serce - zostawiłam mu na nim maleńkie zadrapanie, z którego sączy się teraz krew, wgłębienie wyskrobane czymś bardzo delikatnym, na przykład koniuszkiem wędkarskiego haczyka, na który łowi się najmniejsze karasie. I teraz on nie może zrozumieć, co go tak uwiera.

Dlaczego tak mu niespokojnie i ciasno.

Kiedy przypomina sobie dzisiejszą noc, robi mu się nieswojo, czuje rozdrażnienie. Szczególnie gdy przypomina sobie mnie. Usiłuje jakoś mnie zakwalifikować, wprowadzić do tabeli, jednak nie potrafi mnie w żaden sposób określić.

Nie wypada mu zadawać się z taką jak ja. Jednak jeśliby dobrze nade mną popracować - trochę rozjaśnić włosy, ostrzyć jakoś normalnie, ubrać w inne ciuchy - węższe, mniejsze, bardziej obcisłe, a na nogi założyć laczki na szpilkach, na szyi zawiesić złoty łańcuszek, a w uszy włożyć złote kolczyki, gdyby zrobić mi rozsądny makijaż i podarować maleńki wyszukany zegareczek - wyglądałabym znacznie lepiej. Problem polega oczywiście na tym, w jaki sposób mówię. I jak się zachowuję. Nie chodzi o podłogę - siedzenia w ten sposób można łatwo oduczyc. On po prostu nie wyobraża sobie mnie w jednym pokoju z Wachtangiem czy Benem i ich ludźmi. Nie wyobraża sobie, jak miałabym prowadzić z Ludoczką niewymuszony dialog o solarium i hebanowych firkach. Za to wyobraża sobie, jak wszyscy milkną i z przyganą wymieniają spojrzenia, kiedy wchodzę do pokoju. I jak Wachtang unosi swoją krzaczastą brew, zerkając pytająco na Wowę. A Ludoczka fuka i zaczyna nerwowo palić, z przyzwyczajenia obracając dłonią złotą bransoletkę.

Nie miałam wątpliwości co do tego, że zaczynam na odległość czytać w jego myślach. „To nic, to nic - mówiłam mu - wszystko doskonale się ułoży. Jeszcze nie wiadomo, kto kogo będzie zmieniać. Jeszcze będziesz książki ode mnie pożyczać, miły mój piracie”.

(Co za szczęście, że wytwory wyobraźni jednak się nie materializują - w przeciwnym wypadku swoją wymanikiowaną, obciążoną pierścionkami dłonią biłabym teraz po twarzy służącą Hanę za to, że włożyła do lodówki Przygotowane właśnie przez kucharza Kirgiza sushi).

W zachwycie wzięłam zbyt wielki łyk kawy, nabrałam pełne usta fusów - i połknęłam je. Z jakiegoś powodu piekła mnie trochę skóra nad górną wargą i na podbródku.

Wieczorem Tolik przyjechał po mnie i Chrystynę białą ładą.

Obok niego siedział niepozorny młodzieniec ze złamanym nosem.

- Wsiadajcie, dziewczynki, przejedziemy się - młodzieniec szerokim gestem zaprosił nas do samochodu.

Nazywał się Sławik. Kiedy Tolik w milczeniu trzymał kierownicę i patrzył na drogę, Sławik, odwróciwszy się do nas całym ciałem, opowiadał stare dowcipy. Uśmiechałyśmy się.

Upał zelżał, ale za to zerwał się wiatr - unosił nad chodnikami i drogą wielkie chmury kurzu.

Przejechaliśmy przez centrum, objechaliśmy miejskie jezioro, zatrzymaliśmy się na papierosa nad Bystrzycą Sołotwińską. Zasób żartów Sławika wreszcie się wyczerpał.

Zamilkł i wyglądał teraz na trochę spiętego. Wydawało się, że Tolik jest czymś zaniepokojony: co chwila spoglądał na zegarek, którego brązowy skórzany pasek ściśle opinał jego pulchny nadgarstek.

- Może pojedziemy już do domu? - zapytałam.

- Nie, jeszcze nie. - Tolik znów zerknął na cyferblat.

Pojechaliśmy dalej. Koło dworca łąda skręciła w wąską uliczkę między domkami jednorodzinnymi. Niebawem skończył się asfalt. Samochód podskakiwał na kamieniach i kawałkach cegieł.

Tolik zatrzymał się na podwórku niewielkiego, jasno otynkowanego domu. Dookoła kręcili się robotnicy mieszali cement, przynosili dachówki. Pod starą rozłożystą wiśnią, której pień był do połowy pomalowany wapnem, na stołkach siedziały stara kobieta i dziewczyna. Przebierały żółtą fasolkę szparagową.

- Poczekać, zaraz wrócę - Tolik wyskoczył z samochodu i głośno trzasnął drzwiami. Otworzyliśmy okna.

Chrystyna paliła.

- To dom Tolika? - zapytała jego kumpla.

- Tak, to jego babcia, a to bratowa - Sławik skinął w stronę wiśni.

- Słuchaj, może odwieźlibyście nas już do domu? - Narastał we mnie niepokój. Przejazdka po mieście okazała się nudna, Wowa, jak mówił Tolik, był bardzo zajęty, chociaż początkowo obiecał, że się do nas przyłączy.

- Dobra, dobra odwieziemy, nie przejmuj się - jakoś trochę zbyt ostro wycedził Sławik.

Dalej siedziałyśmy w milczeniu. Dziewczyna od czasu do czasu podnosiła głowę znad fasolki i patrzyła w naszą stronę, mrużąc oczy.

- A tamta? To nie dziewczyna Wowy? - zapytała nagle Chrystyna, pokazując wysoką kościstą kobietę z długimi czarnymi włosami, która wyszła z domu razem z Tolikiem. Nerwowo coś omawiali. Kobieta machała rękami.

Sławik bez słowa wyszedł i przyłączył się do nich.

- Może pójdziemy na piechotę? - zaproponowałam.

- Nie, nie chce mi się - ziewnęła Chrystyna. - Zaraz nas odwiozą. Durnie z nich. A ja myślałam, że będzie wesoło.

Tolik rozmawiał z kimś przez wielki telefon komórkowy. Następnie poklepał Sławika po ramieniu i zdecydowanym krokiem ruszyli w naszą stronę, porozumiewając się w jakiejś sprawie.

- Dobra, za pół godziny możemy was odwieźć - powiedział Sławik.

- Dlaczego dopiero za pół godziny? - nawet Chrystyna traciła już cierpliwość.

- A tak sobie, profilaktycznie - zachichotał Tolik i zaczął coś pogwizdywać.

Za kierownicą tym razem usiadł Sławik. Ich nastroje wyraźnie się poprawiły. Samochód znów wytoczył się na asfalt i pojechał znacznie szybciej. Na moście Tolik powiedział:

- Tutaj kurwy zawsze stoją, Swieta i Alonka.

- No, dzisiaj mają wolne - kiwnął głową Sławik.

Zjechaliśmy z wysypanego żwirem zbocza i przedzierając się przez wierzbowe krzaki, podjechaliśmy aż nad samą rzekę.

- Musimy umyć samochód - wyjaśnił Tolik.

- Dlaczego nie umylicie w tamtej Bystrzycy? - zapytała rozdrażniona Chrystyna, krzyżując ręce na piersiach.

- Tutaj jest lepsza woda - zaśmiał się Sławik. Wymienili z Tolikiem spojrzenia.

- Ta, no a poza tym wtedy samochód nie był jeszcze taki brudny - dodał Tolik.

Wyszliśmy na brzeg i stanęliśmy z boku. Rzeka była w tym miejscu płytka, na dnie widać było pokryte zielonymi wodorostami otoczaki. Trochę dalej woda pieniała się i puszczała bąbelki, potykając się o większe i ostrzejsze kamienie.

Sławik nabierał wody do wiadra, polewał nią samochód, a Tolik tarł szmatą. Na jasnej powierzchni zostawały brudne smugi i ślady.

- Trzeba było do myjni jechać - burczała Chrystyna.

Gdy znalazłyśmy się przed klatką, było już ciemno.

- No, na razie, dziewczynki. Może się jeszcze kiedyś przejedziemy! - krzyknął za nami Sławik, kiedy Tolik, znów za kierownicą, starał się zawrócić na wstecznym tak, by nie zahaczyć o śmietniki. W końcu znudziły mu się te manewry, nacisnął gaz i auto, zawadziwszy jednak o pojemnik, wyskoczyło do przodu. Kosz z łomotem przewrócił się na ziemię, posypały się butelki i śmierdzące odpadki. Przestraszone gołębie zafurkotały skrzydłami i wystrzeliły w niebo.

- Swołocz-zaraza! - krzyknęła ze swojego balkonu na parterze dozorczyńni i alkoholiczka baba Ira.

Chrystyna wyskubywała brwi. Ja siedziałam przy stole naprzeciwko niej i kartkowałam podręcznik do fizyki. Codziennie starałam się odbywać takie seanse samouspokajania - po

przejrzeniu połowy podręcznika nabierałam przekonania, że wiele już umiem i mogę kontynuować odpoczynek.

Mucha i Julka rozcieńczały przyniesioną przez siebie wódkę sokiem pomarańczowym. Tania była nie w humorze: blada twarz, ciemne kręgi pod oczami. Stała przy samych drzwiach, przylepiwszy się łopatkami do ściany, a biodra wypchnąwszy do przodu. Paznokciami lewej dłoni rytmicznie postukiwała o framugę. Prawą rękę, w której dymił papieros, zbliżała do twarzy i tępy, rozkojarzonym wzrokiem oglądała manikiur, gotowa się w każdej chwili rozplakać. Rozmawiać z nami nie miała ochoty, za to wódki z sokiem nie odmawiała.

Suczka leżała pod stołem i patrzyła na mnie żałośnie.

Dzisiaj w popielniczce kipiało od niedopałków - pojedyncze pety od czasu do czasu wypadały z olbrzymiej kupy, a popiół wysypywał się na ceratę. Ola Szowczyk już dawno nas nie odwiedzała, więc kuchnia wyglądała po prostu odrażająco. Dookoła kubła na śmieci krążyły tłuste, ospałe muchy. Ze zlewu, zapchanego brudnymi naczyniami z resztkami wyschniętego jedzenia, ostro śmierdziało czymś kwaśno-słodkim.

- Zośka - Chrystyna zwróciła się do mnie nosowym głosem (ścisnęła palcami koniuszek nosa i odciągnęła go trochę w bok, żeby móc lepiej przyjrzeć się świeżemu przyszykowi) - no co będziesz znów siedzieć w domu? Chodź z nami.

Oderwałam spojrzenie od słów: „Badanie przewodnictwa elektronowego monokryształów dwutlenku ołowiu w komorze polaryzacyjnej” - to zdanie zaczynało jakoś dziwnie na mnie działać. Niektóre z jego składników były mi dobrze znane: na przykład „badanie” albo „komora”.

Z innymi spotkałam się kilkakrotnie, a nawet ich używałam, nie znając jednak ich prawdziwego znaczenia; nigdy nie umiałabym udzielić wyjaśnień człowiekowi, który zapytałby mnie: „Co to znaczy »elektronowy«?”. Wykręciłabym się jakoś „przewodnictwem” i „ołowiem” - żeby tylko pozbyć się dociekliwego rozmówcy. Kiedy jednak doszłoby do „monokryształów dwutlenku” czy nawet samych „monokryształów” albo samego „dwutlenku” (nie mówiąc już o tym, że „komora”, którą wyobrażałam sobie jako niewielkie pomieszczenie służące do przechowywania przetworów i różnego rodzaju rzadko używanych przedmiotów, w powyższym kontekście okazywała się w sposób niepojęty „polaryzacyjna”) - aż łapały mnie dreszcze. W całości zdanie to wydawało się absolutnie nieprzeniknione, co więcej - nie było nawet odrobinę przejrzyste. W gęstym złotawym powietrzu za oknem krążyły półprzejrzyste muszki - niczym bąbelki lipowego miodu.

- Co z tobą, zgłupiałaś? - Chrystyna pomachała mi dłonią przed oczami. - No jasne! Posiedź tak jeszcze kilka dni i można będzie postawić na tobie krzyżyk.

Właśnie tak powiedziała surowa i nieubłagana Chrystyna Szczubra.

Tania podeszła do stołu i w milczeniu zgasiła niedopałek w przepelnionej popielniczce, rozsypując przy tym prawie całą jej zawartość.

- Oj - powiedziała beznamiętnie i odwróciła się do ściany.

- Nie, zostanę. Posprzątam - mówiłam, badając wzrokiem otaczający nas rozgardiasz.

- Jutro posprzątam, Zośka! - Kiedy Chrystyna zaczynała kogoś do czegoś przekonywać, jej głos nabierał odcienia.

Nie mówię „płaczliwego odcienia”, czy też „władczego odcienia”: po prostu odcienia i już. - No weź, chodź z nami!

Nie chcę bez ciebie! Nigdzie bez ciebie nie pójde! A dzisiaj mam decydujący wieczór, dzisiaj przyjdzie Saszeńka i na pewno będzie się do mnie przystawiał.

Wyobraziłam sobie, jak pulchny Saszeńka (Chrystyna pokazała mi go w jakiejś broszurze z mordami radnych miejskich) przetacza się z brzucha na głowę i z głowy na zadek w kierunku Chrystyny. Nieźle by mu to wyszło.

- No, przestań, co ty! - starałam się ją przekabacić. W takim razie koniecznie musisz iść. A mnie się najzwyczajniej w świecie nie chce.

- No, jeśli ci się nie chce - bezapelacyjnie oświadczyła Chrystyna i odsunęła kosmetyki na bok wprost w kałużę porannej herbaty - to nie idziemy. Bo ja pójde tylko pod warunkiem, że pójdziesz ty.

Zgarnęłam pety ze stołu i wcisnęłam je z powrotem do popielniczki. Następnie wzięłam zapaliki i papierosa i poszłam na balkon. Tam, schowawszy się za zasłoną, kucnęłam na progu. Słońce zaczynało powoli chylić się ku zachodowi, czerwieniąc niebo wokół siebie i pobłyskując w szybach. Mrużąc oczy, patrzyłam na wydłużone i wąskie, blade i niepewne kontury chmur zabarwione to jasnym błękitem, to na fiołkowo, to znów na różowo. Chmury rozwiewały się w oczach. W ich miejsce pojawiały się nowe.

Najwyraźniej z tego dziwnego dnia, w czasie którego niepokój jakby przeciskał się przez moją skórę kryształkami soli (czy raczej monokryształami dwutlenku ołowiu), zapamiętałam pasma papierosowego dymu. Promień słońca padał skośnie do moich nóg i dla zabawy wypuszczałam szarawo-żółty dym prosto w ten świetlisty stożek. Gdy dym do niego trafiał, całkowicie się zmieniał. Zwalniał, jakby trafił w środowisko o większej gęstości, i długo i ulotnie układał się przed moimi oczami w najrozmaitsze figury.

Unosząc się swoją złotawą trasą, stopniowo blakł i marniał, stawał się jeszcze bardziej ulotny i przejrzysty. Ale tutaj, na początku, przy moich kolanach, pośród oświetlonych słońcem drobinek kurzu, dym nabierał niespotykanego dla siebie odcienia, bżowo-fioletowego, przenikliwego, płynnego jak roztopiony metal.

Pstryknęłam niedopałkiem przez szczebelki balkonu i po chwili wychyliłam się za balustradę, by omieść spojrzeniem puste podwórko. Grupka gołębi przy ławce. Dziewczynka z plecakiem. Kot zeskakujący z pojemnika na śmieci. Dudniąca skądś głośna muzyka.

Suczka bezgłośnie podeszła do moich nóg i przytuliła mi się do łydki. Kucnęłam i pogłaskałam ją po głowie. Machała ogonem i patrzyła mi w oczy.

Z dyskoteki nie pamiętam prawie nic. Tylko migotliwe ogniki, masę ruchliwych ciał, pulsowanie ścian, łomot muzyki. Przy stoliku nie mogłam wysiedzieć, tańczyć też mi się nie chciało. Dziewczyny gdzieś się rozeszły. Chrystyna zniknęła prawie od razu - pomachała mi nerwowo w drzwiach z napisem „Wyjście”. Mucha i Julia tańczyły przed lustrami, nie odwracając wzroku od swoich połamanych odbić. Tania jakiś czas samotnie sterczała pod ścianą z kieliszkiem ginu z tonikiem, a potem także wyparowała.

Przywitał się ze mną Sławik.

- No jak, kiedy pojedziemy się przejechać? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami. Nie chciało mi się tam siedzieć. Zapraǳnęłam strząsnąć z siebie tę noc, pozbyć się wszystkiego, co poprzyklepiało się do mnie nieznośnymi płątami.

Przez ostatnią godzinę siedziałyśmy z Julią przy stoliku w barze. Rozmawiała z kilkoma szpakowatymi mężczyznami. Przynieśli mi czarną herbatę w plastikowym kubku. Siorbnęłam i oparzyłam się w język.

- Chodźmy do domu - poprosiłam Julię. Wszystkie miały dzisiaj u mnie nocować - tak się umówiłyśmy. Ale nie udało nam się znaleźć pozostałych.

Wsiadłyśmy do taksówki i trochę mi ulżyło. Zaraz dojedziemy do domu, położymy się spać, zwinę się w zaciszny kłębek. A jutro wszystko będzie inaczej. Przede mną sobota i niedziela, obudzę się w dobrym nastroju, zjem śniadanie, posprzątam, zadzwonię do Oli Szowczyk. Ona na pewno przyjdzie, ona na pewno wyjaśni mi elektronowe przewodnictwo kryształów. „Wszystko będzie dobrze, sama zobaczysz - mówiłam do siebie w myślach - wszystko będzie bardzo, bardzo dobrze”.

Była czwarta rano. W okolicznych budynkach świeciło się tylko jedno albo dwa okna. Na ciemnym podwórku czegoś brakowało.

Weszłyśmy do klatki, gadając o czymś wesoło. Winda nie działała, musiałyśmy iść piechotą.

Na trzecim piętrze spotkałyśmy moją suczkę. Schodziła po schodach i machała ogonem. Gwałtownie się zatrzymałam. Jakby przebito mnie na wylot ostrą włócznią. Na górę leciałam już, nie widząc stopni. Serce waliło głośniejsz niż moje kroki. Dłonie momentalnie zrobiły się mokre.

Przez wejście do wspólnego korytarza na ciemną klatkę padała smuga światła. Kilka kroków - i popchnęłam drzwi do mieszkania. Z łatwością się poddały. Początkowo zobaczyłam tylko świeże drewniane mięso wyrwanego zamka.

Potem znalazłam się po kolana w ładach i przedmiotach, które zaścielały podłogę w przedpokoju.

- O Boże! - usłyszałam głos Julii za swoimi plecami. Jej dłonie zakrywały twarz.

Widziałam już, co się wyrabia w pokojach. Otwarte szafy, wywalone szuflady, kupy porzucanych papierów, ubrania, pudełka, książki. Radosne twarze z rozsianych dookoła fotografii patrzyły na mnie jasnymi spojrzeniami, niczego nie podejrzewając. Rozsypane stopy bielizny. Wywrócona komódka z kosmetykami mamy, rozbite buteleczki perfum na podłodze. Notes ojca wypatroszony i brudny, rozdziawiony na literze „S”. Wymięty sweter brata, zaplamiony atramentem z jego kałamarza. Zeszyty zapisane jego koślawym pismem. Przewrócony mirt sterczał żałośnie korzeniami do góry, a na ich końcach drżały grudki ziemi. Ziemia w butach, na poduszkach i naczyniach. Brnęłam przez te ruiny z oniemiałym ciałem. Suczka starała się trzymać obok, dopraszając się uwagi, której jednak nie byłam w stanie jej poświęcić.

Od razu zauważyłam, że przede wszystkim brakuje obrazu. Miejsce, w którym wcześniej wisiał, ziało oślepiającą pustką.

Kabel od telefonu był wyrwany z gniazdka. Musiałam coś robić. Musiałam natychmiast jakoś to odkręcić. Nie chciałam, nie chciałam, nie chciałam, żeby wszystko było tak, jak się stało.

Kiedy zdarza się coś złego i potem to sobie przypominasz, to najostrejszy ból przenika cię, gdy przywołujesz momenty, które poprzedzały nieprzyjemne, straszne czy tragiczne wydarzenia - kiedy ty albo inni ludzie, niczego nie podejrzewając, beztrosko i lekko zajmowaliście się zwyczajnymi sprawami.

Na przykład kiedy w przedszkolu złamali mi rękę, dzielnie znosiłam ból i nie uroniłam nawet łezki, gdy pielęgniarka zakładała mi szyny i bandaże. Potem siedziałam na uboczu, skupiona i poważna, i patrzyłam na przywiązaną do szyi rękę. A kiedy weszła lekka i uśmiechnięta mama, kiedy wesoło otworzyła swoje ramiona, niczego się jeszcze nie domyślając, to zobaczywszy, w jak dobrym jest nastroju, momentalnie zalałam się potokiem łez.

Albo kiedy umarł dziadek, ojciec mamy - poinformowali nas o tym nad ranem, budząc straszliwym, przenikliwym telefonem - pamiętałam, że poprzedniego wieczoru oglądałyśmy z mamą film i jadłyśmy cukierki.

Teraz patrząc na zmaltretowany, rozpaczliwie rozdziawiony, bezbronny w swoim poranieniu dom, miejsce, w którym wcześniej można się było czuć bezpiecznie i spokojnie, w którym zawsze można było znaleźć pociechę, niezależnie od tego, co działo się poza jego granicami - patrząc na

dom, przypominałam sobie, jak jeszcze w taksówce przeczuwałam ciepło pościeli i czułą ciemność znajomych pokoi. Teraz to wszystko było niemożliwe. Nie mogłam sobie nawet wyobrazić, że będę w stanie jeszcze kiedyś tu przebywać, nie czując strachu, obrzydzenia, wstydu, nie myśląc o szybkich, łapczywych rękach, które obmacują mnie od środka.

Coś podobnego może czuć ostryga, kiedy jej mocną muszlę otwiera się specjalnym nożem. Ciemność i wilgoć, które spowijają różowy kawałeczek ciała, miały ją wiecznie ochraniać - a tymczasem do tej dobrze urządzonej, zadbanej śluzowatości wdzierają się nagle ostry nóż i jeszcze ostrzejsze światło. I co - czym zawiniła? Dlaczego nie mogła kontynuować swego istnienia, niewyszukanego i prostego, w całości utkanego ze śluzu i jodu?

Koło piątej rano zadzwoniłam do drzwi mieszkania Oli Szowczyk. Po dłuższej ciszy dało się wreszcie słyszeć jakieś szuranie, ostrożne kroki, szmery, i cienki zaspany głos zainteresował się: „Kto tam?”.

- To ja. Mieliśmy włamanie - poinformowałam ojca Oli, przetykając łzy.

Ola spała i jej nie budzili. Mama chciała zrobić mi herbaty, chciała nakarmić mnie wczorajszymi kanapkami ze smażonym mózdzkiem, chciała narzucić mi na ramiona coś ciepłego. Jej ojciec wezwał milicję i poszedł ze mną.

Na dworze było już jasno, pachniało świeżością i porankiem.

Długo wdrapywaliśmy się po schodach. Tata Oli ciężko dyszał i musiał się często zatrzymywać, żeby odpocząć. Potem chodził po pokojach, unosząc wysoko nogi, zaglądał we wszystkie kąty i kręcił głową. „Wiesz, co wzięli? - dopytywał się bezustannie. - Wiesz, co wzięli?”.

Po dwudziestu minutach poszedł. Milicja nadal nie przyjechała, ale on musiał porąbać mięso, zanim na dobre zacznie się upał.

Zostałyśmy w kuchni same z Julią. Milcząc, patrzyłyśmy na podłogę, otepiałe i wyczerpane. Suczka leżała przy moich nogach, zadzierając głowę i co jakiś czas merdając ogonem. W jej oczach widziałam lęk i pytanie. „A ty pewnie piszczałaś i lizalaś ich po rękach?” - powiedziałam do niej.

Nastawiła trójkąty uszu.

Milicjanci pojawili się po jakichś dwóch godzinach.

Z hałasem zwalili się do mieszkania - było ich siedmiu, albo nawet dziewięciu. Rozmawiając ze sobą głośno i szybko, rozproszyli się po mieszkaniu i zaczęli łązić po pokojach, tworząc jeszcze większy nieład. Biegałam tylko od jednego do drugiego, rozpaczliwie obserwując, jak kopią rodzinne fotografie, przewracają kilka ocalałych wazonów mamy, zaglądają jeszcze głębiej do szuflad i szaf. Na chwilę napełniła mnie mglista nadzieja: jeden z nich, siwawy, w

czystej koszuli, zdejmował z powierzchni mebli odciski palców. Nabierał na pędzelek jakiegoś proszku i pokrywał nim miejsca wokół klamek. Przypominało to przynajmniej jakąś pracę, obserwowanie jego działań mnie uspokajało.

Wygląd większości milicjantów, którzy weszli w mieszkaniu, nie budził szczególnego zaufania. Wszyscy mieli mętne i żółtawe białka oczu, zepsute zęby i brud pod paznokciami, od kilku nieznośnie zalatywało alkoholem, jeden miał podbite oko, innemu cały czas spadały spodnie, odsłaniając szarawe majtki z rozciągniętą gumką. Tłusty spocony typ z obleśnym wyrazem twarzy prześladował mnie słowami: „Oj dostanie ci się od rodziców, malutka!

Ale szkoda, że nie zobaczę, jak ci dadzą w skórę! Ech, jak ja bym chciał na to popatrzeć, moja ty słodziutka!”.

Najmłodszy z nich - mężczyzna z ludzką twarzą - jeszcze niezepsuty przez niebezpieczną pracę, zawołał mnie do drugiego pokoju.

- Co to za pieniądze? - pokazał pięć dolarów, które leżały na biurku.

Przez chwilę zdezorientowana patrzyłam na banknot.

Co to - żarty? Zostawili mi jakieś zielone? Potem do mnie dotarło.

- To brata, dostał na urodziny.

- I oni ich nie wzięli? - zapytał mnie porządny milicjant.

Tak, jakby nie wierzył własnym oczom i musiał zapytać, żeby się przekonać.

- No, widać nie wzięli - odpowiedziałam jakoś nieprzekonująco.

- A gdzie one wcześniej leżały? - zainteresował się milicjant.

- Właśnie tutaj, to znaczy tak mi się zdaje - powiedziałam.

- Co, tutaj, na biurku?

- Tak. Dokładnie nie pamiętam.

- W którym miejscu? Proszę uściślić.

- Nie pamiętam. No, mniej więcej tu.

- I tu zostały? - zapytał milicjant.

- Tak.

- I ich nie wzięli?

- Nie wzięli.

Chudy szybko zapisywał nasz dialog, wysuwając koniuszek języka.

- Zapisz - rozkazał mu porządny milicjant. - „Pięć dolarów, brat dostał je na urodziny...”. Od kogo? - zwrócił się do mnie.

- Od babci - odpowiedziałam.

- Pisz: „...od babci. Leżały na biurku, nie wzięli ich”. Zapisales?

- Zapisalem.

- Moze pani na razie odejsc - skinal na mnie milicjant z uczciwa twarza, od niechcenia kartkujac podręcznik do fizyki.

W przedpokoju natknelam sie na tlustego typu. Patrzył na prace frankowskiego malarza, która wisiała na ścianie przy wieszaku.

- A tego dlaczego nie wzieldi? - zapytal. - Ten z pokoju wzieldi, a tego nie.

- Nie wiem. Tamten obraz - wzruszyłam ramionami był stary.

- Drogi? - zainteresował się.

- Nie wiem. Wątpię.

- A to nie jest drogie? - wskazal na prace. Bylo na niej namalowane cos jaskrawego, okraglego, z okiem i nozkami.

- Nie wiem.

- A co tu jest napisane? - nachytil glowe, zeby przeczytac glono. - h-o-r-h-a. Horcha? Lorcha? Co to takiego?

- Nie wiem - powiedzialam.

- Nic nie wiesz, mala - skrzywil sie. - No, chodz do kuchni, spisemy twoje zeznania.

Z kuchni akurat wyprowadzali Julie. Usmiechnela sie do mnie smutno.

Na stole stala przepelniona niedopałkami popielniczka.

Z jakiegoś powodu podeszłam do niej, całym ciałem zasłaniając ją przed milicjantem, a potem ostrożnie wzieldam ją lewa ręką, usiadłam na stolku pod ścianą, opuściłam rękę i trzymałam popielniczkę między stolkiem a ścianą. Moja pozycja, nie było co do tego wątpliwości, wyglądała dziwnie i nienaturalnie. Poza tym czułam się strasznie spięta, uświadomiwszy sobie, że popełniłam nieprzemysłaną głupotę: kiedy ten facio zauważy, że chowam przed nim popielniczkę, zacznie się ze mnie naśmiewać i kpić, a potem wywnioskuje, że mam coś do ukrycia.

Ale on niczego nie zauważył.

Kilka pytań: kto był, kto nocował, po co, jak długo, kto przychodził („No, malutka i głupiutka, jeszcze byś na słupie ogłoszenie napisała: przychodźcie kraść, nikogo nie ma”), co robiliśmy, co piliśmy, kto z kim („No jak to - chłopcy, dziewczęta, wino, papierosy i nikt z nikim? No, opowiadaj!”), kim są moi znajomi, jak się nazywają, skąd się wzieldi, kiedy poszli („No tak, poszli wcześniej - a co robili w nocy?”), co było potem, dokąd jeździliśmy, kto nas zaprosił na dyskotekę, jak się nazywa, gdzie jest teraz, co robi...

Ktoś zadzwonił do drzwi. Poszłam otworzyć. - Żaden z milicjantów mi nie przeszkodził.

Na progu stała rześka Mucha.

- No i co porabiacie? Nie obudziłam was? - zapytała dźwięcznie.

- Mucha, idź do domu - powiedziałam jej szeptem. - Było włamanie. Tak czy inaczej wezwą cię jeszcze na milicję.

- A Chrystyna gdzie? - zapytała szeptem, gwałtownie blednąc.

- Nie wiem. To jakiś dom wariatów - kiwnęłam znużona i zamknęłam drzwi.

- Kto to był? - zapytał, wychodząc z kuchni, nieprzesadnie zainteresowany tłusty milicjant.

- Ktoś pomylił piętra - odpowiedziałam niezbyt pomysłowo.

Ale milicjant nawet nie uniósł brwi.

- Będziemy was przesłuchiwać na posterunku - powiedział. - Ale później. Wezwiemy was.

- Dobrze.

Kręcili się po mieszkaniu jeszcze ze czterdzieści minut, depcząc po książkach i bieliźnie. Potem wreszcie się wynieśli.

Cały następny tydzień ukrywałam się przed milicją u przyjaciół rodziców. Były też inne przyczyny, by nie zostawać w domu. Nawet po sprzątaniu (podczas którego wykryłam zniknięcie pięciu dolarów podarowanych bratu przez babcię w prezencie na urodziny) nie mogłam tam usiedzieć.

Wszystko, na cokolwiek spojrzalam, zdawało mi się brudne i zepsute, zdradzone i obce.

Czułam się winna wobec mieszkania. Nie mogłam w nim zostać, bo gryzło mnie sumienie. Tak jakbym zdradziła te rzeczy, książki, fotografie, wazon. Nie mówiąc już o tym, co zostało skradzione. Nie mówiąc już o Maryi z Jezusem - nie na darmo ledwie powstrzymywali łyżki: wiedzieli. Nie mówiąc już o prapradziadku, który malując ich, o czymś rozmyślał, pod wpływem zmiennych czy - przeciwnie - stałych nastrojów, w szczególnym stanie, który tak łatwo spłoszyć i naruszyć, prapradziadku, który nucił sobie pod nosem jakąś piosenkę i oblizywał pędzelek z farbą („Prawdziwi artyści zawsze oblizują pędzelek z farbą - mówił mi jego wnuk, mój dziadek. - To jedyne, co odróżnia prawdziwych artystów od fuszerów”). Nie mówiąc już o reszcie krewnych, którzy przez dziesiątki lat chronili płótno, jak mogli, ukrywając je w wilgotnych i niezbyt dla niego odpowiednich skrytkach, przez co bardzo się zniszczyło, popękało i wyblakło.

Jednak ponieważ od czasu do czasu rozmawiałam z Chrystyną, wiedziałam, że je cztery - Chrystynę, Julkę, Muchę i Tanie - codziennie ciągną na przesłuchania, że grożą im, krzyczą, tysiące razy każą opowiadać wszystko, co się wydarzyło.

- Zdaje się, że nas podejrzewają - powiedziała Chrystyna zmęczonym głosem. - Zośka, powiedz im, że nie mamy z tym nic wspólnego.

- Pewnie, że powiem! - zapewniałam ją gorąco. - To durnie! Co wy tu macie do rzeczy?

- Ale Wowa też nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała. - Ufam mu tak jak sobie. Jesteśmy przyjaciółmi!

Tak długo się znamy! Nigdy by mi czegoś takiego nie zrobił! Przecież go znam! To nie oni, Zośka!

Milczałam.

- Na pewno nie oni, słyszysz!

- Przesłuchują ich? - zapytałam.

- Chyba nie. Na razie nie mogą ich znaleźć. Staramy się nic o nich nie mówić. Wyjechali z miasta. Co ty, nie rozumiesz? Oni mają masę innych problemów!

- Nie no, rozumiem.

- Zośka, to nie oni! Słyszysz? Nie oni! - żarliwie krzyczała w słuchawkę.

Przez tydzień, który pozostał do przyjazdu rodziców, nie myślałam o niczym innym. Nocą nie mogłam spać, zasypiałam ze zmęczenia nad ranem. Ale nawet we śnie nadal myślałam o włamaniu. Nic mi się nie śniło. Po prostu śpiąc, zwiijałam nieskończone kłębki myśli.

To bez wątpienia był Wowa. Chłopcy mieli idealne warunki, wszystko samo wpadło im w ręce. Zaproszenie Chrystyny na jakąś nudną posiadówę do uczennicy w dzinsowej sukience na ramiączkach (Ha! A ja podsuwałam mu Mario Puzo, licząc, że zainteresuje go z zawodowego punktu widzenia). Nagle okazuje się, że mają nad czym popracować.

Robi się coraz ciekawiej. Chłopcy improwizują. Uczennica chętnie pomaga: oprowadza po mieszkaniu, daje im klucze, zostawia samych w pokoju, pozwalając sprawdzić zawartość szaf, komód i szuflad.

Wciąż i wciąż, do całkowitej zwałki, przewijałam w głowie rozmowę z Wową o piratach, moje nim zainteresowanie, moje wzruszenie jego, jak mi się zdawało, onieśmieleniem wobec mnie, takiej rozumnej, takiej odcytanej. Ha! Odcytanej! Piraci są zakłopotani i tracą dar mowy, napotkawszy na jednej z wysp przepiękną uczoną dziewczicę w długich szatach, która wymawia nieznanne im słowa i składa życzenia z okazji nieistniejącego święta (Urodziny! Jak czule składałam mu życzenia z okazji urodzin! A on najpierw się dziwi, a potem ukrywa uśmiech - o durna! Ale o urodzinach powiedziała mi Chrystyna - więc to był jej wymysł? Żeby zgodziła się na ich wizytę? Po co?). Porażeni niespotykaną urodą i mądrością dziewczicy, piraci wyrzekają się swej przeszłości i stają się dobrotliwi i łagodni, postanawiają żyć pod rządami pięknej niewiasty, która co wieczór czyta im na głos Ojca chrzestnego.

Wyobrażałam sobie ich porozumiewawcze mrugnięcia za moimi plecami. Widziałam, jak Tolik ogląda zamki, jak robi odcisk klucza - chociaż nie było to konieczne, zamki okazały się słabiutkie. Widziałam, jak badają wszystkie zakamarki, gdy dobrowolnie poszłam spać, jeszcze bardziej ułatwiając im zadanie.

Zaczynałam teraz rozumieć sens samochodowej przejażdżki. Trzeba nas było unieszkodliwić, w czasie gdy oni sprawdzali okolicę - klatkę, wyjścia na dach i drogi odwrotu. Aż ich zwolnili: „Chłopaki, wszystko w porządku, skończyliśmy, możecie zawieźć ptaszki do klatki” (przynajmniej tak to brzmi w filmowych komediach).

A więc jednak uciekli przez dach. Przy czym uciekli w ostatnim momencie, jakąś minutę przed naszym przyjściem. Świadczyła o tym nietknięta połowa pokoju, w której do przyścia milicji wszystko stało na swoim miejscu.

Dokładnie połowa pokoju była splądrowana, a dalej - półki z równo ustawionymi rzędami książek, pozamykane szafki, biurko, w którego szufladach leżały schludnie poskładane dokumenty.

Nie zdążyli, bo przyjechaliśmy. Któryś z nich obserwował wejście do klatki.

Widziałam, jak ciemność podwórka rozcinają żółte światła taksówki. Jak samochód podjeżdża pod klatkę i staje. Wychodzimy z niego z Julią, trzaskamy drzwiami i śmiejemy się. Podwórko kilkakrotnie wypełnia echo. Nawet nie podejrzewamy, że tam na górze jest teraz straszliwy kipsis z garniąją wszystko, co nawinie im się pod rękę, pokrzykują na siebie, wybiegają na schody, wchodzą dwa piętra wyżej, podają rzeczy komuś na górze (pomiędzy innymi przedmiotami jest tam wycięty z ramy i zwinięty w rulon obraz), potem wszyscy razem przechodzą po dachu do następnej klatki, spokojnie wychodzą, wsiadają do swojego samochodu i uciekają z miejsca akcji. A my stąpamy po ich ciepłych śladach.

Pewnej nocy przeszło mnie niewyraźne, ale palące wspomnienie: wtedy, kiedy wyrzucałam niedopałek z balkonu, zanim zgodziłam się pójść na dyskotekę (dlaczego Chrystyna właśnie tego dnia tak bardzo nalegała, żebym z nimi poszła? Czegoś mi nie mówi? Skąd oni wiedzieli, że nie będzie mnie w domu? Ktoś ich poinformował? Czyżby mnie śledzili?), omiotłam spojrzeniem podwórko. Co zapamiętałam? Światło zachodzącego słońca. Grupka gołębi przy ławce. Dziewczynka z plecakiem. Kot wyskakujący z pojemnika na śmieci. Dudniąca skądś głośno muzyka. I jeszcze coś... Coś niezwykłego. A raczej zwykłego, ale będącego nie na swoim miejscu. Przypominam sobie szary samochód z ciemnymi szybami stojący w kącie podwórka - daleko od mojej klatki, daleko od którejkolwiek z klatek, w najdalszym zakątku, z którego jednak wszystko doskonale widać. Nikt tam nigdy nie parkował, myślałam, czując, że trochę przebieram miarę (Czyżbym była pewna, że nikt tam nigdy nie stawia samochodu? Tak mi się zdawało. Nic więcej. Ale czemu zwróciłam na niego uwagę? Coś było z nim nie tak? Zamknięty i głuchy, z przyciemnionymi szybami. Czuć w nim było czyjąś obecność. Czyjeś uważne oczy. Czy mam manię prześladowczą? Dlaczego czułam taki niepokój przez te wszystkie dni? Jakby powoli smażyli mnie na patelni. Przeczucie? A może dyskomfort spowodowany czyimś spojrzeniem

wlepionym prosto w plecy?). To byłoby logiczne. Ten, kto siedział w samochodzie, wiedział dokładnie, kiedy wychodzę i kiedy wracam. Patrzył na mnie, mówił o mnie i myślał, a ja szłam, rozmawiałam, śmiałam się - o niczym nie wiedząc. I teraz mogę się tylko domyślać, kto to był. Chociaż prawdopodobnie i tak go nie znam. Skąd w takim razie wiedział, że oddalam się na dostatecznie długo, by można się było włamać? Trzeba było poczekać, aż sąsiedzi pozamykają swoje mieszkania na noc, aż wszystko się uspokoi, aż można będzie działać mniej więcej otwarcie. A zatem wiedzieli, że wychodzę na długo. Skąd? Ktoś miał mnie zatrzymać? Kontrolować? Ktoś przekazywał im, gdzie jestem i czy nie wybieram się do domu? Ktoś, kto też był na dyskotecce.

Sławik? Tania? Julia? Mucha? Chrystyna?

Dokąd i z kim pojechała Chrystyna? Co robiła przez całą noc?

Dlaczego Tania cały dzień była smutna i zmartwiona?

Coś ją wyraźnie niepokoiło. Wyglądała na przygnębioną. Jakby zmuszano ją, by robiła coś, na co nie ma ochoty.

Gdzie się potem podziała?

Wśród ukradzionych rzeczy było kilka flakoników francuskich perfum mamy, napoczęte słoiczki z kremami, szminki, ołówki, tusze. Jaki mężczyzna brałby te rzeczy? Po co? Dla swojej dziewczyny? Czyżby włamywacze myśleli o swoich kobietach podczas kradzieży? Skąd mężczyzna wiedziałby, które kosmetyki są lepsze, a które gorsze? To był nad podziw subtelny mężczyzna. Dobrze zorientowany w najnowszych trendach mody.

Julia była całą noc ze mną. Razem przyjechałyśmy do domu, razem weszłyśmy do klatki i do mieszkania. Kiedy byłam wesoła i beztraska, ona też sprawiała takie wrażenie.

Potem wyglądała na naprawdę przestraszoną. Udawała?

Mucha przyszła rano, kiedy w domu kotłowało się od milicjantów. Czyżby się tego nie domyślała? Kto zresztą lepiej od niej znał wszystkich tych piratów? Powinna była słyszeć jakieś rozmowy, urywki rozmów, jakieś aluzje (na przykład: „Wieź ptaszki do klatki”). Jeśli tak, to po co narażała się na niebezpieczeństwo? Żeby odwrócić uwagę?

Tania w końcu się nie pojawiła. O niej Chrystyna wcale nie mówi. Nie były bardzo bliskimi przyjaciółkami. W ogóle nie rozumiem, skąd się ta Tania wzięła. Trzeba będzie zapytać, czy ją też przesłuchują.

Od tamtej pory, wracając do domu, zawsze rozglądałam się, czy nie stoi gdzieś szary samochód z przyciemnionymi szybami. Ani razu go nie widziałam. Nigdy. Ani tydzień później, ani miesiąc, ani rok. Nigdy więcej nie widziałam tego szarego samochodu z przyciemnionymi szybami.

Z czasem coraz bardziej wątpiłam w siebie, w swoje wspomnienia. Zdawało mi się, że zaczynam przypominać sobie mnóstwo rzeczy, wiele podejrzanych momentów. Początkowo wspomnienie było niewyraźne i rozmyte, nie mogłam nawet opowiedzieć go słowami, ale z wolna się rozjaśniało, uwypuklało i wylaniało z mojej świadomości, stając się coraz ostrzejsze i pełniejsze. W końcu mnie przeraziło: jak mogłam nie przypomnieć sobie tego wcześniej? Gdzie to było? W jakiej części mózgu? I co działo się ze mną wtedy, kiedy się to stało?

Zresztą, gdy wspomnienie stawało się jaskrawsze od innych, zaczynałam wątpić, czy można uważać je za realne.

Może mi się to przyśniło? Nad ranem, kiedy zapadałam w sen, spałam jak zabita.

Pamięć to dziwna rzecz. Kiedyś przez całą noc rozmawiałyśmy z przyjaciółką o różnych wydarzeniach z naszego życia. Omówiłyśmy chyba wszystko - każdą sekundę z jej i mojego życiorysu. I nagle ona złapała się za głowę.

„O Boże, przypomniałam sobie! - krzyknęła. - W ogóle tego nie pamiętałam, nie było nawet cienia, nawet śladu!

Jak to możliwe? Teraz przypominałam sobie jasno i wyraźnie. O Boże!” Przypomniała sobie, jak kiedyś - miała wtedy cztery lata - gdy bawiła się sama na podwórku, podszedł do niej młody mężczyzna i poprosił, żeby poszła za nim. Posłuchała go. Zaprowadził ją do piwnicy, na podłodze ułożył kawałki kartonu - tak dobrze wszystko pamięta: karbowane kawałki kartonu, jego przekrzywiona szara marynarka - i poprosił, żeby położyła się na nich na plecach. I właśnie tak zrobiła. Wtedy mężczyzna położył się na niej - ostrożnie, żeby nie sprawić jej bólu. „Powiedz, że mnie kochasz” - poprosił. „Nie chcę” - odparła. „No proszę, powiedz, że mnie kochasz!”. „Kocham cię!” - powiedziała i zaczęła płakać. Wtedy ją puścił.

Pamięć chowa w najdalszych zakątkach wspomnienia, na które nie chce się natykać. Tak jakby nigdy nie było wydarzeń, które zostały w nich utrwalone. Ale jak to się dzieje?

Czy wasza fizyka może to wyjaśnić?

Zauważyłam na brzuchu dziesięć ciemnofioletowych plam. Cztery z jednej, cztery z drugiej strony i po jednej trochę dalej i niżej od pozostałych. Skąd się wzięły? Co to jest? Jakaś choroba? Przeraziłam się.

Po kilku dniach plamy zaczęły zmieniać kolor. Robiły się miejscami zielonkawe, obok - pomarańczowe, fioletowy jaśniał, stawał się różowy. W końcu zrozumiałam, że to siniaki. Ale skąd?

Zakręciło mi się w głowie. Przypominało to szaleństwo.

Niemal fizycznie czułam, że zaczynam świrować. To jakby tracić równowagę, ziemia usuwa ci się spod nóg - i nie możesz nic na to poradzić, chociaż masz całkowitą pewność, że kawałek dalej grunt jest twardy i pewny, że nie może tak po prostu wziąć i się spod ciebie wyślizgnąć.

Kiedyś stojąc nago przed lustrem w łazience, wzięłam się pod boki. I wtedy do mnie dotarło! To siniaki po palcach rąk! Dokładnie po cztery tu i cztery tam, a po drugiej stronie - odciski kciuków.

Ale czyich? Nie pamiętam, żeby stało się ze mną coś, po czym mogłyby zostać takie ślady. Człowiek, który to zrobił, musiał mieć bardzo silne ręce. Jak mogłam nie zauważyć tego, że jakieś silne ręce łapią mnie w pasie?

Pomału przypominałam sobie o Tani. O tym, jak kiedy chciałam iść spać, złapała mnie i rzuciła na łóżko, jak dyszała mi w ucho, jak lizała mnie po policzku. Teraz wyraźnie to sobie przypominałam. Przypominałam sobie, że mnie zabolalo. Dlaczego tak długo szukałam odpowiedzi na tak proste pytanie? No tak, jestem teraz trochę zmęczona. To chyba normalne.

W ciągu kilku następnych dni trochę mi ulżyło. Rodzice mieli lada chwila wrócić. Zanosilo się na to, że jednak nie dostanę w skórę. Ich przyjaciele, u których mieszkalam, pocieszali mnie na wszelkie możliwe sposoby. Zaczęłam nawet normalnie zasypiać.

Którejś nocy obudziłam się nagle z kroplami zimnego potu na czole, zupełnie mokra i gorąca między nogami.

W moim rozbuchanym mózgu jedno po drugim, wypierając wszystko, co było tam wcześniej, zaczynały pęcznić nowe wspomnienia.

I dokładnie pamiętałam, jak to było: mieszanka mocnej wody kolońskiej, tytoniu i wina, czyjeś ręce chwyciły mnie z całej siły, ktoś przycisnął się do mnie od tyłu, ale ja nie protestowałam, sama przebierałam nogami w stronę łóżka. Tam w całkowitej ciemności ogarnął mnie strach, skończyło się powietrze, skuliłam się i mocno zamknęłam oczy, i całkowicie znieruchomiałam, udając trupa. O moją twarz tarła skóra szorstka jak papier ścierny. Wargi były twarde i chropowate, znosiłam je, ale odsuwałam głowę, dyszano mi żarem w ucho i szeptano: „Cicho-cicho... ja tylko troszkę... troszeczkę”.

W tym momencie z sąsiedniego pokoju doleciało zachryple: „La-la-la! Tra-la-la-la!”.

Gorący język rozmazywał ślinę po mojej szyi, po policzku. Leżałam na wznak, oniemiała, otepiała i przestraszona.

Brzęknęły sprzączki sukienki. Spocona dłoń złapała mnie za rękę i dokądś mi ją pociągnęła, poczułam palcami naprężony, ciasno obciągnięty skórą organ. Kiedy go dotknęłam, poczerwieniałam ze wstydu. Pachniało czymś ostrym, może moczem.

„No chodź, chodź” - dalej śliniono mi ucho. W ciemności zobaczyłam, że nachylił głowę i wpatrywał się tam, gdzie krzyżowały się nasze ręce. Próbował zobaczyć swój korzeń w moich palcach.

Kiedy wszystko to wymalowało się w mojej głowie, mechanicznie zacisnęłam dłoń i wsłuchałam się w jej pulsowanie. Kciukiem wodziłam, zdaje się, w górę i w dół po szerokiej, wypukłej żyłę.

W bierności, tak jak i w przymusie, jest zresztą coś upajającego i wabiącego. Kiedy twoją rękę z owalnymi, krótko obciętych paznokciami, ktoś kładzie sobie na jajach (których chłodna, obwisła skóra porośnięta jest rzadką sierścią). Kiedy ktoś wciska cię całym ciężarem ciała w przeszkodę, nie dając ci się ruszyć, a nawet odetchnąć. Kiedy przygniata twoją głowę do wygiętego, błyszczącego kołka z pękniętą główką. Kiedy rozsuwa ręką nogi i zapuszcza palce w skuloną ciasnotę.

(I w tym wszystkim jesteś właśnie taka - te nieobcięte skórki, to zgrubienie nad samą pupą, przypominające malutką poduszczkę, te wydęte, wiecznie z czegoś niezadowolone wargi. Infantylna i bierna. W każdej chwili gotowa się rozbeczeć. Żądasz, żeby wszystko było zaraz, natychmiast. Dajesz, kiedy się od ciebie żąda. Sama wstydzisz się poprosić. Czekasz, aż to, czego pragniesz, spadnie ci na głowę. Łaskawie pozwalasz innym dbać o siebie, robić za ciebie wszystko - że niby tak powinno być. Zakochana w sobie i leniwa. Uważasz się za najlepszą i tylko nie wiesz w czym. Obrazić kogoś - to dla ciebie jak splunąć, ciężko szlochasz natomiast, kiedy słyszysz o sobie coś, co nie bardzo ci odpowiada. Z łatwością stawiasz na wszystkim krzyżyk. Z łatwością wracasz do zwyczajnego stanu. Śmieszna, pretensjonalna, zagubiona, bezradna.

Z malutkimi uszkami, z cienkimi nadgarstkami. Ohydne, nikczemne, rozpieszczone dziecko z palcami w szczelinie warg sromowych).

Potem ręce trzymały moją głowę, kiedy otaczałam organ pianistą błonką śliny. Językiem znalazłam malutkie wgłębienie w czapeczce i polaskotałam je. Powierzchnią rozpląszczonego języka, wypuszczając jak najwięcej śliny, zaczęłam wykonywać szerokie, niespieszne pociągnięcia. Łyknęłam zbyt głęboko, gardło mi się ścisnęło - zeskokczyłam, zamarłam na szczycie, ledwie dotykając wargami i starając się zapuścić koniuszek języka pod skórę.

Kiedy wstyd i przerażenie przeleje się przez krawędź, w zasadzie zaczyna być wszystko jedno, co i jak się robi.

Można zachowywać się bezwstydnie, można się poniżyć i upadać nisko. Można w końcu pozwolić sobie na mnóstwo uczynków, o których wcześniej strach było pomyśleć.

Ocierałam się wzgórkami łonowymi o jego łydkę. Zbyt mocno ścisnął mi piersi, wgryzł się zębami w sutek - jęknęłam z bólu, odsunęłam jego ręce.

Otworzyły się drzwi do pokoju. W szerokiej smudze światła malowała się ciemna postać. Przez oddech i rytm przebijał się głos i śmiech. Znow zapadliśmy w ciemność, tymczasem palec całkowicie zanurzył się w soku. Rozczulone cierpkie łaskotanie rozchodziło się w dół po szeroko rozrzuconych nogach, w brzuchu i kroczu było coraz bardziej upalnie. Bardzo łatwo, niemal bez żadnego tarcia, ledwie się dotykając, rozpalone kawałki ciała jątrzyły się nawzajem, ślizgając się po warstwie pachnącego śluzu. Łechtaczka nabrzmiała, stała się łatwiej wyczuwalna pod palcami.

Dłoń dotknęła jakichś zakończeń nerwowych - po kręgosłupie przebiegł nieprzyjemny impuls.

Wypinam miednicę do przodu. Nogami obejmuję ciepłe kosmate uda. Jestem wgnieciona w łóżko. Moja twarz jest wciśnięta w poduszkę. Palce prześlizgują się między pośladkami, po delikatności, napęcznieniu i ciepłym śluzie, bezbłędnie znajdują pożądaną szczelinę.

Uparty klin przeciska się pomiędzy moimi udami. Ręce znow mocno ściskają talię. Nasadza się na mnie i miażdży trochę za szybko, zaczynam się opierać, napinam mięśnie.

W ustach cierpnie od smaku obcego potu, krople staczają się po plecach i ramionach.

Nie ma czym oddychać. Głowa głucho stuka o ścianę.

Płaskie piersi i łono nacierają na plecy i tyłek. Mokre pośladki z kłaśnięciem przyklepiają się do brzucha. Trochę łaskocze.

Kilka palców wciska się między rozchylone napuchnięte wargi. Gdzieś w tej pianie zagubiła się łechtaczka, twarda jak pestka wiśni. Łagodna jak wiśnia. Szeroko otwieram nogi. Jak najszerszej. Tak szeroko, żeby stać się po prostu absolutnie równą płaszczyzną, po której sączyłby się sok, jak z naciętej brzozy.

W głowie tumanią zapachy - czy to przejrzalości, czy rozkładu. Zapachy mchu, grzybów, zwiędłych liści, nagrzaných w piasku rapan i wodorostów. Miąższ z rozdartego mięsa polanego sosem z dobrze odstanych, skwaśniałych wydzielin.

Co robić, kiedy na jedno wydarzenie nakłada się kilka wspomnień? Które z nich są prawdziwe, które najbardziej wiarygodne? Może trzeba z tego skorzystać i wybrać to, które najbardziej się nam podoba? Albo wyrządza najmniej szkody?

Ale które? I skąd wiedzieć, co przyniesie więcej szkód: pamięć czy zapomnienie?

Posterunek milicji znajdował się na niewielkiej, prawie wiejskiej uliczce - zresztą niedaleko domu, do którego przywieźli nas podczas naszej przejażdżki samochodem Tolik ze Sławikiem.

Prowadzono mnie i rodziców przez korytarz, w którym śmierdziało szarością i kielbasą. Ściany do połowy pokryte były farbą olejną koloru morskiej fali, dalej, aż do sufitu, łuszczył się

szary tynk. Granica między nimi wyznaczona była wąską, miejscami niezbyt równą smugą jasnego fioletu.

Minęliśmy pomieszczenie, w którym za półprzymkniętymi zakratowanymi drzwiami moje przyjaciółki żartowały z milicjantem.

- Zośka! - krzyknęła Chrystyna. Zdażyłam jej tylko pomachać i pokazać, że muszę iść, ale niedługo się zobaczymy.

Rodzice szli przodem, ja zostawałam o krok z tyłu. Kierowaliśmy się do gabinetu naczelnika.

Ktoś złapał mnie za rękę. Zatrzymałam się. Rodzice usłyszawszy, że moje kroki nagle ucichły, odwrócili się.

- Musimy przesłuchać państwa córkę - powiedział krępy milicjant wyglądający na znudzonego.

- Będziecie ją przesłuchiwać przy nas - odpowiedzieli surowo rodzice. - A teraz idziemy do naczelnika.

- Czego przy was? - wzruszył ramionami milicjant. Żadne przy was. I tak przesłuchać trzeba.

- Później przesłuchacie - powtórzyli rodzice jeszcze bardziej surowo. Stanęli wtedy po obu moich stronach i poprowadzili mnie schodami na górę. Skądś dobiegały przenikliwe kobiece wrzaski i głuche uderzenia. Zgarbiona baba, zamotana w czarną chustkę jak muzułmanka - nawet nos i usta miała ukryte pod tkaniną - rozmyślała szmatą błoto po podłodze. Zerknęła na nas gościnnie i odskoczyła na bok, by zrobić nam miejsce.

Naczelnik siedział za biurkiem i jadł barszcz z dwulitrowego słoika.

- Proszę, proszę - przywitał nas życzliwie i szerokim gestem wskazał dwa wolne krzesła naprzeciwko biurka, jednocześnie wycierając wąsy. Zostałam pod ścianą.

W gabinecie naczelnika było niemal pusto, nic poza biurkiem, krzesłami i starą lakierowaną szafą z wypaczonymi drzwiami. Z parapetu smutno zwisały skrzydła popularnego w mieszkaniach obywateli naszego miasta kwiatka.

Biurko zasłane było papierami.

- No co? - zapytał naczelnik i odstawił słoik z barszczem (gęstym - zostawiona w nim aluminiowa łyżka nawet nie drgnęła) na podłogę przy biurku. - No co? - powtórzył i popatrzył na rodziców.

Przez chwilę panowała cisza. Potem naczelnik gwizdnął.

Gwizdał długo i pięknie, i ja, przenosząc spojrzenie z niego na zakratowane okno (dlaczego w gabinecie naczelnika milicji w oknie są zamontowane kraty?), za którym bujnie zieleniło się drzewo, przypomniałam sobie, że zaczyna się lato, a latem wszystko jest bez troskie i wesołe.

Wtedy naczelnik wykopał ze sterty papierów teczkę z napisem „sprawa N”.

- To jest państwa sprawa - powiedział, otworzył teczkę i zabrał się do czytania. Lektura była, zdaje się, pasjonująca: naczelnik co kilka minut energicznie przekręcał głowę w lewo, od czego chrząściło mu w szyi, brał głęboki oddech, potem głośno wypuszczał powietrze, chrząkał, prychał, cmokał, chichotał, burcząc pod nosem: „Aha! A tak to! O to chodzi! Ha! Pewnie! Oczywiście, oczywiście... A to co? Za-pro-si-ła. A to? Prig-ła-si-ła. Hm! No tak! Masz ich inteligencji!”.

Wreszcie zamaszystym ruchem zamknął teczkę, pragnąc chyba osiągnąć porażający efekt zatrzaśnięcia, jednak teczka była za cienka, żeby gest wyszedł jak należy.

- Wszystko tu jest proste i jasne - poinformował. - Tyle że niczego nie znajdziemy.

- Dlaczego? - osłupieli rodzice.

- Dlatego - naczelnik skrzywił się sarkastycznie, oparł łokcie na biurku, splótł dłonie i oparł na nich podbródek.

- Inaczej mówiąc: co było, zginęło - dodał. - Wszystko już wywiezione, pochowane, rozdrobnione, rozebrane na części, przetopione, pieniądze wzięte i przepite. Szukaj wiatru w polu, jak to mówią.

I znów zagwizdał. Potem przemówił dalej:

- Możemy wam na przykład przywieźć mikrofalówkę.

I powiedziec: „Znaleźliśmy państwa mikrofalówkę”. A państwo na to: „Przecież nie ukradli nam mikrofalówki!” A ja skąd mam wiedzieć, co wam ukradli, a czego nie? - zmrużył prawe oko.

- Nie mieliśmy mikrofalówki! Przecież ma pan listę ukradzionych rzeczy! - przypomnieli mu rodzice.

- Ech, lista... - pokręcił głową naczelnik, demonstrując w ten sposób, jak trudno mu rozmawiać z tak beznadziejnymi, niezorientowanymi ludźmi. - Lista! Takie tam. Nie mogę dowierzać liście. A jeśli przywożę państwu mikrofalówkę, o której nawet nie mieliście pojęcia, a wy na to:

„Oj, nasza mikrofaloka!” - to przywłaszczycie sobie mienie, które należy do innych obywateli. A ja co?

- Co to ma do rzeczy? - nie wytrzymali rodzice. - I po co nam pańska mikrofalówka?

- Ja wcale nie mówię, że jest wam potrzebna - uspokajał ich naczelnik. - To tylko tak, dla przykładu. Do czego zmierzam... komputerów nie mamy. Nasze komputery to dwie ręce, dwie nogi i motorek po środku. Nie to, co u niektórych obywateli - z przyganą zerknął na rodziców.

- Więc proszę zrozumieć, szanse są mniej więcej zerowe - autorytarnie oświadczył naczelnik. - A teraz muszę powiedzieć państwu coś w tajemnicy - jego twarz nabrała uroczystego, niemal tragicznego wyrazu. Machnął na mnie ręką:

- Dziecinko, wyjdź na minutę, powiem coś obywatelom, a potem wejdiesz.

Posłusznie wyszłam i zatrzymałam się przy balustradzie, wychyliłam się przez nią i spojrzałam w dół. Na parterze stał znudzony milicjant i patrzył prosto na mnie.

- No chodź, chodź! - zawołał.

Szybko się cofnęłam i przycisnęłam do ściany.

- Schodź, schodź, widziałem cię! - milicjant nie dawał za wygraną. - Chodź, chodź! No przecież nie będę po ciebie wchodzić!

„A dlaczego? Mógłby wejść” - pomyślałam, schodząc po schodach i starając się zachować rażny, rozluźniony i pełen wyższości wyraz twarzy.

- A dlaczego? Mógłby pan wejść - powiedziałam, podchodząc do niego.

Spojrzał tylko na mnie w milczeniu i poprowadził dalej. Znow minęliśmy pokój z dziewczynami. Mucha, wypinając tyłek i pożądliwie się uśmiechając, wystawiała usta z papierosem w kierunku młodzieńczego pracownika organów ścigania, któremu drżały dłonie.

- Zośka! - krzyknęła do mnie Chrystyna. Rozłożyłam ręce i poszłam dalej, za błękitnymi plecami mojego przewodnika. Kobięce krzyki, których przez jakiś czas nie było słychać, odezwały się ponownie, ale teraz brzmiały skazańczo i beznadziejnie.

Znaleźliśmy się w wielkim pokoju z kilkoma biurkami z jasno lakierowanych płyt pilśniowych. Z sufitu zwisała goła, biała żarówka, która migotała, błyskając jasno, to znow prawie gasnąc. Wtedy pokój ogarniał mrok - tę część wewnętrznego podwórka porastał stary zapuszczony sad, i drzewa, przyciskając się do okien, całkowicie je zasłaniały.

Wewnątrz szklanej bańki zwijał się rozżarzony drucik.

- Siadaj tutaj - znudzony milicjant flegmatycznym gestem wskazał połamane krzesło, które niegdyś pomalowane było na zielono.

Ponieważ w zasięgu wzroku nie było żadnego innego miejsca, by usiąść, skorzystałam z propozycji. Teraz musiałam ciągle napinać mięśnie nóg, by utrzymać się na krześle i przypadkiem nie wykopyrtnąć się na bok.

Przy otwartym oknie stał jeszcze jeden osobnik - suchy, drobny, pomarszczony, z ciemną, niemal brązową skórą i rzadkimi, tłustymi włosami, na których zostały równe bruzdy po grzebieniu. Osobnik palił przy oknie, zbliżając swoją napiętą twarz o ostrych rysach do krat, i wydmuchiwał dym przez wybrany prześwit pomiędzy żelaznymi prętami.

- No, proszę opowiadać, co się zdarzyło - polecił znudzony milicjant, kartkując lokalną gazetę.

Opowiedziałam. Znudzony czytał w tym czasie artykuł o problemie nielegalnego handlu, a Nerwowy palił papierosa za papierosem, od czasu do czasu wydając z siebie niezbyt głośne, ale za to groźne chrząknięcia.

Gdy kończyłam opowiadać, poczułam, że bolą mnie nogi.

I to było nieprzyjemne. Natomiast ze swojej opowieści byłam bardzo zadowolona - udało mi się utrzymać lekceważący i bezczelny ton, za pomocą którego chciałam zademonstrować milicjantom, jak bardzo góruję nad nimi pod względem moralnym. Rozpierała mnie duma - byłam pewna siebie, dowcipna, ironiczna. Milicjanci powinni czuć się po prostu zmiażdżeni.

Przez jakiś czas w pokoju panowała cisza, tylko Znudzony dalej szeleścił gazetą. Z artykułem o nielegalnym handlu zasadniczo się zgadzał. Zaczęły mnie boleć policzki - nie tak łatwo utrzymywać na twarzy zwycięski uśmiech.

Nerwowy odwrócił się plecami do okna, ale nie patrzył na mnie.

- A która z dziewczynek dała cynk? - wycedził.

- Proszę? - zapytałam. I niespodziewanie dla samej siebie wyszczerzyłam się i niewiele myśląc, palnęłam: - Co za cynk, a może miedź?

Nerwowy machnął ręką. Popiół z papierosa spadł mu na buta. Potrząsnął nogą i z całej siły walnął nią o kaloryfer.

- Ja ci zaraz, kurwa, požartuję! - krzyknął.

Poczułam, że się czerwienię. W uszach szumiało.

- Bardzo proszę, niech pan na mnie nie krzyczy - wydusiłam (cicho, niemal szeptem, starannie ukrywając drżenie głosu - a jednak poczucie własnej godności udało mi się podkreślić).

W ciągu sekundy, podczas której jego oczy zalała krew, a on sam niczym wij zaczął szukać mnie wzrokiem po pokoju, zdążyłam pożałować swojego lekkomyślnego zachowania. Trzeba było pociągać nosem i pokornie kiwać głową, trzeba było powtarzać, że jestem głupia i nikczemna, trzeba było zwałać winę na wszystkich po kolei i zalewać się łzami.

Czując zagrożenie, nawet Znudzony oderwał się od swojej gazety i spojrzał pytająco na Nerwowego.

- Ja na ciebie zaraz, kurwa, nie tylko pokrzyczę! - wydarł się Nerwowy, jego usta otwierały się nieprawdopodobnie szybko i szeroko, a wylatujące z nich dźwięki mogłyby łamać gałęzie drzew. - Zaraz ci wszystkie kości połamię!

I jeszcze mi podziękujesz, zarazo! Co ty sobie myślisz, że dla zabawy tu przyszedłeś? Przedszkole, żłobek, tak? Myślisz, że na milicji nikt nie ma nic do roboty i może tracić czas na

takie idiotki jak ty, co siedzą i się szczerzą, i myślą, że są najmądrzejsze na świecie? Zaraz ci pokażę, kto tu jest najmądrzejszy! Nogi ci z dupy powyrywam, pysk ci zatkam, ja cię nauczę mówić! Co, ładnie gadać umiesz? To cię zamknę w areszcie, będziesz tam sobie ładnie gadać z żułami i kurwami! Będziesz sobie, zarazo, z nimi żartować! Co ty sobie myślisz, z rodzicami przyszła, kuprem zakręciła i zadowolona? A ja ci, kurwa, udowodnię, że ty sama im to swoje mieszkanie nadałaś! Wiesz, ile ja w życiu widziałem takich jak ty? I wszystkim im karki połamałem, teraz chodzą u mnie, kurwa, jak w zegarku! Przecież ja cię na wylot przejrzałem! Ślicznotka, kurwa! Jeszcze raz zobaczę, że się śmiejesz, a będziesz zęby do końca życia zbierać!

Wypluł coś wielkiego i zielonego, co głośno chlapnęło o podłogę przy jego nogach. Potem znów odwrócił się do okna i spróbował zapalić papierosa. Ręce mu się trzęsły, a zapalniczka nijak nie chciała wykrzesać ognia.

- No spokojnie, spokojnie, nie trzeba się denerwować łagodnie przemówił do mnie Znużony, odkładając na bok gazetę i splatając dłonie na piersi. - Trzeba spokojnie pomyśleć, normalnie wszystko opowiedzieć. Będziesz składać zeznania na piśmie, dobrze? - podszedł i pogłaskał mnie po ramieniu.

Skinęłam twierdząco. Znużony podszedł do drzwi i gestem przywołał mnie do siebie.

- Żarciki, kurwa - syknął Nerwowy, kiedy zamykałam za sobą drzwi.

W końcu trafiłam do pomieszczenia, w którym siedziały dziewczyny. Oprócz nich na fotelu w kącie spał poszarpany, zachlapany krwią chłopaczyna. Zalatywało od niego wódką. Twarz i ręce miał poznaczone siniakami i skaleczeniami. Jego lewy nadgarstek był przykuty kajdankami do rury od kaloryfera. Chłopiec był bosy. Spokojnie sapał, od czasu do czasu stukając potylicą o ścianę.

Dziewczyny, tak jak ja, składały pisemne zeznania. Mucha flirtowała z młodym kłapouchym milicjantem.

- A słowo „malinka” może być? - zapytała go.

- Co? - przestraszył się ten biedak.

Mucha zsunęła golf z szyi i zademonstrowała chłopcu wielki fioletowoczerwony ślad. Milicjant odwrócił wzrok, a po chwili cały się odwrócił i gdzieś sobie poszedł.

- Codziennie nas tu ciągną - powiedziała Chrystyna.

- Tak jakbyśmy coś wiedziały - wydeła wargi obrażona Julia.

Zapytałam o Wowę.

- O, ten koleś - Chrystyna kiwnęła głową w kierunku drzwi, dając mi do zrozumienia, że ma na myśli milicjanta, który je pilnował - obserwuje ich w „Ura”. Ale niczego nie mogą im zrobić, nie ma podstaw do zatrzymania. Chociaż wzywali ich na przesłuchanie.

Spojrzała mi w oczy, ciężko westchnęła i powiedziała:

- Zośka, to nie oni. Pytałam Wowę, prosiłam go: „Powiedz mi prawdę, to wy zrobiliście?”, a on mi na to: „Jak możesz tak myśleć! Jak mógłbym tak z tobą postąpić! Jak bym wiedział, kto to zrobił, sam bym na niego doniósł!” To nie on, Zośka, serio!

Wyobraziłam sobie młodego milicjanta na dyskotecę. Jak się maskuje, pije piwo, gapi się na laski. A wszyscy wokół i tak wiedzą, kim jest, i czasem się do niego uśmiechają, a czasem potrącają, niby niechcący, czasem znów dla żartu częstują go koktajlem „Seks na plaży”.

Tania pachniała znajomymi perfumami „1881”. Takie same miała mama.

Przypominało to najlepszą lekcję w moim życiu - kiedy piszesz ostatnią klasówkę, chociaż wiesz, że już nikt nie będzie jej sprawdzał, bo stopnie są dawno wystawione i wszyscy słodko mrużą oczy w przeczuciu wakacji. Słońce waliło w okna przez liście (i kraty). Śpiewały ptaki. I tylko od czasu do czasu nerwowo się wzdrygałam i z jakiegoś powodu drętwiała mi prawa noga.

Trzymali nas tam niemal cztery godziny. Razem zapisałyśmy cały stos papieru. W trakcie pisania rozmawiałyśmy o dzinsach, kolczykach, farbach do włosów, pozycjach seksualnych, o psie, którego zabił samochód, o klinikach weterynaryjnych, o losie Wiki Macało, która w zeszłym roku wykradła z pokoju nauczycielskiego dziennik naszej klasy, o tym, kto chce dokąd wyjechać i ile zamierza mieć dzieci, i o psychopacie, który obcinał swoim ofiarom nosy i uszy, i o koleśiu, który spał przykuty do kaloryfera (Mucha znalazła piórko i zaczęła łaskotać go w nos; koleś otworzył oczy, prychnął, obrzucił nas wzrokiem i znów zasnął), i o wielu innych nie mniej ciekawych rzeczach.

Przez cały ten czas rodzice czekali na mnie na dworze, przed wejściem na posterunek. Nie wpuszczono ich z powrotem do budynku.

Stara sprzątaczką, która kolejny raz myła klatkę schodową, nie zmieniawszy ani razu wody, powiedziała im:

- Będziecie tu długo czekać. Ojoj... żeby chociaż na jutro wypuścili. Lepiej idźcie, jedzenia jakiegoś przynieście.

Ktoś mi powiedział, że Chrystyna Szczubra urodziła niedawno drugie dziecko. Też chłopca. Mąż przysyła jej pieniądze z Rosji. Przez cały ten czas spotkałam ją tylko raz.

Pchała przed sobą wózek. Kiwnęła mi po prostu głową.

Ktoś mówił, że blondynka Julia, matka chrzestna starszego syna Chrystyny, olała wszystko i szuka sobie męża.

Ktoś poinformował, że był na imprezie z bardzo grubą blondynką („Miała nawet podwójny podbródek!”), która demonstrowała taniec brzucha i wygadała się, że kiedyś mnie znała.

Olę Hreczkę spotkałam kilka razy - też wyszła za męża, urodziła dziecko, obcięła włosy i ufarbowała się na kasztanowo. Pierwszy raz spotkałam ją niedaleko szmateksu, stała przy kiosku z papierosami w czerwonej firmowej czapeczce na głowie i pytała ludzi, jakie papierosy palą, a potem dawała im w prezencie zapalniczkę z logo camel. Za drugim razem szła ulicą Matejki z katalogami Oriflame w dłoniach.

Ostatni raz widziałam ją naprzeciwko porodówki. Przeprowadzała jakąś ankietę.

Ola Szowczyk, powtarzając: „Widziałam, że wszystko do tego zmierza”, wyjechała ze swoim nowym narzeczonym Romanem do Stuttgartu. Tam wyszła za męża za naturalizowanego Turka i urodziła mu dziecko. Przynajmniej tak mówiła Ola Hreczka, nie ukrywając dumy: „Przysłała nam wideo z pozdrowieniami! Po prostu nieprawdopodobna ślicznotka!”

Kiedyś w autobusie Iwano-Frankowsk-Lwów widziałam nawet Wowę blondyna. Nie poznałam mnie.

Wowę bruneta spotkałam na deptaku. Spieszyliśmy się dokądś ze znajomym, a Wowa szedł z naprzeciwka ze swoją wysoką dziewczyną. Dziewczyna wściekała się i krzyczała: „A co on sobie myśli! Co on sobie myśli! Nie będę tego dłużej znosić! A ty mi ust nie zamykaj! Łajzy!” Nasze spojrzenia się spotkały i patrzyliśmy na siebie, dopóki się nie minęliśmy. Żaden mięsień nie drgnął na jego ani na mojej twarzy. Z jednej strony wrzeszczała jego czarniawa przyjaciółka „osiem sutków”. Z drugiej strony znajomy opowiadał mi coś w zachwycie.

Żadnej z ukradzionych rzeczy nie znaleziono. W ogóle, po pierwszych - i jednocześnie ostatnich - odwiedzinach na posterunku jakiegokolwiek kontakty z milicją ustały.

W ten sposób nigdy więcej nie zobaczyłam już obrazu namalowanego przez Karla Skocztopola. Jeśli kiedykolwiek będę miała okazję jeszcze o nim usłyszeć albo chociaż zerknąć na niego kątem oka - mam na myśli obraz, a nie prapradziada - stanie się to dla mnie jeszcze jednym dowodem na niesamowite poczucie humoru świata. Byłabym o wiele spokojniejsza, gdybym wiedziała, że obraz istnieje, że zachował się gdzieś w ciemnym kącie pomiędzy socrealistycznymi plakatami, żyrandolem a kilkoma podziurawionymi pufami w pakamerze jakiegoś kierownika. Poczuję niemal całkowitą ulgę, gdybym otrzymała informację, że obraz wisi nad stołem w mieszkaniu złodzieja. To byłoby i słuszne, i smutne. Za każdym razem zanim złodziej wyjdzie z domu, żegna się pośpiesznie i całuje stopki Jezuska.

Wszyscy złodzieje są przesadnie religijni - to pomaga im trzeźwo podchodzić do życia.

Tylko Muchę spotykam co jakiś czas. Zdaje się, że wszystko u niej w porządku.

A wtedy, kiedy żegnałam się z Chrystyną Szczubłą przed rokiem rozłąki (ten rok ciągnie się i ciągnie, a jego końca nie widać, i słowo „rozłąka” wydaje mi się zbyt głośne i marne

jednocześnie), ona wetknęła mi do rąk książkę w brązowej skórze, z wytłoczoną na okładce złocistą czaszką, pod którą skrzyżowany był pałasz i pistolet.

„J.W. d'Archenholtz, Historia piratów”.

- Miałam ci to przekazać - powiedziała Chrystyna.

Podziękowałam i wzięłam. Niedawno czytałam po raz trzeci.

Diabeł tkwi w ryżu

Nie pamiętam już dokładnie, jak się nazywał - Oleś czy Oleksa, jego imię z jakiegoś powodu pozostawiało na języku posmak niewyraźnego, uwierającego rozczarowania: takiego, które pojawia się na przykład, gdy koniecznie musisz zachorować i już nawet czujesz, że dostajesz gorączki, że zaczynają ci łzawić oczy, że czerwienieją policzki i trochę łamie w kościach, i przeczuwasz, że można będzie się rozluźnić i rozłożyć, i za nic nie odpowiadać, i puścić wszystko samopas, co będzie, to będzie, nie musisz się już śpieszyć, starać i wyłazić ze skóry, ale wyjmujesz termometr spod pachy i widzisz: 36 i 6 albo w najlepszym wypadku 36 i 9, ale zupełnie nie 39 i 3, jak ci się marzyło, a nawet nie 38 i 1.

I robi ci się tak jakoś nieciekawie, i złościsz się na siebie i na wszystkich wokół, chociaż tak naprawdę nie ma powodu, bo przecież nic się nie stało, po prostu jeszcze jedna obiecanka rozplynęła się w powietrzu, to wszystko.

Jego prawdziwe imię podnosiło kurtynę przed odrapanymi i biednymi kulisami nędznego wędrownego cyrku - obnażało zardzewiałe szkielety prymitywnych mechanizmów, pokazując, że cuda się tutaj nie zdarzają, że chłopiec guma nie umie naprawdę zmieścić się w pudełku po butach, że asystentkę w błyszczącym kostiumie tylko na niby przerysowała się piłą łańcuchową, a linoskoczek, spadając z liny, nie zaczyna swobodnie szybować pod namiotem dzięki swoim nadprzyrodzonym zdolnościom. Elementarna mechanika: dźwignie, kleszcze, sznury. Nudne brzęki prymitywnych konstrukcji.

Więc nazwałam go Wowa - tak było wygodniej i prościej, tak było naturalniej. W taki sposób, co najważniejsze, ukończyłam formowanie trójcy.

Zatem: nazwałam go Wowa i byłam nim opętana przez dziewięć miesięcy do naszego pierwszego spotkania.

Mieszkaliśmy wtedy w Ameryce, w malutkim miasteczku Boalsburg nieopodal Uniwersytetu Pensylwanii. Było to zwyczajne prowincjonalne miasteczko: z niewysokimi, porządnymi domami z kamienia, cegły albo po prostu ze sklejki, większość z czerwonymi dachami, kolorowymi flagami na gankach, z wazonami i buddyjskimi dzwoneczkami, które zwisały nad oknami i drzwiami i reagowały głuchym podzwaniem na najmniejszy podmuch

wiatru; z tych domów sączył się słodkawy zapach amerykańskiego zacisza, którym mieszkańcy starali się zapełnić i wyścielić swoje mieszkania - zapach pancake'ów z syropem klonowym, apple pie'ów z lodami waniliowymi, zapach frytek i popcornu, i kolorowych świeczek ustawionych we wszystkich kątach pokoi, i wypranej w pralce, a potem wysuszonej w suszarce bielizny, i odświeżacza powietrza, i rodzinnych fotografii w różnego kalibru, ale prawie zawsze połączonych w ramkach, zapach bukietów sztucznych kwiatów nad lustrami w toaletach i szklanych waz, wypełnionych kolorowymi kamykami i pofarbowanymi suszonymi płatkami kwiatów. Proste amerykańskie zacisze wypuszczało z domów i rozlewało się wokół w postaci dokładnie przystrojonych bujnych krzaków, klombów, na których wszystko dobrane było zgodnie z odcieniem i formą kwiatostanów, skalniaków, zawieszonych na sznurku butelek po winie, pomalowanych albo i nie, gipsowych krasnoludków, kaczek, jeleni, kotów albo pingwinów, lamp - przeważnie w kształcie wielkich kul, umocowanych na słupach po obu stronach bramy; kiedy wprowadziliśmy się tam na początku września, było jeszcze ciepło jak w lecie i włączone pod wieczór lampy rozsiewały blade żółtawe światło, pociągające nie tylko dla owadów, które z samobójczym uporem tłukły o grube szkło, lecz także dla przechodniów - szczególnie tych, którzy oddalili się od domu i w najbliższym czasie nie mieli szans do niego wrócić.

W tych domach mieszkali mili przeciętni Amerykanie.

Przeważnie klasa średnia. Dwa, trzy samochody, dobrze płatna praca („Which I really like. I really do!”), dwoje dzieci, niania, pies, kot, wiewiórki na drzewach, kilkoro przyjaciół, z którymi można nieźle spędzić niedzielny wieczór w ogrodzie przy piwie i grillu. Być może Boalsburg różnił się trochę od innych typowych miasteczek: mieszkało w nim podejrzanie dużo różnego rodzaju półartystów - tych, którzy uważają się za prawdziwych freaków, odlotowych gości, bez reszty pochłoniętych produkcją monotypii, figurek z cukru lub szklanych koralików albo indiańskich dreamcatcherów (bo uważają się za potomków wodzów plemienia Miccosukee), albo szmacianych lalek, wiklinowych kapci, albo akwarelowych pocztówek przedstawiających najbardziej malownicze zakątki miasteczka i okolic, albo broszurek z fotografiami drzew z przydomowych ogrodów i wierszami wolnymi własnego autorstwa.

Uważali się za oryginałów - i ta świadomość sprawiała im wyraźną przyjemność. Z jakiegoż innego powodu uśmiechaliby się do siebie z takim zadowoleniem - starsze kobiety w długich koszulach, dziewczęta z jasnymi włosami i twarzami całymi w piegach, mężczyźni nieustannie grzebiący w krzakach w poszukiwaniu ładnych korzeni, z których można by sklecić nową pamiątkę.

W Boalsburgu mieszkali ludzie, którym się powiodło zajmowali się przyjemnymi rzeczami, lubili myśleć o sobie jako o dziwakach i na wszelkie sposoby hołubili ten obraz, a poza tym wciąż

udawało im się znajdować nabywców dla płodów swojej pracy. Za niewielkie, ale za to stabilne pieniądze.

Moje kontakty z nimi ograniczały się głównie do spojrzeń. Często jeździłam po Boalsburgu rowerem i rzucałam wszystkim napotkanym radosne „Hello!” albo „Hi!”.

To był najdłuższy okres milczenia w moim życiu, a rowerowe przejażdżki za każdym razem okazywały się erupcją komunikatywności.

Prawdziwych spotkań z ludźmi unikałam. Bałam się angielskiego. I dziczałam w niespotykanym tempie.

Przez to, że byłam takim odludkiem, ciągle spiętym i przerażonym możliwością popełnienia błędu, nieustannie pakowałam się w idiotyczne sytuacje. Na przykład z Sarą, dziewczynką, której twarz pokryta była gęstym brzoskwiniowym puszkami: miała mnie uczyć angielskiego, a ja ją - rosyjskiego (choć na dobrą sprawę mogło być także odwrotnie). Dziewczynka Sara została mi zapisana jako szczepionka przeciwko całkowitemu zdziwieniu. Ale ja kombinowałam jak prawdziwy chory, który nie chce wyzdrowieć: nie przychodziłam albo spóźniałam się na spotkania, albo przychodziłam i mówiłam: „Bardzo źle się czuję, idę do domu”, albo już wcześniej wymyślałam wymówki, do tego stopnia nieprawdopodobne, że na miejscu Sary dawno nabrałabym podejrzeń i zakończyła te trudne dla nas obu kontakty. Sara jednak nadal przychodziła do jednego z uniwersyteckich pokoi, w którym się uczyłyśmy.

Pewnego razu po prostu nie otworzyłam jej drzwi. Siedziałam naprzeciwko nich i stukałam w klawiaturę, z całych sił starając się powstrzymać nerwowe drżenie kolan i głupawo uśmiechając się do monitora. Dziewczynka Sara dobijała się i jęczała pod drzwiami, wołając mnie po imieniu i błagając, bym ją wpuściła. Trwało to dobre piętnaście minut. W końcu zniknęła i odetchnęłam z ulgą.

Kilka minut później znów zastukano do drzwi i zupełnie inny głos poprosił, żebym otworzyła. Właśnie tak zrobiłam. Za drzwiami stała grupka nieznanymi osobami i zapłakana, czerwona, zapacona Sara. Brzoskwiniowy puszek przyklepał się do jej pełnych policzków półprzejrystymi delikatnymi smużkami.

Okazało się, że widziała mnie przez dziurkę od klucza.

Widziała, że siedzę przed komputerem, głupawo się uśmiecham i nie reaguję na jej wołanie. Sara znów się rozplakała i zażądała ode mnie wyjaśnień. Na szczęście przy klawiaturze leżał stary walkman. Złapałam go i zacinając się oraz robiąc nienaturalne pauzy, oświadczyłam, że słuchałam głośno muzyki i dlatego nic nie słyszałam.

Sara, zmieszana i dezorientowana, przenosiła spojrzenie z mojej twarzy na walkmana i z powrotem. Przestała płakać, ale wąskie strumyki wciąż błyszczały na jej pełnych policzkach. Nos

spuchł, oczy były wąskie i zaczerwienione, rozmazały się kontury ust. Słyszałam niemal, jak trybiki w jej mózgu skrzypią, przetwarzając tę informację, jak przepuszczają ją przez różne filtry, zmieniają jej formę, tu trochę od niej odejmując, gdzie indziej dodając - wszystko to odbijało się na twarzy Sary. I wreszcie proces przetwarzania danych się zakończył. Oczy pojaśniały, wygładziły się zmarszczki na czole. Widziałam, że Sara mi uwierzyła.

Jej mózg postanowił, że tak będzie bezpieczniej. Zawsze lepiej widzieć to, co chce się zobaczyć.

Tylko pomyśleć - jak zachwycająca jest ludzka zdolność do ratowania siebie! Wyciągania się za włosy z bagna lub przepaści jak Baron Munchhausen. Zmieniania filtrów, przetasowywania faktów, urządzania wszystkiego tak, by było spokojniej, by ziemia nie drżała pod nogami.

Ale wkrótce potem moje kontakty z Sarą całkowicie ustały.

Najbardziej nieprzyjemna była natomiast bez wątpienia historia z imprezą. Zaprosili nas do jednej z pensylwańskich wiosek gdzieś w Appalachach. Okazało się, że wioska zamieszkaana jest przez Amerykanów ukraińskiego pochodzenia. Kiedy siedzieliśmy przy stole w przestronnym drewnianym domu, usłyszałam, jak wysoka chuderlawa kobietka, z której twarzy nie znikał koński uśmiech, na przydechu oświadczyła swojemu synowi Borysowi: „Borysiu, proszę wsiad tę dziewczynkę na party!”. Borysio skrzywił się i spojrzał na mnie kwaśno. Udawałam, że niczego nie słyszę, zapamiętałam grzebiąc widelcem w kawałku łososia.

Potem razem z Borysem długo brnęliśmy przez jakiś bezlistny las, gdzie wszystko zabarwione było sepią. Cienkie, cherlawe pnie bujały się na wietrze. Pod nogami szeleściły zeszłoroczne liście. Twarzą ciągle zrywałam rozpięte między drzewami pajęczyny.

Las się rozstał i stanęliśmy pod wielkim niezgrabnym budynkiem, imitacją tradycyjnej konstrukcji wieńcowej. Borysio zaprowadził mnie na ganek. Siedziało tam już kilkanaścioro jego rówieśników, wnuków i prawnuków emigrantów, dzieciaków, które wstydziły się swojego pochodzenia, i język ukraiński wykorzystywały chyba tylko do wypowiedzenia krótkich wykrzykników, uważając to za szczyt dowcipności: „Życzę zdrówka!” - wykrzyknął jeden z nich, witając się z Borysem. „Jak sze masz, Borysiu?” - zapytał inny.

Dowolne ukraińskie słowo wywoływało rechot.

W końcu Borys przypomniał sobie o mnie. „Hi! - powiedział, podchodząc bliżej. - Comon, I'll showyou something”.

Wyduszając z siebie uśmiech zainteresowania, podreptałam za nim do domu. W środku kręciło się jeszcze kilkudziesięcioro młodych ludzi. Borys zaprowadził mnie do kuchni i otworzył na oścież wypełnioną piwem lodówkę. „Help yourself” - oświadczył i zniknął.

Przez resztę wieczoru tłukłam się w tłumie nieznanymi ludźmi, coraz gorzej rozumiejąc ich język. Moje wewnętrzne napięcie osiągało taki poziom, że zdawało mi się, iż lada moment stracę przytomność. Odkręcając piwo, do krwi pokaleczyłam sobie dłonie. Wypiłam trzy albo cztery butelki, które zamiast mnie uspokoić, osłabiły jedynie zdolność koncentracji i pozbawiły pewności siebie. Do tego ciągle chciało mi się siku, a na wyprawę do toalety traciłam mnóstwo sił psychicznych. Toaleta była długą na jakieś siedem metrów kiszka, która zaczynała się drzwiami, a kończyła klozetem. Drzwi oczywiście nie dało się zamknąć. Ktoś mógł w każdej chwili wejść.

Całkowicie wyczerpana, poniewierałam się między nimi, dalej sącząc piwo. To był taki tik nerwowy. Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym robić. Pewną ulgę przyniósł pokaz czyjegoś filmu dyplomowego wyświetlanego na wielkim ekranie w jednym z pokojów. Wyłączono światło i można było odpocząć przez całe dwadzieścia minut.

Film nakręcony był amatorską kamerą, ręka operatora bezustannie drżała, soundtrack zagłuszał kwestie aktorów. Główna bohaterka miała zamiar rzucić się w przepaść, zobaczywszy to, główny bohater podszedł do niej i zaczął wypytywać o przyczyny. „Jakie tam przyczyny! Powiedziała. - Mam, kurwa, wszystkiego dość”. „Ja też - powiedział bohater. - Sam często myślę o samobójstwie, ale ty może się jeszcze trochę zastanów?”. „Dość mam, kurwa, myślenia - odparła bohaterka. - Wszyscy mówią mi: myśl, myśl, myśl, wszyscy pierdolą mi w głowie, zaraz skoczę - i będę miała spokój”. „Słuchaj - powiedział bohater - a co jeśli nie będziesz miała spokoju? A co jeśli po tym, jak się rozbijesz (czy rozjebiesz, dokładnie już nie pamiętam), zaczniesz nowe życie, w którym wszyscy znów będą ci pierdolić?”. „No, wtedy - powiedziała bohaterka - zakończę życie samobójstwem”. „Cóż - powiedział bohater, zastanowiwszy się chwilę - postanowiłem skoczyć razem z tobą”.

Wzięli się za ręce i na niby skoczyli. Ekran zgasł. Po czarnym tle zaczęły rozplýwać się kolorowe koła prymitywnej grafiki komputerowej. „Gdzie jeste-e-eś?” - zabrzmiał głos głównego bohatera. „Nie widzę cię! Jestem tutaj!” - odpowiedziała główna bohaterka. „Ja też cię nie widzę! Gdzie jesteś? Daj rękę!” - powiedział. „A gdzie jest twoja ręka?” zapytała. „O tutaj!” - podpowiedział.

Potem na ekranie pojawił się kamień, po którym pełzła zielona gąsienica, pełzła długo, bardzo długo (chciałam, żeby pełzła jeszcze dłużej, żeby można tak było siedzieć pośród tych wszystkich ludzi, nie czując napięcia), a potem zbliżyła się do krawędzi kamienia i zwała na dół.

Znów kolorowe koła na ciemnym ekranie. Bohater dalej krzyczy: „Gdzie jesteś?” ale nikt mu nie odpowiada. Znaczyło to chyba, że przeżył i został kaleką, a jego towarzyska skutecznie się rozbiła.

Film kończył się sceną w porodówce. Jakaś kobieta rodzi dziecko. Na czole ma przyklejone papierowe oko. Takie same mają też lekarze, którzy kręcą się wokół niej. W pewnym momencie rozlega się przenikliwy i nieprzyjemny krzyk dziecka. W kadrze migają pieluszki i krwawe plamy.

Wreszcie widzimy położnicę. Trzyma na rękach gumowe niemowlę. Kamera robi zbliżenie na lalkę i widać, że ona także ma na czole papierowe oko. The end.

Taki to art-house.

Znów zapalono światło i wszyscy zaczęli na wyścigi gratulować autorowi genialnej pracy. Wstałam i poszłam po szóste piwo. Później znalazłam się na ganku. Wybrałam sobie miejsce przy jakiejś sympatycznej parze, usiadłam i uśmiechnęłam się do reszty towarzystwa. Wszyscy po kolei zadawali mi pytanie: „Jak się nazywasz?” i „Skąd jesteś?”. W reakcji na jakąkolwiek odpowiedź wykrzykiwali:

„Wow! That’s exciting! Unbelievable! Incredible! That is just fucking fantastic!”. Sofija? Wow! Z Iwano-Frankowska?

Cool! Marija? Thafs nice! Z Symferopola? Oh my Goodness! Sniżana? That’s unbelievably exciting! Alosza? Such a sweet name, Aliosha! Niektórzy z nich myśleli, że mam na imię Andruchowycz, a mieszkam w Macedonii (która jest częścią Czarnogóry) w mieście Sofija. You are lucky, Andriukovich, I’ve never been to Europe!

Tymczasem skądś wziął się wielki gruby joint. Do tej pory paliłam trawę tylko dwa razy, oba z Chrystyną Szczubrą. Za pierwszym razem rechotałyśmy - i to raczej z podniecenia niż od gandzi, za drugim wcale nas nie klepnęło.

Z zapamiętaniem przypięłam się do skręta. Po wszystkich tych nieznośnych torturach nie pozostawało mi nic innego. Gdyby podali mi strzykawkę z bąbelkiem powietrza - wetknęłabym ją sobie w żyłę. Gdyby dali mi nóż, pocięłabym na sobie ubranie, łącznie z bielizną.

O tak, w tym momencie byłam już całkowicie pijana tym towarzystwem.

Kilka głębokich machów nałożonych na kilka litrów piwa - i katapultowałam się poza układ współrzędnych.

Widziałam twarze wokół siebie, ale nie mogłam uchwycić rysów żadnej z nich. Nie rozumiałam już znaczenia uśmiechów - uśmiechają się do mnie z sympatią, czy drwią ze mnie? Straciłam najbardziej elementarne punkty oparcia, jakby wszystkie organy podtrzymujące życie uległy całkowitej atrofii - i oto stałam się półrośliną z nalepionym na czole papierowym trzecim okiem.

Słyszałam głosy, ale nie mogłam zrozumieć języka. I nie

chodziło o to, że był to angielski, nie - absolutnie nieogarniony stał się dla mnie fakt, że kilka dźwięków złożonych razem może mieć jakiegokolwiek znaczenie, słowa odbijały się ode mnie niczym gumowe piłeczki, na jakiś czas pozostawiając po sobie spore wgłębienia, które jednak od razu i czułam to - czymś się zapełniały.

Stałam się Endrjukowicz Aloszą z Sofii (Macedonia, część Montenegro).

W pewnym momencie ich rozmowy, których sensu nie byłam w stanie uchwycić, zaczęły mnie coraz bardziej przygniatać. Odczuwałam w nich realną, wymierzoną we mnie wrogość. Wyteżałam resztki sił, żeby cokolwiek zrozumieć, żeby przeciwstawić się jakoś tej niesprawiedliwości, żeby zaprzeczyć, poprawić i wyjaśnić. I jednocześnie czułam, że wyraz mojej twarzy ani trochę temu nie sprzyja. Czułam, że się uśmiecham. Ciągle się uśmiecham. I w żaden sposób nie mogę tego zmienić. To było potworne: uśmiechać się wbrew własnej woli, uśmiechać się, kiedy masz się ochotę krzywić.

Rozumiałam: to, co widzę, jest zniekształcone, tak jak zniekształceni są ludzie i rzeczy w snach. Głosy odbierałam na zupełnie innych częstotliwościach. Chwytałam wibracje, na które wcześniej nigdy nie zwróciłabym uwagi.

Nie rozumiałam słów, ale czułam najmniejsze drgania strun głosowych - a te nie znaczyły dla mnie nic dobrego. Obgadywali mnie, oglądali, nie ukrywając spojrzeń, i głośno mówili o mnie wszystko, co przychodziło im do głowy. Komentowali moje ruchy, moje ubranie, moje imię, moją niezdarność, moje pokaleczone kapłami dłonie, moje wielkie usta, mój strach, niezdolność do zachowania swobody, moje pijaństwo, włosy, mój katatoniczny stan po trawie, mój akcent, mój uśmiech. Myślałam: przecież rozumiem wszystko, o czym mówicie, nie rozumiem słów, ale nie potrzebuję już języka, po prostu wszystko widzę i słyszę, słyszę wasze myśli, odczytuję je z waszych twarzy, ale nijak nie mogę dać wam do zrozumienia, żebyście przestali, żebyście przestali się tak zachowywać, bo to niegrzecznie, bo to nie świadczy o was dobrze, bo to, prawdę mówiąc, ohydnie i podle postępować tak z człowiekiem zakutym w pancerz, z osobą, na której twarzy zastygł betonowy uśmiech i która nic nie może na to poradzić, mimo że w środku jest ciepła, miękka i czuła niczym mięso świeżo zabitego zwierzęcia poruszające się jeszcze w wiadrze.

Dziewczyna, która siedziała najbliżej mnie, opowiadała swojej koleżance, jak bardzo przypominam jej kogoś, z kim chodzi na zajęcia z psychologii społecznej. I że ten ktoś bardzo się jej nie podoba. Ale to przecież nie moja wina, pomyślałam.

Trzeba się było zbierać. Wokół budynku wisiała noc.

- Pójdę już - powiedziałam, z całych sił się koncentrując. - Dziękuję i dobranoc. I - nice to meet you.

Borysio zapytał, czy pamiętam drogę do domu.

- O, Borysiu, osiwiście! - powiedziałam.

Jakoś tak z lękiem patrzyli za mną.

Nie pamiętałam drogi do domu. Wokół bujał się las. Pod nogami szeleściły liście. Było absolutnie ciemno. Słyszałam tylko dźwięki i czułam dotyk. Ale cudownie było iść przed siebie, być wreszcie samą, nie czuć na sobie czyichś spojrzeń, nie słyszeć wibracji obcych głosów. Niech sobie będą te wibracje, myślałam, trzeba wywoływać wibracje, pojawiajemy się na tym świecie po to, żeby wywoływać wibracje, i niech tam sobie będę podobna do kogoś z psychologii społecznej, niech nie umiem odkręcać piwa, niech brakuje mi swobody, kiedy trafiam na obcą imprezę w obcym kraju, w domu, w którym nie znam żadnego z kilkudziesięciu gości, niech tam! I tak jestem niezłą osobą. Jestem człowiekiem, który wywołuje wibracje.

Myślenie o tym wszystkim było śmieszne, bo przypominało w jakiś sposób film o samobójstwie i ludziach z trzecim okiem, ale myśli nadawały rytm krokom, a śmiech grzał mnie trochę od środka.

Kilka minut później wyszłam prosto na budynek, w którym czekali na mnie rodzice. Przyjęcie, w czasie którego ich porzuciłam, wciąż trwało.

- No i jak party? - zapytała koniozębna kobieta.

- Cudownie! - odpowiedziałam, nadając twarzy wyraz zachwytu i rzeźkości. Mogłam już kontrolować swoją mimikę - i naprawdę mnie to cieszyło.

Czat wciągnął mnie i pochłonął, i choć czułam chorobliwość i gorączkę takiego sposobu życia, coraz bardziej wypadałam z rzeczywistości.

Kiedy nie mogłam dostać się do komputera z internetem, siedziałam zamknięta w pokoju przy starym pececie, na którym nie dało się ustawić cyrylicy, czytając i pisząc listy do wirtualnych przyjaciół. Nawet kiedy nic nie robiłam, kiedy po prostu patrzyłam przez okno na rosnące naprzeciwko gęste zarośla, oznaczone tabliczką „Private property”, w które biegałam palić i gdzie kilka razy natknęłam się na grupkę spiętych i rącznych saren, albo kiedy kładłam się spać, albo kiedy budziłam się rano - zresztą nawet we śnie, nieprzytomna czy półprzytomna - bez przerwy odtwarzałam w głowie minione, przyszłe albo możliwe rozmowy na czacie. Wymyślałam nowe nicki. Wyobrażałam sobie różne warianty dialogów. O niczym innym nie mogłam myśleć. Chodziłam wiecznie podniecona i pogrążona w sobie, czując w głowie lekkie zamroczenie. Ale nie przestawałam, choć czułam, że nawet spotkanie się z nudną i mdłą Sarą jest normalniejsze i zdrowsze niż jałowe stukanie w klawiaturę - słowa rozwiewały się, znikwały i nigdy nie wracały.

Wową przejęłam się w momencie, kiedy mi o nim opowiedzieli.

- Uważaj - ostrzegali - jest tu jeden potworny typ. Pojawia się tylko nad ranem, kiedy większość normalnych ludzi już śpi, i zaczyna knuć i intrygować. Jest zły, zakompleksiony i bardzo bystry. Jest sprytny i pozbawiony jakichkolwiek zasad. Czasem mistrzowsko udaje, ale nie można mu ufać, to zabronione, bo prędzej czy później wykorzystają to przeciwko tobie. Nikomu nie mówi, jak się nazywa i ile ma lat.

Nigdy nie zdradza prawdy o sobie. Zawsze działa podstępnie i podle. Lubi stawiać ludzi w niezręcznym położeniu. Potrafi wirtuozersko psuć nastrój, wpędzać w depresję (sam permanentnie przebywa w stanie psychozy maniako-depresyjnej) i łamać cudzą wiarę w siebie. Ludzkie uczucia to dla niego zabawki. Nie ma dla niego żadnej świętości. To typ do bólu nieprzyjemny, drugiego tak nieprzyjemnego długo by szukać. Staraj się go unikać, bo nic dobrego z dawania się z nim wyjść nie może, uwierz nam.

Podali mi też jego nick - imię jakiegoś demona albo jedno z imion diabła, nie pamiętam już. Asmodeus czy Astaroth (ale na pewno nie Behemot, tego jestem pewna).

- Co najdziwniejsze - zakończyli swoje ostrzeżenie - ten śmieć ma cudownego młodszego brata. Sympatycznego, dowcipnego i dobrego, otwartego i szczerego chłopaka!

Jego całkowite przeciwieństwo - aż trudno uwierzyć, jak to jest możliwe. Rozmawia się z nim przyjemnie i pożytecznie, nigdy cię nie obrazi, zawsze jest taktowny, po prostu idealny rozmówca i cudowny człowiek.

Jednym słowem, nie mogłam nie przejąć się Wową, tym rozreklamowanym Astarothem. To było niemożliwe.

Przez kilka dni czekałam na jego nadejście, płonąć z ciekawości. Przez kilka dni bałam się i niepokoiliłam, że się minimy i nigdy nie poznamy. Przez kilka dni wyobrażałam sobie, jaki musi być potworny i nieznośny. Przez kilka dni od tych myśli coś wyło we mnie i zamierało.

A potem w jednej chwili - gdy w tym punkcie kuli ziemskiej, w którym przebywałam ja, minęła dwunasta, a u niego właśnie nastawał nowy dzień - wszystko się spełniło.

Usprawiedliwił moje sny. A nawet trochę więcej.

W średniowieczu diabeł często opętywał mniszki. Epidemie opętań ogarniały klasztory z prędkością błyskawicy i klasztory Boga, z których, jak się zdawało, wrota prowadziły prościutko do raju, stawały się miejscem relaksu dla szatana.

Zwyczajna rzecz: kilkadziesiąt kobiet, od stóp do głów ubranych na czarno, które tarzają się po ziemi, wiją w konwulsjach, toczą pianę z ust, przewracają się, pełzają, miauczą, pieją, charczą, syczą, wołają i wrzeszczą potwornymi głosami, stają na głowie albo wyginają się w pałąk, opierając się tylko na potylicy i palcach stóp, wybałuszają oczy, wywalają czarne spuchnięte języki, chciwie miotają ciałami, macają się i jęczą, obnażają oszalałe miejsca, wykrzykują

przekleństwa i nieprzyzwoitości, a kiedy odzyskują przytomność zalewają się łzami, biją pokłony w gorliwych modlitwach i zajmują się samobiczowaniem na znak skruchy.

I każda z nich, pragnąc natychmiast zapaść się pod ziemię, żąda dla siebie najsurowszej kary - tortur, które trwałyby kilka milionów lat (bo na to zasługuje, podła, mała, słaba dusza, poddająca się namowom grzesznego ciała) i słodko wzdyga się i zamiera, czując żar w pachwinie i całkowitą niemoc, by w jakikolwiek sposób oprzeć się swojemu potwornemu upadkowi. Szatan to dla każdej z nich najbardziej upragniony kochanek, z którym szaleńczo i namiętne zdradzają swego Niebiańskiego Narzeczonego.

Pod koniec dziewiętnastego wieku, mniej więcej wtedy, kiedy młody Freud kończył właśnie naukę i w zapamiętaniu pisał listy do swojej Marthy, francuski psycholog, doktor Paul Regnard, nie miał już żadnych wątpliwości co do tego, że wszystkie opętania są niczym innym, jak objawami masowej hysterii. Objawy świadczą same za siebie: paraliż histeryczny, który uważano za „pieczęć szatana”, przypadki epilepsji, kurcze, halucynacje. Sługami szatana stawali się w oczach pospólstwa ciężko chorzy ludzie.

Nie było w tych wszystkich psychozach nic dziwnego.

Religia i wiara dokładnie wypełniały wszystkie obszary życia. Ówczesni ludzie żyli tymi dwoma stronami jednej monety tak, jak my żyjemy internetem: nie da się go pojąć, ale w jego istnienie nikt nie wątpi. Dobrze przynajmniej, że za zdradę internetu nie grozi łamanie kołem, ćwiartowanie, zakładanie hiszpańskiego buta czy palenie żywcem. I dobrze, że opętanie nim nie jest wzmocnione kurczami.

W tamtych czasach Bóg i szatan mieszkali razem z tobą na jednej ulicy. Słyszałeś ich głosy i widziałeś ich uczynki.

Byli równie zwyczajni, jak dla nas zwyczajne są karty kredytowe, ememesy i klimatyzatory, które wzbogacają powietrze zapachami sosny i oceanu.

Kilka twoich sąsiadek zostało niedawno spalonych na stosie. Podejrzewałeś, że twoja ciotka jada niemowlęta. Twój rodzony brat z jakiegoś powodu nie miał czucia w lewej ręce.

Diabeł był o wiele bliższy niż Bóg. Wszechmocny zwykł długo zajmować się czymś nieodgadnionym, znikać i ani słowem nie odpowiadać na modlitwy. Często miało się wrażenie, że Bóg posłał wszystko do diabła.

Tymczasem szatan był ciągle obok. Obserwował każdy twój uczynek. Wszystko o tobie wiedział. Nie zostawiał cię ani na moment samego. Znał twoje najskrytsze tajemnice i kiedy tylko zapragnął, mógł się w ciebie wcielić, wobec czego byłeś bezradny - nie wcielał się jednak ze zwyczajnego diabelskiego sadyzmu, by jak najdłużej trzymać cię w napięciu, by jak najdłużej cię dręczyć.

Poza tym diabeł był naprawdę nieskończenie bardziej kuszący. Władzał seksem. Nic dziwnego, że każdy chciał mu się oddać - ludzie od wieków pragną się komuś podporządkować, bezwolnie się komuś poddać, za nic nie odpowiadać, nie wybierać, nie dokładać starań, nie myśleć, nie starać się i grzęznąć w tym, w czym ich zanurzą, czuć, jak zasysa ich ciepły, zaciszny zad, podczas gdy oni nie mogą się temu oprzeć, mają za mało siły, nie chce się im szarpać i wyłazić ze skóry.

Freud, kiedy już zmężnieje, porówna tę skłonność do Erosa i Tanatosa. Bo Tanatos - to nie tylko śmierć, to pragnienie, by zostać połkniętym przez potężną falę, która nie pozwoli ci się wyrwać.

Seks nie powinien istnieć dla mniszek. Ale istniał dla nich diabeł - i w zapamiętaniu padały w jego objęcia. Bóg był daleko, gdzie indziej. Diabeł stał obok i nie pytał o pozwolenie. Oto jeszcze jedna ważna cecha szatana: nigdy nie pytał o pozwolenie. Nie musiałeś decydować, pozwalać albo nie pozwalać, nie musiałeś długo i zmusznie wybierać pomiędzy grzeszną rozkoszą a słuszną czystością - nikt cię o to nie prosił. Diabeł był brutalny, ordynarny i okrutny. Umiał udawać i kusząc, ofiarowywał czasami taką czułość, jakiej biedne odgrozione od świata kobiety nigdy nie zaznały. A najlepsze w tej czułości było to, że w swojej istocie była kłamliwa.

Z jeszcze innej strony nieodwracalność mąk i tortur, które czekały każdego, kto zaprzedał się diabłu, kusiła ostrością, bólem i prawdziwością fizycznych doznań. W pewnym sensie wszelkie fizyczne doznania można, jeśli się zechce, uznać za seksualne. Mniszki nie miały prawa do cielesności i doczesności. I dlatego tortury wprowadzały je w stan ekstazy i odwróconej rozkoszy: doświadczając cierpienia, jednoczyły się z kochankiem, przeżywały naprawdę straszny seks - ostatni, największy, najpotężniejszy, który za moment miał zakończyć się śmiercią.

Dobrze ilustruje to historia księdza Urbaina Grandiera z Loudun, którą przytacza doktor Regnard. Grandier był największą celebrity Loudun: czterdziestoletni seksowny przystojniak, elegancki, wyrafinowany, zakochany w sobie, miał zdanie na każdy temat, chlubił się mądrością, inteligencją i bezczelnością. Raz po raz umyślnie narażał się na gniew kardynała Richelieu i jego popleczników.

Naturalnie marzyła o nim każda z miejscowych urszulanek i ociekając pragnieniem, starała się zapobiec grzechowi przez umartwianie.

Kiedy jedna z siostr w końcu nie wytrzymała i rzuciła się w wir opętania (mamiącego swobodą halucynacji i ulgą wynikającą z zanurzenia się w kloace, w której nie trzeba niczego więcej tamować ani powstrzymywać), reszta, nie zwlekając, postanowiła pójść w jej ślady. Zeznając przed księżmi i sędziami, którzy zajęli się ich sprawą, mniszki jednym głosem opowiadały, jak Urbain Grandier, dostawszy się do celi przez ścianę, przychodził do nich każdej

nocy, niosąc w dłoni czerwoną różę i uśmiechając się piekielnym uśmiechem. Jak nie ukrywał przed nimi tego, że jest diabłem, jak wabił je, robiąc z nimi rzeczy, których się wcześniej nawet nie domyślały, jak męczył je, katował i pieścił, i zmuszał do zaznawania dziwacznej rozkoszy, z powodu której zatracaly się i długo nie mogły się odnaleźć. W rezultacie każda z mniszek zwabionych przez przystojniaka bez wahania podpisała własną krwią cyrograf i sprzedała mu swą duszę.

Nieszczęsny Grandier został aresztowany. Proces trwał dosyć długo i skończył się potwornymi torturami, podczas których lekarz i kat odmówili wykonywania swoich obowiązków. Przez czterdzieści pięć minut miażdżono Grandierowi kości, wbijano w ciało zaostrome kolki, wrywano paznokcie, przypiekano żelazem, jego kończyny stały się całkowicie płaskie, ze wszystkich stron zwisały mu strzępy mięsa, porwane ścięgna, płaty skóry - wszystko to uczynili ogłupiali mnisi, kiedy wpadli w nabożny szał.

Gdy przyszedł czas spalenia Grandiera, kat postanowił skrócić jego cierpienia i udusić go sznurem. Ale sprytni księża zawiązali na powrozie węzły i niczego nie dało się wskórać. Kiedy przywiązano już Grandiera do słupa, na którym miał spłonąć, księża rzucili się na niego i zaczęli okładać krucyfikami.

W końcu ktoś podpalił słomę, Grandier męczył się jeszcze dość długo, a ogień palił jego ciało, które nie przypominało już nawet zwłok człowieka.

Mówią, że w momencie, gdy duch wreszcie go opuścił, nad zwęglonymi szczątkami księdza pojawiło się stadko białych gołębi, które chwilę krążyło nad stosem, a potem zniknęło wysoko w niebie i rozplynęło się w kłębach dymu.

Niesamowite, jak bardzo emocjonalne bywają te równe rzędy liter, które pojawiają się na bladym monitorze. Nagle widzisz czułość, która wchodzi w ciebie jak ostre rozgrzane żelazo w kawałek zmarzniętego masła - i zaczynasz cieknać, rozmiękać. Czułość wylewa się ze zdania: „Różnie bywało”. Czułością wypełnione są słowa: „No, chyba tak”. A jutro w tym „No, chyba tak” może być sama rozpacz, która wcisnęła się też w „Tutaj wszystko jest zupełnie inaczej” i w „Dużo”, i w „Tak”.

W jakiś sposób ten odlew rozmowy staje się do tego stopnia emocjonalny, napełniony najdrobniejszymi, najdelikatniejszymi sensami, które można sobie chyba tylko wyobrazić, że nijak nie da się go odtworzyć, poczuć w realnym dialogu, kiedy masz kogoś obok siebie, słyszysz jego głos, czujesz zapach.

Poza tym mój organizm szukał ostrości - i znalazł ją.

Mnóstwo przyczyn zbiegło się w tym momencie - i stałam się prawdziwie opętana.

Pisałam do niego listy - niedługie, ale staranne i wyważone, wynoszone, wymierzone. Dopasowywałam każde słowo, wyrzucałam zdania, skracałam, pisałam od nowa, odczytywałam zdania głośno i w myślach, ucząc się ich na pamięć, sprawdzając ich brzmienie i dokładność przekazywanej treści. To była aptekarska robota. W tych chwilach czułam się skupiona i zdecydowana jak farmaceutka.

Czekając na codzienną godzinę rozmowy, płonęłam z niecierpliwości. Nie interesowało mnie nic innego. Teraz książki czytałam tylko dla niego, rozmawiałam z kimś z moich nielicznych amerykańskich znajomych wyłącznie po to, by mu o tym opowiedzieć, dla niego się kąpałam, piłam sok i jeździłam na rowerze. Jednocześnie ciągle podtrzymywałam wewnątrz siebie wyobrażony dialog między nami. Ten dialog nigdy nie ustawał - nawet w nocy.

Teraz, kiedy przypominam sobie ten czas, ogarnia mnie stan podobny do tego, w jakim byłam wtedy - lekkie nerwowe drżenie. Ciągłe drżałam z podniecenia. Miałam podwyższoną temperaturę i wilgotne, błyszczące oczy. Zarzucano mi nieuwagę, zapominalstwo i lenistwo. A ja myślałam tylko o momencie, kiedy zobaczę na ekranie jego nick, i o tym, jak nie będziemy odzywać się do siebie przez minutę albo dwie (w tym czasie niemal porazi mnie prąd), a potem on napisze: „Cześć :)” i ja też odpowiem mu: „Cześć :)”.

Rzeczywiście - był taki, jak go opisywali. Lubił być zły i umiał obrażać. Jego złość przypominała postanowienie szatynki, by zostać blondynką - blondynką w sensie anegdotycznym. Miało się wrażenie, że stale nosi przerażający kostium karnawałowy i starannie gra swoją postać, ale gra ją na tyle uczciwie, że do środka, do wnętrza pancerza, nikt i nic nie zdoła się dostać.

Było to dość śmieszne, jeśliby spojrzeć na to z boku. Ale wówczas mogłam patrzeć tylko od środka.

„Jak na kobietę, dość dużo czytasz” - mówił, obrażając i mnie, i wszystkie kobiety razem wzięte (z satysfakcją eksponował swą wychuchaną arogancję i nietolerancyjność; ciągle obrażał Żydów, Afroamerykanów, Rosjan, kobiety, inwalidów i gejów - jednym słowem wszystkich, których obrażanie dawało jakiejkolwiek szanse na wywołanie ogólnego oburzenia). „Ty tego nie zrozumiesz - mówił. - To nie jest pomyślane dla każdego”. „Ach, no tak, ty niby jesteś rozumna”. „Recorrido por la historia de la literatura española, desde sus orihenes hasta nuestras dias” - mówił, bo rzekomo znał hiszpański. Nie mogłam odpowiedzieć, chyba że frazą, która zapadła mi w pamięć podczas lektury Jeźdźca bez głowy Maynea Reida: „Buenos dias, cavallero! Esta vuestra Mexicano?” - szczególnie podobały mi się te odwrócone do góry nogami wykrzykniki i znaki zapytania, jakby ostrzeżenie o podwójnym dnie. Albo ni stąd, ni zowąd pisał: „A gdy będę umierał / To nie przyjdzie generał / Ziewnie z cicha dyrektor / Bo umiera byle kto. (...) Na cmentarzu pod murem / Słońce zajdzie za chmurę / Drobny deszczyk pokropi / Pamięć moją

zatopi” - bardzo lubił Kazika Staszewskiego i różnego rodzaju tragizmy. Tragizmy te z kolei działały na mnie jak należy: przed oczami wyraźnie rysował mi się pochmurny cmentarz, zimne kałuże w zagłębieniach popękanego asfaltu między kwaterami, ślady butów w błocie, przenikliwy wiatr, kupy zwiędłych kwiatów na świeżym grobie, wieńce z żałobnymi wstęgami, dwie, trzy zapłakane świeczki, osłonięte przed wiatrem plastikowymi kloszami wyciętymi z butelek po oranżadzie. I tak za nim tęskniłam, zakopanym gdzieś tam, głęboko, w wilgotnej, ciężkiej ziemi, gliniastej i przytłaczającej, w czerni, w której ryją owady, białe grube larwy, glisty i gryzonie, tęskniłam za nim tak mocno, że gdybym naprawdę znalazła się w tym momencie nad jego grobem, to zaczęłabym wykopywać trumnę dłońmi tylko po to, żeby wyciągnąć go na światło dzienne, przyglądać jego mokre, zlepione włosy, poprawić koszulę i marynarkę, oprzeć go o kamienny krzyż naprzeciwko, otulić jakimś ciepłym, miękkim kocem, który zapobiegliwie przyniosłabym ze sobą, sięść obok, tak żeby chociaż trochę osłonić się od wiatru, owinąć się w drugi koniec koca i po prostu siedzieć w milczeniu (pewnie, że w milczeniu, o czym miałabym rozmawiać z nieboszczykiem?), aż się ściemni i znów zacznie kropić drobniutki deszcz.

Moje palce wciąż pamiętały układ klawiatury. Dotykanie klawiszy - to była dla nich największa rozkosz. Niczym szalona pianistka, bezustannie bębniłam w powietrzu palcami, wystukując coraz to nowe i nowe słowa, które musiałam mu natychmiast przekazać.

Pragnęłam go tak bardzo, że co godzinę musiałam sobie robić dobrze, kładąc się na plecach albo na boku na podłodze mojego pokoju, podkulając nogi i wciskając twarz w poduszkę. W przeciwnym wypadku łaźiłabym po ścianach.

I tak ledwo, ledwo, resztkami sił, powstrzymywałam się, by nie zawyć - wycie, niemilkące ani na moment, stale rozbrzmiewało w mojej głowie. Słyszałam je wyraźnie, było niepowstrzymanym akompaniamentem do wszystkiego, co się ze mną działo - jak soundtrack, którego nie mogłam wyłączyć, którego nie mogłam zmienić. Podobnie chyba wyje arktyczna wilczyca, wtórując świstowi wichury.

Poza wyciem zawsze towarzyszył mi głód i ból. Wszystkiego było mi mało: ludzi, z którymi się stykałam, ich słów, nowych miejsc, budynków, ulic, usłyszanych i przeczytanych historii, przyrody - nie czułam satysfakcji, pozostawałam wiecznie niezadowolona. Zaspokojenie nie nadchodziło, bo nie mogłam dzielić z nim w pełni mojego życia.

Oczywiście, wszystko mu opowiadałam, ale tego było mało.

Chciałam dotykać, oddychać i wachać. Z tego brał się ból: nieznośne ćmienie, przykre, podłe - niczym brzęczenie komara, który wleciał do ucha, albo ugryzienie kleszcza, który przyssał się do ciała i już od kilku miesięcy pije krew, a jego brzuch tylko pęcznieje i nabiera koloru purpury.

Przypominało to kaca. A raczej uczucie, kiedy rano, obudziwszy się po wczorajszej hulance, chciwie nalewasz sobie szklanę zimnej, gazowanej wody, albo nawet nie nalewasz, tylko po prostu dopadasz wyschniętymi, pokrytymi twardą skorupą wargami plastikowej szyjki i chłopciesz, chłopciesz, a potem odsuwasz rękę ze szklanką czy butelką, zamierasz na chwilę i wsłuchujesz się w potworne zmiany w organizmie, w zmiany na gorsze. Wyraźnie czujesz, jak woda przelewa się w głębinach twojego przewodu pokarmowego, jak wlewa się do żołądka, bulgocąc i rycząc, jak pluszcze o jego ścianki, zatapiając tam wszystko, i od razu zaczyna wchodzić w gwałtowne reakcje z cząsteczkami przesyconej alkoholem krwi, łąpczywie, z pluskiem i świstem wchłania się przez włókna układu pokarmowego i trafia do naczyń krwionośnych - nieskończona seria malutkich wybuchów, którymi rozkwita od środka twoje ciało.

I po kilku sekundach znów wracasz do stanu upojenia, znów wszystko rozplywa ci się w oczach i znów w głowie płaczą ci się myśli, ale najgorsze, że to upicie nie jest świeże, nie jest pierwsze - jest drugorzędne, powtórne, z second-handu, z pchlego targu, i dołączają do niego jeszcze ze wzmożoną siłą mdłość i słabość, i odruchy wymiotne, które są szczególnie męczące, bo z zasady kończą się niczym.

Moja miłość do niego zbudowana była z odruchów wymiotnych, nudności i upojenia.

Miał też w sobie dużo tej depresji, kiedy wszystko wydaje się beznadziejne i pozbawione sensu, kiedy brakuje nawet sił, by się starać, bo po co, skoro wszystko jest złe, i wszyscy są źli, i ty jesteś zły, i nawet to, co dobre - jest złe, bo dobra nie ma, i śmiesznie jest nawet o tym myśleć, bo myśleć w ogóle nie ma po co, bo wniosek z tych myśli jest jeden; wszystko jest beznadziejne. Depresji towarzyszy z zasady gęsty, lepki kłęb w piersiach, który przeszkadza w oddychaniu i okropnie dręczy. Ten kłęb jest ohydny i nieprzyzwoity i nie da się go usunąć ani przepchnąć, a zapomnieć o nim też nie można, i właśnie on wywołuje to pragnienie, by zawyć. Zdaje się, że konwulsyjne, przeciągłe, rozpaczliwe wycie - to jeden z niewielu sposobów na rozpuszczenie tego duszącego smarku.

Często znikał. Często przestawał do mnie pisać. I wtedy zaczynałam po prostu gwałtownie się dokądś staczać, szeroko wytrzeszczając przerażone oczy i nieudolnie starając się czegoś chwycić. Dusił mnie złość i rozpacz. Obmyślałam plan zemsty - tysiące planów zemsty, jeden bardziej okrutny od drugiego. Postanawiałam rzucić to wszystko i zaprosić Sarę na piknik. Wciskałam twarz w poduszkę tak mocno, że odcinałam sobie dopływ tlenu, i szeptałam jego imię, jego prawdziwe imię - Oleksandr czy Oleś, teraz już go nie pamiętam, ale wtedy było czymś najbardziej materialnym. Jego imię podniecało mnie tak, jak pięćdziesięcioletnich rozczarowanych i zmęczonych życiem mężczyzn podniecają trzynastoletnie uczennice. I drżałam w konwulsjach, wijąc się i skręcając, i z większości moich szczelin i otworów zaczynała się

sączyć morską, dobrze ustana woda; tak jak zdarza się jej cieknąć z kamieni i pęknięć w skałach, i wtedy niesie ze sobą maleńkie kraby i meduzy.

Umiał dręczyć. Z założenia był zimny i cyniczny. Naśmiewał się ze wszystkiego i ze wszystkich, a żeby obronić się przed kontratakami, naśmiewał się też z siebie. Potrafił niespodziewanie podarować mi jakąś potworną aluzję do czułości, a ja wyolbrzymiałam ją i przysysalam się do niej jak ślimak. I kiedy byłam już niemal pewna, że on płonie tak samo jak ja, ogarniała go obojętność i jedyne, co był skłonny wycedzić, to kilka porąbanych zdań po hiszpańsku.

Składał się z wydumanych i naiwnych rozmów: o Castanedzie, narkotykach, programowaniu, snach, seppuku i haiku, psychoanalizie, voodoo, astrologii - amatorski zestaw, który wywoływał we mnie coraz gwałtowniejsze porywy namiętności.

(Spośród filmów porno znacznie bardziej podniecają te, w których można zauważyć kilka czerwonych pryszczki na tyłku aktorki, włosy pod pachą, fałdkę tłuszczu na brzuchu, krople potu nad górną wargą, obwisłe, rozbujane worki piersi, niż te, w których aktorki są matowo-gładziutkie, nienaganne i estetyczne, gdzie symetrycznie nadęte silikonowe piersi przypominają dwa przypadkowe cieliste grzyby, a idealnie wygolona sterylna szparka wygląda jak bohaterka programu dla dzieci, bajkowa istota o śmiesznym imieniu).

Każde jego patetyczne oświadczenie - przeciwko religii czy za dyskryminacją, cytaty z Hitlera czy Aleistera Crowleya - budziło we mnie rozczulenie, podobne chyba do tego, jakie odczuwa matka, patrząc na swoje zezowate dziecko.

Często go rysowałam - nawet zanim po raz pierwszy zobaczyłam jego zdjęcie. Z przodu i z profilu, potylicę i plecy, na stojąco, na siedząco i we śnie. Umyślnie kreśliłam niewyraźne linie. Rysunki wychodziły ulotne i za każdym razem można było na nie patrzeć inaczej, za każdym razem tak, jak się chciało.

Wiedziałam, że nie jest piękny. Nieraz opowiadali mi o tym ci, którzy spotykali się z nim naprawdę, nie opisując przy tym jednak żadnych konkretnych wad ani nie mówiąc nic szczególnego, jedynie jęcząc i chichocząc, ustawiając całe rzędy wykrzykników i trzykropków, z których sama miałam wywnioskować, że nie jest po prostu brzydki, ale jakoś szczególnie paskudny, może nawet potworny czy odrażający.

Zresztą tak było nawet lepiej. Zez dziecka ustanawia szczególny związek między nim a matką. Dzięki temu zezowi dziecko należy do matki jeszcze bardziej niż do kogokolwiek innego. Zmniejszają się szanse, że ktoś zapragnie je sobie przywłaszczyć.

Dzięki jego potworności miałam większe szanse zdobycia go w realu. Byłam o niego dziko zazdrosna, po prostu szalałam z zawiści. Byłam tak daleko, między nami rozciągała się tak

gigantyczna masa mętnej wody oceanu, że pozostawało mi tylko przygryzanie warg, gdy obserwowałam na monitorze, jak umawia się z kimś na spotkanie albo obdziela kogoś swoim tragizmem i patosem, który tak bardzo chciałam zagarnąć dla siebie. Najgorsze, że nie byłam jedyną zainteresowaną. Zbierał całe snopy wirtualnych ślicznotek i spryrciul, które odrzucały dla niego swoją wyższość, żegnały się z lodowatą obojętnością i stawały się niespodziewanie ciepłe i miękkie, pokorne i ciche. Łuskał je jak orzechy, rozcierał między palcami na pył - i sam nie wiedział, jak mu się to udaje. A mnie w tym czasie pękało serce.

Ale byłam nieskończenie cierpliwa. Uspokajała mnie wiedza o jego potwornym wyglądzie. Po spotkaniach w realu ślicznotki i spryrciary znów wracały do pionu i napięcie spadało. „Co za kretynki - myślałam, z radością licząc dni. Tak jakby diabeł musiał być przystojny”.

Byłam nieustannie skupiona, nie przestawałam czuć się tak, jakbym musiała coś obmyślić. Co konkretnie - nie wiedziałam, ale mój mózg bezustannie pracował, wyobrażał go sobie, wymyślał jego potworność, sprytnie zmieniając brzydotę w piękno. Przecież o pięknie nie decydują rysy twarzy, powtarzałam sobie. Zdarzają się śmieszni i nieproporcjonalni ludzie, od których nie można oderwać oczu. I on właśnie jest jednym z nich.

Rysując go na papierze i w myślach, najwięcej uwagi poświęcałam jednemu miejscu - zaokrągleniu szczęki trochę poniżej ucha. Dokładnie widziałam, jak to miejsce powinno wyglądać. Wyrazne, niczym wyciosane z kamienia, ściśle obciągnięte ciepłą, suchą skórą, na której bez wątplenia rośnie ciemna kłująca szczecina. Kość powinna być nawet nie tyle zaokrąglona, ile zaostzona, jak kąt 125 stopni.

Wystarczyło, że zakopałam się twarzą w poduszce i wyobraziłam sobie to miejsce, szepcząc zapomniane teraz imię, by w dole brzucha zaczynało budzić się duszące falowanie - działało niezawodnie.

„Cokolwiek, wszystko jedno, gotowa jestem na wszystko, róbcie ze mną, co chcecie, tylko dajcie mi go, dajcie” dyszałam gorąco w poduszkę, myśląc, że nikt mnie nie słyszy.

Rzeczywiście miał młodszego brata - jego ulubiony temat rozmów. Łączyła ich czuła, delikatna więź, której nie omieszkiwali podkreślać, dając innym do zrozumienia, jak rzadka i niespotykana jest ich miłość, jak szczególne, absolutnie unikatowe są ich stosunki. Ich braterstwo miało w sobie coś kobiecego.

Brat stanowił jego przeciwieństwo niemal we wszystkim.

Dobry, uprzejmy i życzliwy, przyjemny rozmówca, miły i dobroduszny chłopczyzna. Nie wyróżniał się niczym szczególnym: no, lubił brutalne żarty, no, opowiadał, jak rzygał wczoraj z przepicia, no, sprawiał wrażenie tyleż zaciekawionego rozmówcą, co obojętnego - był samowystarczalny.

Zresztą prawie nigdy się z nim nie zadawałam, całkowicie zachwycona swoim bohaterem.

Oleksandr czy Oleksa (zdaje się, że za momentik uda mi się w końcu przypomnieć sobie jego imię) często przytaczał swoje ulubione opowiadanie Borgesa o dwóch rudowłosych braciach, starszym i młodszym. Pewnego razu starszy przywiózł sobie do domu dziewczynę, młodszy też się w niej zakochał, dziewczyna odwzajemniła jego uczucie, ale nie mogła opuścić starszego, i tak przez pewien czas żyli we trójkę: kiedy starszego nie było w domu, dziewczyna pieprzyła się z młodszym. Starszy oczywiście w końcu się o tym dowiedział i sprzedał dziewczynę do burdelu.

Jednak żaden z braci nie zdołał pokonać swojej namiętności, więc obaj w tajemnicy jeździli do dziewczyny w charakterze klientów. Kiedy pewnego razu bracia spotkali się na progu burdelu, starszy powiedział, że jeśli potrwa to dalej, zajeżdżą konie, więc lepiej, jeśli dziewczyna będzie zawsze pod ręką. Wykupili ją zatem z burdelu i wszyscy troje wrócili do domu. Ale zazdrość i namiętność nie dawały im spokoju. Starszy brat postanowił więc zabić dziewczynę, tę ich wspólną pasję, a gdy ją zakopali, wrócili do domu, smutni, ale uspokojeni.

Podobały mi się jego aluzje i podobało mi się to opowiadanie. Dwóch braci i łącząca ich miłość, od której zalatuje przesadą i histerią. Kobieta, która zagraża tej miłości. Bracia, którzy od dzieciństwa przywykli po równo się wszystkim dzielić. Kobieta, która nie jest w stanie ich poróżnić.

Kobieta-rzecz, w której się zakochali.

Przyjemnie było myśleć, że podobam się komuś do tego stopnia, że zechce podzielić się mną ze swoim bratem. Brat jako taki wcale mnie nie pociągał. Zresztą on sam odnosił się do mnie chłodno i ostrożnie, z wyraźną, niemal ostentacyjną obojętnością. Nie był dla mnie tak miły i serdeczny jak dla innych. Nie wierzył mi. I słusznie, chociaż wówczas, zanim się z nimi spotkałam, nawet sama nie mogłam o tym wiedzieć.

Wiedziałam tylko, jak wycić w myślach, wyobrażając sobie wyraźne zaokrąglenie żuchwy.

Miesiąc czy dwa po powrocie wybrałam się do miasta, w którym mieszkał (choć to nie całkiem tak - dom mieli na przedmieściach, no ale zawsze). Umówiliśmy się w centrum przy pomniku Szewczenki.

Nasze pierwsze spotkanie wypadło w jakieś narodowe święto - kiedy czekałam na niego i jego brata pod pomnikiem, w złotym, dusznym czerwcowym powietrzu kręciły się tłumy bojowo nastawionych emerytów w wyszywanych koszulach z kwiatami i znaczkami na piersiach. Wykrzykiwali hasła, tworzyli grupki interesów i zapluwając się, pomstowali, ganili albo wygłaszali własny i jedynie słuszny plan wyjścia z kryzysu.

Braci Hawrylaków nie było widać i zaczynałam już godzić się z myślą, że nie przyjdą. „To się przecież nie zdarza mówiłam sobie - tak długo żyć tym czekaniem, tak długo o kimś myśleć i

potem spotkać się z nim i się nie rozczarować, tylko przeciwnie - bardziej się oczarować, na dłużej, na zawsze. Nie, to się nie zdarza. I dlatego nawet lepiej, że nie przyjdą i nigdy się nie spotkamy. Nie potrzebuję tego rozczarowania. Lepiej, żebym już zawsze cierpiała nudności i pijaństwo”.

Wokół krążyli emeryci. Zeszło się ich tylu, że nie było zza nich widać nawet skrzydlatego Szewczenki, który - jak mówiono - miał jedną rękę z gipsu, bo rzeźbiarz przepił kawał brązu. Siedziałam na niskim nagrzanym murku, rozglądając się na wszystkie strony. Ale widziałam tylko kilkadziesiąt par damskich nóg pokrytych żyłakami oraz co najmniej tyle samo męskich wytartych spodni, spod których wylaniały się żałośnie krótkie skarpetki.

Coś chrząknęło nade mną, uniosłam głowę i na tle błękitnego czerwcowego nieba, wysoko, bardzo wysoko, zobaczyłam dwie głowy. Patrzyły na mnie uważnie. Patrzyły jednakowymi oczami, ale zupełnie inaczej.

Bracia Hawrylacy okazali się wysocy i chudzi. Młodszy był o kilka centymetrów wyższy, a starszy - jakieś dwa kilogramy chudszy.

Ściskając moją rękę, młodszy Hawrylak niemrawo unióś lewy kącik ust, naśladując uśmiech. Później szybko cofnął dłoń, nagle spowaźniał i odwrócił twarz, by przyjrzeć się czemuś ponad głowami emerytów.

Na starszego bałam się nawet spojrzeć.

Gdy zerknęłam na niego po raz pierwszy, poczułam głęboki, przytłaczający smutek. „Niech to diabli, niech to diabli” - pomyślałam, starając się nie dostrzegać jego wybałuszonych z zachwyty oczu. Czy raczej oczek - malutkich, zezowatych, blisko osadzonych. Nad nimi zwisały gęste bezkształtne brwi, które zrastały się u nasady nosa. Przerwy między żalonymi, pomarszczonymi niteczkami warg a wielkim, niemal rozplaszczonym, mięsistym nosem prawie nie było.

Minęliśmy zbiegowisko staruszków i poszliśmy przed siebie. Młodszy trochę z przodu, wciskając dłonie w tylne kieszenie dżinsów i szeroko rozstawiając chude, opalone łokcie. Na lewym zauważyłam zaschniętą brunatną plamę krwi. Wpatrując się w ten strupek, starałam się opanować.

Ale gdzie tam. Skóra Starszego poznaczona była śladami po ospie i pokryta czerwonymi, napuchniętymi pryszczami. Krótkie czarne włosy przystrzyżone na jeża odsłaniały nierówności czaszki. Na malutkim okrągłym podbródku jak żart ciemniał kokietyrny dołeczek. Nieproporcjonalnie duże uszy sprawiały, że jego głowa wydawała się zupełnie malutka.

Ale najgorsze było to, że wcale nie miał specjalnego miejsca na żuchwie, trochę poniżej ucha. Było tam całkowicie płasko: od ucha owal twarzy przechodził od razu w brodę.

Żadnego zdecydowania, surowości i napięcia. Tam, gdzie miała się mieścić rozpacz i okrucieństwo, widziałam najwyżej odrobinę uporu charakterystycznego dla namolnego zwierzątka. I jeszcze zagubienie, miękkość i niespożytą czułość. I gotową w każdej chwili wyrwać się na zewnątrz w formie zaślinionej ufności.

Czułam się jak ogłupiona przez samą siebie idiotka idiotka, którą rzeczywiście byłam. To przecież nie jego wina, że w mojej wyobraźni potworność jego wyglądu graniczyła z infernalnością. Nawet się nie domyślał, w jaką demoniczność ubrałam go w swojej dziecinnej wyobraźni (bo infernalność wynika z infantylności).

Przecież jego brzydota była tak naprawdę śmieszna i niska. Kolaż małych wad - niczym karykatura albo przyjacielska drwina. Kwaśne oczy, białe zastrzone wągry, wosk w uszach jak siarka (no i masz diabła, i piekło, i siarkę).

Drobniutkie ząbki przypominające mleczaiki. Wiecznie przepaszający ton głosu. Namolność. Przygarbienie. Jego powaby można by zresztą opiewać w nieskończoność.

Terkotał coś wesoło (wysoki chłopięcy tembr głosu), jękając się, połykając sylaby i niezdarnie budując zdania. Odpowiadałam mu, nie spuszczać wzroku z lewego łokcia jego brata.

Młodszy odwracał czasem głowę w lewo albo w prawo i wtedy widziałam go z profilu. Brwi też miał gęste, ale zgrabnie dopasowane do jego zmrużonych kocich oczu.

Cała jego twarz była kocia: szeroki uśmiech, wydatne kości policzkowe, leniwe i znudzone spojrzenie.

„Niech to diabli” - pomyślałam znowu, łypiąc na jego silną, opaloną szyję.

Tym czasem Starszy wymachiwał skrzydłami kolorowej syntetycznej koszuli. Spowił mnie gęsty i ostry zapach jego potu, tak silny i kwaśny, że miałam ochotę zamknąć oczy.

„No tak, przecież jest lato” - wyjaśniłam sobie w myślach.

Poszliśmy na piwo w jakieś chłodne miejsce. Mówił głównie Starszy, nie spuszczać ze mnie oczu, niezdarnie bujając wszystkimi zawiasami - był jak źle naoliwiony Blaspany Drwal, zdawało się, że poskrzypywał nawet trochę kośćmi. Jego wzrok kłuł mnie w serce. Czułam się tak, jakby trzeba było przegnać bezdomnego psa, nakarmiwszy go najpierw kiełbasą. Pies wsuwa kiełbasę, jest wesoły i wierzy, że oto wreszcie także w jego życiu wszystko się ułożyło, że w końcu nawet on znalazł sobie pana.

Opowiadał coś o ich domu na przedmieściach i o tym, jak niedawno kąpali się w jeziorze i jakie tam u nich robią czeburiaki, i co mówiła babka w autobusie, kiedy jechali się ze mną spotkać, i z jaką dziewczyną spędził wczoraj wieczór Młodszy, i co mówiła sąsiadka, i jak to śpiewa Kazik, i jeszcze o wielu innych rzeczach, za którymi nie mogłam już nadążyć, spijając pianę z piwa, uśmiechając się i dorzucając co jakiś czas słowo albo dwa.

Młodszy siedział w milczeniu, pił szybciej od nas i myślał o swoich sprawach. Na jego twarzy od czasu do czasu pojawiał się sarkastyczny uśmiech. Niebawem zaczął ostentacyjnie ziewać i szturchać Starszego pod stołem, tak że piwo rozlewało się na obrus.

Podeszła do nas młoda Cyganka z kilkoma zwiędłymi różami na długich łądygach. Starszy spojrział pytająco na Młodsze. Młodszy skrzywił się z obrzydzeniem i wymownym gestem dał Cygance do zrozumienia, żeby szła do diabła. Kiedy Cyganka obrażona pokuśtykała dalej (udawała, że ma jedną nogę krótszą), nasze spojrzenia się spotkały.

A Starszy niczego nie rozumiał. Na przykład uparcie oddawał mi pieniądze, kiedy usiłowałam za siebie zapłacić. Aż zachłystywał się pragnieniem, żeby być mężczyzną: otwierać drzwi, przepuszczać przodem, całować w rękę, odsuwać krzesło, pomagać założyć płaszcz, próbować wino i decydować, czy jest godne damy. Naprawdę się zachłystywał: ślina pieniała mu się w kącikach ust i co chwilę z głośnym siorbnięciem wciągał ją z powrotem.

Znów odsunęłam od siebie pieniądze.

- Niech tam... Pozwól jej, jeśli chce - wzruszył ramionami Młodszy, wyglądał na tak znudzonego, jakby nuda miała lada moment zacząć ściekać z niego niczym kisiel.

Grzbietem swojej wielkiej dłoni zakończonej śmiesznymi płaskimi paznokciami zgarnął pieniądze na krawędź stołu, przerzucił je do drugiej dłoni i schował do tylnej kieszeni dżinsów. Nawet na mnie przy tym nie spojrział.

- Idę się wysikać - powiedział i głośno beknął. A potem uderzył mnie jeszcze drzwiami. Lekko, co prawda, ale uderzył.

Starszy zaczął przeproszać. Nie poczułam się urażona.

Chciałam powiedzieć Starszemu, że jego brat ma rację i że lepiej dla niego byłoby postępować ze mną w taki sam sposób - niedbale i ordynarnie, okazywać mi obojętność i wyższość, a jeszcze lepiej jakoś obrazić.

Ale on uparcie nie dostrzegał podpowiedzi brata. Cały aż promieniował szczerością. To nie pot, ale szczerość występowała przez pory jego chudego, rozchwianego ciała. Ta szczerość pachniała czymś ostrym i bardzo kwaśnym.

Stał na środku ulicy i patrzył na mnie, nie mrugając i rozciągając swoje cienkie wargi w łagodnym uśmiechu. Patrzył na mnie jak w obrazek.

Młodszy zasuwał już przed siebie. Latarnie oświetlały jego wysoką postać: dłonie w tylnych kieszeniach, łokcie sterczące na boki, na lewym zaschnięta brązowa plamka krwi. Czułam, że jest zły.

- Idź już - powiedziałam Starszemu.

Stał bez ruchu.

- Idziesz? - krzyknął z daleka obrażony Młodszy.

- No, idź - nalegałam.

Cofał się, nie odwracając ode mnie wzroku. Cofał się coraz szybciej i szybciej, aż walnął plecami w latarnię. Jęknął i burknął coś do siebie zmieszany. Młodszy podszedł do niego i warknął.

Ale co - tego już nie słyszałam. Wchodziłam po schodach.

Mogłam się z nim więcej nie spotkać. A jednak zadzwoniłam, umówiłam się.

W mojej pamięci do czysta zatarło się wszystko, co robiliśmy tego dnia. Dokąd poszliśmy, o czym rozmawialiśmy, co piliśmy, co jedliśmy. Powiedział, że Młodszy gdzieś pojechał. „No to co?” - wzruszyłam ramionami, bo przecież to nie on mnie interesował, nie o Młodszego przecież chodziło, to nie jego wymyślałam przez tyle miesięcy, to nie jego miałam jakoś dla siebie uratować. Ale mimo to poczułam się tak, jakby nakarmiono mnie niesioną potrawą.

Pamięć wykluwa się już w fioletowym mroku, dusznym, grząskim, wypełnionym wybujałymi, przesyconymi słońcem roślinami, których przejrzałe zapachy zalatują ciężkimi perfumami kobiet lata.

Stoimy pod klatką trzypiętrowego domu, w którym przemieszkuję w oczekiwaniu na wyniki egzaminów wstępnych. Z obu stron zwisają nade mną gałęzie bzu. Od czasu do czasu chwytam w ciemności ich chłodne listki i głaszczę je, szukając jakiegokolwiek ulgi.

Stoję przy samych drzwiach - drewnianych brązowo-rudych drzwiach na klatkę, z których nierównymi wielkimi płatami złazi farba. Hawrylak - kilka stopni niżej, na asfalcie. Patrzy na mnie z dołu. Widzę, że się denerwuje.

Śmieszy mnie to i drażni. Zbrzydł mi ten spacer, to bezsensowne spędzanie czasu. Mam ochotę wejść pod prysznic.

Mam ochotę zmyć z rąk coś lepkiego (Czym ja się usmarowałam? W co wlałam?).

Hawrylak znajduje coraz to nowe i nowe tematy do monologów. Łapie je z powietrza - banalnie i niewprawnie. Rozkłada je przede mną drżącymi, spoconymi dłońmi.

Oglądam je niedbale, dziwiąc się jego zdolności do naznaczania nudą nawet najbardziej niezwykłych opowieści.

Patrzę na siebie z boku. Patrzę na nas z boku. Od upału zrobiły mi się loki, wcześniej mi się to nie zdarzało. Głupawy puch półkołem otacza czoło. Jestem ubrana w trochę za dużą niesymetryczną sukienkę. Z przodu jest dłuższa niż z tyłu.

Hawrylak ma na sobie staromodną beżową koszulę z krótkimi rękawami. Z prawej strony na piersi - kieszonka z guzikiem. Koszulę włożył w džinsy. Postarał się, wybierając ubranie na

randkę. Od zapachu jego potu czuję się pijana. Z trudem powstrzymuję się, by nie zacząć łąpać powietrza ustami.

W myślach komentuję wszystko, co się dzieje - jego słowa i zachowanie, siebie, ten wieczór i jego bezsens. Komentuję w trzeciej osobie.

- No, idź, idź - powtarzam w głowie i na głos. Bo zegnamy się już od godziny. Mówi: „Cześć, powodzenia, dzwoniemy się”, a potem przypomina sobie nagle coś ważnego i znów nakręca się na kilkanaście minut. To coś ważnego - to obrzędy plemion afrykańskich, zioła używane przez wiedźmy, mantry, grupy krwi, wyniki ostatnich badań genetycznych, powieść znanego pisarza specjalizującego się w science fiction, film z Rutgerem Hauerem w roli głównej. Wiesza na mnie opowieści jak hawajskie girlandy. Wije z nich gniazdo. Wykonuje rytualny taniec ślubny. A tak naprawdę - gra na czas. Wiem po co. To śmieszne i trzeba tego uniknąć.

- No, idź już, idź - powtarzam słowa, które w ciągu naszej historii będzie słyszał ode mnie najczęściej.

- Cześć, powodzenia, dzwoniemy się - mówi już nie wiem po raz który i przestępuje z nogi na nogę. Szyja schowana w ramionach. Na twarzy uśmiech winowajcy. Ręce głęboko w kieszeniach.

- Czekaj, czekaj - krzyczy, kiedy znów chwytam dłonią popękane drzwi, starając się je otworzyć. Marzę już o tym, by trafić do tej ciemnej, śmierdzącej klatki. Marzę o tym, by zostawić na dworze tę duszną noc i tego dusznego mężczyznę.

Ale zatrzymuję się i raz jeszcze odwracam. Prawie go nie widać w ciemności.

- Rozumiesz - mówi, drepcząc w miejscu jak cielę (rozumiem) - rozumiesz... - mamrocze pod nosem, siorbiąc własną ślinę i pociągając nosem. - No, jak to powiedzieć (oj, lepiej tego nie mówić), sam nie wiem, jak to wyjaśnić (za to ja wiem - wszystko jest bardzo proste), i mnie samemu nie bardzo się to podoba (no pewnie), ale po prostu nieskończenie (skończże, skończ), przemożnie (hmm...) ciągnie mnie do ciebie.

Uśmiecham się w ciemności. Chociaż nie, nie uśmiecham - wyśmiewam się z siebie. Należy mi się. Zasłużyłam na to. Wszystko jest jak trzeba.

A on, wstydzając się tego, co właśnie powiedział, zrywa się z miejsca, jakby uniesiony porywistym wiatrem, któremu koniecznie muszą towarzyszyć grzmoty i błyskawice, trzęsienie ziemi i ulewa, wybuchy wulkanów, tajfuny, tsunami i tornada - wszystkie rodzaje klęsk żywiołowych łącznie z powodzią, suszami i topnieniem lodowców. W jakimś ułamku sekundy wzlataje po schodach w górę - i zwała się na mnie, wciskając mnie w drzwi. Drzwi trzaskają z głuchym echem, które niesie się po klatce. Bolesnie uderzam się w potylicę. Ramiona i łokcie

nieprzyjemnie trą o szorstką powierzchnię. Łuski farby latają wokół nas niczym płatki kwiatów z drzew na wiosnę.

Ściskając mnie między sobą a drzwiami (nie wiem nawet, co jest bardziej nieprzyjemne w dotyku), czai się, czekając na moją reakcję. Podejrzewam, że mocno zamknął oczy.

Jestem niemal pewna, że ma teraz zbolały wyraz twarzy (później zaobserwowałam, że ta mina była dla niego charakterystyczna).

Ja jednak nie reaguję. Jestem nieruchoma. Moja twarz jest śmiesznie rozplaszczona na jego piersi. Ale wciąż, nawet przez spłaszczony nos, wlewa się we mnie jego natarczywy muszkat.

Moje znieruchomienie odbiera po swojemu. Czuję, że skóra twarzy rozciąga mu się niczym guma - uśmiecha się, nie może nawet ukryć swojej szczenięcej radości. I ten błysk w oczach, ten zachwyty, to zadowolenie z siebie.

Hawrylak szuka swoją twarzą mojej, wyginając w tym celu szyję zgodnie z najlepszymi tradycjami dinozaurów.

Niczym zakochany diplotok trąca mnie swoją małą płaską główką.

Łapczywie wsysa się w moje usta mokrymi, gorącymi wargami. Obcy posmak jego śliny budzi we mnie nieprzyjemne wspomnienia - przedszkolaków, które podmywały nas, nie zważając na dziecięcą wrażliwość, intymność i wstydlivość, albo kolonii letnich, w czasie których, zgodnie z czymś zamysłem, człowiek miał łączyć się w przyjaźni i solidarności z innymi, a tymczasem czuł się jak wybebeszone mrowisko, w którym wszystko leży na wierzchu: larwy, tajne przejścia, kryjówki z jedzeniem, twoja ulubiona książka kartkowana czyimiś lepкими palcami, twoje zaśnięcia i przebudzenia, higiena osobista, strach, wszy, sraczka, plamy z łez na listach do domu - wszystko wymieszane, cały wstyd i wszystkie tajemnice stały się nagle ogólnodostępne, wszystkie specyficzne zapachy i smaki, z którymi dotychczas żyłeś i które ukrywałeś przed obcymi, powylażyły na wierzch i ocierają się o innych, pozostawiając ci w piersiach zimną pustkę, niepełnosprawność i wywnętrzenie.

Z zapamiętaniem ssie moje wargi i oblizuje moją twarz.

Entuzjazm tryska z niego w formie śliny. Jego pośpiech i łakomstwo nie dają mi żadnych szans. Niczym szalony pływak prze do przodu, maksymalnie napinając mięśnie i całkowicie oddając się tej czynności, nie widzi nieba ani fal przed sobą, i boi się, nie wiedząc, jak daleko odpłynął od brzegu.

Wystarczyło, że przyzwyczaiłam się trochę do tego, co się dzieje, by po chwili znów rozdzielić się na osobę dramatu i obserwatorkę. Osoba zaczyna nawet odpowiadać na pocałunki. Nastaje chwila, kiedy oboje czujemy, że trwa to odrobinę zbyt długo. Obserwatorkę to śmieszy, a śmiech przeszkadza w całowaniu. Ale Hawrylak boi się przerwać, co sam zaczął, nie wiedząc, jak

się zachować. Wiatry i zawieruchy ustają, nadchodzi czas całkowitej ciszy. I kiedy nic nigdzie nawet nie drgnie, nie sposób ukryć oczu.

Całowaliśmy się dalej - co prawda już nie tak zapamiętałe - a ja słyszałam, jak terkocą trybiki w jego głowie. Wymyślał słowa. Ale słowa pouciekały gdzieś razem ze śliną.

- Starczy na dzisiaj - powiedziałam surowo, niczym wychowawczyni w świetlicy, i odsunęłam go od siebie. Nawet nie zdążył zamknąć ust i schować języka.

- A może pójdziemy do ciebie? - zapytał i zachichotał jak nastolatek.

- Co ty - pokręciłam głową.

- No, bardzo proszę... - jego głos zadrżał. A oczy stały się żalodne. I brwi ułożyły się w daszek.

- Nie ma mowy, tam śpi moja przyjaciółka - ucięłam.

- Będziemy cichutko, przecież jest tam tapczanik? - Było mi go szkoda. Skomlał i prosił. Prosił i skomlał. Chciał dostać wszystko i najlepiej natychmiast: objeść się, a potem biegunka.

- Tapczanik jest, ale śpi na nim moja przyjaciółka.

Wziął mnie za rękę. Ścisnęłam jego dłoń i powiedziałam uspokajającym tonem:

- Idź już, idź. Już późno.

Wreszcie udało mi się dostać na klatkę. Wchodząc na górę, przeskakiwałam co drugi stopień.

Po cichu weszłam do łazienki i popatrzyłam na siebie w lustrze. Potargane włosy układały się w loki i miały rudy odcień. Oczy nienaturalnie błyszcząły, pojawiły się w nich nowe, szmaragdowe iskry. Wargi spuchły, zrobiły się purpurowe i zajmowały prawie połowę twarzy. Lewa ręka zdrętwiała, nie miałam w niej czucia. Zaśmiałam się do odbicia i wzdrygnęłam, nie poznawszy ani brzmienia śmiechu, ani twarzy w lustrze.

Kiedy położyłam się do łóżka, przyjaciółka sennym i niezadowolonym głosem burknęła:

- Śmierdzi od ciebie potem.

Gdy o nim myślałam, aż wzdrygałam się z obrzydzenia.

Jednak nie przeszkadzało mi to myśleć o nim bezustannie.

Wiedząc, że trzeba z tym jak najszybciej skończyć, poprosiłam, żeby do mnie przyjechał.

I raniutko, zamroczona z braku snu, wyszłam po niego na dworzec, nie mając pojęcia, co też będę robić z nim przez całutki dzień.

Hawrylak wyskoczył z wagonu rześki i śmierdzący, przystrojony kilkoma świeżymi, kwitnącymi pryszczami. Niezdarnie przycisnął się do mnie i zaczął rozglądać wokół, jak gołąb w poszukiwaniu karmy.

Zanim wszyscy się obudzili, zdążyliśmy kilka razy okrążyć miejskie jezioro. Nad taflą wisiała mgła, obok nas przebiegali studenci wychowania fizycznego, a właściciele niespiesznie spacerowali ze swoimi zamyślonymi psami.

Przeczesywaliśmy duże i małe ulice, ale wszystkie jakoś zbyt szybko się kończyły, a do nocnego pociągu, który miał zabrać Hawrylaka z powrotem, wciąż zostawała cała otchłań czasu.

Zaczęłam obdzwaniać przyjaciół i znajomych. Czekaliśmy na nich przy jednej z fontann w centrum miasta. Przysiedliśmy na murku - obejmował mnie ramieniem, a ja mrużyłam oczy do słońca. Przyjaciele i znajomi podchodzili, ale nie byli w stanie się przywitać. Stali, rozdziawiwszy usta, niezdolni wydać z siebie jakiegokolwiek dźwięku.

W kroplach wody, które rykoszetem leciały z fontanny, widziałam, że staję się coraz piękniejsza - skóra promieniowała przerażającym blaskiem, szeroko otwarte oczy błyszczały nieprzytomnie i gorączkowo, rysy twarzy wyostrzyły się i przejaskrawiły, wyraźniej zaznaczyły się kości policzkowe, wargi ociekały krwawą wilgocią, czyjś obcy, łakomy uśmiech skuwał mi twarz i nie dawał się usunąć.

Do dziś nie wiem, na które z nas straszniej było patrzeć: na niego, potwornego, czy na mnie, przepiękną. O ile ja stawałam się przy nim lepsza, o tyle on brzydł w oczach: robił się paskudny, marszczył się, pokrywał plamami i pryszczami.

Znajomi, niezdolni na żadnym z nas zatrzymać nawet dłużej wzroku, niebawem rozeszli się w zakłopotaniu.

Znów zostaliśmy sami. Omdlała od upału i bryzgów wody, zaczęłam zapadać w sen na kolanach Hawrylaka. Nic mi się nie śniło, jakbym nie spała naprawdę i wciąż pamiętała, gdzie i z kim jestem, czułam jego zapach i to, jak żarem pałają moje policzki.

A potem, nie dospawszy do końca, poprowadziłam go pieszo przez całe miasto dobrze sobie znaną trasą - przez dworzec i wiadukt nad torami, przez ulice Braci Majdańskich, Iwasiuka, Mołodziżną (czy jak jej tam), i dalej, dalej, zakurzoną obwodnicą przez huk ciężarówek, i między szarymi blokami, gdzie po osiedlowych alejkach spacerowały zmęczone młode małżeństwa, ani odrobinę niezadowolone z tego, że są młode i że są małżeństwami. W pewnym momencie bloki zaczęły maleć i zmieniać się w prywatne parterowe i piętrowe domki, znaleźliśmy się we wsi Wowczynca, przeszliśmy mostem nad szeroką, ale płytką rzeką, w której ktoś kiedyś utopił świnię i gdzie do tej pory leżał jej szkielet. A potem, minawszy bezzębne baby z kozami i bezzębne dzieci, wspięliśmy się na porośnięte rzadziutkim laskiem pagórki. Spod warstwy śmieci prawie nie było widać trawy i ziemi, a szukanie tam schronienia przed miastem było zupełnie bezcelowe - bo chociaż samo miasto było malutkie, to laszek pokrywający wzgórze wyglądał tak marnie, że zza

każdego drzewa można było dojrzeć zakurzone ulice i fontanny w centrum, i krople, które leciały z nich rykoszetem na wszystkie strony.

Zaszyliśmy się w najdalszym zakątku lasu, umościliśmy nad czymś, co w przybliżeniu przypominało urwisko (całkowicie bezpieczne i zupełnie niskie, ale zawsze), w dole szemrała rzeka obmywająca świńskie kości - i wtedy Hawrylak przycisnął mnie do nierównej, poprzerastanej korzeniami darni, i znów zaczęliśmy się całować, tym razem nie bałam się już jego śliny, przeciwnie - dopuszczałam ją do siebie z gotowością, a nawet nie bez satysfakcji. Słońce śliniło nas z góry, rzeka w dole toczyła się śliną, a modre ślimaki na mięsistych liściach po prawej i po lewej (mogłam je zobaczyć, gdy otworzyłam oczy i spojrzałam lekkim zezem w którą stronę) wymalowywały śluzem śliniaste hieroglify.

Hawrylak zdjął ze mnie koszulkę i skórą pleców czułam teraz pod sobą wyraźnie każdą igielkę, każde źdźbło trawy i najmniejszą gałązkę z pączkiem, i mrówki - czerwone i czarne, gryzące, kwaśne i łaskotliwe, które swoimi straszonymi, jeśliby spojrzeć przez mikroskop, szczękami starały się odgryźć jak największy kawałek mnie, żeby go potem zaciągnąć do mrowiska i schować w kryjówce na zapasy, by zimą nie umrzeć z głodu.

Hawrylak, szalejąc z powodu takiej ilości gołej skóry, która stała się nagle dla niego dostępna, macał mnie jednocześnie wszędzie, jak ślepiec badający budowę ludzkiego ciała i starający się je sobie wyobrazić. Zresztą, tak naprawdę był ślepy - i to nie tylko dlatego że dotykał mnie z zamkniętymi oczami.

Jednakowo radośnie przyjmował mój brzuch, obojczyki i żebra, piersi, szyję, łopatki i plecy, przewracał mnie z boku na bok, głaskał i podszczypywał, przygryzał i wydawał rozmaite dziwne dźwięki, jakieś warknięcia, pojękiwania i sapnięcia, tarł o mnie swoimi spuchniętymi spodniami, a ja swoimi tarłam o jego, bo też miałam poczucie spuchnięcia, musiałam nawet rozpiąć guzik i suwak, bo zaczęłam się już niemal dusić. Hawrylak wsunął wtedy obie dłonie pod gumkę moich majtek, zaczął tam głaskać, trzeć i poklaskiwać, przetaczając mnie z miejsca na miejsce, a potem posadził mnie wreszcie na sobie i z całej siły przycisnął do piersi.

Leżeliśmy tak, przysłuchując się brzęczeniu owadów i szumowi rzeki. Powoli zapadał zmierzch i dopiero kiedy poczułam chłodne dotknięcie wieczornego wiatru, uświadomiłam sobie, że owady nie tylko brzęczały - one także gryzły.

Właśnie w tym momencie wygięłam się i zasyczałam, cała powierzchnia moich pleców piekła i swędziała, paliła ogniem i pulsowała setkami rozjątrzonych, spuchniętych ukąszeń.

- Tu są komary, komary - spanikowałam, ale Hawrylak chwycił mnie tylko gwałtowniej, przycisnął do siebie i znieruchomiał, z całej siły przyciągając dłońmi, które wciąż nie wynurzyły się z moich majtek, moją miednicę do swoich napęczniałych spodni.

W ten sposób ciało piekło mnie na kilka różnych sposobów: delikatnie i przeciągle piekły zadrapania od igieł, gałęzi i korzeni, nieznośnie i gorąco piekły setki ukąszeń, domagających się natychmiastowego rozdrapania, najlepiej do krwi, do ran, do bólu, piekły też uda, miednica i krocze, ciągnąc się i jęcząc, wydzielając coś wilgotnego i błotnistego, jak wielkie ukąszenie komara, spuchnięte, wypełnione gęstą, bordową cieczą, pulsująca, gigantyczna tarcza, która prześwitywała przez rzadki lasek na jednym z pagórków obok wsi Wowczynca.

Gdy się ściemniło, zaczęliśmy się zbierać. W głuchej nocy, absolutnie, idealnie nieprzejrzystej, cieplej i niemal bezwietrznej, czułam się jak w szczelnie zamkniętym pokoju, którego okna dokładnie zasłonięto. Nie można było odróżnić pni drzew od powietrza między nimi. Ziemi od nieba. Nie było księżycy ani gwiazd, gdzieś ciurkała woda, skądś dobiegały echa ludzkich głosów - i to budziło jeszcze większą grozę. Pod nogami głucho trzeszczały gałęzie.

Posuwaliśmy się naprzód po omacku, gęste powietrze nie chciało nas przepuścić, zupełnie jak we śnie, kiedy musisz uciekać, ale nogi odmawiają ci posłuszeństwa i wypełniają się tonami stali. Z tą różnicą, że ja na przykład mogę we śnie skakać na kilkanaście metrów i wzlatywać tak wysoko, jak zechcę. Tutaj czułam się całkowicie bezradna. Okazało się, że Hawrylak był nie mniej zagubiony. Grzęźliśmy w gęstych zaroślach niczym muchy w pajęczynie. Przedzieraliśmy się przed siebie milimetr po milimetrze - rośliny, jak gdyby grając w jakąś okrutną grę, zaczepiały o moją skórę kolcami i ostrymi pędami, zostawiając na mnie coraz to nowe krwawe ślady.

- To nic, głupi i pijani zawsze mają szczęście - powiedział Hawrylak.

Wszystko aż kipiało we mnie ze złości. Czy raczej piekło w jeszcze inny sposób. Ziemia usuwała mi się spod nóg, kamienie staczały i dźwięcznie tłukły gdzieś w dole (skąd tu się nagle wzięły takie przepaści?), ze wszystkich stron coś podejrzanie szemrało i pojękiwało. Od czasu do czasu niedaleko nas rozbłyskiwały parzyste ogniki - zielonkawe albo żółte. Ktoś skrzeczał, chrumkał i parskał śmiechem.

Dłonie miałam kurczowo zaciśnięte w pięści, czoło pokryte zimnym potem, nogi niemal całkiem odmówiły posłuszeństwa, plecy piekły żywym ogniem, oczy bolały od ciemności - łatwiej było je po prostu zamknąć. Byłam nieprzytomna z przerażenia. Nie mogłam nawet myśleć.

Serce waliło mi w piersi. Hawrylak trzymał mnie za rękę, ale jego dłoń już od dawna przestała być ręką człowieka i zmieniła się w gałąź złego, wrogiego drzewa, i tylko ciepły, skisty zapach przywracał mi poczucie rzeczywistości i otrzeźwiał, wlewał się do środka przez nozdrza i usta, mieszał z krwią i tlenem i uspokajał wyczerpane paniką zakończenia nerwowe.

Kiedy wyszliśmy wreszcie na ścieżkę i znów zobaczyliśmy światła miasta w dole, poczułam nieodpartą chęć, by zasnąć. Ale do pociągu Hawrylaka zostało jeszcze kilka godzin.

Przez następny tydzień, jeśli nie dłużej - akurat w najbardziej upalne i parne dni lipca - musiałam chodzić w golfach z długim rękawem. Plecy, ręce i szyja były nie do poznania, potworne. Minęło sporo czasu, nim znów mogłam je uznać za swoje.

Kiedy przeniosłam się do jego miasta na studia i zamieszkałam w wielkim trypokojowym mieszkaniu (jeden z pokoiów był wprawdzie zamknięty, ale nie można go było nazwać niedostępnym), zyskałam cudowną szansę pozbycia się Hawrylaka. Nie wiedział, gdzie mieszkam, nie znał mojego adresu ani telefonu, byłam dla niego zgubiona i stracona na zawsze, nie sądzę, by odnalazł mnie samodzielnie, czułam się bezpieczna i samotna. Z okazji oczywiście nie skorzystałam. Zadzwoiłam do niego, podałam telefon i numer domu, wyjaśniłam, gdzie trzeba skręcić i w którą bramę wejść.

Po jakiejś godzinie jego wysoka, rozbujana postać - ręce w kieszeniach spodni, oblepione grudami zaschniętego błota buty, syntetyczna dziurkowana koszulka - zamajaczyła za poszarzałą ze starości kuchenną firanką.

Przychodził codziennie, przepisawszy mój rozkład zajęć do „Terminarza biznesmena” swoim starannym charakterem pisma. Często czekał na mnie pod drzwiami. Najczęściej jednak spotykałam go pod domem, na asfaltowej skośnej ścieżce, którą przemierzał niemal w podskokach, nie ukrywając uniesienia.

Nigdy nie całowaliśmy się na powitanie ani na pożegnanie. W ogóle zachowywaliśmy się rzeczowo. Otwierałam drzwi i od razu szłam do pokoju albo kuchni. Zdejmował buty, starannie ustawiał je w kącie przedpokoju czubkami do ściany. Jego szare skarpetki były na ogół dziurawe z przodu, a na piętach przetarte do cieniutkiej siateczki.

Już zdejmując buty, niepewny, czy słucham, czy też nie zawsze zachowywałam się tak, jakbym nie słuchała - zaczynał wygłaszać jakieś gotowce, bełkocąc i zacinając się, zachłystując udawanym dziecięcym zachwytem.

- Po pierwsze - mówił, rozwiązując stare oberwane sznurówki - od dawna wiedziałem, że ten świat stacza się w przepaść. I potwierdziło się to piętnaście minut i czterdzieści siedem sekund temu, chociaż nie - czterdzieści dziewięć sekund temu (wiedziałam, że patrzy teraz na zegarek) w autobusie. Stara kobieta z dynią w wiadrze ustąpiła mi miejsca, mówiąc: „Siadaj, siadaj, synek, wy teraz tacy słabiutki jesteście, a ja i tak niedługo umrę”.

Słyszałam, jak chichocze, pochrumkuje i siorbie ślinę.

Wiedziałam dokładnie, kiedy zatrzymuje się przed lustrem.

Nie wyobrażałam sobie tylko, co czuje, patrząc na swoje odbicie. Milczałam, pragnąc wypełnić przestrzeń wokół siebie zastygłą jak galareta obojętnością, żeby przeszkodzić mu w przebiciu się do mnie.

- I wiesz co? - mówił, podchodząc i siadając obok (często czytałam przy nim książkę, przepisywałam notatki albo słuchałam walkmana).

Nie odpowiadałam, nie zachęcałam go pytaniami. Ale on, chociaż się peszył, nigdy się nie wycofywał.

- Usiadłem na jej miejscu i nie podziękowałem. Dlatego że świat i tak stacza się w przepaść. A poza tym, zapomniałem ci to powiedzieć ostatnim razem: Szkoci pod kiltami nie noszą majtek.

Słowem, zachowywaliśmy się jak para małżeńska z czterdziestoletnim stażem.

Tak właśnie powiedział, kiedy po raz pierwszy pozwoliłam mu się przelecieć. Po niemal godzinnym milczeniu stwierdził: „Jesteśmy jak stare małżeństwo” - i zachichotał.

Na dworze wisiało złociste, zimne i czyste babie lato. Słońce przygrzewało hojnie i łagodnie, na pożegnanie głaszcząc ludzkie głowy swoimi długimi leniwymi palcami. Ociężała senność lata zmieniała się w chrupiący smutek jesieni.

Za oknem zaczynały blednąć, słabnąć i żółknąć medaliki liści na brzozech. Trawa na niewielkim skwerze kiwała się smutna i zmęczona. W błękicie nieba można już było odczytać nieubłagalność i beznadzieję. Dzieci, które bawiły się na dworze, wciąż nosiły lekkie, letnie ubrania, ale w ruchach ich opalonych chudych kończyn, podrapanych i poobijanych, można było odgadnąć zmęczenie szkolną dyscypliną.

Tego dnia gdzieś znów zaczęła się wojna - na Bałkanach czy na Półwyspie Arabskim. Z jakiegoś powodu wszyscy o tym mówili. Ludzie oczywiście stęsknili się za wojną, oto dlaczego ich serca tak się ściskają i zamierają na wieść o wybuchach, zburzonych budynkach, rozbitych samolotach, przewróconych autobusach, zamordowanych dzieciach, bolesne drżenie wywołują u nich nawet zwyczajne codzienne wypadki, takie jak nieumyślne potrącenie ucznia liceum, który wracał właśnie do domu po pomyślnie zdanym egzaminie, czy niedbalstwo lekarzy, którzy ukatrupili nie tylko niemowlę, ale i rodzącą, czym doprowadzili do samobójstwa niespełnionego młodego ojca.

Chociaż z drugiej strony, dalekie wojny nigdy nie ustają, a my nawet tego nie zauważamy. Tymczasem o tej odległej wojnie mówili: wykładowcy na zajęciach i koledzy z grupy, właścicielka mieszkania, które wynajmowałam, kiedy dzwoniła, żeby kolejny raz przypomnieć o pieniądzach za czynsz, sąsiadka z parteru, sprzedawczyni w maleńkim blaszanym sklepie za rogiem. Mówili w telewizyjnych wiadomościach i w radiu, i ktoś do kogoś krzyczał o tym w dźwięcznej wilgoci klatki, a potem dzieci niosły nowinę coraz dalej i dalej, od domów.

Być może mówiło się o tej wojnie tak dużo, dlatego że w dniu, kiedy się zaczęła, pierwszy raz przespaliśmy się z Hawrylakiem. Chociaż może raczej poszliśmy do łóżka dlatego, że gdzieś daleko rozpoczęła się wojna. To było takie remarque'owskie.

Przyniósł mi całą torbę czerwonych jabłek z ich sadu właśnie takich, jakie lubiłam najbardziej, soczystych i zimnych, świeżych i dźwięcznych. Przyniósł kilka wielkich, twardych, zielonych gruszek z porowatą skórką. Przyniósł wielką krągłą cebulę, złocistą i święteczną. Przyniósł marchew - marchew w tamtym roku wyrosła im drobna i poskręcana. Przyniósł kabaczka, ćwiartkę dyni, pięć główek czosnku. I fasolę - wielką, białą, krągłą, przypominającą zęby jakiegoś dobrego, trawożernego zwierzęcia, i trochę drobniejszą, podłużną, nakrapianą.

Porozkładałam to wszystko w pokoju naprzeciwko łóżka. Pomieszczenie od razu nappełniło się zapachami. Najbardziej pachniały jabłka. A dynia przyciągała wzrok kolorem.

Wtedy, którzyż to już raz zaczęliśmy się całować, stojąc nad wąskim jednoosobowym łóżkiem ze skrzypiącą ramą i materacem na metalowej siatce. Hawrylak trzymał mnie jedną dłonią za głowę, a drugą - za dupę. Od czasu do czasu zerkałam na dary. Wprawiały mnie w dobry humor.

Położyliśmy się na łóżku w poprzek, w ten sposób, że nasze nogi zwisały nad podłogą, i wszystko było tak, jak wcześniej, tylko kiedy Hawrylak bez najmniejszej nadziei z przyzwyczajenia spróbował ściągnąć mi dzinsy, nie zaprotestowałam. Ciągnął je w dół, kuląc się jak człowiek, który oczekuje, że za moment posypią się na niego ciężkie razy. Leżałam nieruchomo, odrzuciwszy głowę, i czekałam. „Niech ma - myślałam życzliwie - niech już ma, biedne ciele”.

Potem uniosłam głowę i spojrzałam na niego. Siedział w kucki na podłodze z moimi dzinsami w dłoniach i patrzył na mnie szeroko otwartymi, zezującymi oczami. Był zdziwiony i zakłopotany. Nie mógł też ukryć leciutkiego uśmiešku, który wyłaził mu ze szczeliny między wargami, wyłaził jak ser z pierogów.

„No chodź, chodź, zanim się rozmyślę - pomyślałam i znów rzuciłam spojrzenie na swoje warzywno-owocowe skarby”.

Hawrylak otrząsnął się i wlażł na mnie niezgrabnie ocieężały, zmieszany, zamknąwszy oczy, jakby wyruszył do straszliwie głębokiej pieczary, w której głębiach można oczekiwać wszelkich nieprzyjemności. Tak zresztą było i czując to, przyjął w siebie speleologa nowicjusza, mokrego z przejęcia, drżącego, skulonego i ciężkiego. Robił tysiące niepotrzebnych ruchów, całkowicie się zagubił i zdawało się, że stracił rozum, wciąż gorączkowo dźgając mnie stwardniałym chujem w pośladki. Dlatego ja, spokojna i gościnna, wsunęłam rękę między nasze ciała - a oboje byliśmy całkowicie wilgotni i lepcy - precyzyjnie się przez nory i szparki, i wyłowiłam z włochatego i ciepłego środowiska naprężony, sterczący organ, ostrożnie chwyciłam go wszystkimi palcami - a on wdzięcznie i ufnie zapulsował, przyjemnie masując mi skórę dłoni - i skierowałam go tam, dokąd chciał, tam, gdzie było jego miejsce.

I wtedy Hawrylak, jakby znalazł wreszcie pewne oparcie, zaczął się gwałtownie dokąś spieszyć, niczym foka, która na przednich płetwach mknie przez bezkresne lodowe przestrzenie, ciągnąc za sobą swój ciężki ogon. Pochlipywał i muczał, jego twarz wykrzywiała się jak obrażona albo przeszyta bólem, i stał się do tego stopnia bezbronny i dziecinny, że chciało się go uratować. Nieważne, że w tym locie naprzód przygniótł mnie sobą tak, że aż zachręściły mi kości, że mnie przydusił i wykręcił mi nogi - włókł mnie za sobą, zachłystując się i jęcząc, a cienka nitka śliny zwiesiła się z kącika jego kurczowo wykrzywionych ust i spadła mi na policzek. W tym momencie zadygotał, jak płaska ryba pod uderzeniem ostrego noża, i zaskomlał. Pogłaskałam go po głowie, uspokajając, kiedy łapał oddech i wbijał głowę w mój obojczyk.

Nawet nie zobaczyliśmy swoich ciał - znalazłam przy łóżku koc i naciągnęłam go na nas. I leżeliśmy w milczeniu na lewych bokach, ja - plecami do jego piersi, pupą do jego miękkiego krzaczka, i serca biły nam tak mocno, że aż rezonowała pod nami metalowa siatka, on głośno oddychał przez usta, bo nos miał wiecznie zatkany, i słuchaliśmy, jak dzieci nawołują się na dworze i jak ulicą przejeżdżają samochody, jak dobiega skądś niewyraźna, rozmyta muzyka i jak światło słoneczne też staje się coraz mniej wyraźne. Powoli nadchodził wieczór, nasuwał się na nas jak naciągnięty przeze mnie koc, a leżące naprzeciwko łóżka plony, z których nie spuszczałam oka, coraz trudniej było rozróżnić.

Milczeliśmy bardzo długo, niemal godzinę, a potem powiedział o starym małżeństwie - i głupio zachichotał. Jakby to było coś nieprzyzwoitego.

Te stosunki płciowe nie przynosiły mi żadnej radości. On rzucał się w nie na główkę, ale równie szybko wypływał z pochyloną głową. Przypomnieć sobie, jak się pieprzyliśmy? Nie, nie przypomnę sobie tego.

Pamiętam tylko, że dochodząc, niezmiennie informował mnie o tym chichotaniem, a potem spełzał ze mnie i trzymając w wyciągniętej prawej ręce wypełnioną spermą prezerwatywę, tak jak chemicy trzymają kolby z niezbadanymi substancjami, człapał bosymi stopami po parkiecie.

Oto jego wydłużona, przejmująco biała postać podchodzi do okna, rozcinając nocną ciemność pokoju. Tam się zatrzymuje i teraz mogę ją sobie dokładnie obejrzeć: wąskie zgarbione plecy, długie chude nogi, które pobłyskują błękitem, i blade policzki pośladków, słabe i beznamienne.

Robi gwałtowny ruch - wyrzuca prezerwatywę przez lufcik. Z zewnątrz, z nagiej, ogólnodostępnej ciszy, słychać dźwięczne „chlap!”. Przejmujące, otwarcie wulgarne.

I już uśmiechnięty znów do mnie płynie. Stąpa śmiesznie swoimi nogami rysunkowej zabki. I widzę, że jego fiut znów stoi - długi i wąski, trochę skrzywiony, delikatny.

Kiedy zabroniłam Hawrylakowi mnie dotykać, wszystko stało się o wiele ciekawsze.

Dalej przychodził dokładnie według grafiku, ani razu się nie spóźnił, nie przegapił ani jednego z naszych zajęć.

W dalszym ciągu otwierałam mu drzwi i nie czekając, aż wejdzie do środka i zdejmie buty, wracałam do swoich spraw. W dalszym ciągu już od progu zaczynał wygłaszać monologi.

- Po pierwsze - mówił, zdejmując jakiś ohydny skórzany kaszkiet (to Młodszy nauczył go nosić ubrania właściwe dla wsiurów i bysiorów, takie miał poczucie humoru) - od dawna wiadomo, że w dziecięcym życiu płciowym od samego początku obserwuje się zaczątki organizacji seksualnych komponentów popędowych. W pierwszym, bardzo wczesnym stadium dominuje erotyzm oralny, to znaczy ustny; druga z tych pregenitalnych faz charakteryzuje się przewagą sadyzmu i erotyki analnej, a dopiero w trzeciej fazie życie seksualne odznacza się uczestnictwem strefy genitalnej.

A po drugie - siadał przy mnie i zaczynał głaskać mnie po włosach albo plecach - myślę, że ludzie powinni zacząć jeść ludzkie mięso. Byłoby to bardzo praktyczne, ekonomiczne i logiczne. Postawiliby wszystko na swoim miejscu i usunęło mnóstwo problemów. Trzeba by się tylko zdecydować, kogo jeść: hodować ludzi specjalnie na ubój czy wybierać przypadkowe ofiary, a jeśli przypadkowe, to w jaki sposób je selekcjonować - zjadać tych, których się lubi, czy tych, których się nie znosi? Czy ciągnąć zapalki? Ja chętniej jadłbym tych, których lubię. Po co mam jeść mięso istoty, która jest mi niemiła? To psuje karmę.

Hawrylak mówił i mówił - tak jak czasami mówi radio albo telewizor, albo jak szumi woda w łazience czy ogień w piecyku gazowym, albo jak huczy w rurach czy dudni, kiedy sąsiad wierci coś piętro wyżej. Nauczyłam się żyć swoim życiem przy akompaniamencie jego monologów. Nauczyłam się czytać w skupieniu, sprzątać, gotować, prać, kąpać się, nauczyłam się myśleć o swoich sprawach, gadać ze sobą, rozmawiać przez telefon, nawet spać przy jego monotonnym gładzeniu. Nie przeszkadzaliśmy sobie. Ja nie przeszkadzałam mu mówić, on nie przeszkadzał mi żyć. Przypominaliśmy parę małżeńską z czterdziestoletnim stażem.

Gdyby tylko nie seks. Wyciągał do mnie ręce, zbliżał wargi, nie odwracał maślanych oczu. Nie przepuszczał żadnej okazji, żeby mimochodem się o mnie otrzeć, pogłaskać moje piersi albo mnie objąć. Byłam surowa i nie pozwalałam na to. Ale zakaz działał odwrotnie: zamiast wpłynąć na niego, wpływał na mnie.

Teraz gdy wiedziałam, że nie będzie mi go więcej żal i że nie ma już odwrotu, zaczęły mnie nagle ogarniać niespodziewane fale podniecenia - wystarczyło, że rzucił mi to maślane spojrzenie, wystarczyło, że dotknął mojego nadgarstka albo szyi - a ciemniało mi w oczach i traciłam oddech.

Często spaliśmy razem, przytulałam się plecami do jego zapadniętej, porośniętej wątlami włoskami klatki piersiowej i kuliłam się, podginając nogi. Rano z zasady ogarniała mnie chcica. O

siódmej piszczał budzik, wyłączałam go sennym i złym trzepnięciem, cierpiąc fizyczny ból związany z wyrwaniem ze snu, ale zasnąć już nie mogłam: pragnienie narastało, zaczynało uporczywie przewiercać dół brzucha, jak malutki, rozpalony bączek, wgrzyzający się w żywe mięso. I wtedy leciutko trącałam go tyłkiem - na tyle lekko, że to szturchnięcie odbywało się początkowo tylko w mojej głowie, potem drugie, trzecie - już szybsze i mocniejsze, chociaż tak naprawdę leżałam nieruchomo.

I nagle czułam, że on też odpowiada szturchnięciem, coraz mocniejszym i mocniejszym, przypominało to ping-ponga i wkrótce uświadamiałam sobie, że to ocieranie wykracza poza dozwolone ramy, że pozwalam nam obojgu na zbyt wiele i że nie wiadomo, po co wymyślałam wszystkie te zakazy, skoro można się tak pięknie pocierać o siebie rzeczonymi miejscami, wywołując jeszcze większe świerzbień i niecierpliwość, którą prędzej czy później trzeba będzie w końcu zaspokoić.

Bardzo lubiłam, kiedy podchodził do mnie od tyłu - nawet niekoniecznie musiał się przytulać, wystarczał ciepły oddech na szyi i ściszony szept, by w moich uszach już szumiało i by ugięły się kolana. Dlatego starałam się jak najczęściej odwracać do niego plecami, robić herbatę, zmywać naczynia, zdejmować książki z półek, podlewać kwiaty, wspinać się na palce, gdy nie mogłam czegoś dosięgnąć, a potem, kiedy go wreszcie przywabiłam, udawałam, że nic szczególnego się nie stało, jakbym nie widziała jego naprężonych spodni i zduszonego głosu, i pytałam go głupio:

„Słuchaj, Hawrylak, niedobrze ci?”.

Raz, kiedy przyszedł, odgrodziłam się od niego podwójnie: książką i walkmanem. Siedziałam na krześle przy stole z podkulonymi nogami, opierając brodę na kolanach i obejmując ramionami łydki. Przysunął sobie drugie krzesło i usiadł obok. Kątem oka widziałam, jak poruszają się jego wargi, i słyszałam jego przytłumiony przez muzykę daleki głos. W końcu nie wytrzymał i zdjął mi słuchawki z uszu.

Spokojnie mu je zabrałam i założyłam z powrotem. Znów zdjął. Znów założyłam. Wtedy pochylił się i wziął mnie na rękę, właśnie taką, skuloną, tak jak siedziałam na krześle, po prostu wziął mnie i posadził sobie na kolanach. Podskoczyłam i walnęłam go pięścią. Walkman poleciał na bok i łupnął o ścianę. Znów usiadłam na swoim krześle i wbiłam wzrok w książkę. Litery pływały mi przed oczami. W uszach huczało. Stał z tyłu i zaczął głaskać mnie po ramieniu i szyi. I dalej coś mówił. Już nawet chciałam usłyszeć co, ale nie byłam w stanie.

Czasami Hawrylak przychodził i zamiast zdejmować buty, mówił: „Ubieraj się, idziemy”. „Dokąd?” - interesowałam się. „Zobaczysz”.

I prowadził mnie za miasto - do lasu, gdzie było cicho i bezludnie, i słońce przesypywało się przez sito koron drzew na opadłe liście, a my brnęliśmy w nich po kolana, to schodząc ze wzgórz, to znów się na nie wspinając, dopóki nie wyszliśmy na wielką polanę zastawioną resztkami betonowych konstrukcji i zardzewiałych mechanizmów.

Wracaliśmy poboczem, Hawrylak został trochę z tyłu, już się ściemniało. Mijały mnie samochody, a światła ich reflektorów wyławiały z ciemności moją krótką, jaskrawozieloną kurteczkę. Kiedy jedno z aut się zatrzymało, a z jego wnętrza ktoś zaczął coś do mnie krzyczeć, przypomniałam sobie o Hawrylaku i cofnęłam się, żeby iść obok niego.

Innym razem poprowadził mnie przez porzucone dache z na wpół rozwalonymi płotami, wątlymi szopami i przyczepkami przeznaczonymi do przechowywania narzędzi rolniczych. Wszystko, co zdążyło wybujać tu przez lato, wszystkie możliwe rośliny, o które od dawna nikt już nie dbał, których nikt nie przycinał i nie pieliał, i dlatego rosły, tak jak chciały, do góry, do dołu i na boki, posplatały się z chwastami, dziczały i degenerowały się, a teraz, kiedy nastąpiła jesień i kiedy w jeszcze ciepłym powietrzu błysnęły pierwsze zwiastuny przymrozków i załśnił szron, wszystkie te rozkoszne, szalone chaszczki pokryły się pozłotą i zaczęły pomału więdnąć. Tak więdną w swoich gigantycznych willach leciwi bogacze - ich skóra, obleczona drogimi, wyszukanyimi tkaninami, marszczy się i pokrywa plamami pigmentu, łysieją im głowy w misternych kapeluszach, artretyzm wykręca im palce, nie zważając na złote pierścionki z kosztownymi kamieniami, bije od nich starczy zapach rozpadu, którego nie sposób zamaskować nawet najdroższymi perfumami. Stare rośliny dożywały swoich dni, wążlejąc i niksząc w miękkiim świetle jesiennego dnia jak starożytni Rzymianie.

Znaleźliśmy się na wiejskim cmentarzu - zacisznym i przyjemnym, nieuporządkowanym, tak jak wszystko wokół, porzuconym i na wpół zapomnianym. Hawrylak prowadził mnie niemal całkiem zarośniętą ścieżką między grobami, rozsuwając na boki wysokie, suche łodygi. Trzeba było schylać głowę, żeby przejść pod jabłoniami i kalinami, trzeba było przebijać się przez chryzantemy, astry i osty. Wreszcie Hawrylak wskazał mi krzywą, nadpróchniałą ławkę. Usiadłam, a on zniknął w krzakach. Miasto zostało gdzieś w tyle, gdzieś daleko w dole. Wiatr koniuszkami palców poruszał liśćmi drzew. Trzepotały skrzydłami niewidoczne ptaki. Pod nogami kotłowały się mrówki.

Staralam się przyjrzeć twarzom ludzi na zatartych fotografiach, odczytać ich imiona.

Hawrylak pojawił się równie niespodziewanie, jak zniknął. Niósł w swetrze całą kupę drobnych czerwonych jabłek.

Wysypał mi je na kolana i usiadł obok. W milczeniu wzięliśmy po jednym. Gdzieś zaskrzeczała sroka. Jabłko było słodkie, miękkie i soczyste.

To w zasadzie dobrze, kiedy twoje ciało karmi rośliny.

Kiedy stajesz się pożyteczny dla innych form życia. Kiedy ludzie mogą cię przyjąć, wchłonąć w siebie nawet po twojej śmierci. Kiedy mogą poczuć, jak jesteś słodki, miękki i soczysty.

Jeśli to wiesz, nie tak strasznie jest umierać. Być może to najlepsze, co przytrafia się człowiekowi w życiu.

„Mój brat jest mi najdroższy ze wszystkich. Cenniejszy nawet niż ja sam - mówił. - Jeśli czasami mogę mieć coś komuś za złe, to nigdy jemu. Nie ma takiej siły, która zmusiłaby mnie do tego, bym o nim zapomniał. Jestem gotów oddać za niego życie, a nawet więcej. Dlatego chciałbym, żebyś czasami z nim sypiała” - mówił.

Ja też bym chciała. Ale brat nie wykazywał zainteresowania - przeciwnie.

Przez cały ten czas spotkaliśmy się zaledwie kilka razy i zawsze ostentacyjnie nie zwracał na mnie uwagi, a kiedy nagle mnie zauważał, to tylko po to, żeby burknąć coś patetycznego i bez serca w rodzaju: „Skoro nie ma wśród nas kobiet...”.

Przyszli na moje urodziny. Starszy podarował mi własnoręcznie zrobioną laleczkę, o której mówił, że to lalka voodoo z prawdziwymi króliczymi kostkami w środku. Lalka uszyta była z grubego, ciemnego płótna, przyjemnego w dotyku, pachniała suszonymi ziołami, którymi była wypchana, i miała głupawą twarzyczkę.

Bracia siedli naprzeciwko gości w dwóch fotelach, położyli ręce na poręczach - jak psychoanalitycy albo pacjenci - odrzucili głowy na oparcia i zaczęli mówić, od czasu do czasu wymieniając spojrzenia. Mówili niegłośno i nie wymagali, by ich słuchano ani w jakikolwiek sposób reagowano na ich słowa. Któryś z gości spróbował wtrącić się w monolog (bo to był monolog, nie inaczej - Starszy zaczynał myśleć, a Młodszy ją kończył, wszystko wychodziło im jasno i logicznie), ale zorientowawszy się, że to bezcelowe, zrezygnował.

Z jakiegoś powodu tego wieczoru trzęsło mnie i mroziło i w końcu nie wyszłam do gości. Pięknie ubrana i pachnąca stałam przy oknie w kuchni i obejmowałam się ramionami.

Po prostu nie mogłam wejść do pokoju. Coś mi nie pozwalało, jakby pokój obrysowano kołem białej kredy i jakaś siła nie pozwalała mi przedrzeć się przez tę granicę.

Opowiedzieli mi potem, że tak właśnie spędzili czas: bracia, siedząc w fotelach, ani na moment nie przestawali mówić, a goście z kanapkami w ustach wpatrywali się w nich z oniemiałym podziwem.

Niebawem zaczęłam zabraniać mu przychodzić. Nie słuchał mnie, przychodził i sterczał pod drzwiami. Nie otwierałam, a kiedy otwierałam - to tylko po to, żeby powiedzieć „Idź stąd” i zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

W chwilach słabości wpuszczalam go jednak do środka.

Ale jego monotonne buczenie nie uspokajało mnie tak jak wcześniej. Nie umiałam już przy nim żyć - drażnił mnie, wyprowadzał z równowagi. Jego głos, jego pot, jego chude ręce - absolutnie wszystko, co było z nim związane, stało się bezpowrotnie zbędne. Jedyne, co mnie cieszyło - to lalczka voodoo, lubiałam przyciskać ją do twarzy i wdychać zapach ziół.

On z kolei umyślnie stawał się coraz bardziej namolny i nieznośny. Specjalnie się ze mną drażnił i sprowadzał na siebie wybuchy mojej złości. „Wpuszczasz mnie, bo nie możesz beze mnie żyć - mówił, chichocząc (a przecież wiedział, jak rozwściecza mnie ten chichot) - nawet sama przed sobą nie chcesz się do tego przyznać. Poza tym, zupełnie nie pasuje do ciebie ta fryzura”.

Podchodziłam do drzwi i otwierałam je na oścież. „Idź precz, idź stąd natychmiast!” - mówiłam idealnie dramatycznym głosem, lodowatym i jak z serialu. Prosił o przebaczenie, obiecywał, że już nigdy nic podobnego nie powie.

Pokazywałam mu drzwi. Padał na kolana. Odpychałam go.

Przyciskał głowę do moich nóg. Krzywiłam się z obrzydzeniem i odwracałam, nie cofając ani na krok. Płakał, ukrywał twarz w dłoniach, prosiłam, żeby wstał i mnie nie rozśmieszał. Nie wstawał.

Kiedyś zastała nas w trakcie takiej sceny sąsiadka - wesola kobietka w średnim wieku, z barankiem ufarbowanych henną włosów na głowie. Weszła na wspólny korytarz i przywitała się z nami, a my z nią: ja, stojąc przy drzwiach i pokazując ręką wyjście, on - na kolanach zapłakany i spuchnięty, z modlitewnie złożonymi dłońmi. Kobietka była wielce zadowolona z tego, co zobaczyła, łobuzersko zakręciła tyłeczkiem i mrugnęła do mnie.

Hawrylaka trochę to otrzeźwiło. Podniósł się, wytarł łzy i ruszył do wyjścia. „Obiecuję, że już nigdy więcej nic takiego nie zrobię - powiedział zmienionym głosem. - Ale ty obiecaj, że nikomu o tym nie powiesz”.

A jakże, obiecałam.

Po raz ostatni przyszedł, kiedy wybierałam się na randkę.

Siedział naprzeciwko, podczas gdy ja biegałam tam i z powrotem w bieliźnie, wkładałam rajstopy, malowałam rzęsy. Łapczywie wdychał zapach perfum, zadzierając głowę i rozdymając nozdrza jak pies myśliwski.

Poprosił, żebym pozwoliła mu odprowadzić się na miejsce spotkania. W milczeniu wzruszyłam ramionami. Wsiadliśmy do trolejbusu. Opowiadał coś głośno, przyciągając uwagę ludzi (wydawało się, że za chwilę znów się rozpłacze). Wyglądałam przez okno, zatrzymując spojrzenie na pniach drzew. W szybie trolejbusu widziałam, jak unoszą się ze zdziwienia brwi

jakiegoś staruszka, który nie spuszczał z nas oka, i jak opada szczeka zasmarkanego dziecka w czapce z pomponem.

Nie zamilkł, nawet gdy doszliśmy na miejsce. „Powiedziałaś, że od razu sobie pójdziesz” - przypomniałam. Urwał i bardzo szybko zamrugał oczami. „Tak, tak, już idę, już idę” - pociągnął nosem. Niedbale się z nim pożegnałam, wpatrując się w tłum przechodniów. Przyszłam trochę za wcześnie.

Hawrylak schylił się i pocałował mnie w policzek. Jego zapach osłabł, wywnioskowałam więc, że zniknął.

Czas mijał, a nikt nie śpieszył się ze mną spotkać. Zdenerwowana spacerowałam tam i z powrotem, wpatrując się w twarze ludzi i kręcąc głową. I nagle natknęłam się spojrzeniem na Hawrylaka. Stał po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko mnie, za kolumną starego sklepu spożywczego. Stał i patrzył na mnie. Długim, pociągłym spojrzeniem przypominającym kardiogram.

Kiedy zrozumiał, że został odkryty, z uśmiechem winnego przyczłapał do mnie.

- Po prostu tego... - wymamrotał, drepcząc w miejscu. - Po prostu chciałem ci coś powiedzieć. Zapomniałem powiedzieć ci to ostatnim razem. Zauważyłaś, że na urodziny zawsze daje się dezodoranty? Na tym polega cała ludzka istota. No, idę.

I wycofał się drobnymi krokami, przy każdym z nich kłaniając mi się z uśmiechem, jak to robią Japończycy. I nie krzywił się.

Tak by się to wszystko zakończyło. Gdybym przed samą zimą - jesień tego roku była długa i pełna rozkoszy - przez zakurzoną firankę w kuchni nie zobaczyła jego wąskiej, jakby przeciętej wzdłuż figurki, która jak zawsze w podskokach zbliżała się do mojego domu. Ubrany był w brązową skózaną kurtkę, za szeroką w ramionach.

Gdy zastukał do drzwi mojego mieszkania, byłam już gotowa.

- Idziemy? - zapytałam. Skinął głową. Jego zapach przytłumiony był ciężkim zapachem lakierowanej skóry - to było coś nowego.

Wyszliśmy na dwór, musiałam od razu założyć rękawiczki. Powietrze było mroźne. Minęliśmy kilka podwórek, przeszliśmy kilka ulic i znów wyszliśmy na szosę za miastem. Hawrylak zatrzymał się przy brudnym przydrożnym sklepie, obok którego kotłowała się parka alkoholików. Ona miała szerokie kości policzkowe i mocno podeszłe czernią oczy. I ciągle chciała wziąć go za rękę. A on się wrywał, wysoki, chudy i przygarbiony, z dwoma niebieskawymi guzami na czole, wrywał się i z niezadowoleniem mrucał coś pod nosem.

- Aj, Masik, ty tak wsigda, wsigda! - krakała potoczyście alkoholiczka. - Tobie ludski czustwa niczo nie znaczat’!

Hawrylak niespodziewanie machnął ręką i obok nas zatrzymała się karetka pogotowia. Nie zdążyłam się nawet zorientować, a już siedziałam w środku, naprzeciwko kilku kobiet z torbami, które niewzruszenie i pilnie mi się przyglądały.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu na środku wiejskiej drogi, zrobiło mi się znacznie cieplej. Musiałam nawet rozpiąć płaszcz. Chociaż rękawiczek nie zdjęłam - zdarza się taka pogoda, kiedy jest ci jednocześnie gorąco i zimno: gorąco w korpus, a zimno w kończyny, nos i uszy. Gorąco w ciele, a zimno w mózgu i sercu.

Obeszliśmy niewielkie jeziorko, w szarej i sennej, gotowej do zimowego snu wodzie pływały liście i plastikowe butelki.

Przeszliśmy wzdłuż ogrodzenia zajazdu, w jednej z zagród leżało kilka wymęczonych i wyliniałych jeleni z kwaśnymi oczami. Zagłębiliśmy się w las, w którym pomiędzy pniami, gałęziami, rowami, strumykami i pagórkami pomału, ale nieubłaganie gniły i rozsypywały się resztki przedszkola czy obozu pionierów. Ślady zaginionej cywilizacji. Smutne pawilony z zapadniętymi podłogami i dachami, z przegniłymi rzeźbieniami i obłazącą farbą; kilka zamkniętych na klucz, zabitych deskami budynków, w których dawno już powybijano okna, pomazano i obszczano ściany; bezsensowne, melancholijne rzeźby przedstawiające chłopców w szortach, chustach i z fujarkami, chłopców bez rąk, bez głów i bez fujarek, chłopców, z których dłoniach zamiast fujarek sterczały butelki, których oczy i wargi pociągnięte były jaskrawoczerwonym lakierem do paznokci. Przypominali samotne, porzucone przez wszystkich wampiry, zdradzone i rzucone na żer wiewiórkom i porostom. Kiedyś nowiutcy i dumni, górowali nad żywymi dziecięcymi głowami, słuchali ich śmiechu i głosów, zwracali na siebie powszechną uwagę, stawiano ich za przykład, liczono się z nimi. Do dziś słyszą ten śmiech w swoich splekanych gipsowych głowach, został tam niemal zupełnie żywy, jakby zapisany na taśmie, nieznacznie tylko uszkodzony, i puszczając sobie nocami te nagrania tysiące razy, gipsowi chłopcy z fujarkami, bohaterowie szczęśliwej przeszłości, płaczą stęchłymi gipsowymi łzami.

Po przeciwnej stronie lasu, tam gdzie znów zaczynała się wieś, Hawrylak pokazał mi wąziutkie, ukryte w zaroślach tory. Dookoła nich gęsto rosły młode dęby i osiki.

Spomiędzy podkładów sterczały kępy trawy i zdziczałych wyschniętych astrów. „Tutaj bawiłem się w dzieciństwie” powiedział Hawrylak.

Wyobraziłam sobie ten pociąg widmo, który nocami stukocze po torach, wyobraziłam sobie, jak gałęzie chłoszczą jego dach i okna. Jak wzbijają się i krążą wokół niego suche liście, zdmuchnięte przez powiew idący spod kół. Przeciągłe, zachryple gwizdy, podobne do trąbki Milesa Davisa, słyszy chyba tylko gipsowy chłopiec w lesie.

Mieszkali w piętrowej polskiej willi, starej i przeżutej przez czas. Mieli wszystko: morelowy tynk, niesymetryczne okna różnych rozmiarów i kształtów, szpicę i basztę, co prawda zupełnie malutkie, ale całkiem prawdziwe.

Dom otaczał stary zapuszczony sad z powykręcanyimi drzewami. To właśnie jabłka z tego sadu tak bardzo mi smakowały. Pod płotem, pośród szerokich zwiędłych liści jaskrawił się rząd dyń.

Wewnątrz pachniało pleśnią i wilgocią pogrzebu. Schody były drewniane, wąskie i skrzypiące. Weszliśmy na piętro, Hawrylak pchnął jakieś drzwi i wszedł do środka. Chciałam na niego zaczekać i odwróciłam się twarzą do wąskiego, zalepionego brudem okienka, przez które widać było strzęp stalowoszarego nieba. Ale Hawrylak w tym właśnie momencie dotknął mojego ramienia i skinął na mnie.

Weszłam do malutkiego, ciasnego pokoiku, w którym jakimś cudem mieściło się trochę mebli. Wewnątrz było duszno i pachniało mężczyzną.

Na wąskim tapczanie pod kolorową huculską narzutą w romby spał Młodszy, nakryty razem z głową. Kontury jego ciała podpowiadały, że śpi w pozycji embrionalnej.

Starszy z dumą demonstrując mi jego ciepłe ciało - a ciepło biło od niego jak od kaloryfera - stał z wysoko uniesioną głową i wyprostowanymi plecami. Potem lekko szturchnął brata. Ten nie zareagował. Starszy potrząsnął go za ramię. Młodszy mruknął głosem tak słodkim i zachrypniętym, że aż rzuciło mną w żar.

Powoli wystawił głowę spod narzuty, lekko otworzył jedno oko, zerknął na Starszego, potem przeniósł spojrzenie na mnie, jednocześnie prostując ręce nad głową i z przyjemnością się przeciągając. Brakowało mu chyba tylko wąsów i długiego, pasiastego ogona, który sterczałby spod poduszki. Nigdy szczególnie nie lubiłam kotów, ale tutaj nie chodziło o lubienie, ale o uderzające podobieństwo. Podobieństwo, od którego ciarki przechodziły po plecach.

Coś do siebie mówili - nie usłyszałam co, bo dzwoniło mi w uszach. Potem Starszy wziął mnie za rękę i sprowadził na dół. Tam czekaliśmy na Młodszego.

Zszedł już ubrany, ale cały wymięty i podpuchnięty od snu. Na policzku odcisnął mu się róg poduszki i guzik.

Szłam między nimi, wysokimi, pachnącymi i aż zalewała mnie czułość i ciepło. Młodszy, jak zawsze trochę zagubiony i obojętny, rzucał mi jednak od czasu do czasu przez pomyłkę uważne spojrzenie. Starszy przy każdym kroku podskakiwał tak wysoko, że zdawało się, iż za chwilę polecą.

Weszliśmy do ciasnego baru ozdobionego srebrzystymi noworocznymi girlandami i kolorowymi naklejkami z gum do żucia. Głośno grała rosyjska muzyka - jakieś babsko nosowym

głosem śpiewało coś miłosnego. Wybraliśmy stolik w kącie i zamówiliśmy piwo. Przy sąsiednich stolikach siedzieli mężczyźni w różnym wieku, wszyscy jak jeden mąż ubrani w brązowe skórzane kurtki. Prześladowała mnie natrętna myśl, że obgadują mnie i obmacują tłustymi spojrzzeniami. Zaczynałam czuć strach, obrzydzenie i przyjemność: byłam samicą braci Hawrylaków i to od nich zależało, co się ze mną stanie tej nocy.

Miałam niemal fizyczne wrażenie, że moją skórę kłuje huculska narzuta w kolorowe romby, że nad moją głową pochyla się gigantyczna ciemna szafa i że nie jestem w stanie rozumieć, co się ze mną dzieje, bo ciągle przewracają mnie, przesuwiają i przekładają z miejsca na miejsce, zmieniają moje położenie, zmieniają szybkość moich ruchów, za jednym zamachem wykorzystują wszystkie moje możliwości, ślizgają się czterema łapczywymi dłońmi po moim rozpiętym ciele, ściskają między sobą, rozdzierają, szarpią i popychają - i wszystko przy przejmującym skrzypieniu starego polskiego domu, przy smutnej melodii trąbki pociągu widma, przy pisku fujarki gipsowego pioniera.

- Musimy pokazać ci nasze albumy z dzieciństwa - powiedział Młodszy i położył mi dłoń na ramieniu. Jego ręka była ciężka, a język mu się plątał.

Szliśmy przez ciemną wieś. Psy wyczuwały nas i zanosily się szczekaniem.

- Tak, zobaczysz, jacy podobni byliśmy do siebie w dzieciństwie - podchwycił Starszy, łapiąc mnie za rękę z drugiej strony.

W oddali widziałam już ich dom, jasną plamą prześwitywał przez sad.

- Pójdę tylko na kilka minut - kiwnęłam głową gdzieś w głąb sadu. Umówiliśmy się na piętrze w pokoju Młodszego.

Zataczałam się. Podeptałam chyba jakieś ważne uprawy chociaż co tam mogło rosnąć o tej porze roku, tak późną jesienią, którą można już było niemal nazwać zimą? Pod gwieździstym niebem głucho szumiały bezlistne jabłonie.

Zgubiłam gdzieś jedną rękawiczkę, a poza tym chyba osikałam sobie buty.

Potem długo i ostrożnie, wymacując drogę, wchodziłam po schodach. Schody jakby umyślnie niemiłosiernie skrzypiały. Każdy ich jęk jak brzytwa przebiegał mi po gardle.

Wreszcie wymacałam klamkę w drzwiach do właściwego pokoju. W środku mgliście świeciła stołowa lampa. Weszłam. Chciałam krzyknąć: „No dalej, pokażcie mi te swoje zdjęcia z dzieciństwa!” - bo jeszcze przed chwilą wydawało mi się to strasznie zabawne, ale zamarłam, zapomniawszy nawet wypuścić powietrze.

Leżeli obok siebie na tapczanie częściowo przykryci narzutą. Starszy spał na plecach z otwartymi ustami i głośno chrapał. Młodszy wcisnął mu nos w szyję i ręką obejmował ramiona. Noga Młodszego była przerzucona przez talię brata.

Nagle Starszy wzdrygnął się, wykrzywił twarz i zaczął żałośnie chlipać. Młodszy podniósł głowę i popatrzył na niego nieprzytomnym wzrokiem. A potem zaczął delikatnie, drobniutko obcałowywać jego twarz.

Przypominali anioły: Smutnego Anioła i Anioła Pocieszyciela. Natomiast tego, który był mi potrzebny, nie było w pobliżu. Szuka się go przez całe życie, a ja chciałam znaleźć go tak szybko. Szuka się go nawet dłużej niż Boga, bo on umie dobrze się schować gdzieś między sercem a śledzioną.

Wyszłam i po cichu zeszłam po schodach. Z jakiegoś powodu przestały skrzypieć, a psy, kiedy szłam przez wieś, nie ujadły.

Weszłam do wagonu i usiadłam naprzeciwko bladego chłopca z nieobecnym wyrazem twarzy. Jego lewy policzek był trochę spleśniały. Chłopczyk trzymał w ręku fujarkę. Gałęzie dźwięcznie chłostały dach i okna.

Za chwilę zabrzmi trąbka Milesa Davisa, za chwilę zabrzmi trąbka.

Chcę poznać twój świat wewnętrzny

Znów nadciąga jesień. Poranki zaczynają się mgłą - mężczyzna to widzi, bo wstaje o świcie, na długo przed tym, nim zaczynam się budzić. Szczerze mówiąc, rzadko śpi w nocy. Jeśli chodzi o spanie, preferuje popołudnia - zlecenia można przełożyć na wieczór albo początek następnego dnia, w domu jest cicho i pusto, i może cały nakryć się kołdrą, zatopić twarz w poduszce i zapomnieć o tym, że tu jest, że wzywają go obowiązki i zasady, zapomnieć, że ma ręce i nogi, i żonę z chłodną, delikatną skórą i szorstkimi włoskami nad górną wargą, zapomnieć, że musi wciąż żyć swoje życie.

Kiedy rozgrzeje się pod kołdrą, a jego myśli stracą ciągłość, mężczyzna staje się spokojny jak nienarodzony żrebak w brzuchu kobyły, która kołysze go i miękko obejmuje.

Jak słodko zapadać w górne, pierzaste i kremowe warstwy snu, czuć, jak cierpną cząstki mózgu - jakby w obronę ze skórki mandarynkę ktoś wbijał drobniutkie igielki, a z przekłutych otworków sączyły się przejrzyste, słodkie krople.

Jak dobrze tak oniemieć, zapomnieć się, czuć się prostym, bezmyślnym organizmem. Skrzepem pulsującego ciała, które reaguje wyłącznie na temperaturę i wilgoć. Które nie zauważa własnego istnienia, tak jak i swojej agonii.

Tak bardzo chciałby nie zauważać siebie. Tak bardzo chciałby niczego o sobie nie wiedzieć i niczego się nie dowiadywać. Tak bardzo chciałby nie być - nie być w śmierzących majtkach, nie być z poranną jajecznicą w ustach, nie być z rurami, które popękały, nie być ze źle przykręconymi

kolankami, nie być z pleśnią pod wanną, nie być na papierosie po pracy, nie być w domu, tam gdzie i tak go nie ma.

Dlatego klęcząc przy cudzej wannie, pokrytej wżartym w nią szronem zapachów i cząsteczek skóry, niemal całkowicie zanurzając się pod jej śliskie, wypukłe dno, w ciemną, zgniłą wilgoć tajemniczych i niedostępnych zakątków (nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co dzieje się pod cudzymi wannami, jakie bezkresne krajobrazy otwierają się przed oczami mężczyzny, obfite bujne tropiki, zwawe samowystarczalne życie - cały mikrokosmos, o którym nawet brzydzę się myśleć), klęcząc i patrząc, mężczyzna zazdrości tym szczęśliwym stworzeniom - grzybom, pleśni, rdzy.

W ukryciu i tajemnicy rozrastają się, rozpełzają wokół, zdobywają i zamieszkują coraz to nowe terytoria, zachłannie absorbując wodę, dosłownie upijając się wszystkimi stadiami swojego niewyszukanego istnienia.

Ciepłe i wilgotne królestwa, o których nic nie wiemy.

Idealne państwa szczęścia i przekwitania. Rajskie ogrody gnicia i rozkładu.

Mógłby całymi dniami klęczeć i rozkoszować się delikatnymi, półprzezroczystymi nóżkami tych stworzeń, oglądać wykwity, w jakie się układają, patrzeć na ich delikatne kapelusiki, kielki, małe chwytne łądyżki, blade i anemiczne ciała, tworzące całe lasy, góry i doliny, całe kontynenty, niezniszczalne, ciągłe, wieczne.

Jakże często mężczyzna naraża się z ich powodu na uwagi, czy nawet krzyki klientów. Wystarczy, że jego spojrzenie natknie się na czułe, przypominające lekko podpuchnięte organy płciowe narosty i plamy - a o wszystkim zapomina, oczarowany i przestraszony ich delikatnością i uporem. To naprawdę poraża: niepojęty świat, niewidzialny, prymitywny i niewyszukany. Świat między wanną a miską ze skisłym praniem; świat w pęknięciach kafli, świat pod linoleum, świat dalekich, niedostępnych zakątków. Pomyśleć tylko - można go zniszczyć. Ten świat istniał od początku życia, ten świat był pierwszym życiem - ten świat wierzy, że będzie też ostatnim. To wieczna ciągłość. Samo życie - kruche i delikatne, rodzi się ze smrodu, ciepła i wilgoci.

Ważna rzecz: mężczyźni zdaje się, nie, jest tego niemal pewien, że blisko mu do tego świata. Od środka cały pokryty jest pleśnią i grzybem. Sam jest pleśnią i grzybem.

I wcale nie jest szalony.

Mężczyzna po prostu coś zrozumiał.

Wpełził w moje życie, wrósł w nie, przeniknął przez szpary - tak jak one, tak jak te stworzenia. Każde życie ma swoje pęknięcia, każde życie ocieka wilgocią i ciepłem. Tak się złożyło, że wybrał mnie - przypadkiem czy nie, to nie ma znaczenia.

Można uznać, że zwabił go do mnie zapach ryby - tej różowej, tłustej ryby wyglądającej tak nieprzyzwoicie, ryby, którą jadłam tego wieczoru i którą jadałam mnóstwo wieczorów później. Siomga, czy jak się tam ona nazywa.

Ostry, ciepławy zapach przypominający zapach rozkładu - oto, co przyciągnęło jego uwagę. Zapach zepsucia wywołał u niego ślinotok. I lekkie, początkowo niemal nieodczuwalne klucie w kroczu - przecież wszyscy wiedzą, z czym jeszcze kojarzy się ta różowa, tłusta ryba.

Mężczyzna godzinami wystawał w sklepach przed stoiskami rybnymi - tymi, na których w kostkach błękitnego lodu układają wybebeszone rybie tuszki.

To właśnie na tych kostkach, surowych, wyraźnych, leżą perłoworóżowe, do nieprzyzwoitości delikatne kawałki, miękkie i uległe, ospałe, rozwarłe, bezwstydne. Wystawione na sprzedaż.

Kiedyś kupił kawałek. Wyszedł ze sklepu, skręcił za rogiem, schował się między drzewami i drżącymi rękoma uwolnił rybę z torebki - aż ociekała, sączył się z niej przezroczysty, lepki tłuszcz, była śliska i śmierdząca. Zimna.

„To cała różnica między kobietą a rybą - pomyślał. A i tego nie wiadomo”.

Potem zaczął palcami rozrywać różową tuszkę - gęsta i elastyczna, poddała mu się w końcu, otworzyła w jego dłoniach, wydzielając jeszcze więcej soku, który ściekał mężczyźnie po nadgarstkach aż do łokci, w rękawy.

Mężczyzna nie mógł potem długo zmyć tych aromatów.

Zapach kobiety też ciężko zmyć. I ciężko mu odmówić.

Tamtego wieczoru z mojego okna poczuł przypadkiem zapach tej dziwnej ryby. To był zapach kobiety. I jednocześnie zapach morza, zapach pierwotnego rosołu, w którym narodziło się życie. Z którego wyszły wszystkie grzyby, pleśnie, porosty.

I mężczyzna, od wewnątrz porośnięty grzybem, pleśnią i porostami, poczuł nagle, jak staje mu serce. Niczym przed powrotem do domu po całym życiu marnych wędrówek.

To nie znaczy, że uważał mnie za ten pierwotny rosół.

Ja - to także on.

Po prostu tak się złożyło, że tego dnia gotowałam i jadłam siomgę.

Babcia nie mogła już nawet chodzić - pólśiedziała w łóżku, opierając się na wysokiej poduszce z gęsiego puchu, którą sama uszyła w młodości. Od czasu do czasu kaszlała i szukała ręką chłopca schowanego pod łóżkiem. Chłopiec leżał na boku, nie ruszając się. Patrzył, jak przed jego oczami przepływa ziemista dłoń z powykręcanyimi palcami, spuchniętymi w kostkach. Napęczniałe kanały żył. Skupiska starczych plam. Głębokie białawe pęknięcia skóry i paznokci. Paznokcie: szorstkie, połamane, pozadzierane, z czarną obwódka.

Wiedziała, gdzie się przyczaił, ale nie mogła go dosięgnąć. Od czasu do czasu rzucała mu z łóżka malutkie gęsie piórko, które wylazło z poduszki.

Piórko opadało, bujając się na boki, rysując w powietrzu płynne zygzaki, jakby chciało na koniec pokazać jeszcze coś pięknego. Potem zamierało w pyłe i brudzie. Drobiniki kurzu opadały na białe niteczki. Trzon pióra był pusty w środku. Chłopczyk łamał go paznokciem.

Między rudymi deskami podłogi, usianymi kawałkami zaschniętego błota i okruchami chleba, utknęły rybie łuski. Półprzezroczyste, przypominające powiększone płyty obumarłej ludzkiej skóry. Kiedyś wszyscy byliśmy rybami.

Pływaliliśmy w mętnej, zielonej wodzie, zakopywaliśmy się w mule, wytrzeszczaliśmy wypukłe oczy - pozbawione wyrazu, pozbawione pytania. Mieliliśmy bezkrwiste usta z pierścieniem cienkich, zimnych warg. Prąd bujał nami, niosąc drobniejszych prosto w paszcze większych.

Babcia nie mogła już nawet chodzić, ale dalej pomagała.

Przynosili jej wprost do łóżka kury do patroszenia. Króliki do wyprawienia. Ustawiali jej na kolanach specjalną deskę poznaną śladami głębokich nacięć, podobnych do zmarszczek, i upstrzoną plamami krwi. Noże trzymała pod poduszką. Za każdym razem prosiła, żeby je umyć, i oddając, denerwowała się i niepokoiła, zanim znów nie wzięła do rąk ich ciepłych drewnianych rękojeści i nie przeciągała opuszkami palców po matowych ostrzach, ostrych i cienkich jak papier.

Tak, robiła mnóstwo rzeczy i chłopczyk, wstrzymując oddech, wystawiał głowę spod łóżka i kładł brodę na lakierowanym drewnianym oparciu, które pachniało czymś ciemnym i w którym było wgłębienie - jakby specjalnie przeznaczone dla niego, na jego brodę, a potem uważnie śledził wszystko, czym zajmowały się mocne, ale już nie tak wprawne palce.

Jednak zawsze bardziej zachwycały go rozkrajane przez nią kabaczki i dynie, z miękkim, wacianym wnętrzem, wypełnionym włóknami, na których drżały nasiona, niż lepione w pośpiechu wielkie bezkształtne pierogi z grubymi zwiędłymi brzegami.

Chłopczyk lubił patrzeć, jak babcia opróżnia do wiadra długą wieprzową kiszkę, jak wymywa z niej bure grudki i cząsteczki, które tamta żywa istota połknęła jeszcze niedawno ze smakiem, wydzielając ślinę i śpiesząc się, mlaskając ciepłym, mokrym językiem i patrząc wokół błyszczącymi oczami, żywa istota, we wnętrzu której wszystkie organy pracowały zgodnie i prawidłowo, wypełniając swoje funkcje i dbając, by język był mokry i ciepły, a oczy błyszczące. Po tym już nie tak ciekawe wydawało się napełnianie szczelnego, gładkiego woreczka czarną masą z kaszy gryczanej i martwej, przegotowanej krwi.

Krew jest ciekawa, dopóki jest żywa. Chociaż nie, nawet nie wtedy. Najciekawsza jest, gdy jest gorąca, wypełniona tlenem w bańkach erytrocytów, czerwona, tak że aż nie można tego

znieść, gdy z niebywałą siłą, radością i ulgą tryska z żyły i tętnicy szyjnej, niczym woda z ogrodowego węża.

Kiedy zaczyna zmieniać kolor i konsystencję, wygląda tak, jakby wiązała się w supełki albo zamykała jak koperta.

Powoli gotuje się na małym ogniu, pęczniąc półokrągłymi bąblami. Leniwa i spokojna, już obojętna - pogodzona ze stanem rzeczy, wolna od zobowiązań.

I wtedy jakby roznosiło mu głowę, jakby rozrywało ją na miliony kawałków: jak to, jak to możliwe, że ta martwa substancja, ta piekielna smoła o żrącym zapachu, ta nieruchoma gnijąca błotnistość, pasywna i bezwładna, jakiś ułamek chwili temu śpieszyła się, toczyła w zamkniętym kole naprzód, naprzód, wciąż naprzód, uwięziona w systemie żył i tętnic, zajęta, niezbędna, życiowo istotna, nieuprawniona do sekundy odpoczynku (odpoczynek - to śmierć), nieustające zgodne pulsowanie miękkiej maszyny, koraliki tlenu, hemoglobina, leukocyty, osocze, wchłanianie jednego, wydzielanie drugiego, procesy, reakcje, wmurowany w nasze ciała kosmos.

To tak jak woda w rurach. Mężczyzna przykładła dłoń do metalowej powierzchni obrośniętej rdzą i skroploną parą i czuje, jak wewnątrz niej spokojnie i pewnie płynie ciecz.

Niczym zwierzę, które przyjaźnie kładzie ci swoją kudłatą głowę na kolanach, dotyka twej dłoni wilgotnym nosem, zdolne cię jednak w każdej chwili rozerwać na strzępy, pożreć żywcem.

Mężczyzna lubi, kiedy pękają szyjne żyły rur. Szczęśliwa woda z rykiem wyrzywa się na wolność. Od jej zachwyty i jemu zapiera dech w piersiach.

Ale nie tak, jak zapierało mu dech w dzieciństwie, kiedy babcia pozwalała mu bawić się kurzym żołądkiem albo kilkoma zarodkami jajek - białymi winogronami różnej wielkości. Chłopiec brał je pod łóżko i raz na jakiś czas dotykał koniuszkiem palca, jakby się bał, że wciąż żyją i czują, że wciąż się dzielą i wytwarzają komórki, wchłaniają tlen i tracą energię. Żołądki pełne były drobnych kamyków i piasku. Później, ośmieliwszy się w końcu, przeciągał palcem po gąbczastych fałdach, sprężystych i już wystygłych, podobnych do gumy.

Mężczyzna nadal nie może przywyknąć do wszystkiego, co go otacza, a czego nie jest w stanie zobaczyć. Od dzieciństwa nie może się przyzwyczaić do tego, że istnieje ukryta różnorodność procesów i zjawisk, nie może uwierzyć, że to normalne. Za każdym razem - poczynając od piątego roku życia, a kończąc na dniu dzisiejszym - rozcinając jabłko, dziwi się, widząc w jego środku przejrzyste łuski i ciemne nasiona. Dlaczego tam są? Czy były tam, zanim je zobaczył? Po co tam były, skoro ich nie widział? Jego ciało dorosło, ale on nadal pragnie szukać odpowiedzi na to dziecięce pytanie.

Nie umie myśleć o stoncy jak o owadzie z pancerzem w paski. Albo jak o różowej, pocętkowanej larwie. Musi wycisnąć z niej pomarańczową ciecz o ostrym zapachu i nie jest obojętny wobec tej substancji.

Tajemnicze wnętrzości nie dają mu spokoju. Rozłupywać, otwierać, wyjmować - to takie wstydlive, straszne i nieprzyzwoite, a jednocześnie nie może się od tego oderwać, nie potrafi się powstrzymać i nie widzi sensu w tym, by się powstrzymywać. We wnętrzościach na pewno ukryto coś ważnego. Coś najważniejszego i zakazanego - bo takie rzeczy zawsze chowa się w niedostępnych miejscach.

Czekając na metro, mężczyzna aż drży od przeczuć. Być tak blisko innych, dotykać ich, widzieć ich oczy i ślimaki uszu. Zawsze stara się znaleźć w samym środku przejścia.

Żeby ludzie szczelnie go otaczali, żeby następowali mu na stopy, żeby ocierali się o niego swoimi plecami i piersiami.

Żeby te plecy i piersi wciąż się zmieniały.

Ich twarze są tak senne, w oczach unosi się nuda i rozczarowanie. Niech to diabli, jak bardzo mężczyzna pragnie to wyjaśnić! Jak mu się chce szeroko się uśmiechnąć (mężczyzna bez przerwy uśmiecha się w myślach), spojrzeć na nich uspokajającym, szczerym spojrzeniem, objąć ramieniem kilkoro stojących najbliżej i przemówić, powiedzieć głośno i wyraźnie, przekrzykując ryk pociągu: „Pomyślcie jedziemy sobie teraz, a w środku biją nam serca!”. I zwycięsko rozejrzeć się wokół, wyłowić spojrzeniem kilkadziesiąt twarzy. Ale mężczyzna nie sądzi, by ludzie się ucieszyli.

Chociaż jest się z czego cieszyć. Te kilkadziesiąt serc, mniejszych i większych, wolniejszych i szybszych, przepasanych aortami i żyłami, wewnątrz, pod ziemią, w metrze, rozpędzonych przez świst i ryk, wszystkie te kilkadziesiąt, kilkaset serc, pulsujących w różnym rytmie, zasysających i pompujących krew, drży i bije, tadadam-tadadam-tadadam!

Jadą i się smucą, przeklinając moment, kiedy pojawili się na świecie, i wszystko wydaje im się puste i męcząco małe, a w tym czasie w ich jelicie grubym formuje się kał, kosmki na ściankach jelita cienkiego, mlaskając, wchłaniają substancje odżywcze, które nie przyswoiły się jeszcze do końca po śniadaniu, a wątroba produkuje żółć, gorzką, gęstą, zielonkawożółtą żółć, która kropla po kropli wsacza się do woreczka żółciowego.

I jednocześnie całkiem niedaleko szcurzyca rodzi szcurzęta - a ludzie w metrze przelatują wprost nad ich małutkimi ślepymi głowami.

I chłopczyk dotyka włożonej do kieszeni karty telefonicznej. A jego pięćdziesięcioletnia rozwiedziona matka zastanawia się, czy warto ogolić sobie dziś włosy w kroczu, czy też

trzydziestodwuletni sąsiad interesuje się nią tylko jako kobietą, którą można od czasu do czasu poprosić, żeby zaopiekowała się kotem.

I milimetr po milimetrze wydłuża się pęknięcie w asfalcie nad ich głowami.

I sprzedawczyni ze sklepu z damską bielizną powtarza sobie uspokajająco, że jeszcze tylko trzy minuty, jeszcze trzy minuty, i otworzy drzwi, i wejdzie w ciemność wnętrza, wciąż jeszcze pustego, i będzie mogła spokojnie poprawić sobie majtki, które przekrzywiły się i teraz nieprzyjemnie piją.

I pies podnosi łapę.

A zgubione przez kogoś nożyczki zjada rdza.

Niewysoki mężczyzna z łysiną na czaszce zaczyna dostawać alergii na słodki krem, który zlizzał z ciastka. Jeszcze o tym nie wie, jeszcze uśmiecha się do szefowej, która kładzie na jego biurku świeżą prasę, ale na jego piersi można już zauważyć (oczywiście jeśli skorzysta się z mikroskopu), jak zaczyna czerwienić się i puchnąć tkanka wokół porów, szczególnie we wgłębieniu klatki piersiowej.

I nawet jeśli nie możesz tego wszystkiego zobaczyć, rozgrzebać i ogłosić, to możesz przynajmniej o tym wiedzieć, wyobrażać to sobie i myśleć.

Mkniesz dokądś, przebywając w stanie całkowitego somnambulizmu (bo metro sprawia, że nie możesz być aktywny, kołysze i przygnębia; mgliste światło lamp, ekrany telewizorów z pyskami pand i dziewczętami z Fashion tv, kontury belek i niedokończonych konstrukcji w ciemności tunelu - pod ziemią wszyscy muszą zachowywać się spokojniej, pod ziemią lepiej się nie kręcić, pod ziemią lepiej zamrzeć i tylko kilkadziesiąt serc: Tadadam-tadadam-tadadam!). Kiedy pociąg wyrywa się spod ziemi i mknie po moście nad Dnieprem, uświadamiasz sobie jasno, że ostatnie piętnaście minut spędziłeś na granicy snu i śmierci, zaplątany w grząskie strzępy myśli, wciąż oblizując wzrokiem wszystkich dookoła (ale tak, żeby tego nie zauważyli albo żeby przynajmniej dać im możliwość udawania, że tego nie zauważają). I wtedy łykasz oczami porcję światła, dziennego, szerokiego, rozlanego wokół, odbitego w tafli, jakbyś wyskakiwał spod wody, pod którą - nabrawszy powietrza - starałeś się usiedzieć jak najdłużej, i teraz czerwony, zdyszany, z podrażnionymi śluzówkami, głośno i ochryple kaszlesz i parszasz.

I wszystkie te niedomówione kolory, niedociągnięte, rozluźnione, wolne: wszystko jest przejrzyste, błękitnoróżowe, mętne, nieruchome, wyraźne, a jednak trochę zaciągnięte nieszczelnym welonem mgły. Nad gładzią wody - dźwigi i wysokie budynki. Most Patona niczym koronkowy kołnierz.

Od stacji Pozniaky do stacji Złoti Worota masz dość czasu, by przyzwyczaić się do ludzi. Już wiesz, że dziewczyna z zielonymi soczewkami nie jest aż tak pewna siebie, na jaką wygląda. I

że dziadek w kapeluszu i workowatym swetrze jedzie do siostry, bo w nocy ktoś wybił jej kamieniem okno (tak powiedział komuś przez telefon). I że tamten facet przez całe życie przygryza dolną wargę - ma taki nawyk i wyraźny ślad na wardze.

Kiedy wysiadasz na swojej stacji, masz wrażenie, jakbyście wszyscy razem byli na czyichś urodzinach. Albo na stypie po człowieku, który przeżył długie życie - wszystkim smutno, ale nie ma tragedii. Oczywiście jeśli nie macie skłonności do tego, by wszystko uważać za tragedię.

Mężczyźni najlepiej myśli się o wewnętrznych światach.

Grupa dziewcząt w wieku licealnym. Zerka na nie ostrożnie, żeby nikt nie posądził go o pedofilię, i wyobraża sobie ich młode białe trzonowce i pęcherzyki płucne, i puszek na ich plecach. Po ciele przebiega mu przyjemny, chłodny dreszcz. Na pewno mają ten delikatny puszek na karku. Na pewno.

Jak dokładnie, jak wprawnie jednym ruchem babcia rozpruwała brzuchy martwym rydom, ptakom i innym zwierzętom. Delikatne cięcie, spod którego wyglądały różowawe, fioletowe wnętrzości. Niektóre z nich pobłyskiwały bielą, tak jak na przykład jelita królików.

Tkanki, żyjące często dalej siłą inercji, nie poddawały się, opierały, rwały ze skrzypieniem, z dźwiękiem, który sprawiał chłopcu ból.

Nie spuszczał oczu z babci, chociaż czuł mdłości i lęk na widok krwi i czując surowy, słodkawy zapach. Wiedział: tego nie można robić. To zabronione. To nieuczciwe. To się karze - i to karze ciężko.

Nie można wchodzić tam, dokąd nie ma wejścia. Nie można wyciągać na zewnątrz tego, co od początku schowane było w środku.

Ale jednocześnie - to takie słodkie. Wtrącać się, wpychać jak najgłębiej, w gorące, ciasne głębiny, w których trudno się nawet poruszyć, gdzie panuje nieznośny zaduch, tarcie, opór i pokora. To przypomina seks.

Siedziałam na najniższym schodku piętrowego ceglanego domu, różowopomarańczowego, z niebieskimi drzwiami i ramami okien. Dla mężczyzny czymś niezwykłym było widzieć mnie w dzień, pod gołym niebem, na tle trawy wydałam mu się nawet kimś, kogo nie zna.

I jeszcze ta nowa chłopięca fryzura, która tylko podkreślała bezbronność mojej szyi - nie podobała mu się.

„I kto tak pomalował budynek? - pomyślał. - Jak można mieszkać w takim domu?”.

Kiedy mnie odnalazł, był rozczarowany. Początkowo nawet się zezłościł: tak długo szukał, tak za mną tęsknił, ciągle o mnie myślał, wspominał. Brakowało mu mnie jak ręki albo nogi. Brakowało mu mnie jak pęcherzyków płucnych.

Brakowało, jak czasami brakuje grzyba i pleśni pod wanną w świeżo wyremontowanych mieszkaniach. Sprawiało mu ból, że nie może słyszeć mojego głosu, mojego śmiechu i mojego płaczu, że nie może oglądać moich stóp, kiedy czytam, opierając się o ścianę, że nie może rozkoszować się tym, jak w zamyśleniu poszczypuję palcami dolną wargę. Nie może, choć jest mu to przecież niezbędne do życia.

Choć kłuje go w piersiach i ciśnie w tchawicy, jakby ktoś wpychał tam metalowy, zimny pręt.

I teraz, kiedy w końcu mnie odnalazł, straciwszy tyle czasu, dołożywszy tylu nadludzkich, nieprawdopodobnych starań, okazuje się, że siedzę przed ohydny budynkiem jak obca, a na głowie mam ohydny chłopięcą fryzurę!

Mężczyzna wściekł się, chciało mu się rzucić to wszystko, odwrócić się i pójść precz, precz z tą nową pustką, która w nim właśnie powstała, z tym dzikim zimnem w dłoniach, od którego aż ścierpły palce. I nagle zobaczył, jak opieram brodę na kolanach ugiętych nóg - i mnie poznał.

To moje szerokie kości policzkowe. To moje przygarbione ramiona.

Byłam smutna. Tak często bywałam smutna bez widocznego powodu, że można mnie było uznać za szaloną. Ludzie wiodący życie takie jak moje, nie mają prawa się smucić.

Mój smutek wywołał u mężczyzny zwilżenie rogówki. Zbliżył dłonie do twarzy i pochuchał na nie ciepłem z ust. Nie pomagało.

Zza drzew starego sadu, który otaczał budynek (głównie jabłonie i śliwy, o ile mężczyzna mógł się zorientować; o ile w ogóle mógł się im przyglądać, kiedy byłam w pobliżu), wybiegł wielki kudłaty pies podobny do niedźwiedzia.

Zdaje się, owczarek kaukaski.

Przywołałam go do siebie gestem. Wyciągnęłam dłoń.

Pies rozkładając ogon jak żagiel, potruchał do mnie z gracją, choć ociężale. Wyglądał groźnie, ale jego skierowane na mnie spojrzenie było pełne czułości.

„Ciekawe, co się stało z kotem. Lepiej, gdyby był tu kot” pomyślał mężczyzna.

Babcia przypominała martwego kota. Umarła w nocy. W lewej dłoni zaciskała rękojeść największego ze swoich noży.

Leżała dziwnie skurczona, zastygła, skamieniała.

Później chłopiec przyjrzał się jej już w trumnie. Dziwił go spokój na jej pomarszczonej twarzy. Na parapecie w samym kącie stała zapomniana szklanka z niedopitą wodą.

Wieczorem babcia poprosiła o wodę, wzięła parę łyków, a resztę zostawiła sobie na noc. To było ostatnie kilka łyków wody w jej życiu.

Chłopczyk patrzył na jej niewielkie ciało i myślał o wszystkim, co wypełniało jej wnętrze. Martwe organy. Zakrzepła, zimna, ciemna krew. Niczym nieruchoma galaretka błota, które zostało po zamulonej rzece. Tkanki zmieniły już kolor. Tętnice i żyły zacisnęły się i pozasychały. Niepotrzebne, smutne kawałki ciała, których termin użyteczności minął.

Fabryka zamknięta, drzwi zabite deskami.

Chłopczyk wyobrażał sobie jej grasicę, dwie drobne, zgniłe fasolki, zaciśnięte między gąbczastymi skrzydłami brudnych płuc. Dwa ziarenka bobu starości - po łodydze, która z nich wyrośnie, czy tego chcesz czy nie, trzeba się będzie wdrapać na tamten świat.

Rozczuliła go myśl o komórkach paznokci i cebulkach włosów. Mogły jeszcze nie wiedzieć, że wszystko się zmienia. Mogły coś podejrzewać, ale wciąż w to nie wierzyć.

I żyć dalej, dzielić się i rosnąć, słabo, ale wytrwale, żeby nacieszyć się jeszcze przed śmiercią.

Weszłam do domu. Pies dalej leżał na ganku. Patrzył w kierunku mężczyzny, nastawiając uszu, chociaż nie sędzę, by mógł go widzieć - mężczyzna leżał pod krzakami w wysokiej trawie. Pies czuł chyba jego zapach. Ale mężczyzna miał szczęście, wiatr wiał w przeciwnym kierunku.

Mężczyzna zaczynał już drzeć z podniecenia i sprawiało mu to przyjemność. Trzeba było działać, żeby całkiem nie stracić panowania nad sobą. Bo druga taka okazja mogła się nie powtórzyć.

Powoli odczołgał się do tyłu, starając się nie szeleścić i nie zaczepiać ubraniem o krzaki. Mimo jego ostrożności, psu udało się coś usłyszeć. Zwierzę zerwało się na równe łapy i głośno zaszczekało.

Wyjrzałam przez okno i krzyknęłam. Pies szczeknął jeszcze kilka razy i udał, że uspokaja się i kładzie. Ale wystarczyło, żebym znów zniknęła gdzieś w głębi domu, by zwierzę podniosło się i ostrożnie potruchtalo tam, gdzie chwilę wcześniej ukrywał się mężczyzna.

Mężczyzna musiał zacząć się na psa przy rozdwojonym, złuszczonej pniu jabłoni. Zwierzę zatrzymało się w odległości kilku kroków i wilczym wzrokiem patrzyło na mężczyznę spode łba, potem zawarczało. Mężczyzna wyciągnął zza pleców przygotowany wcześniej kamień i zaatakował pierwszy. Potoczyli się po trawie. Zwierzę celowało kłami w gardło mężczyzny, ale ten zwinnie się wywinął i pies ugryzł go tylko w policzek. Mężczyzna kilka razy uderzył psa kamieniem. Najpierw trafił w kark, potem jednak przyłożył mu w nos i ciemię. Pies wydał urwane ochryple jęknięcie, wyciągnął łapy i ucichł. Mężczyzna wstał i otrzepał się. Na szyję i piersi ściekała mu gorąca krew, pies rozorał mu jednak twarz.

Teraz mężczyzna mógł spokojnie wejść do domu. Przechodził z pokoju do pokoju i wszędzie napotykał tylko półmrok i chłód. Mnie nigdzie nie było.

W końcu zobaczył to, czego szukał, przez szparę w półotwartych drzwiach. Siedziałam na podłodze pomiędzy jakimiś papierami i oglądałam je w zamyśleniu. Miałam na sobie jego ulubioną zieloną sukienkę. Dziwaczny widok: chłopiec z biustem ubrany w sukienkę. Przez okno na mój obojczyk padało kilka skośnych promieni słońca.

Rozgoryczona burknęłam coś pod nosem, wzięłam jedną z kartek i zaczęłam energicznie drzeć ją na drobne kawałki.

Mężczyzna wyjął z kieszeni spodni swój maleńki śrubokręt. Zdjął zakrętkę, odsłaniając ostrze (też maleńkie, ale jakże ostre!) i przykręcił je z drugiej strony.

Następnie lekko popchnął drzwi. Otworzyły się. Podniosłam głowę i spojrzałam na niego. Trochę zdziwiona, a trochę przestraszona.

Mężczyzna uśmiechnął się do mnie i wszedł do pokoju.

Podłoga wyścielona była jasną wykładziną.

Nawet nie wstałam - po prostu śledziłam go spojrzeniem, odrobinę unosząc podbródek, w miarę jak się zbliżał. Chciał mnie uspokoić, ale ja nie miałam wcale zamiaru robić gwałtownych ruchów. Zamarłam, nie mogłam nawet wypuścić z dłoni kawałków papieru.

Kiedy podszedł blisko, poczuł mój zapach. Marzył o nim tak długo i tyle razy go sobie wyobrażał. Co miałby przypominać? Kwiaty? Owoce? Zapach kremu? Perfumy? Słodycz? Świeżość?

Mężczyzna chciał, żebym pachniała siomgą - tak jak wtedy, za pierwszym razem. Tymczasem pachniałam papierem, świeżym papierem, jak dopiero co wydrukowana książka.

Zatrzymał się. Jeszcze przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Uśmiechał się i drżał. Wyszczierzony uśmiech na zakrwawionej twarzy nie był dla mnie szczególnie pociągający. Jednak z jego oczu wyczytałam wszystko, co czuł.

Wiedziałam, że poznaje zmarszczki w kącikach moich oczu i ust - zmarszczki, które wcześniej widział z odległości kilku metrów, odbite w lustrze, podkreślone przez żaluzje. Widziałam, jak dotyka wzrokiem każdego włosa na mojej głowie - przecież były teraz tak blisko, te moje włosy. Mężczyzna łapczywie wciągał nosem powietrze. Poznał kaptcie, w których chodziłam jeszcze tam, w starym mieszkaniu. Obejrzał każdy paznokieć na palcach rąk i nóg.

Uświadomił sobie nagle, że ledwie trzyma śrubokręt, tak bardzo zgrabiały mu ręce.

Lewą dłonią przeciągnął po moich włosach. W jego wnętrzu wszystko zacisnęło się i zadrzało. Jakież były miękkie i pokorne! Patrzyłam na niego z dołu, niemal nie mrugając, patrzyłam przestraszona i zmartwiała. Tak jakbym chciała się dowiedzieć, co będzie dalej.

(„Właśnie tak patrzyła na Halę, kiedy ta, ociekając kroplami morza i deszczu, wyskoczyła na brzeg, zostawiając starcze ciało słodkim, kołyszącym falom” - pomyślał mężczyzna).

Złapał mnie od tyłu za szyję. Jeszcze trochę, a całkiem otoczyłby ją ramieniem.

Mięśnie jego twarzy piekły pod grymasem bólu. Dotykał mnie. Dotykał mojej skóry. Wszystko działo się naprawdę, na jawie, nie było żadnych widzów, teraz on także brał udział w przedstawieniu.

(„Jak dobrze, że nie otruła się wtedy lodami, nie wyslizgnęła się z żółtej kaczki na głębokości jedenastu metrów, nie wpadła pod koła samochodu - pomyślał. - Co bym zrobił, gdyby tak się stało? Jak żyłbym na tym świecie?”).

Łzy, które polały się z oczu mężczyzny, wywołały pieczenie rany. Trochę go to otrzeźwiło.

Przypomniał sobie dzień, kiedy pierwszy raz zdałam sobie sprawę, ze swojej płci. Miałam wtedy pięć lat, bawiłam się z chłopcem z sąsiedztwa na podwórku prababci, chłopczyk wdrapał się na starą popękaną jabłoń, której pień był mocno pobielony wapnem. („Całe łokcie miała zupełnie białe od tego wapna” - przypomniał sobie mężczyzna). Prosiłam, żeby zszedł i powtarzałam, że sama za nic nie weszłabym na drzewo. („Kłamczucha” - uśmiechnął się w myślach mężczyzna). „Nie weszłabym, nie weszła” krzyczałam i nagle poczułam zachwyt i podziw dla żeńskich końcówek czasowników. Tak, dzięki gramatyce po raz pierwszy poczułam się kobietą. („Gramatyka!” - skrzywił się z obrzydzeniem).

Chcąc wyzwolić się z uścisku mężczyzny, płynnie pokręciłam głową, zupełnie jak uparte cielątko. On też pokręcił głową. Nie, nic z tego nie będzie, wybacz, i ścisnął szyję silnymi palcami. Z bólu i zaskoczenia głucho jęknęłam. Wybałuszyłam oczy. Teraz byłam przerażona.

(„Ciekawe: boi się bardziej czy mniej niż tego dnia na strzelnicy? - pomyślał. - Ciekawe, czy nienawidzi mnie teraz tak samo, jak nienawidziła tego nieszczęsnego pijaczka?”).

Mężczyzna nie mógł już tego wytrzymać. Nie chciał mnie dłużej męczyć. Zupełnie tego nie potrzebował.

Cienkie ostrze rozcięło najpierw promienie słońca, wypędzając je z linii moich obojczyków. A potem chlusnęła fontanną krew, tak czerwona, że mężczyzna nie mógł znieść jej widoku, ale wycierał ją sobie z oczu i nie odwracał spojrzenia - szczęśliwa krew opuściła swoje więzienie i przywitała świat potężną fontanną radości życia.

(„Dobrze, że nie zdarzyło się jej nigdy nic takiego jak Musze, która upiła się kiedyś do nieprzytomności i zwała, całkiem ubrana, do fontanny i leżała tam mokra, z przyklepioną do ciała sukienką, ze stwardniałymi sutkami, z tuszem rozmazanym na policzkach, rechocąc głośno i ochryple.

Chociaż nie - kiedyś obrzygała przecież łożo małżeńskie rodziców Oli Szowczyk mieszanką szampana, podrabianej whisky i czereśni. Ale do fontann nie wpadała - mężczyzna w zamyśleniu wodził oczami po mojej twarzy. - Co prawda, od kiedy zobaczyła, jak zawinięty w białe

prześcieradło trup płynął z prądem, czuła paniczny strach, wypływając daleko od brzegu. I za każdym razem odpływała jak najdalej”).

Białka moich oczu wywróciły się, a usta otwarły - jakbym chciała zdążyć jeszcze powiedzieć coś ważnego, coś najważniejszego. „Co?” - zapytał mężczyzna. Ale ja osunęłam mu się już tylko ciężko w ramiona. Twarz całkowicie mi zbladła, nawet wargi zrobiły się białe.

Położył mnie na podłodze. Krew szybko wsiąkała w białą wykładzinę, wymalowując jaskrawoczerwone kontynenty wokół mojego ciała. Leżałam na nich jak bogini, która stworzyła świat z własnej krwi, dała mu życie - i od razu umarła.

Mężczyzna patrzył na mnie i nie wierzył własnym oczom.

Taka delikatność, takie szczęście nie zdarza się naprawdę.

Teraz już nie pachniałam papierem. Pachniałam morzem, słonym morzem, gęstym Morzem Czerwonym.

Komórki mojego mózgu były już martwe. Śmierć pochłaniała mnie, połykała, tak jak armie grzyba i pleśni połykają coraz to nowe tereny.

(„Ostatni widziałem ją żywą. Ostatni jej dotknąłem. Teraz nikt nie kupi jej ciastek Maria. Nikt nie zostawi na niej siniaków. Nikt nie przyniesie jej warzyw. Żaden mężczyzna nie powie jej więcej, że gdyby była Murzynką, to zdawałaby się podwójnie egzotyczna: Murzynki same w sobie są egzotyczne, a ona - jest egzotyczna nawet jak na nie-Murzynkę. Jestem ostatnim mężczyzną” - pomyślał, czując głęboką satysfakcję).

Zrobił staranne pionowe nacięcie pod moimi piersiami, dokładnie pośrodku - najpierw rozciął sukienkę, a potem ciało. Końcówka śrubokrętu była krótka, ale ostra. Zagłębiał się we mnie stopniowo, warstwa po warstwie, ostrożnie i delikatnie. Tkanki nie chciały się poddać. Bryzgała krew. Mężczyzna niechcący rozciął żołądek, poczuł pod palcami jego mięśnie i fałdy, i dopiero wtedy się zatrzymał.

Odłożył śrubokręt.

Pośród żrącej zieleni mojej sukienki rozkwitał purpurowy kwiat. Mężczyzna zanurzył w nim obie dłonie - w tę gęstą masę, która aż pałała, która wciąż jeszcze kipiała i drżała niczym tysiące mięsistych motyli. Gładziutkie i szorstkie naprężone powierzchnie, fałdy i zmarszczki, większe i mniejsze zaokrąglenia.

Jego dłoniom zrobiło się cieplej, o wiele cieplej. Zaczęło mu wracać czucie w palcach.

Po omacku ruszył się do przodu, do góry i trochę w lewo.

Zamknął oczy - i tak nie widział niczego przez łyzy, które nie przestawały ciec, łaskocząc w wąsach.

I w końcu znalazł to, czego szukał, i chwycił z obu stron.

Niemal już ucichło, tylko od czasu do czasu słabiutko drżało, jak nowo narodzony króliczek. Takie malutkie - niemal ginęło w jego dłoniach, ale żar, który od niego bił, w końcu całkowicie przywrócił czucie jego rękom.

Tak zanurzony we mnie po łokcie kuczał na środku przestronnego pokoju z porysowanymi kartkami papieru porozrzucanymi na podłodze.

Piękna, byłam piękna z tym czerwonym kwiatem na brzuchu. Wszystko miałam piękne. Mam na myśli - wszystko w moim wnętrzu.

Mężczyzna szybko oddalał się ulicą. W uszach szumiało mu tak mocno, jak letnimi nocami potrafi szumieć ulewa za oknem.

Oblepione korą zaschniętej krwi ręce trzymał w kieszeniach wiatrówki. Trudno mu było zginać i prostować palce. Kończyny znów zaczynały marznąć.

Z naprzeciwka szła znajoma postać z pełnymi siatkami w obu rękach. Z siatek sterczało pudełko makaronu, długa cienka bułka i zielony szczypior.

„Ale mną wtedy walnął o ścianę” - przypomniał sobie mężczyzna, uważnie wpatrując się w twarz napotkanego.

Ten nie zwrócił na niego uwagi - za bardzo śpieszył się do swojego domu, różowopomarańczowego, z niebieskimi drzwiami i ramami okien.

Minęli się.

Mężczyzna poszedł dalej.

Szedł, a szum w uszach zaczynał pomału zmieniać się w łomoczący rytm. Jakby towarowy bezustannie mknął gdzieś wewnątrz czaszki.

Tadadam-tadadam-tadadam.

Tadadam-tadadam-tadadam.